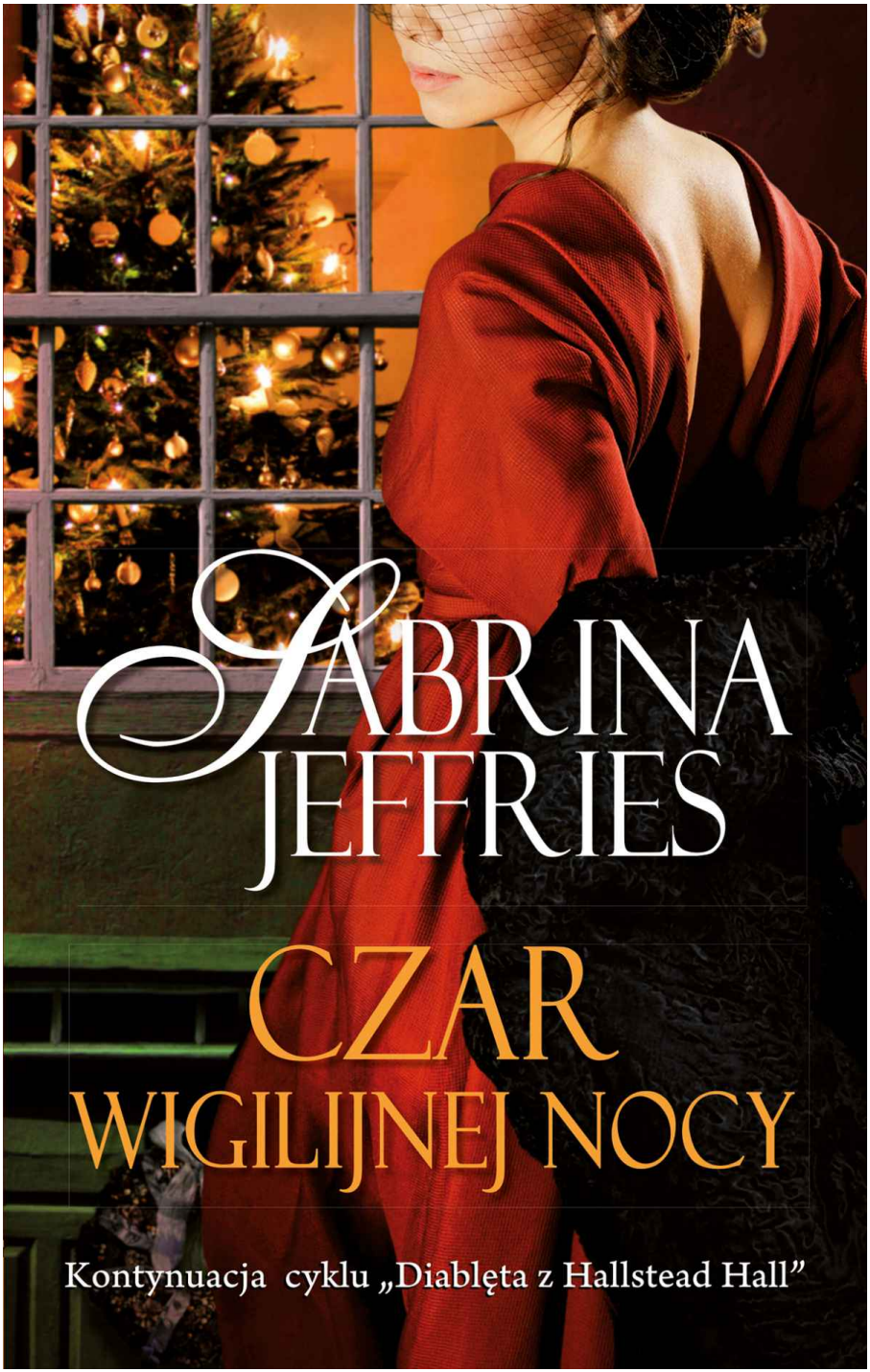
SABRINA
JEFFRIES
CZAR
WIGILIJNEJ NOCY
Kontynuacja cyklu „Diablęta z Hallstead Hall”

SABRINA JEFFRIES

CZAR WIGILIJNEJ NOCY

przełożyła

Dorota Jankowska-Lamcha

bis

Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *'Twas the Night After Christmas*

Projekt okładki: Iza Szewczyk

Zdjęcia ze strony http://pl.depositphotos.com/
Autorzy zdjęć:
Ellya anterovium

Copyright © 2012 by Deborah Gonzales
All rights reserved including the right to reproduce this book or portions thereof in any form whatsoever. For information address Pocket Books, a Division of Simon & Schuster, Inc., 1230 Avenue of the Americas, New York, N.Y. 10020.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2015

ISBN 978-83-7551-463-6

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Epilog

Przypisy

Prolog

Kwiecień 1803 roku

Nikt go jeszcze nie zawołał.

Osmiletni Pierce Waverly, dziedzic hrabiego Devonmonta, siedział na łóżku w górnej sali internatu męskiej szkoły Harrow, gdzie mieszkał od trzech miesięcy razem z sześćdziesięcioma innymi chłopcami.

Dziś zaczynały się jego pierwsze wakacje. Większość szkolnych kolegów została już odebrana przez rodziców. Kufer miał spakowany. Był gotów.

A jeśli nikt nie przyjedzie? Czy będzie musiał zostać w Harrow, sam w internacie?

Mama i tata przyjadą. Na pewno przyjadą. Dlaczego mieliby tego nie zrobić?

Ojciec uważa cię za słabeusza. Dlatego spakował twoje manatki i wysłał cię do szkoły – żebyś zmężniał.

Zadrżał mu podbródek. Nic nie mógł poradzić na to, że miał astmę. Ani na to, że lubił, kiedy matka uczyła go gry na fortepianie, co ojciec uznawał za niemęskie zajęcie. Jeśli ukrywał się, gdy ojciec chciał zabrać go na przejażdżkę konną, to dlatego, że zawsze był besztany, bo nie jeździł, jak należy. Pierce wpadał w złość i mówił rzeczy, które ojciec uważał za bezczelne. Albo, co gorsza, brakowało mu tchu i wpadał w panikę. Wówczas przychodziła matka i pomagała mu odzyskać oddech. Ojciec tego nie znosił.

W porządku, może i ojciec był zdolny zostawić go w szkole, żeby tu zgnił, ale matka nie posunęłaby się do czegoś podobnego. Tęskniła za nim – wiedział, że tak, nawet jeśli nie pisała za często. On także tęsknił. Ogromnie. Wiedziała, co robić, gdy dopadały go duszności. Nie uważała gry na fortepianie za niemęskie zajęcie i twierdziła, że Pierce jest bystry, a nie bezczelny. Umiała go rozbawić, nawet poprzez swoje nieczęsto pisane listy. Jeśli po niego nie przyjedzie…

Łzy wezbrały mu w oczach. Rozejrzał się i ukradkiem wytarł je dłonią w rękawiczce.

– Ależ maminsynek, beczy za rodzicami – usłyszał za sobą drwiący głos.

A niech to diabli! To jego zaprzysięgły wróg, George Manton, dziedzic wicehrabiego Rathmora. Manton był pięć lat starszy od Pierce'a. Prawie wszyscy chłopcy byli od niego starsi. I więksi. A także silniejsi.

– Wcale nie płaczę – oświadczył grobowym tonem Pierce. – Jest tu za dużo kurzu i tyle.

– Jak przypuszczam, masz jeden z tych swoich ataków – prychnął pogardliwie Manton. – Tylko nie myśl, że się na to nabiorę. Jeśli zaczniesz się przy mnie dusić, wykopię z ciebie ostatnie tchnienie. Jesteś marną namiastką wychowanka Harrow.

Ja przynajmniej potrafię to przeliterować poprawnie. A ty za nic nie przeliterujesz słowa „bęcwał", nawet gdyby wyryto ci je na czole.

Pierce wiedział, że lepiej nie mówić tego na głos. Ostatnim razem, kiedy powiedział, co myśli, Manton jednym uderzeniem powalił go na ziemię.

– No i co? – drwił dalej Manton. – Nie masz nic do powiedzenia, mały mięczaku?

Jesteś przerośniętym troglodytą, który zaczepia chłopców dwa razy mniejszych od siebie, bo ma dwa razy mniejszy móżdżek.

Tego jednak także nie mógł powiedzieć.

– Zdaje się, że jest tu twój służący. – Pierce wskazał ruchem głowy drzwi. – Nie powinieneś kazać mu czekać.

Manton spojrzał w stronę, gdzie lokaj w liberii Rathmorów ze stoickim spokojem udawał, że niczego nie widzi.

– Każę mu czekać tak długo, jak zechcę. Jestem dziedzicem i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

– Ja też jestem dziedzicem, wiesz? – Pierce dumnie wypiął pierś. – Twój ojciec jest tylko wicehrabią. Mój jest hrabią.

Kiedy Mantonowi zwęziły się oczy, Pierce przeklął zbyt prędki język. Doskonale wiedział, że nie powinien drażnić niedźwiedzia, lecz Manton bardzo go rozgniewał.

– Cholernie wiele ci to pomaga – odgryzł się Manton. – Jesteś żałosną namiastką syna hrabiego. Tak się dzieje, gdy miesza się obcą krew z dobrą angielską. Ośmielę się twierdzić, że twój ojciec żałuje, że zabrał się za twoją matkę.

– Nie żałuje! – Pierce skoczył na równe nogi. Błysk zadowolenia w oczach Mantona powiedział mu, że nie powinien dać się sprowokować. Manton zawsze atakował, gdy poczuł krew. Ale Pierce'owi było już wszystko jedno.

– Jest w połowie cudzoziemką. Dziadek Gilchrist zasiadał w Izbie Lordów!

– Był bez grosza – zadrwił Manton. – Nie wiem, co takiego twój ojciec widział w córce ubogiego barona, lecz przypuszczam, że obaj wiemy, co ona w nim widziała – fortunę i tytuł hrabiny. Uczepiła się go jak rzep psiego ogona.

– Ani słowa więcej o mojej matce! – Pierce popchnął go mocno. – Co ty możesz wiedzieć? Zamilcz, zamilcz, zamilcz…

Manton uderzył Pierce'a w ucho na tyle mocno, że ten umilkł.

Stał oszołomiony i próbował się pozbierać. Nim jednak rzucił się na Mantona, wtrącił się lokaj:

– Może powinniśmy już stąd iść, sir? – odezwał się niespokojnie. – Chyba nadchodzi dyrektor.

To wystarczyło, żeby Manton przestał. Pierce także. Stał, ciężko dysząc, żądny walki, niemniej jednak jeśli zadarłby z samym dyrektorem, ojciec by mu nie wybaczył.

– No proszę, upiekło ci się – wycedził Manton. – Dokończymy po powrocie.

– Nie mogę się doczekać! – wypalił Pierce, gdy lokaj przepuszczał Mantona przy wyjściu.

Zapewne po wakacjach tego pożałuje, ale na razie był rad, że postawił się Mantonowi. Jak ten podły bękart mógł opowiadać o matce takie niegodziwości i kłamstwa? Matka taka nie była.

W drzwiach ukazał się dyrektor w towarzystwie służącego.

– Paniczu Waverly, przybył po panicza krewny. Proszę za mną.

Bez dalszych wyjaśnień dyrektor wyszedł. Pozostawił jedynie służącego, który zabrał kufer Pierce'a, a następnie także wyszedł.

Oszołomiony Pierce zszedł za służącym po schodach. Krewny? Jaki znów krewny? Miał, co prawda, jakichś krewnych, niemniej jednak nigdy dotychczas ich nie widział.

Ojciec nie miał braci ani sióstr. Prawdę mówiąc, nie miał nawet rodziców, w ogóle nikogo, odkąd zmarła babka. Tylko stryja, generała kawalerii, lecz Isaac Waverly nadal służył w wojsku gdzieś za granicą.

Rodzice matki także od kilku lat nie żyli. Nie miała rodzeństwa. Pierce poznał jej dalszego kuzyna na pogrzebie dziadka Gilchrista, lecz pewnego razu w Montcliff – posiadłości rodzinnej, ojciec potraktował kuzyna tak nieżyczliwie, że ten szybko

zakończył wizytę. Krewny, który do niego przyjechał, nie mógł zatem być krewnym ze strony matki.

Pierce zgadywał, kto by to mógł być, aż w końcu zobaczył człowieka zbliżonego wiekiem do ojca. Ach, to musiał być syn stryjecznego dziadka Isaaca. Pierce jak przez mgłę przypomniał sobie, że poznał pana Tytusa Waverly'ego na pogrzebie babki.

– Gdzie jest mama? – zapytał. – Gdzie ojciec?

Pan Waverly uśmiechnął się do niego dobrotliwie.

– Wyjaśnię ci wszystko w powozie – odparł, po czym wyprowadził chłopca za drzwi. Służący już umieścił bagaż Pierce'a na górze, właśnie przywiązywał go sznurem.

Pierce poczuł ucisk w żołądku. Nie zapowiadało się dobrze. Dlaczego matka i ojciec wysłali krewnego, by go odebrał ze szkoły? Czyżby stało się coś strasznego?

Już w powozie, gdy ruszyli, pan Waverly spytał:

– Chciałbyś coś zjeść? Pani Waverly specjalnie dla ciebie przesłała pyszną mirabelkową tartę.

Pierce uwielbiał tartę mirabelkową, mimo to najpierw wolał się dowiedzieć, o co chodzi.

– Dlaczego to pan przyjechał, by mnie przywieźć do domu? Stało się coś?

– Nie, nic podobnego. – Pan Waverly uśmiechał się wymuszenie. – Tylko tyle, że nie jedziemy do Montcliff.

– To gdzie w takim razie? – W sercu Pierce'a z wolna narastał strach.

– Do Waverly Farm. – Krewny powiedział to pewnym, pogodnym tonem, którego dorośli używają, kiedy chcą przygotować dziecko na coś, co mu się na pewno nie spodoba. – Spędzisz wakacje u nas. Czy to nie wspaniałe? Będziesz bawił się doskonale, jeżdżąc na naszych koniach, to mogę ci obiecać.

– To znaczy, że cała moja rodzina będzie gościć w Waverly Farm, tak? – Lęk Pierce'a się wzmógł.

Krewny spojrzał łagodnie, jakby przyznawał się do winy.

– Obawiam się, że nie. Twój ojciec… uznał, że najlepiej ci będzie w wakacje u nas. Twoja matka się na to zgodziła, i ja także. – Pan Waverly patrzył na chłopca chłodno. – Z tego, co zrozumiałem, o wiele lepiej ci będzie w Waverly Farm niż w Montcliff.

– Tylko dlatego, że ojciec jest zimnym i pozbawionym serca samolubem – burknął pod nosem Pierce.

O Boże, nie powinien czegoś takiego wypowiadać na głos, a już na pewno nie przed krewnym ojca.

Przygotowywał się na kazanie, lecz pan Waverly zaśmiał się tylko.

– W rzeczy samej. Obawiam się, że to zazwyczaj idzie w parze z tytułem.

Ta bezpośrednia uwaga spotkała się z nieśmiałym uwielbieniem Pierce'a. Cenił sobie szczerość, jeśli była możliwa, szczególnie w kontaktach z dorosłymi. Rozparł się wygodnie na siedzeniu i uważnie przyglądał krewnemu, którego prawie nie znał.

Tytus Waverly nie wyglądał ani trochę jak ojciec; ten był ciemnowłosy, miał ostre rysy twarzy i arystokratyczne maniery. Pan Waverly miał jasne włosy, krągłą twarz, był muskularny, tryskający zdrowiem i ogorzały od słońca. Pierce przypomniał sobie, że krewny miał wielką stadninę koni wyścigowych.

Większość chłopców uradowałaby perspektywa spędzenia wakacji w takim miejscu, tymczasem Pierce z powodu astmy wcale się do tego nie palił. A jeśli Manton miał słuszność i Pierce rzeczywiście był mięczakiem?

– Czy zostanę z państwem Waverly całe wakacje? – upewnił się.

Mężczyzna przytaknął ruchem głowy.

– Mam syna. Roger ma pięć lat. Będziecie mogli się bawić.

Pierce z trudem powstrzymał się przed pogardliwym prychnięciem. Pięcioletni chłopiec to prawie niemowlę.

– Czy mama i ojciec nie przyjadą z wizytą? – Chciał to wyjaśnić do końca.

– Nie, chłopcze, obawiam się, że nie.

Z trudem przełknął. Próbował znieść to mężnie, nie spodziewał się jednak, że nie zobaczy rodziców. Nie miało to sensu. Chyba że…

– Czy z powodu czegoś, co zrobiłem, kiedy byłem w domu?

– Ależ oczywiście, że nie! Twój ojciec po prostu uważa, że teraz najlepiej zrobi ci pobyt na naszej farmie.

– Czyli chce, żebym stał się taki jak koledzy w szkole – stwierdził ponuro. – Dobry w jeździe konnej, strzelaniu i podobnych rzeczach. – Obrzucił krewnego niepewnym spojrzeniem. – Spodziewa się, że zrobi pan coś, żebym zmężniał?

Krewny zamrugał, po czym się roześmiał.

– Twoja matka wspominała, że jesteś bardzo bezpośredni.

O tak, i to był prawdopodobnie powód wypędzenia go z Montcliff. Mogłoby to stać się przyczyną wypędzenia go także z Waverly Farm i wówczas krewny będzie zmuszony odesłać go do domu.

– Nie cierpię koni, tak jak i dzieci. Nie chcę jechać do Waverly Farm.

– Rozumiem. – Pan Waverly powiedział to łagodniej. – Nie mogę już niczego zmienić, obawiam się więc, że możemy tylko sprawić, by twój pobyt u nas był przyjemny na tyle, na ile się da. Powiedz mi, co lubisz. Łowić ryby? Grać w karty?

Pierce skrzyżował ramiona na piersiach.

– Lubię być w domu.

Pan Waverly oparł się wygodniej i popatrzył uważnie na chłopca.

– Przykro mi, ale teraz nie możesz.

Pierce walczył z trudnym do opanowania drżeniem podbródka.

– To dlatego, że ojciec mnie nienawidzi.

– Och, chłopcze, nic podobnego – z wyrazem fałszywego żalu na twarzy zapewnił go krewny.

– Może mi pan powiedzieć prawdę, wiem, że tak. – Łzy podeszły Pierce'owi do gardła. – A co z matką? Też nie chce mnie już oglądać?

W oczach pana Waverly'ego zamigotał smutek, nim pojawił się w nich wymuszony uśmiech.

– Pewien jestem, że chce. Bardzo. Tylko ojciec nie może się obecnie bez niej obejść.

– Nie może się bez niej obejść niezależnie od okoliczności. – Pierce wbił w okno niewidzące spojrzenie, po czym dodał tęsknym tonem: – Czasami chciałbym, żeby mama zamieszkała ze mną w jakimś innym domu taty. – Rozpogodził się, po czym spojrzał znów na krewnego. – Na przykład w Londynie! Mógłby ją pan zapytać…

– To się nie zdarzy, chłopcze, pozbądź się zatem tej myśli od razu. – Pan Waverly był bardzo stanowczy. – Jej miejsce jest przy ojcu.

– Bardziej przy ojcu niż przy synu?

Niemiłe słowa Mantona powróciły natrętną myślą: *Lecz przypuszczam, że obaj wiemy, co ona w nim widziała – fortunę i tytuł hrabiny. Uczepiła się go jak rzep psiego ogona.*

To nie była prawda. A może?

Krewny powinien to wiedzieć. Powinien wiedzieć, jak się sprawy mają z matką

i ojcem. Wyglądał bardzo przyjaźnie. Jak ktoś, komu można wierzyć.

– Czy… matka wyszła za ojca dla pieniędzy?

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? – spytał ostro.

– Kolega w szkole. – Kiedy krewny ciężko westchnął, Pierce z trudem przełknął. – To prawda, tak?

Pan Waverly przesiadł się na siedzenie obok Pierce'a i poklepał chłopca po ramieniu.

– Czy tak było, czy nie, nie ma to nic wspólnego z tym, co matka czuje do ciebie. Dała mi ten list.

Kiedy krewny wyjął list z kieszeni i wręczył chłopcu, ciężar na piersi Pierce'a trochę zelżał. Pierce niecierpliwie złamał pieczęć i otworzył list, by przeczytać:

Mój najdroższy Synku,

Ojciec i ja uważamy, że pobyt w Waverly Farm będzie dla Ciebie wielką przygodą. Na pewno się z niej ucieszysz, prawda? Tęsknię za Tobą, pewna jestem jednak, że nauczysz się tam wielu fantastycznych rzeczy. Nie zapomnij o listach i pisz, jak dobrze się tam bawisz!

Bądź dobry dla krewnych i noś głowę wysoko. Wiem, że będziemy z Ciebie dumni.

Pamiętaj zawsze, że kocham Cię bardzo, bardzo mocno.

Moc całusów,
mama

Ogarnęła go ulga. Matka go kochała. Kochała.

Przeczytał list ponownie, tym razem uważniej, i posmutniał. Listem matka jakby na siłę chciała go pocieszyć, tak jak pan Waverly.

No i była w nim linijka: *Wiem, że będziemy z Ciebie dumni*.

Westchnął. Kochała go, a mimo to pozwoliła, żeby ojciec go odesłał. Dlaczego? *Nauczysz się tam wielu fantastycznych rzeczy*. Podobnie jak ojciec, chciała, żeby zmężniał.

Łzy napłynęły mu do oczu, ale wziął się w garść. Doskonale. Żadnego płaczu. Żadnego zachowywania się jak maminsynek albo mięczak. Stanie się duży i silny, nauczy się jazdy konnej i walki, tak jak inni chłopcy.

Najwyraźniej ani ojciec, ani matka w innym wypadku nie pozwolą mu wrócić do domu.

Rozdział I

Grudzień 1826 roku

Trzydziestojednoletni Pierce Waverly, hrabia Devonmont, siedział przy biurku w gabinecie londyńskiego domu i przeglądał pocztę. Czekał na przyjazd obecnej kochanki. Nagle na górze korespondencji znalazł się list adresowany znajomym pismem. Równie znajomy ból przeszył mu pierś, Pierce przypomniał sobie o innych listach przed laty.

Jakimż był naiwnym głupcem. Chociaż rósł duży i silny, chociaż stawał się takim synem, jakiego ojciec zawsze pragnął mieć, nigdy więcej nie wpuszczono go do domu. Każde święta – Boże Narodzenie, Wielkanoc, i wakacje spędzał w Waverly Farm.

Po śmierci Tytusa Waverly'ego i jego żony w tragicznym wypadku na morzu, kiedy Pierce miał lat trzynaście, z wojny powrócił generał Isaac Waverly, żeby zająć się gospodarstwem i osieroconymi dziećmi Tytusa.

Pomimo że Pierce przez pięć lat nie otrzymał od rodziców ani jednego listu, był pewien, że zostanie odesłany do domu. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Jakakolwiek była umowa Tytusa z jego rodzicami, dotyczyła wyraźnie także stryjecznego dziadka Pierce'a, generał bowiem przyjął rolę zastępczego rodzica i pozwolił mu mówić do siebie „wuju".

Pomimo to dopiero w wieku lat osiemnastu, kiedy żadne z rodziców nie pojawiło się na uroczystości zakończenia szkoły w Harrow, Pierce zrozumiał, jaka jest prawda.

Nie tylko ojciec go nienawidził, matka też go nie chciała. Zapewne ledwo znosiła jego obecność, póki nie dorósł na tyle, by spakować się i ruszyć do szkoły oraz krewnych. Potem się go pozbyła. Była zbyt zajęta cieszeniem się fortuną i wpływami ojca, by zawracać sobie głowę własnym synem.

Ból przerodził się we wściekłość do czasu, kiedy Pierce osiągnął dojrzałość i w wieku dwudziestu jeden lat udał się do domu, by stawić czoła obojgu rodzicom.

Nie, nie mógł znieść pamięci o tamtej porażce. Upokorzenie z powodu odrzucenia nadal bolało. Z czasem wspomnienia wyblakły, aż w końcu osiągnął względny spokój.

To znaczy osiągnąłby, gdyby pozwoliła mu na to matka. Wlepił wzrok w list i zacisnął pięści. Nie pozwoliła. Zatruła mu dzieciństwo, a teraz, kiedy ojciec umarł i wszystko po nim odziedziczył Pierce, wymyśliła sobie, że zniszczy mu życie.

Próbowała nieustannie od dwóch lat, czyli od pogrzebu ojca. Kiedy wspomniała, by Pierce wrócił do domu, spytał, czemu trzeba było aż śmierci ojca, by na to pozwoliła. Spodziewał się litanii fałszywych wymówek, a tymczasem napisała tylko, że przeszłość należy do przeszłości. Chciała rozpocząć od nowa.

Żachnął się. To oczywiste, że tego chciała, tylko tak mogła zagarnąć więcej ojcowskich pieniędzy.

Do diabła z nią! Może i wbiła sobie do głowy, że chce jeszcze raz odegrać rolę matki, ale on nie chciał już odgrywać roli jej syna. Lata tęsknoty za matką, której nigdy nie było, dla której jako dziecko był gotów walczyć ze smokami, zamieniły mu serce w bryłę lodu. Śmierć ojca nie zdołała jej stopić.

Poza chwilami, kiedy przychodził list od matki…

Przełknął gorzkie przekleństwo i rzucił korespondencję sekretarzowi, panu Boydowi. Jedyna rzecz, jakiej się nauczył z ostatniego listu, który przeczytał, to to, że słowa nie znaczą absolutnie nic. Znaczą mniej niż nic. A już szczególnie słowo „miłość" jest pustym dźwiękiem.

– Odłóż do pozostałych – polecił Boydowi.

– Oczywiście, milordzie. – W głosie mężczyzny nie zabrzmiała nuta potępienia czy choćby wzruszenia.

Boyd był doskonałym sekretarzem, który znał się na rzeczy.

Mimo to Pierce poczuł takie samo ukłucie wyrzutów sumienia jak zwykle.

A niech to wszyscy diabli! Postąpił z matką godziwie, inaczej niż ona z nim. Miał kontrolę nad spadkiem po ojcu. Mógł pozbawić ją wszystkiego, gdyby tylko zechciał – a pewnie kto inny na jego miejscu by zechciał – tymczasem wysłał ją do starego dworu w majątku ziemskim, zapewnił gromadę służby i dość pieniędzy na drobne wydatki, by wiodła wygodne życie. Nie starczało to na ekstrawagancje – aż tyle nie był w stanie jej oferować – lecz z pewnością nie mogła go obwinić o zaniedbanie.

Wynajął jej nawet damę do towarzystwa, która idealnie nadawała się na tę posadę. Wprawdzie nie sprawdził tego osobiście, nigdy bowiem nie widział pani Camilli Stuart przy pracy, ani też w towarzystwie matki. Matki przecież też nie widział. Jasno wyłożył jej zasady. Mogła swobodnie poruszać się po Montcliff, jego majątku ziemskim w Herfordshire, tylko wtedy, kiedy jego tam nie było. Kiedy przyjeżdżał w interesach, musiała pozostawać w domu i trzymać się od syna z daleka. Dotychczas przestrzegała ustaleń.

Mimo to wciąż przychodziły listy, po jednym co tydzień, nieprzerwanie od dnia śmierci ojca. Dwa lata listów upchniętych w pudełku, z którego się już wysypywały. Żaden nie został otwarty. Miałby czytać jej listy, skoro nie odpowiedziała mu na ani jeden pisany przez niego w dzieciństwie?

Skoro stał na straży jej finansów, listy niewątpliwie zawierały żarliwe błagania o więcej pieniędzy. Nie nabierze się, o nie!

– Milordzie, przybyła pani Swanton – zaanonsował lokaj od drzwi.

– Możesz wprowadzić. – Słowa służącego wyrwały go z zamętu męczących myśli.

Boyd wsunął list do szuflady biurka Pierce'a, po czym wyszedł. Po drodze minął się z panią Swanton. Drzwi zamknęły się za nim. Hrabia został sam na sam z aktualną kochanką.

Jasnowłosa i niebieskooka Eugenia Swanton miała delikatną urodę szlachetnej damy i pyszne ciało rozpustnicy. To połączenie sprawiało, że była jedną z najbardziej obleganych kurtyzan w Londynie, chociaż
zaczynała skromnie jako gąska z kiepskimi manierami na rynku Spitalfields.

Kiedy przed trzema laty ją zdobył, był to nie lada wyczyn. O jej względy zabiegali nawet książęta i członkowie królewskiego rodu. W ciągu ostatnich miesięcy ten sukces przybladł nieco. Nawet Eugenia nie potrafiła ukoić niespokojnej duszy Pierce'a.

Przesuwała po nim wprawnym wzrokiem, odnotowując z uznaniem jego szykowny domowy strój. Nagrodziła kochanka uśmiechem. Powoli i zmysłowo zdjęła rękawiczki, dając tym sygnał, że chętna jest uczynić wszystko, czego Pierce sobie zażyczy. Jeszcze rok temu taki gest wystarczył, by położył ją na biurku i posiadł w najbardziej wyuzdany sposób.

Dziś Pierce siedział obojętny.

– Wezwałeś mnie, milordzie? – odezwała się aksamitnym eleganckim głosem. Poruszał go, to za jego sprawą interesował się nią dłużej niż wcześniejszymi kochankami. Miała kilka bardzo pociągających cech, w tym bystry dowcip.

I jeszcze…

Szykował się na nieuniknioną scenę, wstał zza biurka i zbliżył, by pocałować ją w lekko uróżowany policzek.

– Usiądź, Eugenio – poprosił cicho i wskazał jej fotel.

Zastygła bez ruchu, po czym uniosła starannie wyregulowane brwi.

– Nie ma potrzeby. Przyjmę odprawę na stojąco.

Zaklął pod nosem.

– Skąd wiedziałaś?

– Nie jestem głupia – powiedziała, przeciągając głoski. – Nie doszłabym tu, gdzie teraz jestem, gdybym nie potrafiła dostrzec, że mężczyzna traci mną zainteresowanie.

Wyraz jej twarzy wskazywał na rozczarowanie, nie było w nim natomiast zapowiedzi kłopotów, co go zdumiało. Przywykł do uspokajania porzucanych kochanek w histerii.

Jego szacunek do Eugenii wzrósł niepomiernie.

– Doskonale. – Wziął z biurka dokument i wręczył jej.

Przestudiowała go jak kobieta interesu, a przy lekturze ostatniej strony szeroko otworzyła oczy.

– Wielce szlachetnie, milordzie.

– Dobrze mi służyłaś – powiedział i wzruszył ramionami. – Czemu miałbym nie być hojny?

– Istotnie. – Wsunęła papier do torebki. – Zatem dziękuję.

Uradowany, że tak dobrze zniosła odprawę, otworzył przed nią drzwi.

– To dla mnie wielka przyjemność robić z tobą interesy, Eugenio.

Na te słowa się zatrzymała. Popatrzyła na niego gorejącym wzrokiem, który sprawił, że poczuł się niezręcznie.

– Oto cały kłopot z tobą, milordzie. Nasz związek zawsze nosił znamiona kontraktu. Bardzo intymnego, muszę ci to przyznać, ale jednak kontraktu. Tymczasem żadna umowa na świecie nie rozpali ciała w chłodną zimową noc.

– Przeciwnie – wtrącił z lekkim uśmiechem. – Wierzę, że rozpalanie twego ciała udawało mi się nader skutecznie.

– Mówię o tobie, nie o sobie. – Zbliżyła się do niego wystudiowanym krokiem kurtyzany. – Polubiłam cię, milordzie, pozwól zatem, że dam ci radę. Myślisz, że twoje pożądanie wygasło, bo się mną znudziłeś. Podejrzewam, że następna osoba wezwana do ogrzania ci łoża także nie będzie w stanie cię rozpalić… dopóki nie da ci czegoś więcej niż wzajemna umowa.

Najeżył się.

– Proponujesz, żebym się ożenił?

Eugenia włożyła rękawiczki.

– Proponuję, byś otworzył przed kimś serce. W łożu mężczyzny jest zdecydowanie goręcej, jeśli kochanków łączy nie tylko pożądanie.

Powstrzymał się od przekleństwa. Nie poszło tak łatwo.

– Nie przypuszczałem, że jesteś romantyczką.

– Ja? Skądże znowu. – Poklepała torebkę. – Taki romantyzm w zupełności wystarczy. I właśnie dlatego daję ci radę. Kiedy się poznaliśmy, uznałam, że należymy do osób, dla których liczy się tylko przyjemność, nie potrzebujemy uczuć. – Głos jej złagodniał. –

Myliłam się jednak co do ciebie. Nie jesteś ani trochę taki. Tylko jeszcze tego nie wiesz.

Uśmiechnęła się i wyszła, szeleszcząc spódnicą.

Patrzył za nią z goryczą. Smutne, ale już zrozumiał. Mimo to wolał, by znająca życie kobieta sama rozpoznała oszustwo.

Matrony wpadały w panikę, kiedy rozmawiał z ich niewinnymi córkami, plotki o jego wyczynach regularnie pojawiały się w prasie, a kuzynostwo Waverlych dla zabawy przechowywało te wycinki na jego temat. Na pozór pozbawione celu poszukiwanie uciech nie było pogonią za przyjemnością. Było użyciem jedynej broni, jaką posiadał – zszargania reputacji nazwiska – aby okryć wstydem rodzinę, która go porzuciła.

Opuścił gabinet i poszedł do salonu, gdzie stał fortepian – jego zemsta na ojcu. Usiadł i zaczął grać posępny utwór Bacha, jeden z tych wydobywających mroczne uczucia, którym nie pozwalał wydostać się na światło dzienne. W towarzystwie znany był jako niestrudzony poszukiwacz rozrywek i buntownik.

Był taki aż do śmierci ojca. Od tamtej pory jego salonowe wyczyny utraciły sens. Nie było pojednania przy łożu śmierci. Nikt nie utrudniał objęcia przez niego należnego mu spadku. Nie było także wyjaśnienia, czemu został porzucony. Nie miało to sensu.

Już samo to, że pragnął sensu, złościło go. Miał dość prób zrozumienia tego. Liczyło się tylko to, że na końcu i tak zatriumfował. Odziedziczył posiadłość ziemską na tyle młodo, by zaprowadzić w niej swoje porządki. To wprost wymarzone dla niego zajęcie.

Naturalnie teraz, kiedy zyskał tytuł hrabiego, świat oczekiwał, że się ożeni. Jakże jednak mógł? Żonaty mężczyzna musi do końca życia znosić humory małżonki i dzieci. Wychował się w niezgodzie między rodzicami i nie zamierzał zamieniać jednego więzienia na drugie.

Wstał od fortepianu i wyszedł z salonu. Po drodze przykuł jego uwagę widok Boyda zmierzającego ku niemu z poważnym wyrazem twarzy.

– Milordzie, przyszedł do pana ekspres z Montcliff.

Zamarł. Zarządca, Miles Fowler, nie wysyłał ekspresów, musiało więc to być coś pilnego.

Ku jego zdumieniu list, który wręczył mu Boyd, nie przyszedł od Fowlera, lecz od matczynej damy do towarzystwa. Pani Stuart nie napisała ani razu od sześciu miesięcy, od kiedy pracowała u niego. To, że wysłała pilny list, przeraziło go.

Z bijącym sercem rozerwał kopertę i przeczytał:

Wasza Hrabiowska Mość,

wybaczy mi Pan, milordzie, moją zuchwałość, czuję się wszakże w obowiązku zawiadomić, iż Pańska matka jest bardzo chora. Jeśli życzy sobie Pan ujrzeć ją, zanim będzie za późno, powinien Pan przybyć niezwłocznie.

Z wyrazami szacunku

Camilla Stuart

Zwięzła wiadomość zmroziła go. Na podstawie referencji i listów polecających pani Stuart, nie wspominając o płomiennych pochwałach, jakich nie szczędził jej Fowler, Pierce miał określone wyobrażenie wdowy. Była praktyczną i prostolinijną kobietą, z tych, które gotowe raczej pogryźć szklankę i połknąć szkło, niż przyznać się, że czemuś nie sprostają.

Nie była skłonna do dramatyzowania, bez dwóch zdań. Jeśli napisała, że matka jest bardzo chora, oznaczało to, że jest bliska śmierci. Bez względu na to, co zaszło między

nimi, takiego ostatecznego wezwania nie mógł nie posłuchać.

– Boyd, każ spakować moje walizki i odpraw je do Montcliff. Wyruszam natychmiast.

– Wszystko w porządku, milordzie? – spytał sekretarz.

– Nie sądzę. Prawdopodobnie matka poważnie zachorowała. Dam ci znać, kiedy ocenię sytuację.

– Co napisać pańskiemu wujowi?

A niech to jasna cholera. Rodzina Waverlych spodziewała się za parę dni jego przybycia. Nadal prawie każde święta i letnie miesiące spędzał u nich. – Napisz wujowi Isaacowi, że dołożę starań, by przyjechać na Boże Narodzenie, lecz niczego nie mogę teraz jeszcze obiecać.

– Oczywiście, milordzie.

Jeśli chodziło o Pierce'a, wuj Isaac i kuzynka Virginia byli jego prawdziwą rodziną, a matka zaledwie kobietą, która wydała go na świat.

Powinien zostawić ją samą na pastwę śmierci, tak jak ona zostawiła go samego na pastwę życia. Był jej wszak coś winny za opiekę we wczesnych dziecięcych latach, póki nie stał się na tyle duży, by przejść pod kuratelę krewnych. Zawdzięczał jej swoje narodziny. A zatem wywiąże się z obowiązku wobec niej.

I nic ponadto. Już dawno wyrzekła się prawa do jego miłości.

Rozdział II

W przytulnym saloniku starego dworu w Montcliff Camilla cerowała pelerynkę, nie spuszczając z oka swojego sześcioletniego syna, Jaspera. Z szeroko otwartymi błękitnymi oczami siedział na kolanach lady Devonmont i czekał na bajkę.

– Co przeczytamy? – spytała pani. – *Kopciuszka*?

– To niemądra bajka – powiedział Jasper. – Książęta nie żenią się ze służącymi.

Camilla powstrzymała uśmiech i poprawiła okulary. Lady Devonmont miała zamiłowanie do niemieckich bajek, ponieważ jej matka nieboszczka była Niemką. Tymczasem Jasper nie podzielał jej gustu. Nie lubił także dziewcząt w bajkach, podobnie jak większość chłopców w jego wieku. Nie było w tym nic dziwnego.

– A dlaczego książę nie może poślubić sługi? – zapytała jaśnie pani.

– Bo musi ożenić się z księżniczką. Takie są zasady, wszyscy to wiedzą. Nie widziałem, żeby służąca wyszła za mąż za księcia.

Jaśnie pani spojrzała ponuro.

– Najwyraźniej spędza za dużo czasu ze służbą.

– Lepiej mu ze służbą niż u stryja – odparła cicho Camilla.

Po niespodziewanej śmierci męża, który zostawił ją z dzieckiem i bez środków do życia, Camilla musiała podjąć pracę. Większość chlebodawców nie chciała mieć pod dachem dzieci, które zaprzątałyby uwagę matek. Zanim przyjechała do pracy u hrabiny, musiała zostawiać syna u szwagra, surowego Szkota z odpychającą żoną i trojgiem dzieci.

Kiedy lady Devonmont dowiedziała się od służby o Jasperze, nalegała, by przywieziono chłopca do matki. Już ze względu na okazaną dobroć Camilla ubóstwiała hrabinę.

Naturalnie ani hrabia, ani też zarządca nie wiedzieli o Jasperze. I lepiej, by się nie dowiedzieli. Pan Fowler, który ją zatrudnił, był nieugięty: uważał, że damie do towarzystwa nie wolno być skrępowaną dziećmi – twierdził, że tego wymaga sam hrabia. Dlatego zgodziły się obie co do tego, że obecność Jaspera musi zostać utrzymana w tajemnicy.

– Proszę przeczytać wiersz o Bożym Narodzeniu – poprosił Jasper. – Bardzo go lubię.

Kuzyn z Ameryki przysłał hrabinie wycinek z prasy z wierszem, który stał się właśnie bardzo popularny w Ameryce, zatytułowanym *Wizyta Świętego Mikołaja*[1]. Po trzykrotnej lekturze Camilla uważała, że jest uroczy, jego magia jednak bladła po przeczytaniu go po raz piętnasty.

Lady Devonmont się roześmiała.

– Nie znudził ci się jeszcze?

– Podobają mi się renifery. Czy na jarmarku w Stocking Pelham za tydzień będą renifery? Chciałbym jednego zobaczyć. – Popatrzył z ukosa na hrabinę. – Mama powiedziała, że tam nie pojedziemy, ale bardzo bym chciał.

Camilla zesztywniała.

– Jasperze, nie wolno…

– A pewnie, że pojedziemy – wtrąciła lady Devonmont. – Nawet musimy. Urządzam

tam stoisko.

– Jaśnie pani wybaczy – zaoponowała Camilla. – Nie możemy przecież ryzykować, że pan Fowler zobaczy z nami w miasteczku Jaspera.

– Och, o tym nie pomyślałam – westchnęła hrabina. – Przypuszczam, że byłoby to nierozsądne. – W jej głosie pojawił się żal. – Szkoda. Zabierałam na ten jarmark syna, kiedy był odrobinę starszy od Jaspera.

– A teraz jest szlachetnym hrabią – dodał Jasper.

– Tak, szlachetnym hrabią – powtórzyła lady Devonmont

Camilla omal nie ukłuła się igłą w palec. Nie chciała dać po sobie poznać, co o tym myśli. Szlachetni hrabiowie nie porzucają matek.

Tak czy siak, nie powinna wysyłać jego lordowskiej mości tak wprowadzającego w błąd listu. Musiała jednak coś zrobić. Jak ten nędznik mógł nie wybrać się do matki na Boże Narodzenie? To nie do wyobrażenia.

Poza tym niewątpliwie zignoruje wezwanie. Pan Fowler mógł wychwalać hrabiego za to, jak prowadzi posiadłość, lecz to prawdopodobnie jedyna zaleta jego hrabiowskiej mości. I cóż to właściwie za cnota? Kto zaniedbuje własny majątek, jest zwyczajnym głupcem. Widocznie hrabia nie był aż tak głupi. Za to, jeśli wierzyć londyńskim plotkom, był zapatrzonym w siebie uwodzicielem, który większość czasu spędzał na pogoni za rozrywkami. Jeśli nie przyjedzie, udowodni tym coś, co już o nim wiedziała – że może i ma rozum, ale z pewnością nie ma serca.

Wtedy Camilla przyzna się jaśnie pani, co uczyniła, i jaśnie pani zrozumie, że syn nie jest wart jej codziennych rozmyślań o nim.

Rzecz jasna, jeżeli się pojawi…

Przełknęła z trudem. Przebrnie przez to, skoro już zaczęła.

– Nie sądzę, byś na jarmarku zobaczył renifera. – Lady Devonmont pogłaskała Jaspera po niesfornych rudobrązowych lokach. – Będzie za to mnóstwo nudnego bydła i konie.

– A Święty Mikołaj? Czy on tam będzie?

– Wątpię. – Camilla się roześmiała.

– A czy w ogóle wiesz, kim jest Święty Mikołaj? – spytała jaśnie pani.

– To wypisz wymaluj elf stary. – Jasper ześlizgnął się z jej kolan, zniecierpliwiony pieszczotami. – Brzuch mu się trzęsie jak galaretka. I Mikołaj wchodzi przez komin. Uda mu się dostać przez nasz?

– Może tak – odpowiedziała hrabina. – Moja kuzynka powiada, że Amerykanie wierzą, iż Święty Mikołaj przynosi na Boże Narodzenie prezenty dla dzieci.

Jasper popatrzył na nią szeroko otwartymi, pełnymi zachwytu oczami. – Mnie też przyniesie prezent?

– Z pewnością przyniesie – powiedziała jaśnie pani i mrugnęła porozumiewawczo do Camilli nad jego głową. – Czemu miałby przynosić prezenty tylko amerykańskim chłopcom?

Camilla uśmiechnęła się z przymusem. Hrabina psuła Jaspera wręcz bezwstydnie i utwierdzała go w dziecięcych wyobrażeniach. W gruncie rzeczy Camilla nie miała jej tego za złe. Chciała zapewnić synowi lepsze dzieciństwo niż jej własne. W sierocińcu św. Józefa nie było prezentów, nikt nie opowiadał też bajek i historyjek o Świętym Mikołaju, żeby można było pomarzyć. Nic prócz lektury Biblii i umoralniających historyjek o dzieciach, które wpadały w tarapaty przez nieposłuszeństwo. Może właśnie dlatego jako dorosła rozwinęła w sobie taką skłonność do nieposłuszeństwa.

Niespodziewanie na dole rozległy się hałaśliwe okrzyki i tupot śpieszących się lokajów

i pokojówek.

– Dobry Boże, cóż takiego się stało? – zawołała hrabina.

Do pokoju w popłochu wpadła pani Beasley, ochmistrzyni.

– Za przeproszeniem jaśnie pani, jego hrabiowska mość wysłał posłańca z wiadomością, że przybędzie tu za chwilę.

Hrabina Devonmont zamarła. – Nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami. Zapewne zatrzyma się w pałacu, jak zwykle.

– Nie, jaśnie pani – tutaj! Jedzie tutaj, do starego dworu. Kazał przygotować dla siebie czerwony pokój.

– Na litość boską! – Hrabina skoczyła na równe nogi. – A ja nie jestem ubrana! Wyglądam jak kocmołuch! – Obrzuciła Camillę wzrokiem pełnym radości, który przebił jej serce. – Syn przyjeżdża do mnie z wizytą, moi mili! – Pobiegła do drzwi prowadzących do sypialni. – Muszę choć zmienić suknię. I poprawić uczesanie. – Wybiegła do pokoju, wzywając pokojówkę.

Pani Beasley podążyła do drzwi wejściowych, lecz Camilla ją zatrzymała.

– Proszę pani, czy zechciałaby pani zabrać Jaspera na górę do Maisie?

Ochmistrzyni zamrugała.

– Tak, oczywiście. Zupełnie zapomniałam o chłopcu. – Machnęła ręką zniecierpliwiona. – Chodź, chłopcze. Musisz iść teraz do Maisie, słyszałeś?

Hrabina Devonmont najęła służącą do opieki nad Jasperem, kiedy nie mogła jej sprawować osobiście Camilla. Maisie, mniej więcej siedemnastoletnia śliczna Szkotka, była też pokojówką Camilli.

Jasper bardzo lubił dziewczynę, ale w tej chwili był bardziej poruszony przyjazdem pana.

– Ale ja chcę poznać wielkiego hrabiego! – zaprotestował.

Camilla uklękła i złapała go za ręce. Miała świadomość, że pani Beasley, zniecierpliwiona, czeka, by zająć się obowiązkami.

– Posłuchaj, mufinku, pamiętasz, co ci powiedziałam o hrabim? Jest zbyt ważną personą, aby plątali mu się pod nogami mali chłopcy.

Jasper przełknął z trudem, lecz dodał:

– Ale ja chcę...

– Nie wolno. Jeśli chcesz tu być dalej ze mną i z jaśnie panią i nie chcesz, żebyśmy cię odesłały do stryja, musisz robić, co każę. Idź z panią Beasley. Zobaczymy się wieczorem, kiedy przyjdę cię przytulić na dobranoc, dobrze?

Chociaż spuścił oczy, wysunął po męsku podbródek i mruknął:

– Dobrze, mamo. – Potem pozwolił się wyprowadzić z pokoju pani Beasley.

Dopiero gdy Camilla usłyszała, że jego kroki ucichły na schodach, odetchnęła z ulgą. Nie byłoby dobrze, gdyby jego hrabiowska mość odkrył równocześnie jej oszustwo na temat matki i obecność Jaspera.

Przybył bardzo szybko. Nie odpowiadał na listy, Camilla przypuszczała więc, że przeczytanie pilnej wiadomości też zajmie mu trochę czasu. A jeśli przeczyta, może nawet się nim nie przejąć.

Wyraźnie było to złe założenie.

Co miała uczynić, kiedy w wieczór pięćdziesiątych urodzin hrabiny zastała ją zalewającą się łzami? Lady Devonmont cały dzień skrzętnie ukrywała, jak odbiera nieobecność syna, acz przychodziło jej to z widocznym trudem.

Kiedy Camilla próbowała ją pocieszyć i powiedziała, że syn z pewnością przyjedzie na

Boże Narodzenie, hrabina wykluczyła taką możliwość. Wyznała, że hrabia nie przyjeżdża na święta już od wielu lat. Szepnęła też, że tylko siebie może za to winić, lecz Camilla już nie dosłyszała.

Nie widzieć się z własną matką na święta? Jak mógł? Nie wychowała się w rodzinie, ale wiedziała, jak to powinno wyglądać. Rodzice kochali dzieci i opiekowali się nimi, a one czyniły to samo, nawet już jako dorosłe. Kto mógł bezmyślnie podeptać matczyną miłość?

Zapewne człowiek, któremu należało przypomnieć, co jest winien kobiecie, która go wychowała. Dlatego prędko napisała list, nie myślała o konsekwencjach.

Dopiero teraz je rozważała. Za takie kłamstwo mógł ją zwolnić. Chociaż właściwie nie było to do końca kłamstwo – jego matka naprawdę czuła się kiepsko, a Camilla miała pewność, że to właśnie z powodu jego nieobecności. Wyglądało na to…

– Kim, do diabła, pani jest?

Zaskoczona Camilla odwróciła się i ujrzała wytwornie ubranego dżentelmena stojącego w drzwiach saloniku. Jego hrabiowska mość. Tylko niebiosa mogą ją teraz ocalić.

Dygnęła w niskim ukłonie.

– Camilla Stuart, milordzie. Przypuszczam, że pan…

– Tak, tak, rzecz jasna – przerwał zniecierpliwiony. – Jestem pani chlebodawcą. – Otaksował ją spojrzeniem spod przymrużonych powiek i wszedł. – A pani nie jest taka, jak się spodziewałem.

On też nie był taki. Jego matka opowiadała o astmatycznym, delikatnym dziecku wątłego zdrowia. Camilla wyobrażała sobie więc hrabiego jako subtelnego eleganta w ekstrawaganckim ubraniu, z kogucią fryzurą i o zniewieściałych manierach, z uperfumowaną chusteczką wiecznie przyciśniętą do nosa.

Ubrany był elegancko, lecz do zniewieściałego eleganta było mu daleko. Hrabia Devonmont to nad wyraz przystojny mężczyzna. Widziała raz portret jego ojca w pałacu Montcliff. Byli bardzo podobni. Obaj szczupli i wysocy, o oczach koloru mahoniu i włosach o jeden ton ciemniejszych. Obaj prezentowali się równie dorodnie.

Młodszy hrabia był ubrany mniej oficjalnie, ale ubranie leżało na nim doskonale. Wytwornie skrojony surdut z brązowego kaszmiru opinał jego szerokie ramiona, a spodnie i kamizelka świetnie podkreślały sylwetkę. Śnieżnobiały fular uwydatniał silny zarys szczęki, a brwi marszczyły się lekko, choć dostatecznie, by wystraszyć dziecko. Nie wspominając o płatnej damie do towarzystwa, która znacznie przekroczyła swój zakres obowiązków.

– Jak czuje się matka? – spytał ochryple. Rękami, które zdawały się lekko drżeć, zdjął rękawiczki i rzucił je na sekretarzyk.

Czy potrafiła zrozumieć jego zmartwienie? Miała nadzieję. Skoro był tak zmartwiony, na jakiego wyglądał, to oznaczało, że posunęła się za daleko, wysyłając list. Chociaż mogło to też oznaczać, że zależało mu na matce bardziej, niż sądziła.

– Cóż, milordzie – zaczęła, nerwowo poprawiając okulary. – Powinnam wyjaśnić…

– Pierce! – krzyknęła od drzwi sypialni hrabina Devonmont. – Cudownie cię widzieć, synu!

Stanął jak wryty, jakby zawołał do niego trup powstały z grobu. W jego spojrzeniu dało się dostrzec ulgę, choć szybko zastąpił ją gniew, kiedy zrozumiał, że został oszukany.

Obrzucił Camillę surowym spojrzeniem, pod którym zadrżała, po czym stanął przed matką z obojętnym wyrazem twarzy.

– Wygląda mama doskonale – stwierdził uprzejmie, lecz nie uczynił ruchu, by się do niej zbliżyć.

– Ty także. – Uśmiech hrabiny zgasł.

– Powiedziano mi… – Głos mu się załamał, zanim odzyskał nad nim władzę. – Byłem przeświadczony, że mama poważnie zachorowała.

Hrabina zbladła.

– Rzeczywiście czułam się słaba, ale to nic poważnego. Pisałam o tym w ostatnim liście.

Na wzmiankę o listach zacisnął zęby.

– A zatem nie była mama bliska śmierci, jak dano mi do zrozumienia.

Hrabina Devonmont uniosła głowę.

– Widzisz przecież, że nie jestem. Nie wiem, kto mógł aż tak rozminąć się z prawdą.

Camilla zamarła w oczekiwaniu na wyrok skazujący, który niechybnie musiał teraz nastąpić.

Hrabia omiótł ją nieuważnym spojrzeniem.

– To nie ma znaczenia. Jestem pewien, że zaszło nieporozumienie. – Wziął rękawiczki mechanicznym ruchem. – W takim razie rano wrócę do Londynu. Dziś już za późno wybierać się w drogę.

– Oczywiście. – Matka zdawała się nie przejmować i przywołała na twarz sztuczny uśmiech.

Tylko Camilla widziała, jak drżą jej ramiona.

Choć może nie tylko ona, jego hrabiowska mość ruszył do drzwi tak szybko, jakby nie mógł znieść widoku matki ani chwili dłużej.

– Każ pani Beasley przysłać obiad do mojego pokoju – polecił. – Lokaje wnieśli już mój bagaż, zostanę więc na noc tutaj, a nie w pałacu.

– Naturalnie, Pierce – potaknęła hrabina głosem, w którym zabrzmiała gorycz. – Jak sobie życzysz.

Jakaś nuta w jej tonie musiała poruszyć jego sumienie, bo zatrzymał się w drzwiach. Potem jednak wyprostował się i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Camilla patrzyła na niego i na hrabinę z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Nie wierzę. To najpodlejsze zachowanie, jakiego byłam świadkiem!

– Nie wiń go, moja droga. Ma powody. – Hrabina patrzyła za nim zamyślona. – Przyjechał przecież, kiedy powiedziano mu, że jestem chora. To już coś, prawda? – Nie zwróciła uwagi, że Camilla nie udzieliła odpowiedzi, i dodała: – Przynajmniej go zobaczyłam. Jest bardzo przystojny, nie sądzisz? Wyrósł na silnego i wysokiego mężczyznę. Jako dziecko był wątły, nigdy bym nie pomyślała…

– Jak pani może pozwalać tak ohydnie się traktować? – przerwała jej Camilla.

– Wprost przeciwnie, on traktuje mnie lepiej, niż mogłabym oczekiwać, zważywszy… – Zdobyła się na wymuszony uśmiech. – Nie zrozumiesz, moja droga. Lepiej zmieńmy temat.

– Nie mogę. Wygnał panią tutaj, na wieś…

– Wolę wieś od miasta, zawsze wolałam.

– Nie o to chodzi! Zachowuje się tak, jakby pani nie istniała!

– O nie, mylisz się. Zachowuje się tak, jak się zachowuje, bo istnieję – rzekła hrabina z goryczą. – Inaczej nie żądałby, żebym nie wchodziła mu w drogę, ilekroć tu przyjeżdża.

– To jeszcze coś innego. Kiedy przyjechał tego lata, nie znałam pani dostatecznie dobrze, by mieć zdanie w kwestii unikania pani przez syna, ale teraz…

– Dobry Boże! – Hrabina rzuciła się na Camillę. – To ty go zawiadomiłaś, że jestem bliska śmierci. – Kiedy ta przybrała minę winowajczyni, hrabina krzyknęła gniewnie: – Oszalałaś? Czy wiesz, co narobiłaś?

Ostra reprymenda zazwyczaj łagodnej damy zaskoczyła ją.

– Nie powinnam się wtrącać, ale…

– Stanowczo nie powinnaś. Możesz stracić posadę przez coś takiego. – Na widok miny towarzyszki lady Devonmont dodała pośpiesznie: – Ja cię nie zwolnię, moja droga. Na pewno wiesz doskonale, że nie mogę się bez ciebie obejść. – Hrabina przechadzała się tam i z powrotem. – Mój syn jednak może ci kazać spakować walizki.

– Wiem. – Camilla odetchnęła z ulgą. Skoro lady Devonmont jej nie znienawidziła, poradzi sobie z gniewem jego hrabiowskiej mości.

Hrabina wyprostowała się i powiedziała:

– Cóż, nie pozwolę na to. Ma prawo gniewać się na mnie, lecz ty jesteś niczemu niewinną postronną obserwatorką. Nie pozwolę, by cię ukarał za to, że źle zrozumiałaś sytuację.

– Wcale źle nie zrozumiałam! Powiem mu to sama, kiedy przyjdzie na to czas.

Lady Devonmont obrzuciła ją zniecierpliwionym spojrzeniem.

– Nie ma mowy. Musisz myśleć o swoim dziecku. – Zastanawiała się. – Skoro Pierce nie powiedział, że to ty do niego napisałaś, może nie jest tak bardzo zagniewany. Nie będziemy o tym wspominać. – Podeszła do kominka. – Tak, tak właśnie zrobimy. A jeśli będzie cię próbował zwolnić, zatrudnię cię z pieniędzy na własne wydatki. Daje mi ich dość, by wystarczyło.

Camilla poczuła się nagle winna.

– Milady, nie chciałabym…

– Nonsens, tak właśnie trzeba zrobić. – Lady Devonmont przycisnęła rękę do czoła. – Z tego wszystkiego rozbolała mnie głowa. Położę się przed obiadem.

Camilla westchnęła. Hrabina miała charakterystyczną cechę – zdecydowanie kończyła dyskusje.

– Oczywiście, proszę pani. Z radością poczytam, jeśli sobie pani życzy.

– Nie ma potrzeby. – Spojrzała na Camillę. – Chociaż, jeśli nie masz nic przeciwko, powiedz pani Beasley, że hrabia oczekuje obiadu w swoim pokoju…

– Oczywiście. – Została odesłana. Jakimś cudem jaśnie pani wybaczyła jej zuchwałość.

Na nieszczęście jego hrabiowska mość zapewne nie wybaczy. Pomimo tego, co zostało powiedziane, hrabina miała słuszność. Camilla wiele zaryzykowała kłamstwem. Zasłużyła, żeby stracić posadę.

Nie śniło jej się nawet, że hrabia tak głęboko się przejmie, po tym jak się zachowywał, jak nie odpowiadał na listy matki, ani też nie przyjeżdżał w odwiedziny. Spodziewała się, że wpadnie, zamieni z matką kilka słów, wysili się na sztuczne zadowolenie, że mimo wszystko zastał ją w dobrym zdrowiu, po czym odjedzie. W najlepszym razie spodziewała się, że hrabia ulegnie prośbie matki i zostanie dłużej.

Nigdy by się nie spodziewała po nim przestrachu, że matka jest umierająca, a potem gniewu, że został oszukany.

Im więcej o tym myślała w drodze do kuchni, tym większy gniew ją ogarniał. Czym lady Devonmont zasłużyła sobie na takie traktowanie? Jak można obrazić się na kobietę pełną takiej dobroci? To niewyobrażalne.

Jaśnie pani uważała, że Camilla nie powinna drążyć tej sprawy, a przecież to niemożliwe. Gdyby nie dobroć hrabiny, pracowałaby u jakiejś matrony bez serca, która

zapewne by jej kazała odesłać Jaspera do stryja. Skoro więc lady Devonmont była po jej stronie, będzie za nią walczyć, nawet przeciwko samemu hrabiemu. Jaśnie pani była dla niej niemal jak rodzina, której Camilla nigdy nie miała.

Weszła do kuchni, gdzie pani Beasley poganiała uwijającą się służbę.

– Czy pan Fowler będzie na obiedzie? – spytała ochmistrzynię kucharka, okrawając szynkę. – On nie lubi wieprzowiny, pamięta pani.

– Nie sądzę – rzekła pani Beasley. – Mam taką nadzieję, bo w obecności hrabiego niechybnie zacznie odgrywać tu pana.

– Wątpię – przerwała Camilla. – Pan Fowler się tak nie zachowuje.

Pani Beasley zmierzyła ją zagadkowym spojrzeniem.

– Tylko dlatego, że próbuje panią oczarować.

– Skądże znowu – mruknęła. – Pan Fowler jest tak stary, że mógłby być moim ojcem.

– To nic nie znaczy. – Kucharka wszędzie dopatrywała się romansów. – Dopytuje się, jak pani radzi sobie z hrabiną, chce wiedzieć, co panie planują. Podoba mu się pani, to pewne.

Camilla była zdania, że owszem, ktoś mu się podobał, tyle że nie ona. Rzecz jasna, jeśli jej podejrzenia były słuszne i zarządca istotnie umizgiwał się do hrabiny, w życiu nie powiedziałaby tego służbie, to by nimi wstrząsnęło.

Wysiłki Fowlera były i tak skazane na niepowodzenie: lady Devonmont powtarzała, że nie zamierza ponownie wychodzić za mąż. A poza tym między nią a panem Fowlerem istniała społeczna przepaść nie do zasypania. Zwłaszcza że jaśnie pani była daleka od odwzajemnienia jego uczuć.

– Jak wielu wdowców, pan Fowler rozpaczliwie poszukuje kobiety, która by o niego zadbała – powiedziała Camilla.

– To prawda. – Kucharka spojrzała na nią w zamyśleniu i odgarnęła za ucho kosmyk siwych włosów.

– Ale dla pani nie byłoby chyba tak źle, zważywszy na pani i panicza Jaspera położenie.

Westchnęła. Małżeństwo z kimkolwiek rozwiązałoby ważną kwestię: co zrobić z synem, kiedy będzie dorastał. Już raz jednak wyszła za mąż z rozsądku i, poza samym Jasperem, małżeństwo okazało się niesatysfakcjonujące. Jeśli kiedyś jeszcze wyjdzie za mąż, uczyni to z miłości, a wobec pana Fowlera nie żywiła podobnych uczuć.

– Czy jego hrabiowska mość wspominał o obecności pana Fowlera na obiedzie? – spytała pani Beasley. – Dla kucharki to wyzwanie w krótkim czasie zrobić tak duży obiad. Ma pełne ręce roboty: pudding śliwkowy na Boże Narodzenie musi postać dwa tygodnie, żeby nabrać smaku.

– To żadne wyzwanie – odparła kucharka – mam już pudding odparowany, trzeba go odstawić na kilka godzin. Mogę zrobić dowolny obiad.

– Właściwie – zaczęła Camilla – jego hrabiowska mość zostaje tylko na jedną noc i nie zamierza schodzić na obiad – życzył sobie, by przyniesiono mu tacę do pokoju.

Kucharka popatrzyła na nią z otwartymi ustami.

– No nie, to już przebija wszystko. Wpaść tutaj bez ostrzeżenia i nie mieć ani krztyny przyzwoitości, żeby zjeść obiad razem z matką? – Pociągnęła nosem. – Myśli pewnie, że w pałacu dostanie lepszy obiad od tego cudzoziemca i nadętej jak purchawka pani Perkins, która tam prowadzi dom.

Ten cudzoziemiec był francuskim kucharzem hrabiego, a pani Perkins ochmistrzynią w pałacu. Między służbą z obu domów toczyła się zażarta rywalizacja. Pan Fowler zatrudnił dwa nowe pełne zespoły służby po odziedziczeniu posiadłości przez młodego

hrabiego i zwolnił poprzedników, wypłaciwszy im odprawy. Widocznie lord Devonmont pragnął otoczyć się własnymi służącymi, dumnymi z tego, że awansowali do rangi służby hrabiowskiej. Byli mu bardzo wierni.

Tymczasem służba w domu hrabiny była równie wierna swej pani. A ponieważ hrabina i jej syn stronili od siebie, służący także trzymali się od siebie z daleka.

Biedny pan Fowler pozostawał pośrodku.

– Tak zastawię tacę, że jego hrabiowska mość wyrzuci tego *monsieura* na zbity pysk – powiedziała kucharka wojowniczo. – Hrabia będzie błagał, żeby tu zostać przez tydzień, zobaczycie. A jeśli zdołamy go tutaj zatrzymać do Bożego Narodzenia, każę oskubać gąskę i...

– Bardzo bym chciała, żeby się udało – westchnęła Camilla. – Obawiam się jednak, że to niemożliwe.

Pani Beasley wzięła się pod boki.

– No i muszę zwolnić Sally, żeby zaniosła mu tacę, kiedy akurat potrzebna mi jest gdzie indziej.

Camilli przyszedł do głowy pomysł.

– Właściwie to prosił mnie, żebym zaniosła mu obiad. – Czemu nie? Da jej to usprawiedliwienie, żeby spędzić z nim chwilę sam na sam.

– Pani? – krzyknęła pani Beasley, po czym wymieniła z kucharką ukradkowe spojrzenia.

– Czy jest w tym coś złego? – spytała zakłopotana.

– Hrabia ma złą opinię, kochaneczko – chrząknęła kucharka.

– To by nie był pierwszy raz, że mężczyzna zabawia się z kimś ze służby, wie pani, co mam na myśli. –

Pani Beasley odwróciła się, by wyjąć tacę. – A jeśli specjalnie panią prosił, żeby mu pani przyniosła obiad...

– Nie, nie, nic podobnego – pośpieszyła ze sprostowaniem Camilla. Żałowała, że nie zastanowiła się nad tym, jak służba przyjmie jej oświadczenie. Otworzyła szeroko oczy, bo coś przyszło jej do głowy.

– Nie sądzicie, że służące w pałacu... To znaczy nie było dotychczas skarg, lecz...

– Nie, skarg nie było – oświadczyła z przekonaniem kucharka.

– Przynajmniej jak dotąd – dodała pani Beasley właściwym sobie tonem wieszczącym koniec świata. – Przecież mnóstwo dżentelmenów traktuje służbę jak zabawki, a pani, moja droga, tak młoda i ładna...

Roześmiała się.

– Nie sądzę, żebym miała się czego obawiać. Nie jestem znów taka młoda.

A ładna – tym przymiotnikiem określano kobiety ani brzydkie, ani piękne. Ładna oznaczało *do przyjęcia*. Nie przejmowała się tym, co o niej myślano. Gdyby każda kobieta była pięknością, świat byłby nic niewart. Dla wyrafinowanego hrabiego ładna musiało oznaczać *nie dość dobra*. Jeśli nawet nie zamierzał zwolnić jej z pracy, nie spojrzy jak na kobietę na niską, lekko pulchną wdowę w okularach, z rudawymi włosami i piegami. Na pewno nie, w Londynie może mieć każdą boginię o blond włosach.

Nie miała się więc czego obawiać.

Rozdział III

Pierce wstrząśnięty widokiem matki przechadzał się po sypialni. Wielki Boże, jakże się postarzała! Kiedy zdążyła posiwieć? Dwa lata temu, na pogrzebie ojca, tak nie wyglądała.

Przypomniał sobie, że nosiła kapelusz i welon, miała więc zakryte włosy i twarz. Właściwie na nią nie patrzył. Gdyby został i przyjrzał się, jak wygląda bez nakrycia głowy, czy zauważyłby jej siwiznę? Kurze łapki wokół oczu i drobne zmarszczki wokół ust? Dzisiaj je dostrzegł i to wyprowadziło go z równowagi. Postarzała się. Powinien się tego spodziewać, tymczasem zaskoczyło go to.

A już na pewno nie spodziewał się, że jej twarz rozjaśni się na jego widok. To było ostre zderzenie z przeszłością, po długich latach bez znaku życia: żadnego słowa, żadnego sygnału, że jej zależy. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz popatrzyła na niego z taką czułością.

Jak śmiała tak patrzeć na niego? Gdzie była przez wszystkie przeklęte lata jego pobytu w Harrow, gdy Manton okładał go pięściami? Kiedy chłopcy dokuczali mu z powodu astmy, zanim wyrósł z niej i nauczył się bronić przed ich docinkami?

Ileż świąt Bożego Narodzenia przeleżał, marząc o tym, by weszła na palcach do jego sypialni i pocałowała go w czoło? By świat stał się dla niego lepszy. Od tego są przecież matki. Matki innych chłopców tak robiły.

Rozwiązał fular i z trudem łapał oddech. Nie z powodu męczącego ataku astmy, lecz ciężaru przeszłości, który zaległ mu na piersi, a dosłowniej – zapachu przeszłości.

To stary dwór był jego domem. Ojciec rozpoczął budowę wielkiej rezydencji, dopiero gdy Pierce miał czternaście lat. Chłopak nawet nie był w środku aż do śmierci ojca. Tutaj był dom z czasów jego dzieciństwa – dlatego umieścił w nim matkę, żeby nie musieć się tutaj zatrzymywać i cierpieć z powodu wspomnień o tym, co utracił, kiedy miał zaledwie osiem lat.

Jednym z tych wspomnień był zapach puddingu śliwkowego, ulubionego przez matkę. Wymagała, by wśród składników nie zabrakło goździków i skórki cytrynowej. Dlatego właśnie dziś w całym domu pachniało tak mocno, że z pewnością zaraz dostanie ataku astmy. Nie powinien tutaj przyjeżdżać.

Nie przyjechałby, gdyby nie zuchwała pani Stuart. Miała czelność nakłamać! Przed matką także widocznie skłamała: jego przypuszczenie, że może być umierająca, bardzo ją zaskoczyło. A w tym samym czasie jej towarzyszka przybrała minę winowajczyni.

Z drugiej strony, jeśli nawet matka nie wiedziała o liście pani Stuart, to musiała w tym spisku uczestniczyć. Prawdopodobnie naopowiadała bajek o tym, jak źle traktuje ją syn, aż pani Stuart postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Wyraźnie matka wykonała misterną pracę, by ukryć przed panią Stuart swą prawdziwą naturę, do tego stopnia, że biedaczka zdawała się skłonna zaryzykować posadą, byle tylko uszczęśliwić swoją panią – intrygantkę. Zasłużyła, by stracić posadę – za taką zuchwałość powinien ją zwolnić natychmiast.

Tymczasem miał przed oczami wstrząs odmalowany na jej twarzy, kiedy wszedł do salonu. Widocznie nie udało mu się ukryć strachu z powodu zbliżającej się śmierci

matki. Co sobie pomyślała ta przeklęta kobieta? Że jest potworem bez duszy?

Prawdopodobnie. Po jego zapowiedzi, że wyjeżdża, popatrzyła na niego tak, jakby taki był. Bezczelna sztuka! Bez dwóch zdań, matka musiała nagadać o nim okropności, by wywołać aż takie współczucie młodej wdowy.

Cokolwiek powiedziała, nie była to prawda. Prawda była taka, że kiedy tylko dorósł na tyle, by mogli się nim zająć krewni, umyślnie skreśliła go ze swego życia. A teraz, kiedy odziedziczył majątek, zapragnęła obdarzyć uwagą syna, którego latami lekceważyła.

Do diabła z tym! Nie miał zamiaru się nagiąć do tej gry. Bez względu na to, jak bardzo osiwiałaby jego matka, i na to, że jakaś wścibska dama do towarzystwa ze skłonnością do intryg…

Pukanie do drzwi przerwało jego rozważania.

– Co tam? – warknął.

– Przyniosłam tacę, milordzie – odezwał się ktoś zza drzwi stłumionym głosem.

Na śmierć o tym zapomniał.

– Postaw na ziemi i odejdź!

Chwila ciszy, po czym ta sama osoba odpowiedziała:

– Nie mogę!

– Na miłość boską… – Podszedł do drzwi, otworzył je, po czym znieruchomiał.

Przed nim stała kobieta, która podstępem go tutaj sprowadziła.

– Ach, to pani! – wycedził.

Choć spuściła oczy, usłyszawszy jad w jego głosie, nie ruszyła się.

– Czy mogłabym wejść, milordzie?

Przeszło mu przez myśl, by zatrzasnąć jej drzwi przed nosem, lecz powstrzymał się z uwagi na bardzo głęboko zakorzenione zasady dżentelmeńskiego zachowania. Poza tym chciał usłyszeć, co miała mu do powiedzenia.

Wyraził zgodę skinieniem głowy i stanął z boku, by weszła. Przy okazji dokładnie jej się przyjrzał. Nadal z trudem przychodziło mu uwierzyć, że to aż tak młoda osoba. Nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat, była stanowczo za młoda na wdowę i damę do towarzystwa.

Była także zbyt pociągająca, chociaż to spostrzeżenie akurat go nie zachwyciło. Pomimo tego, co o nim myślano, nie uganiał się za każdą spódniczką. Reputację uwodziciela zdobył z wyrachowania, by zawstydzić rodzinę, lecz te czasy miał już dawno za sobą.

Jego uwodzicielska natura nie przepadła jednak z kretesem, więc zauważył, że kobieta ma zmysłową figurę. Była jak na jego gust za niska, lecz działające na wyobraźnię rysy twarzy i rude pukle zaczesane w kok nadrabiały ten brak. Nawet w okularach wyglądała jak zdrowa wiejska dziewczyna – błękitne oczy bez skazy, szerokie, namiętne usta i piegi na mlecznej cerze. Dziwna mieszanka dojarki i sawantki wydała mu się bardzo pociągająca.

Ubierała się też nieźle. Suknia z zielonego aksamitu była wprawdzie niemodna, niemniej dość bogata jak na jej stan. Ubrania służby na ogół przerabiano ze strojów ich państwa, suknia niegdyś musiała więc należeć do matki. Leżała na kobiecie wyśmienicie, co oznaczało, że doskonale szyje.

To z pewnością przyda się jej w nowej pracy, pomyślał kwaśno, chociaż nie postanowił jeszcze, czy ją zwolni, czy nie.

Kiedy postawiła tacę na stoliku przy kominku, rzekł podniesionym głosem:

– Jak przypuszczam, przyszła tu pani błagać mnie o przebaczenie.

– Prawdę mówiąc, nie. – Stanęła naprzeciwko niego i utkwiła w nim pewny siebie wzrok.

– Co takiego? – Nie dowierzał. – Kazała mi pani pędzić na łeb na szyję z Londynu, kłamała pani, że moja matka jest chora…

– Nie skłamałam – zaprotestowała, mimo że policzki zaczęły ją piec. – Chociaż nie jest chora w konwencjonalnym znaczeniu.

– Proszę mnie zatem oświecić, co oznacza być chorym w niekonwencjonalny sposób. Musiałem chyba opuścić jakąś lekcję w szkole.

Usłyszawszy sarkazm w jego głosie, uniosła wysoko brodę.

– Każdy widzi, że jest chora z tęsknoty za panem – jedynym dzieckiem, jakie ma.

Zaśmiał się szorstko.

– Doprawdy? Jak sądzę, roni krokodyle łzy i snuje smutne opowieści o tym, jak bardzo zaniedbuję wszelkie wobec niej obowiązki.

Błękitne oczy pani Stuart cisnęły gniewne błyski zza okularów.

– Wręcz przeciwnie, ilekroć mowa o panu, usprawiedliwia każdą odmowę przyjazdu czy brak odpowiedzi na list, nie wspominając już o braku pana troski o…

– Czyżby o jej dobrobyt? Skarży się, że jej nie utrzymuję?

Krnąbrna kobieta rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Skądże znowu.

To go zaskoczyło, choć nie chciał tego okazać.

– Zatem sama pani widzi. – Podszedł do biurka, gdzie stały karafka z brandy i kieliszek.

– Nie jestem ślepa – ciągnęła, ku jego zdumieniu, kobieta. – Widzę, jak głęboko rani ją pański brak uwagi. Słyszałam, jak płakała: sądziła, że nikogo nie ma w pobliżu. Jako matka zasługuje choć na pozorowaną pana uwagę, a tymczasem pan pozwala, by usychała z tęsknoty.

– Moja matka nie wie, co to znaczy usychać z tęsknoty. – Odpędził od siebie obraz matki płaczącej w samotności. – A jeśli przysłała tu panią…

– Nie ma pojęcia, że tu jestem. Nie wie też, że napisałam list. Prawdę mówiąc, i ona także twierdzi, że powinnam trzymać się od tego z daleka.

Pomimo że chciał stawić stanowczy opór taktyce matki, to go poruszyło.

– Trzeba było posłuchać.

– Nie potrafię. – Proste słowa dotknęły czegoś, co ukrywał głęboko przez lata. – Nie wykonałabym podstawowego obowiązku wobec pani, gdybym pozwoliła na to, by cierpiała, czy to przez kogoś obcego, czy przez własnego syna. – Stanęła za nim, a w jej głosie zabrzmiała szczera troska. – Nie może pan oczekiwać, żebym siedziała cicho, kiedy powinnam robić tak, by pani było dobrze.

Odwrócił się, by usadzić bezczelną kobietę jednym lodowatym spojrzeniem, aczkolwiek nie mógł nie przyznać, że w swoim rozumowaniu ma rację. Musiała być lojalna wobec jego matki, i tak być powinno, nawet jeśli to on ją zatrudnił. W końcu co byłaby warta towarzyszka, której matka nie mogłaby zaufać?

Niemniej to nie oznaczało, że ma pozwalać, by nim manipulowano.

– Być w porządku wobec pani nie oznacza, że wolno okłamywać jej rodzinę. Twierdziła pani, że jest umierająca.

– Nie, napisałam tylko, że powinien pan przybyć, zanim będzie za późno. – Poprawiła okulary. – Przykro mi, że przełożył pan to sobie tak, że matka może umrzeć lada chwila.

– Prawda – powiedział oschle. – Jak mogłem pozwolić sobie na taki skrót myślowy?

– Użyłam właściwych słów. – Zmarszczyła brwi na znak troski. – Matka pana potrzebuje, a jeśli pan będzie odkładał naprawienie tej relacji, z czasem pan tego pożałuje.

Niech to wszyscy diabli, uparta jest ta kobieta.

– Moje postanowienia to już nie pani sprawa. – Założył ręce na piersi i patrzył na nią z góry. – Cokolwiek spodziewa się pani uzyskać swoim uporem, to nie przejdzie, powinna więc pani zaprzestać prób, póki ma pani jeszcze tę posadę. W przeciwnym razie zwolnię panią za posądzenia.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Nadal stała wyprostowana z uniesioną głową. Miał słuszność, kiedy określił ją jako nieposkromioną, jeszcze zanim ją poznał. Była gotowa na wszystko.

– Niektóre rzeczy, mimo wszystko, warte są wielkiego ryzyka – dodała.

– Moja matka? Kobieta, która dopiero dwa lata temu, kiedy zmarł ojciec i nie mogła dłużej już pozostawać na jego utrzymaniu, zatroszczyła się o to, czy jej syn w ogóle żyje?

To wyraźnie nią wstrząsnęło.

– Myśli pan, że chodziło o pieniądze?

– To oczywiste. Poślubiła ojca dla pieniędzy, a teraz, kiedy są one pod moją kontrolą, nagle rozpaczliwie mnie potrzebuje.

Wymienili się spojrzeniami.

– Jeśli uczucia pani są tak fałszywe, jak pan sądzi, czemu ma pełne pudło pana szkolnych rysunków i wypracowań? Dlaczego odczytuje mi pana dziecięce listy i zachwyca się pana bystrością i darem obserwacji? – Przysunęła się. – Dlaczego przy łóżku trzyma pana miniaturę?

Jej słowa wstrząsnęły mocno kamiennym murem, którym obwarował się przed matką. Nie potrafił w nie uwierzyć. Nie powinien wierzyć, inaczej matka znowu go skrzywdzi.

Wyraźnie matka celowo pracowała nad panią Stuart, by uczynić z niej broń i sięgnąć po to, czego chciała. Młoda wdówka mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, że została zmanipulowana, co jednak nie zmieniało istoty rzeczy.

Zbliżył się, by szepnąć jej to na ucho.

– Próbuje tylko uczynić z pani sprzymierzeńca w spisku. Wiedziała, że nie uda się jej to bez przekonania pani, że została porzucona i zlekceważona przez własne dziecko.

Pani Stuart zamrugała. Na początku rozważyła, rzecz jasna, możliwość, że jest, być może, wciągana w spisek.

– Jest pan w błędzie – wyszeptała, choć nie była całkiem pewna. – Jaśnie pani nie jest taka.

– Zna ją pani od sześciu miesięcy – zauważył. – A ja znam ją całe życie. A przynajmniej tę część, kiedy ona…

Przerwał, zanim wyjawił okrutną prawdę, że jego rodzice tak dalece o niego nie dbali, że pozbyli się go ze swojego życia. To nie jej sprawa. Nie musiał się tłumaczyć przed opłacaną damą do towarzystwa, do licha!

Poza tym pani Stuart, choć zbyt wścibskiej, wyraźnie leżało na sercu dobro jego matki. Nie chciał zwalniać tej kobiety i nie widział powodu, by zatruwać ją nieufnością względem chlebodawczyni. Chciał tylko, żeby więcej nie sprawiała kłopotów.

Zmusił się do zachowania spokoju i powiedział:

– Zapewne już wie pani, że stosunki między mną a matką nie są takie proste, jak się pani zdawało. A więc ja zapomnę o tym, jak daleko się pani posunęła, a w zamian zgodzi się pani zatrzymać swoje opinie wyłącznie dla siebie i w przyszłości nie wtrącać do

moich stosunków z matką.

Przełknęła z trudem, ale nie spuściła z niego wzroku.

– Nie wiem, czy uda mi się dotrzymać słowa, milordzie.

– Och, na litość boską! – Potarł dłońmi twarz. Był zmęczony, głodny i zły. Ta cholerna kobieta to czyste utrapienie! – Czego, u licha, pani ode mnie chce? Żebym przywiązał matkę do siebie powrozem, czy co?

Nakreślony obraz zaskoczył ją, ale też wywołał lekki uśmiech na jej twarzy. Zdziwiło go to. Aż do tej chwili pani Stuart sprawiała wrażenie pewnej siebie sawantki, a tymczasem, choć niewzruszona, miała poczucie humoru.

– Nie trzeba posuwać się aż do tak skrajnych środków – powiedziała, a jej oczy zalśniły zza okularów. Natychmiast jednak spoważniała. – Jeśli mógłby pan zostać z matką na Boże Narodzenie…

– Nie. – Zbyt dobrze zapamiętał ostatnie Boże Narodzenie spędzone w domu. – To niemożliwe.

Odwrócił się. Może powinien zwolnić tę kobietę.

– Nie musi pan spędzać z panią całego czasu, wystarczy tylko zjeść z nią świąteczny obiad. Uszczęśliwi ją najmniejsza oznaka pana uwagi.

– Tak pani sądzi? – Nalał sobie solidną porcję brandy i wychylił duszkiem. Jeśli jakaś kobieta mogła doprowadzić mężczyznę do picia, była nią właśnie pani Stuart.

– Jestem pewna. Mógłby pan, jak zwykle, zatrzymać się w pałacu Montcliff i po prostu co wieczór zajeżdżać do nas na obiad…

– Nie odpuści pani, prawda? – Odstawił kieliszek i odwrócił się do niej zagniewany. – Będzie mnie pani męczyć, aż zrobię, o co pani prosi, albo każę pani spakować manatki.

Zamilkła.

– Rzecz jasna, wolałabym, żeby pan nie kazał mi się pakować. Muszę jednak mówić to, co uważam za słuszne, milordzie. – Ściszyła głos. – Teraz, kiedy pana poznałam, jestem przekonana, że ma pan więcej serca, niż pan okazuje.

– Doprawdy, pani w to wierzy? – żachnął się. A więc nadszedł czas rozwiać jej dziwaczne domysły. Jeśli tak zrobi, najpewniej odwiedzie ją od wtykania nosa w nie swoje sprawy i naprzykrzania mu się. Nie będzie musiał jej zwalniać i oszczędzi sobie trudu wynajmowania matce następnej damy do towarzystwa, która mogłaby okazać się mniej godna zaufania.

Podszedł i umyślnie stanął tak blisko niej, by była zmuszona się cofnąć lub wytrzymać na miejscu. Nie zdziwił się, gdy uczyniła to drugie.

– Wie pani co, pani Stuart? – powiedział, przeciągając głoski. – I tak zostaję tutaj do jutra. Zjem z matką i panią obiad i spróbuję zachować się uprzejmie. W zamian natomiast będę oczekiwał rekompensaty, kiedy matka uda się na spoczynek.

W jej wzroku pojawiła się czujność.

– Jakiego rodzaju rekompensaty?

– Rozrywki. Z rodzaju tej, jakiej zazwyczaj zażywam w Londynie. – Otaksował ją wzrokiem, i to w taki sposób, że dokładnie zilustrował, czego będzie od niej żądał. – I zażądam jej właśnie od pani.

Rozdział IV

Policzki Camilli zapałały żarem, gdy z otwartymi ustami patrzyła na hrabiego. Cóż za chytry, złośliwy...

Rozsądek zapanował nad gniewem obrażonej skromności. Hrabia był spokojny, jakby się spodziewał, że ona zachowa się właśnie tak.

Diabeł wcielony, dobrze to sobie wykombinował. Umyślnie ją obraził swoją propozycją, żeby przestała go męczyć o matkę. To miało więcej sensu, niż gdyby uwierzyć, że chodziło mu o to, by zabawić się z Camillą. Nie należała do kobiet, którymi interesowali się notoryczni uwodziciele.

Udała zakłopotanie.

– Obawiam się, że nie rozumiem, milordzie. Jakże mogę zabawić tak światowego człowieka jak pan?

Nieoczekiwanie spochmurniał, co tylko utwierdziło ją w tym przypuszczeniu.

– Doskonale pani wie. Po obiedzie zrobimy sobie własne przyjęcie. Tutaj. W mojej sypialni, dokąd może się pani wślizgnąć, a potem wykraść z niej, niezauważona. Jeśli mam spędzić wieczór z matką, pani będzie musiała spędzić ze mną noc.

– Dostarczyć panu rozrywki – powtórzyła lekko, by zyskać na czasie. Chciała zastanowić się, jaka odpowiedź przybliży ją do celu. – Tak, to zrozumiałam. Nie jestem tylko pewna, jakiego rodzaju rozrywki pan potrzebuje.

Zazgrzytał zębami.

– Ależ na miłość boską, wie pani dokładnie, jakiego rodzaju rozrywki pożąda człowiek światowy, taki jak ja.

Teraz, kiedy zdemaskowała jego grę, jedyne, co mogła dla niego zrobić, to nie roześmiać mu się prosto w nos. Był taki przejrzysty. Co, u licha, dolegało tym wszystkim londyńskim damom, że nie przejrzały jeszcze jego gry?

– Wręcz przeciwnie – powiedziała bezlitośnie. – Nie znam pana dostatecznie dobrze, by wiedzieć, co pana bawi. Może chciałby pan, bym dla pana zaśpiewała lub zatańczyła, a może przeczytała jakąś dobrą sztukę. Wiem, że w pałacu Montcliff jest spora biblioteka. Pana matka mówi, że większość książek kupił pan do niej osobiście. Pewna jestem, że są tam tomy, które...

– Nie mówię o tym, by mi pani czytała! – przerwał. Niemal krzyczał.

Gdy popatrzyła na niego urażona, hrabia zmienił taktykę. Jego spojrzenie stało się namiętne, a na ustach zagościł zmysłowy uśmiech.

– Miałem na myśli rodzaj rozrywki, którą preferuje większość wdów.

No, no, nic dziwnego, że londyńskie damy, jeśli wierzyć plotkom, wskakiwały mu do łóżka. Kiedy patrzył właśnie w taki sposób i przemawiał pewnym siebie uwodzicielskim głosem, przeciętna kobieta zapewne omdlewała.

Dobrze, że nie była przeciętną kobietą. Na poprzednich posadach widziała dość amatorów łatwych podbojów, uwodzących kogo popadło. Chociaż nie wypróbowywali nigdy na niej swojej sztuki, doskonale wiedziała, jak postępować z takimi gagatkami.

Położenie, w którym obecnie się znalazła, było bardziej skomplikowane. Ona nie była tuzinkową kobietą, ale i on nie był tuzinkowym uwodzicielem.

Udawała, że się zastanawia.

– Rozrywka, którą preferują wdowy… Dobroczynność? Opieka nad rodziną? Nie, to właściwie nie jest rozrywka, choć zajmuje wdowom sporo czasu. – Wyciągnęła szyję z zaciekawieniem. – Wyznaję, milordzie, że zadał mi pan prawdziwą zagadkę.

Aj, to zbyteczne, jego twarz nieoczekiwanie rozjaśnił błysk zrozumienia.

– Widzę, że pani umyślnie mnie prowokuje. A zatem pozwoli pani, że powiem to wyraźnie – spędzi pani tę noc w łóżku ze mną. Czy to teraz już dostatecznie jasne?

Powiedział to tak zagniewany i zniecierpliwiony, że nie powstrzymała się od śmiechu.

– Istotnie jasne, aczkolwiek niedorzeczne.

– Jakże? – Popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

Czas dać mu sygnał, że rozszyfrowała jego grę.

– Znam pana reputację, sir. Nie należę do tego rodzaju kobiet, które bierze pan do łóżka.

Coś na kształt uwielbienia błysnęło w jego oczach.

– Wydawało mi się, że pani stwierdziła, iż nie zna mnie aż tak dobrze – rzekł przeciągle.

– Wiem, z jakimi kobietami bywa pan widywany. To wysokie, kształtne blondynki o porcelanowej cerze i wypielęgnowanych dłoniach.

– Istotnie wie pani, jaką mam reputację. – Zdawał się zaskoczony.

Wzruszyła ramionami.

– Czytuję gazety. A matka pana nalega, bym czytała jej wszystkie historie o panu, nawet najbardziej pikantne.

Na wzmiankę o matce jego wzrok zlodowaciał.

– W takim razie powinna pani wiedzieć, że tacy mężczyźni jak ja nie są też zbyt wybredni.

– Jestem pewna, że pan jest dość wybredny, by nie życzyć sobie pójść do łóżka z szarą myszą – niską, piegowatą służącą, gdy w Londynie czekają na pana piękne jasnowłose aktorki i śpiewaczki operowe – odparła chłodno.

Skrzyżował ręce na piersi i znów omiótł ją taksującym wzrokiem, nieśpiesznym i uważnym, co ją rozgniewało. Szkoda, że nie był wyperfumowanym elegancikiem, wtedy łatwiej by jej było się z nim rozprawić. Maskujący się dobrze lubieżnik z ostrym dowcipem był natomiast nieprzewidywalny.

Camilla nie cierpiała nieprzewidywalnego.

– A jeśli powiem, że tak naprawdę nie jestem nadmiernie wybredny? Dzieliłaby pani ze mną łoże w zamian za mój obiad z matką?

Przełknęła z trudem. Dlaczego uparcie chciał narzucić swoje warunki, skoro wiedział już, że go przejrzała?

No cóż, do tej gry trzeba dwojga.

– Czemu nie? Ma pan opinię niezłego w tych sprawach, a ja byłam mężatką. – Nie powiedziała tego obojętnie. – No, i prawdopodobieństwo, że będę mieć jeszcze kiedyś okazję być uwiedzioną przez takiego wprawnego kochanka jak pan, jest raczej mizerne.

Tak szczere oświadczenie zamurowało go. Pokręcił głową.

– Wielki Boże, pani Stuart, proszę mi przypomnieć, bym nie grał z panią w karty. Ośmielę się zaryzykować stwierdzenie, że przy stolikach sieje pani spustoszenie.

Ukryła uśmiech.

– Może ze dwa razy wygrałam w pikietę.

– Założę się, że więcej. – Odetchnął głęboko. – Dobrze, pozwoli pani, że zaproponuję

układ, na który oboje będziemy mogli przystać. Uczynię, co pani sobie życzy – zjem obiad z panią i matką. A potem razem spędzimy czas, oddając się mniej szkodliwym rozrywkom w pani stylu.

Westchnęła z ulgą. Wygrała!

– Zabawię pana, milordzie, z radością, jeśli tylko poświęci pan trochę czasu matce. To wszystko, o co proszę.

– Jeszcze nie skończyłem. – Popatrzył na nią surowo. – W zamian za to musi się pani zgodzić, że nigdy więcej do niczego nie będzie mnie pani zmuszała w relacjach z moją matką.

Kiedy wzięła oddech, by coś powiedzieć, dodał stanowczo:

– Jeden wieczór obserwacji mnie i matki razem powinien pani pokazać, czemu nie warto się mieszać w nasze stosunki. A nawet jeżeli nie, to od jutra już się pani nie będzie wtrącać w nasze rodzinne sprawy. W przeciwnym razie zwolnię panią. Czy to jasne?

Zawahała się, lecz czy miała wybór?

– Tak jest, milordzie. – Ten diabeł wcielony wiązał jej ręce. Miała tylko jeden wieczór na próbę naprawy jego stosunków z matką. Skądinąd było to znacznie więcej, niż wcześniej.

Ciężkie westchnienie wyrwało mu się z ust.

– Musiałem stracić rozum, że poddałem się pani tak łatwo, po tym co pani zrobiła.

– Łatwo? – zapytała cierpko. – Zapomniał pan już, że będę musiała zabawiać pana wieczorem?

– Ach, no tak, ciężka próba – powiedział szyderczo. – Oczekuję ekscytującej rozrywki. W ostateczności musi mi pani zaprezentować swój talent do pikiety. – Popatrzył na nią z góry. – Skoro to pani ściągnęła mnie tutaj i kazała cierpieć w tych murach, wydaje się sprawiedliwe, by towarzyszyła mi pani w tym cierpieniu.

Ta gorzka uwaga zastanowiła ją. Czyż lady Devonmont nie mówiła, że to właśnie był wcześniej dwór w posiadłości? Dom, w którym się wychował?

Jakby zdając sobie sprawę z tego, że odkrył się bardziej, niż zamierzał, uśmiechnął się do niej lekko.

– Nie będzie to takie trudne. Potrafię być czarujący, kiedy zechcę.

– Bez wątpienia – odparła sztywno.

– A zatem zgoda. Widzę panią tutaj, kiedy matka uda się na spoczynek.

I kiedy położy spać Jaspera, chociaż o tym nie mogła powiedzieć.

– Ale najpierw zejdzie pan na obiad, tak, sir?

– Przecież taki jest układ, czyż nie? – Przybrał surowy wyraz twarzy.

– Tylko się upewniam. – Westchnęła.

– Cokolwiek pani o mnie myśli – powiedział ostro. – Dotrzymuję obietnic.

– Oczywiście, milordzie.

Odwróciła się do drzwi. Czuła wielką ulgę. Stawiła czoło samemu lwu w jego jaskini i przeżyła. A nawet cośkolwiek ugrała. Niewiele, lecz dość, by ulżyć bólowi hrabiny. Spędzenie nocy na zabawianiu jego lordowskiej mości w porównaniu z tym to nie poświęcenie.

– Jeszcze jedno, pani Stuart – powiedział, gdy była już przy drzwiach.

Stanęła i odwróciła się.

– Miała pani słuszność, kiedy stwierdziła pani, iż wybrzydzam, wybierając partnerki do łoża. Tylko że pani wcale nie jest szarą myszą. – Jego wzrok przeszył ją nieudawanym żarem.

Naprawdę tak sądził?

Miała nadzieję, że nie. Nie potrzebowała teraz kochanka, musiała się zatroszczyć o Jaspera.

Dopiero gdy zdobył już jej uwagę, zniżył głos do ochrypłego szeptu.

– Na szczęście dla pani nie mam w zwyczaju nadwerężania zaufania osób, które zatrudniam, czy są to niewinne dziewczęta, czy też doświadczone wdowy. A zatem tak długo, jak będzie sobie pani życzyć, bym grał rolę godnego szacunku dżentelmena, tak długo będę to czynił.

Zatrzymał ją żarliwym spojrzeniem.

– Niechaj będzie to dla pani przestroga. Jeśli pani podda się o centymetr, ja posunę się o cały kilometr. A jeśli da mi pani więcej, z największą rozkoszą wezmę panią do łoża.

– A zatem będę musiała bardzo uważać, by nie zaoferować panu nic więcej, prawda?

Po tych słowach wyślizgnęła się z pokoju.

Kiedy szła korytarzem z drżącymi kolanami i wilgotnymi dłońmi, musiała przyznać, że zawarty układ nie będzie łatwy do utrzymania. Hrabia bowiem bardzo ją intrygował.

Do licha, co się z nią stało? Na pewno nie mówił poważnie, chciał tym ostrzeżeniem ją zniechęcić i jej dokuczyć. Cóż, co tydzień widziano go z inną wyrafinowaną pięknością w operze, teatrze czy na balu, gdzie wywoływał skandale flirtami.

Właśnie tak! Był okropnym człowiekiem o bardzo złej reputacji. Pociągał ją, co do niej zupełnie niepodobne. Nawet jeżeli był aż tak przystojny. Oraz bystrzejszy, niż się spodziewała. Zagadkowy.

Wcale jej nie zaciekawiał, a tajemnice sprowadzały się do oczywistego braku troski o uczucia matki.

Cóż, może nie był to brak troski aż tak oczywisty.

Poślubiła ojca dla pieniędzy, a teraz, kiedy są one pod moją kontrolą, nagle rozpaczliwie mnie potrzebuje.

Camilla zatrzymała się, by powiedzieć przechodzącej pokojówce, że plany jego lordowskiej mości się zmieniły, po czym skierowała się prosto do sypialni hrabiny. Bardzo się mylił co do matki. Tego była pewna, znała jaśnie panią lepiej niż ktokolwiek inny. A jeśli nie?

Kobieta, która nie troszczyła się, czy jej syn w ogóle żyje, aż do śmierci ojca i nie mogła już dłużej polegać na jego hojności?

Dlaczego miałby mówić takie rzeczy? Jeśli się zastanowić, hrabina wspominała o synu jako o chłopcu oraz dorosłym mężczyźnie, nie mówiła natomiast o tym, jaki był w latach szkolnych.

Z drugiej strony, przebywał w szkole z internatem. Musiał jednak przyjeżdżać do domu na wakacje. Musiał wdawać się w awantury, nabijać sobie sińce i przeżywać chłopięce przygody. Nawet chorowici chłopcy przez to przechodzili.

A dlaczego hrabina nie wspominała świętej pamięci hrabiego? Camilla założyła, że małżeństwo istniało głównie na papierze, skoro żona prawie nie mówiła o byłym mężu. Coraz częściej jednak się zastanawiała… Czy lady Devonmont naprawdę mogła poślubić mężczyznę tylko dla pieniędzy?

Gdyby był tutaj jeszcze ktoś ze starej służby, mógłby jej powiedzieć, jaki był stary hrabia i czy odegrał jakąś rolę w izolacji pomiędzy matką a synem.

Ponieważ Camilla także miała swoje sekrety, trzymała się twardo zasady, by nie wnikać w prywatne sprawy swoich chlebodawców. Bardzo ją kusiło, by tę zasadę złamać. Byłoby jej łatwiej postępować z kapryśnym lordem, gdyby wiedziała więcej o nim i jego

matce.

Zastała hrabinę już na nogach.

– Mam dobrą nowinę, jaśnie pani. Jego lordowska mość postanowił zjeść z nami obiad dziś wieczorem.

Lady Devonmont zmierzyła ją czujnym spojrzeniem.

– Nie rozumiem.

Camilla zmusiła się do pogodnego uśmiechu.

– Widzi pani? Zależy mu. Odmieniło się jego serce.

Twarz hrabiny się rozjaśniła. Kobieta ścisnęła Camillę za rękę.

– To ty go odmieniłaś. Wiem, że ty. Ale jak? Jak go przekonałaś?

– Nie zrobiłam nic szczególnego. Odwołałam się do jego poczucia przyzwoitości. – Za nic w świecie nie mogła powiedzieć hrabinie o zawartym układzie. Niewątpliwie jej chlebodawczyni doszłaby do niewłaściwych wniosków, a to tylko pogorszyłoby sytuację.

A jeżeli hrabina chciała, by Camilla zrobiła coś, by go tutaj zatrzymać?

Próbuje panią wykorzystać jako sprzymierzeńca w swoim spisku. A wie, że nic nie zdziała, jeśli nie przekona pani, jak bardzo jest odtrącona i nieszczęśliwa.

Śmieszne.

Miał słuszność co do jednego – ta sprawa miała drugie dno, nic tu nie było oczywiste. Przypomniała sobie słowa hrabiny. Jego lordowska mość nie był jedyną osobą, która nie chciała rozprawiać o przeszłości.

Doskonale. By rozwiązać tę zawikłaną zagadkę, musiała błysnąć pomysłowością. Lady Devonmont uczyniła Camillę i Jaspera częścią swojej rodziny, a krewni powinni sobie pomagać. Camilla spróbuje odzyskać dla hrabiny syna. Bez względu na koszt.

Rozdział V

Obiad okazał się katastrofą.

Pierce nie był zaskoczony. Jak mogło być inaczej? Siedział na krześle, na którym zawsze zasiadał jego ojciec, i wpatrywał się w napuszony portret dziadka, którego nie poznał. Słuchał boleśnie znajomego głosu matki paplającej o niczym oraz znosił rzucane mu ukradkiem spojrzenia pani Stuart.

Przeklęta kobieta niczego nie rozumiała – nie mógł zachowywać się, jakby w ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat nic się nie stało. Oczekiwała, że nawiąże błyskotliwą konwersację z matką. Równie dobrze mogłaby poprosić go, by wygłosił kazanie w piekle.

Zwłaszcza że z każdą chwilą odżywały gorzkie wspomnienia. Jako chłopiec spożywał posiłki w pokoju dziecięcym. Tylko w Boże Narodzenie i przy szczególnych okazjach pozwalano mu jeść obiad z rodzicami. Nastrój tych wieczorów stopniowo się pogarszał, w miarę jak ojciec beształ go za to, że jest słaby i chorowity, póki Pierce nie odparł ataków z większą lub mniejszą zuchwałością, co na ogół kończyło się wyproszeniem z jadalni. Na samo wspomnienie czuł ucisk w żołądku.

Z przymusem wsunął łyżkę z zupą między wargi i przełknął, w ogóle nie smakując potrawy. Matka próbowała wymóc pojednanie, choć rzadko się jej to udawało. Wyglądało to tak, jakby ojciec chciał, by Pierce zniknął. Chciał mieć żonę dla siebie.

Cóż, jeśli taki był cel ojca, dostał dokładnie to, czego chciał. A matka nie zaprotestowała.

Spoglądał na nią, tę pozbawioną serca istotę, jaką znał. Pod bogato zdobioną suknią i wytworną biżuterią, która przypominała mu, że matce najbardziej zależało na majątku ojca, zobaczył matkę, którą jako chłopiec uwielbiał.

Była tylko znacznie starsza. Nie mógł się pogodzić z tym, jak się postarzała. Ściskało go w piersi.

Kiedy stało się to nie do wytrzymania, zwrócił wzrok ku pani Stuart. W mgnieniu oka ból ustąpił miejsca gniewowi. Cóż za cholernie wścibska, bezczelna i pewna siebie osoba, a przy tym tak lojalna względem jego matki, że nie mógł się oprzeć, by jej…

Nie szanować. Westchnął. Szaleństwo. Ślepa lojalność to przecież nie cnota godna uwielbienia. Tymczasem w przypadku pani Stuart tak było. Może dlatego, że jej lojalność szła w parze ze świętą naiwnością. Uważała za właściwe zaopiekować się swoją panią i stać się jej orędowniczką.

Troska pani Stuart o matkę przeszkadzała mu. Jak można się troszczyć o kobietę, która porzuciła własnego syna? Rzecz jasna, młoda wdowa zdawała się o tym nie wiedzieć, a on nie był gotów, by jej to wyjaśnić. Przynajmniej dopóty, dopóki nie pojmie lepiej tej sytuacji.

– Zgadza się pan, milordzie? – miły głos pani Stuart przerwał jego rozmyślania.

A niech to diabli, jego przeciągłe spojrzenia wzbudziły w niej pewność, że i on ma coś do powiedzenia na temat każdej bzdury, o której rozmawiały z matką.

– Przypuszczam, że tak – odparł niezobowiązująco.

– Nie słyszał pan ani słowa, prawda? – spytała.

Ta kobieta zdecydowanie lubiła mówić, co myśli.

– Słuchanie okazało się zbędne. Gdy rozmowa zeszła na temat dekoracji bożonarodzeniowych, byłem pewien, że poczynione przeze mnie uwagi zostaną zignorowane.

– Skądże – zaprotestowała. – Czemu pan tak sądzi?

Poczuł na sobie wzrok matki i wzruszył ramionami.

– Jestem mężczyzną, a mężczyzn uważa się za niekompetentnych w tej kwestii.

– Co nie znaczy, że ciebie akurat też za takiego uznajemy – powiedziała szczerze matka. – Pan Fowler powiada, że poczyniłeś udoskonalenia w majątku – chaty dzierżawców mają nowe dachy, mleczarnia zyskała nowoczesne wyposażenie…

– Tym akurat się interesuję. Dekoracjami na Boże Narodzenie nie.

– Może warto. W tym roku mógłbyś nawet spędzić z nami święta.

Poczuł ciężar w piersi.

– To niemożliwe. Oczekują mnie w Waverly Farm. – Rzucił jej znaczące spojrzenie. – Jak co roku.

Kiedy matka wzdrygnęła się, zezłościł się jeszcze bardziej. Popatrzył ponuro na ładną młodą wdowę, która ściągnęła na niego te kłopoty.

– Nie byłoby mnie tu, gdyby nie wścibstwo pewnych osób.

Spokojnie zajadała zupę, chociaż jej policzki wyraźnie poczerwieniały.

– O ile pamiętam, przeprosiłam za wprowadzenie pana w błąd, jeśli chodzi o zdrowie pana matki.

Matka nie zdawała się poruszona tą uwagą. Pani Stuart musiała się do wszystkiego przyznać. To go zaskoczyło.

– Nie zauważyłem pani przeprosin.

– Przed chwilą przyznał pan, że czasem słucha nieuważnie – rzekła impertynencko pani Stuart. – Może podczas moich przeprosin skupił pan uwagę na czymś innym.

Miał ochotę się uśmiechnąć. Bezczelność wdowy czasami go bawiła.

– Będę musiał uważać w przyszłości – powiedział, starając się, by zabrzmiało to oschle.

Surowość względem niej przychodziła mu z trudem. Nie był pewien dlaczego. Miała sposób na zbijanie go z tropu.

Poczuł na sobie wzrok matki. Popatrzył w górę i zobaczył, że matka przenosi wzrok to na niego, to na panią Stuart. Znów był nie w humorze. Lepiej nie budzić fałszywych wyobrażeń, jeszcze matka zacznie traktować panią Stuart jak kogoś więcej niż tylko sprzymierzeńca.

Spoważniał.

– Na jaki temat mam się wypowiedzieć?

– Musimy postanowić, czy będziemy mieć w tym roku taką choinkę, jaką miała pańska matka w czasach swego dzieciństwa – oznajmiła pani Stuart.

– I w dzieciństwie Pierce'a także. – Matka odkroiła kawałek rostbefu. – Dbałam o to, by była choćby nieduża choinka, przystrojona świeczkami i zabawkami, choć ojciec Pierce'a uważał, że to marnowanie drewna.

Stężał. Matka nadal zachowywała ten typowo niemiecki obyczaj? Wielki Boże! W dzieciństwie zapach ściętej jedliny rozchodził się po całym domu w każde Boże Narodzenie. Nawet teraz zapach jedliny przywodził wspomnienie choineczki z bombkami i koszyczkami orzechów… Słodko-gorzkie wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia spędzonych w domu wciąż było żywe.

Nieświadoma jego uczuć, pani Stuart posmarowała grubo masłem kromkę chleba.

– Musimy poszukać takiej choinki, oczywiście według pani instrukcji, milady. Służący

nie wiedzą, jaki rodzaj drzewka wybrać. A kiedy już je zetną i tutaj przyniosą, będzie nam pani musiała pokazać, jak się je ubiera i jak mocuje świeczki.

– Doskonale – burknął. – Równie dobrze może pokazać, jak podpalić ten cały cholerny dom, skoro przy tym jesteśmy.

Kiedy obie skierowały na niego zaskoczone spojrzenia, zmusił się, by rozpogodzić twarz. Za żadne skarby nie chciał pokazać, że rozmowa o świętach przywoływała bolesne wspomnienia. – Świeczki na choince są bardzo niebezpieczne.

– Nie wtedy, gdy drzewko jest zielone – wtrąciła matka. – A stoi przecież tylko dzień, dwa. – Wytarła chlebem nadmiar sosu z talerza. – Nie ma sensu trzymać go aż do Trzech Króli, skoro ciebie nie będzie na święta.

Jeśli myślała, że jej niedelikatne sugestie, żeby został, wywrą na nim wrażenie, bardzo się myliła.

– Prawda – potwierdził z mocą. – Na tak krótko nie będzie to niebezpieczne.

– Dobrze – rzekła matka wojowniczo. – Choinka sprawi, że święta będą naprawdę urocze.

Pani Stuart obrzuciła go spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek i pociągnęła łyk wina.

– Zgadzam się. Całkiem miły obyczaj.

– I dość kosztowny, zważywszy, że choinka stoi tak krótko. – To prawdopodobnie był argument. Popatrzył na matkę. – Ile mnie będzie kosztować? Wymaga bombek i świeczek, nie wspominając…

– Och, nie dziwacz, Pierce. Wszystko mamy. Bombki, jak je nazywasz, są te same. Przechowuję je na strychu.

To mu wytrąciło broń z ręki. Spodziewał się, że teraz usłyszy prośbę o pieniądze na wyjątkowo drogie jej drzewko.

– Nie życzy sobie mama funduszy na choinkę? – drążył, udając, że nie dostrzegł uśmieszku pani Stuart.

– Oczywiście, że nie. Chodzi o kontynuację tradycji rodzinnej. Szklane ozdoby pochodzą od twojej babki, a pozostałe dekoracje to orzechy i jabłka oraz świeczki, czyli wszystko, co mamy na miejscu. – Rozjaśniła się. – Prawda, jeszcze wycinanki! Te musimy zrobić sami. Pamiętasz, Pierce? Wycinaliśmy z papieru aniołki…

– Pamiętam – odparł z goryczą. – Wierz mi, pamiętam aż nadto dobrze. – Kiedy obie kobiety spojrzały na siebie w niezręcznej ciszy, dodał: – Na wszelki wypadek, gdyby mama tego nie dostrzegła – wyrosłem już z aniołków. Diabełki są bardziej w moim stylu.

– Nie sądzę, żeby diabełki na choince były dobrym pomysłem – wtrąciła pani Stuart, jakby chciała dolać oliwy do ognia.

– A to czemu? – popatrzył wyzywająco.

Nie zawahała się.

– Cóż, po pierwsze, bardzo trudno wyciąć z papieru widły.

Zamrugał, po czym roześmiał się głośno. A niech to, nie dało się długo gniewać na tę kobietę. Kiedy popatrzyła na niego błagalnie, dał za wygraną.

Rozparł się wygodnie na krześle i pociągnął łyk wina.

– Zmieniłaby pani zdanie, gdyby przyszło pani kiedyś wycinać aureolki. Albo gwiazdki. Moje zawsze były okrągłe, co jest sprzeczne z zasadami sztuki. – Pochylił się, by dodać poufnym tonem: – Powinny mieć ostro zakończone ramiona.

– Doprawdy? – spytała pogodnie. – W takim razie będziemy musieli poprzestać na księżycach. Księżyce mogą być okrągłe.

– Ale czy powiesi pani księżyc na choince? – spytał. – Trzej Królowie podążający za księżycem będą mieli zupełnie inną wymowę.

– Tego nie ma w Biblii – powiedziała, powstrzymując uśmiech.

– Nic o tym nie wiem – przekomarzał się. – To nie jest księga, którą dobrze znam.

– I ten fakt stale demonstrujesz przed światem – dokończyła cierpko matka.

Znieruchomiał. Prawie zapomniał, że ona tu jest.

– Tak robię. – Popatrzył na nią z góry. – Nie przepuszczam żadnej okazji.

Był bliski powiedzenia jej, że jeśli chciała mu wytykać jego zachowanie, powinna przy nim być, kiedy dorastał, lecz wtrąciła się pani Stuart:

– Ponieważ jego lordowskiej mości nie będzie z nami przy dekorowaniu choinki, z chęcią pani pomogę, milady.

– Będzie mi bardzo miło – przyznała matka.

– A wtedy może jego lordowska mość mógłby do nas zajrzeć na dzień lub dwa, żeby ją zobaczyć już gotową. – Pani Stuart rzekła to tonem rozporządzenia, którego czasami używały kobiety. Takim, który na niego nie działał zupełnie.

– Jak rzekłem wcześniej, to niemożliwe.

Matka wyglądała jak zdjęta z krzyża.

– Zwykle cieszyłeś się ze świąt.

Miał na końcu języka, że w święta czuł się najbardziej niechciany. Nie chciał jej jednak dawać satysfakcji.

– Niech sobie mama robi z choinką, co chce – burknął znów rozgniewany. Ugryzł kawałek wołowiny w gęstym sosie. – Proszę mnie do tego nie mieszać. Radość z tak prostych przyjemności mam dawno za sobą.

– Szkoda – rzekła matka. – Proste przyjemności są jedynymi dostępnymi tutaj, na wsi.

Ze znaczącym spojrzeniem skierowanym na panią Stuart czekał, aż matka poprosi o nową rozrywkę, na przykład kosztowną podróż do Włoch, gdzie mogłaby pofolgować swej miłości do drogich rzeczy, tak miłych jej sercu.

Tymczasem ona dokończyła:

– Nam jednak one odpowiadają. – Uśmiechnęła się do pani Stuart. – Śpiewamy, gramy, odgrywamy szarady. Camilla doskonale czyta na głos – jest bardzo dramatyczna.

Siedział, wciąż zaskoczony prostotą ulubionych rozrywek matki, gdy otworzyły się drzwi i wszedł lokaj z deserami.

– No i mamy wyśmienitą kucharkę – oświadczyła pogodnie pani Stuart, gdy postawiono przed nią porcję. – To nie prozaiczna przyjemność. – Wzięła do ust kawałek i jej twarz się rozjaśniła. – Jej krem migdałowy to poezja.

Podniósł brew.

– Rozumiem, że podziela pani zamiłowanie mojej matki do słodyczy.

– Tak jest istotnie – powiedziała pani Stuart, ścierając odrobinę kremu z kącika ust. – W sierocińcu desery były rzadkością i teraz, kiedy mogę je jeść, ile dusza zapragnie, nie mam ich dość.

Zapomniał, że wychowała się jako sierota. Przez chwilę wyświetlił mu się w głowie obraz małej dziewczynki oblizującej się na widok ciastek na wystawach londyńskich cukierni i serce mu się ścisnęło, że coś tak oczywistego było dla niej niedostępne.

– A pan nie lubi słodyczy, milordzie? – spytała, wyrywając go z posępnych myśli.

– Nigdy nie lubił – odpowiedziała za niego matka. – Pierce był pod tym względem niezwykłym dzieckiem – wolał desery z owoców i serów. – Uśmiechnęła się do syna nieśmiało. – Dlatego kucharka przygotowała także tę tacę.

Z przesadnym ukłonem lokaj postawił przed nim tacę z plasterkami jabłka i różnych gatunków sera.

W głowie zabrzmiały mu słowa pani Stuart: *Jeśli uczucia jaśnie pani są tak fałszywe, jak pan sądzi, czemu zatem ma pełne pudło pana szkolnych rysunków i wypracowań? Dlaczego odczytuje mi pana dziecięce listy i zachwyca się pana bystrością i darem obserwacji? Dlaczego przy łóżku trzyma pana miniaturę?*

Poczuł, że słabnie i że barykada została częściowo zburzona. Wprawiło go to w zły humor. Do diabła, matka nie zetrze lat zaniedbania tacą owoców i sera oraz paroma wspomnieniami z jego dzieciństwa! Miał dość.

Zdobył się na nonszalancki uśmiech.

– Jestem już dorosły, matko. Teraz najbardziej odpowiada mi deser w postaci dobrego cygara. – Wstał. – A skoro pora na deser, wyjdę pofolgować sobie tej przyjemności. – Skłonił się sztywno w jej stronę.

– Dobranoc.

A potem rzucił ciężkie spojrzenie pani Stuart.

– *Au revoir, madame*.

Zarumieniła się na to oczywiste przypomnienie, że dla niej wieczór z nim nie dobiegł jeszcze końca, ale zmusiła do uśmiechu.

– *Au revoir,* milordzie.

Wyszedł z jadalni z ulgą, że ma to już za sobą. Pani Stuart uczyniła z jego obietnicy lepszy użytek, niż się spodziewał. Obie z matką umówiły się, żeby mu dokuczyć w czasie obiadu bajkami o choince bożonarodzeniowej i podkolorowanymi historyjkami z jego dzieciństwa. Chodziło o to, by zmiękł i łatwiej dał się im urobić.

Cóż, nie był aż tak bezbronny. Skoro pani Stuart uparła się, by czuł się niezręcznie podczas obiadu, miał okazję jeszcze odpłacić jej pięknym za nadobne. Wprawdzie nie mógł jej uwieść, lecz mógł rozważyć inne możliwości. Gra w karty z nią na nic mu się nie przyda, bo pokazała, że potrafi odparowywać jego cięte uwagi. A czytanie mu na głos…

Zmrużył oczy. Miała talent do wczuwania się w czytane teksty, czyż nie? Doskonale, zatem da jej do przeczytania coś piekielnie interesującego.

Rozdział VI

Chociaż jego lordowska mość żywił kiepskiej wymówki, by wyjść z jadalni, Camilla nie mogła go za to winić. Atmosfera podczas obiadu była znacznie cięższa, niż się spodziewała, i nie tylko on ponosił za to winę. Lady Devonmont wyraźnie postanowiła, że go sprowokuje. Obiad nie był najszczęśliwszym pomysłem.

Tymczasem, gdy wyniesiono tace z deserem, lady Devonmont uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Dziękuję ci.

– Za co?

– Za to, że zjadł z nami obiad.

– Nie zna pani swojego syna zbyt dobrze, skoro sądzi pani, że ktokolwiek mógłby skłonić go do uczynienia czegoś, na co nie miałby ochoty – powiedziała sucho.

– Znam go lepiej, niż myślisz – rzekła zagadkowo hrabina. – Musiałaś powiedzieć mu coś, co go przekonało. Nie uczyniłby tego tylko po to, by sprawić mi przyjemność.

– Jaśnie pani się myli – skłamała Camilla. – Może bywa szorstki, ale jestem przekonana, że na swój sposób bardzo panią kocha.

Cóż innego mogłaby powiedzieć starszej kobiecie, by nie złamać jej serca? Prędzej poszłaby w ogień, niż pozwoliła, by coś zraniło jaśnie panią.

Hrabina westchnęła.

– Może i tak. – Nad czymś myślała, po czym potrząsnęła głową i wstała od stołu. – Pójdziemy powiedzieć chłopcu dobranoc?

– Oczywiście. – Stało się rytuałem, że utulały na noc Jaspera, zanim zasiadły z robótkami lub książką czy inną wybraną na dany wieczór rozrywką.

Kiedy szły po schodach na górę, myślami była daleko. Co jego lordowska mość miał na myśli, mówiąc, że spędzi Boże Narodzenie w Waverly Farm jak zwykle? Camilla wiedziała, że ma krewnych w pobliżu Londynu, ale dlaczego przedkłada spędzanie świąt z nimi nad święta z własną matką? Kusiło ją, by zapytać o to hrabinę, ale nie chciała psuć jaśnie pani radości, że ma go obok choćby na tak krótko.

Pokój Camilli i Jaspera znajdował się na drugim piętrze, obok pokoju nazywanego dziecięcym. Zajmował go poprzednio guwerner hrabiego, lecz już długo nikt w nim nie mieszkał, dlatego hrabina zaproponowała go Camilli. Kiedy przyjechał tu Jasper, hrabina poleciła przerobić łóżko guwernera na łóżeczko dla chłopca, aby matka i syn mogli mieszkać razem.

Było to doskonałe miejsce, by uchronić Jaspera od znalezienia. Pan Fowler często odwiedzał pokoje służby, lecz uważał za dalece niestosowne wchodzić na piętro, gdzie według jego wiedzy mieszkała jedynie Camilla. Pokój ponadto znajdował się dostatecznie blisko pokojów hrabiny.

Kiedy weszły, Maisie na próżno próbowała skłonić Jaspera, by usiadł spokojnie. Podskakiwał na łóżku.

– Pani Beasley powiedziała, że jego lordowska mość jest wielki i straszny – obwieścił. – To prawda?

– Tylko dla chłopców, którzy nie robią tego, co im się każe – stwierdziła Camilla. Było

to oszustwo, jednak nie mogła ryzykować, że hrabia ujrzy Jaspera i wygna go z Montcliff. Złamałoby to jej serce. – Zachowuj się grzecznie.

Jaśnie pani usiadła na łóżku i wzięła Jaspera pod podbródek.

– Już jutro wyjedzie. Zostań z Maisie, dobrze? A jeśli hrabia przypadkiem cię zobaczy i zapyta, kim jesteś, odpowiedz, że synem służącej. Nie zdradzaj nazwiska.

– Ale mama nie jest służącą – zaprotestował.

– Prawdę mówiąc… – zaczęła Camilla.

– Mama jest specjalnego rodzaju służącą, bardzo dla mnie ważną – powiedziała lady Devonmont. – I ty też jesteś dla mnie ważny. Bądź posłuszny i nie pokazuj się hrabiemu aż do jego jutrzejszego wyjazdu. Pozwolę ci wziąć sobie na własność jednego z żołnierzyków, którymi tak lubisz się bawić.

Gdy twarzyczka Jaspera pojaśniała z radości, Camilla się wzruszyła. Hrabina była taka dobra dla chłopca. Tak wyobrażała sobie babcię, której nie miała.

Hrabina nie musiała przecież kupować sobie miłości Jaspera – miała ją już, nawet jeśli o tym nie wiedziała.

– Nie musi pani niczego mu dawać – szepnęła Camilla. – Będzie grzeczny. Zrobi to dla pani.

– Nawet jeśli tak, zasługuje za to na nagrodę. A żołnierzyków w komplecie są setki – jednego nie będzie żal. Pozwól mi go troszeczkę rozpieścić. – Camilla usłyszała nutkę żalu w jej głosie. – Swojego syna nie udało mi się zepsuć.

Camilla zapłonęła ciekawością dlaczego, ale nie była to pora na wyjaśnienia.

Lady Devonmont ucałowała chłopca w czoło, a potem podeszła do drzwi.

– Dziś wcześniej się położę. Miałam bardzo długi dzień.

– Życzy sobie pani, bym jej poczytała?

– Podejrzewam, że zasnę, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki. Od czasu do czasu zasługujesz na wieczór dla siebie.

– Dziękuję. – A więc spotkanie z jego lordowską mością będzie łatwiejsze.

Bardzo chciała wypytać panią o jej burzliwe stosunki z synem. Tymczasem jaśnie pani odmawiała rozprawiania o tym, czemu syn ją zaniedbuje. Nie zanosiło się, by to się zmieniło w wyniku jednego wspólnie spożytego posiłku. Poza tym może łatwiej będzie wydobyć prawdę z hrabiego, zważywszy na to, jak łatwo dawał się prowokować, gdy rozmowa dotyczyła matki.

Camilla zaczęła nucić Jasperowi ulubioną kołysankę, aż zasnął. Gestem przywołała Maisie, by ta wyszła z nią przed drzwi. Najpierw miała zamiar okłamać dziewczynę, potem zaś postanowiła, że lepiej, by ktoś wiedział, dokąd naprawdę idzie. Ufała Maisie, bo dziewczyna uwielbiała Jaspera i traktowała go jak brata.

Pokrótce opowiedziała o układzie zawartym z hrabią, wyraźnie zastrzegając, że nie ma on intymnego charakteru.

– Mimo wszystko wolałabym, żebyś nikomu o tym nie wspominała, nawet służbie, a zwłaszcza hrabinie. Czułaby się zraniona, gdyby się o tym dowiedziała.

– Będę milczała po grób – obiecała szeptem Maisie.

Było pewne, że będzie. Przylgnęła do Camilli z powodu jej szkockiego nazwiska, pomimo iż wiedziała, że to nazwisko po zmarłym małżonku. Nie, z całą pewnością przenigdy nie zdradzi tajemnicy swojej pani, zwłaszcza Anglikom, którzy przeważali w majątku.

– Nie będę tam siedziała do późna, obiecuję – powiedziała Camilla. – Pani tak za nim tęskniła, że nie mogłam nie zgodzić się na jego warunki.

– Rozumiem, szczerze mówię. Wiem, że nie uczyniłaby pani niczego zdrożnego.

– Jeśli Jasper się obudzi i mnie zawoła…

– Zajmę się tym. Nie chcemy, by jego lordowska mość się o nim dowiedział, ani też nie chcemy, aby rozeszły się kuchenne plotki.

Camilla się rozpromieniła.

– Właśnie tak. – Spojrzała na zegar w korytarzu. Było później, niż się spodziewała. – Pora na mnie.

Maisie złapała ją za ramię.

– Proszę uważać. Z takim człowiekiem jak on nigdy nie wiadomo.

– Będę czujna, nie obawiaj się. – Podążyła piętro niżej, gdzie znajdowały się pokoje dla rodziny. Kiedy zbliżyła się do sypialni Pierce'a, poczuła, że ma spocone ręce. Nie wiedziała, co o nim myśleć.

Po pierwszym spotkaniu, kiedy ją strofował i próbował przestraszyć, oczekiwała, że w czasie obiadu będzie dla niej chłodny i oficjalny. Był przecież hrabią. Jej poprzedni chlebodawcy, choć ze znacznie niższym tytułem, traktowali ją protekcjonalnie. Tymczasem, choć oficjalny względem matki, nawet żartował z Camillą, wtedy gdy mowa była o wycinaniu aniołków…

Zdziwiła się, że tak ją zmiękczył. Nie usprawiedliwiało to tego, że odmawiał matce przyjazdu na Boże Narodzenie. Nieważne, jak bardzo był pociągający ze swoim londyńskim wyrafinowaniem i z błyskotliwym dowcipem, wobec hrabiny pozostawał bez serca.

A jaśnie pani zasługiwała na więcej. To jedno zamierzała dziś wieczorem zrobić Camilla – sprawić, by się o tym dowiedział.

Zastukała do drzwi. Gdy je otworzył, serce podskoczyło jej do gardła. Pomimo chłodu w pokoju miał na sobie tylko koszulę z podwiniętymi rękawami i spodnie. Bez kamizelki, fulara czy surduta wyglądał tak zwyczajnie, domowo, że wytrąciło ją to z równowagi, wzbudzając dawno pogrzebane wspomnienia.

Trudno jej było nie dostrzec jego robiącej wrażenie szerokiej piersi, wyraźnie zarysowanej pod koszulą. Ani też szerokich ramion. Nie wspominając o obnażonych muskularnych przedramionach, rękawy koszuli miał bowiem podwinięte do łokci.

Jak mogła zwracać uwagę na takie rzeczy? Jaką robiło jej różnicę, że koszulę miał rozpiętą na piersi? Dlaczego nie mogła oderwać wzroku od jego kusząco odsłoniętej skóry?

Ponieważ od dawna nie przebywała z mężczyzną ubranym po domowemu.

Zakłopotana popatrzyła na jego twarz. Trzymał kieliszek brandy, z którego upił, nim odsunął się, by ją wpuścić.

– Zastanawiałem się już, czy zapomniała pani o naszym pakcie – zażartował.

Przeszła blisko niego, świadoma, że podąża za nią wzrokiem. Pachniał alkoholem i cygarem. Nie przywykła do tego, jej mąż Kenneth nie palił ani nie pił mocnych trunków. Powinno ją to odpychać.

Niemniej było w tym coś… nie do opisania męskiego. A dla kobiety, która miesiącami większość czasu spędzała ze starszą panią, młodziutką pokojówką i dzieckiem, była to raczej odświeżająca odmiana. Odrobinę zbyt odświeżająca dla jej równowagi.

Odsunęła się, by zwiększyć odległość między nimi.

– Może pan zapomniał, że wieczorami mam też inne obowiązki. Z pewnością nie chciałby pan, bym powiedziała pana matce, że muszę ją opuścić, bo wybieram się do pana sypialni.

– Oczywiście, że nie. – Odszedł, by dołożyć drewna do kominka. – Trzyma panią do późna każdego wieczoru?

– Ledwie dziesiąta. Często siedzimy dłużej. Jestem rada dotrzymywać towarzystwa hrabinie bez względu na to, jak późna jest pora. – Posłała mu surowe spojrzenie. Chciała sprowokować go do uchylenia rąbka tajemnicy na temat tak chłodnych relacji z hrabiną. – To, że pan raczy uważać matkę za nieprzyjemne towarzystwo, nie oznacza, że i ja tak myślę.

– Nie chodzi o to, że uważam towarzystwo matki za nieprzyjemne – rzucił gniewnie. – Chodzi o to – przerwał. – Nieważne. To nie ma znaczenia.

Westchnęła. Spróbowała podejść go inaczej.

– Przy obiedzie nie dało się nie zauważyć, że zawiodła pana, nie żądając pieniędzy.

– Nie mam wątpliwości, że to pani ostrzegła ją o moich podejrzeniach.

– Przyrzekam z ręką na sercu, że nic podobnego – powiedziała sztywno. – Chociaż myślę, że powinien jej pan dać szansę, by…

– Wyjaśnijmy sobie jedno… – Pochylił się nad nią z grymasem niezadowolenia na twarzy. – Rozmowa o matce nie jest dla mnie rozrywką. Jeśli zatem zamierza pani spędzić wieczór, próbując naprawić nasze stosunki, radzę zmienić plany. Nie będę rozmawiał z panią o matce.

– Ale…

– Ani słowa więcej. Jeśli, rzecz jasna, chce pani zachować posadę. Zrozumiano?

Sapnęła niezadowolona. Przyjdzie jej oszaleć przez tego człowieka. Jakże miała odkryć cokolwiek, gdy i on, i jego matka zaparli się oboje w uporze? Musiała użyć subtelniejszych metod.

Milczała, więc popatrzył na nią chmurnie.

– Rozumiemy się, pani Stuart?

– Nie mam stępiałego słuchu – burknęła opryskliwie. – Ani też nie brakuje mi niczego na umyśle.

Rozpogodził się i obdarzył ją lekkim uśmiechem.

– Przekonamy się.

– Z pewnością, milordzie.

– Nie ma potrzeby, by zwracała się pani do mnie tak oficjalnie, gdy jesteśmy sami – powiedział, przeciągając głoski. Opadł na pokryty miękką tapicerką fotel przy kominku i pociągnął kolejny łyk brandy. – Może mówić pani do mnie Devonmont, jak czynią to moi przyjaciele. Albo też kochanie.

Przewróciła oczami.

– Ustaliliśmy już, że nie będziemy się wdawać w… w ten rodzaj przyjaźni, sir.

– Tak. – Popatrzył na nią z przesadnym żarem, co wyraźnie było obliczone na to, by ją sprowokować.

– Jaka szkoda.

– Proszę mi powiedzieć, czy wiele kobiet dobrze reaguje na tak łatwą do przejrzenia intencję dostania się pod ich spódnice?

– Prawdopodobnie tyle samo, ilu dżentelmenów czmycha przed tak łatwą do przejrzenia intencją zreformowania ich postępowania.

Uśmiech zaigrał na jej ustach. Przedtem nie próbowała reformować chlebodawcy. Miał w sobie coś, co zbudziło w niej chochlika.

– Pan nie czmycha.

– Nie muszę. Nie nadaję się do zreformowania, a zatem to mnie nie przeraża. –

Podniósł kieliszek, udając, że wznosi toast. – A pani opiera się moim próbom dostania się pod spódnice. Jesteśmy równi.

Tylko dlatego, że jeszcze nie podjął żadnej poważnej próby. Dzięki Bogu. Gdyby to uczynił, mogłoby być jej trudno się oprzeć.

Rozejrzała się po pokoju, który aż do dziś był zamknięty. Jak wiele podobnych w wiejskich dworach nazywany był czerwonym, choć wewnątrz nie było nic czerwonego. Widocznie był czerwony na przykład sto lat temu, a nazwa doń przylgnęła pomimo zmiany wystroju. Obecnie zasłony i narzuty były pokryte lazurowym nadrukiem, a i ściany pomalowano na lazurowo.

Wyposażony był w imponujące łoże z baldachimem oraz dwa głębokie fotele przy kominku, oddzielone stolikiem. Pod ścianą mieściła się biblioteczka. Obok – wielkie okno z widokiem na łąki.

– To w tym pokoju spędził pan dzieciństwo? – Jeśli tak było, to dziwne, że został ogołocony z wszelkich szkolnych akcesoriów – jak globus, teleskop, czy też magazyny sportowe. Nic, tylko parę książek. Dziwne, zważywszy na jego obsesję powiększania biblioteki w pałacu Montcliff.

– Nie – rzekł cierpko. – Moim pokojem był dziecięcy na samej górze.

– Oczywiście, póki pan nie podrósł. Niemniej po pójściu do szkoły musiał pan mieć przecież…

– Zdecydowałem się na rodzaj rozrywki na dzisiejszy wieczór – przerwał.

Wzruszyła ramionami i podeszła do niego.

– Cóż to za rozrywka?

Z podejrzanym błyskiem w oku sięgnął po książkę leżącą na stoliku.

– Skoro matka twierdzi, że świetnie pani czyta, pomyślałem, że przeczyta mi pani coś na głos.

Sposób, w jaki to powiedział, skojarzył jej się z Jasperem, kiedy chłopiec myślał, że zaraz ją przechytrzy jakąś sztuczką.

Czujna, usiadła w fotelu naprzeciwko i wzięła do ręki książkę. Założyła okulary, żeby lepiej widzieć okładkę. *Fanny Hill. Zwierzenia kurtyzany*.

Kurtyzany? Masz ci los!

Czuła na sobie wzrok hrabiego. Przeczuwała, że czeka, by uczyniła gest niechęci czy przestrachu. Pragnienie pokrzyżowania mu planów było zbyt silne, by się mu oprzeć.

Otworzyła książkę i przeczytała tytuł pewnym i dźwięcznym głosem, który zdziwił ją podobnie jak i jego. Następnie przełożyła kartkę i zaczęła czytać tekst:

Pani,

zasiadam, by dać ci, pani, niezaprzeczalny dowód tego, że twe pragnienie jest dla mnie niecierpiącym zwłoki rozkazem. Przywołam zatem w pamięci wizje najbardziej skandalicznych etapów mojego życia, a choć zadanie to nader niewdzięczne…

– Pani naprawdę ma zamiar to przeczytać! – przerwał.

Powstrzymała się od uśmiechu, po czym podniosła wzrok.

– Wszak mnie pan o to poprosił, prawda?

– Naturalnie. Zatem proszę czytać.

Czytała. Były to wspomnienia dziewczyny ze wsi, która wybrała się do miasta, szukając szczęścia, i wpadła w sidła podejrzanie przyjaznej starszej od siebie kobiety. Camilla natychmiast rozpoznała w starszej postaci stręczycielkę. Nie na próżno

pomagała mężowi pastorowi w jego pracy w Spitafields. Doskonale wiedziała, jak łatwo omamić naiwne dziewczęta.

Narratorka jednak, relacjonując początki własnego upadku, zdawała się nimi nadmiernie nie martwić. W istocie nie miała poczucia wstydu.

Camilla uznała to za fascynujące. Lektura ją wciągnęła, kiedy jego lordowska mość się odezwał:

– Możemy przerwać, jeśli sobie pani życzy.

Popatrzyła w górę: był zaniepokojony.

– Ależ skądże znowu. Przeczytałam ledwie dziesięć stron.

– Wątpię, czy spodoba się pani to, co teraz się stanie.

Czuł się bardzo niezręcznie na myśl o tym, że Camilla będzie czytać dalej. Nie mogła się powstrzymać przed prowokacją.

– Nonsens. To akurat książka, do której lubię wracać – skłamała beztrosko.

Zabrzmiało to nie dość szczerze, zmierzył ją bowiem sceptycznym spojrzeniem. Rozparł się wygodnie w fotelu.

– A jaki jest pani ulubiony fragment?

Oceniła pośpiesznie objętość książki i zaryzykowała:

– Strona dziewięćdziesiąta szósta.

Uniósł brwi zdziwiony.

– Proszę więc koniecznie przeczytać na głos.

– Tak, milordzie.

Jak dotychczas nie było w treści nic specjalnie szokującego, zatem bez obaw jęła przewracać kartki do żądanej strony.

Strona dziewięćdziesiąta szósta nie zawierała tekstu. Zamiast słów widniała na niej ilustracja, tak realistyczna, że zabrakło jej tchu.

W pościeli leżała kobieta, obnażona od pasa w dół, z rozchylonymi nogami, gotowymi na przyjęcie mężczyzny, którego nadmiernie wielkie genitalia, również zupełnie obnażone i oddane wiernie w najdrobniejszych szczegółach, wyskakiwały ze spodni. Kobieta trzymała je w ręce, zdając się… oceniać ich rozmiar.

Doświadczenie Camilli nie przygotowało jej na tak dosadne ukazanie cielesności.

– Proszę czytać – zachęcił hrabia, widząc jej wahanie.

Policzki jej spąsowiały.

– Nie mogę. – Podniosła ku niemu osłupiały wzrok. – Tutaj nie ma słów. Tylko… obrazek.

Pobladł. Wyrwał jej z rąk książkę, po czym popatrzył przerażony.

– A niech to wszyscy diabli! Wydanie ilustrowane.

Rozdział VII

Gdyby Camilla nie była aż tak upokorzona, roześmiałaby się.

– Wiedział pan o tym!

– Niezupełnie. – Gdy popatrzyła z niedowierzaniem, zamknął książkę i ją odłożył. – Dopiero zdobyłem to wydanie wśród pięćdziesięciu książek okazyjnie kupionych na aukcji. Nie przejrzałem żadnej. A wydanie, które mam w Londynie… nie jest ilustrowane.

– Ma pan dwa wydania czegoś takiego?

Zmrużył oczy.

– Nie powinno to pani dziwić. Pani ją też często czyta, już pani nie pamięta?

Gra wyraźnie się rozpoczęła.

– Doskonale pan wie, że nigdy nie czytałam takiej książki. – Popatrzyła na niego z potępieniem. – A jeśli ilustracje do niej tak wyglądają, drżę na myśl, co może być w tekście.

– Nie ma pani pojęcia – sapnął poirytowany. – Pani, *madam*, jest najbardziej upartą kobietą, jaką spotkałem. Gdyby nie ten obrazek, ciekawe, jak daleko posunęlibyśmy się w czytaniu, nim by pani cisnęła książką w moją głowę.

– Nigdy nie cisnęłabym jej panu w głowę, milordzie. – Zadarła podbródek. – Cisnęłabym ją w ogień.

– Wtedy ja skróciłbym panią o głowę. Zdobycie egzemplarza jest piekielnie trudne. Wydano ich tylko parę setek.

– O tak! I wiadomo dlaczego – skwitowała oschle. – Ilustracje są bardzo marnie zrobione.

Roześmiał się serdecznie.

– W rzeczy samej. Może powinniśmy wybrać inną książkę. – Zobaczyła błysk w jego oku. – Z ilustracjami lepszej jakości.

– Albo też tekstem o lepszej jakości – odcięła się. – Poezję na przykład. – Gdy jęknął, dodała: – *Don Juan* lorda Byrona powinien być dla pana w sam raz. Lub coś z wierszy lorda Rochestera[2]. Jak mi się zdaje, jest w nich mnóstwo nieprzyzwoitości.

– O, z pewnością. – Podniósł kieliszek, by dolać sobie brandy. – Tyle że nie ma w nich ilustracji.

Zmusiła się do przybrania surowej miny.

– Pan, sir, jest nikim innym, jak tylko wyrośniętym chłopcem.

– W rzeczy samej – potwierdził bez cienia skruchy. – Tak się dzieje, jeśli mężczyzna został pozbawiony dzieciństwa, które może wspominać. Musi to później nadrobić.

Gdy wstrzymała oddech – znów odkrywał coś ze swej przeszłości – zorientował się, co powiedział, i dodał:

– W jaki sposób tak dobrze wychowana kobieta jak pani dowiedziała się o *Don Juanie*? Albo o wierszach lorda Rochestera?

– Nie jestem aż tak dobrze wychowana. Jak pan wie, wychowywałam się w londyńskim sierocińcu.

– I tam karmili panią niecenzuralną poezją? – Zaryzykował dowcip.

– Oczywiście, że nie. O gorszącym poemacie *Don Juan* lorda Byrona dowiedziałam się

z prasy.

– Ach, więc właściwie nie przeczytała go pani.

– Nie sądzę, bym miała tę przyjemność, milordzie – rzekła poważnie.

– Proszę mi wierzyć, że gdyby pani przeczytała, toby pani pamiętała. – Podniósł brew.

– Pan czytał?

– Mam egzemplarz. Nie mam za to wierszy lorda Rochestera. Jak pani je dostała?

Zaczerwieniła się.

– Nie dostałam. Kiedy służyłam jako dama do towarzystwa pewnej starszej pani, której wnuk był kawalerem, dał mi dostęp do swojej biblioteki, która zawierała parę… wątpliwych zbiorów wierszy.

– A pani postanowiła je przeczytać?

– Przecież nie wiedziałam, że są gorszące, póki ich nie przeczytałam. – Skrzywiła się. – A tak się składa, że lubię wiersze. Przeczytałam wcześniej parę przyzwoitych wierszy lorda Rochestera i nigdy bym nie przypuszczała…

– Że był aż tak sprośny?

– Właśnie. – Dokończyła kwaśno: – Widocznie nie jest pan jedynym hrabią rozpustnikiem.

– Wróciliśmy do punktu wyjścia. – Pociągnął kolejny łyk brandy, po czym spojrzał na nią poważnie znad kieliszka. – A skoro o tym mowa, czy ów kawaler z niecenzuralną biblioteką zachował się przy pani jak rozpustnik?

– Nie bardziej niż pan.

– Przy pani jestem nieskazitelnym dżentelmenem. Jak na mnie.

– Próba szantażu, by zaciągnąć mnie do łoża, a potem zmuszanie mnie do czytania nieprzyzwoitej literatury to nie jest zachowanie dżentelmena.

– Tak czy siak, to z pewnością zabawne – zauważył.

Przewróciła oczami.

– Odpowiadając na pana pytanie, wnuk kawaler nigdy mnie nie dotknął. Po pierwsze, żył w strachu, że babka odetnie go od spadku. A po drugie, bezustannie zalecał się do dam z dużymi majątkami.

– Ach tak. A dlaczego pani opuściła posadę?

– Babka zmarła. – Camilla była wtedy rozdarta pomiędzy bólem a ulgą. Z jednej strony, nie miała ochoty szukać nowej pracy, ale z drugiej – miała dość nieprzyjemnej i bardzo krytycznej lady Stirling. – Nie był on, mimo wszystko, nawet w połowie tak nikczemny jak dżentelmen, który potem mnie zatrudnił do towarzystwa dla swojej owdowiałej siostry. Ten chciał zmusić siostrę do małżeństwa z markizem dwa razy od niej starszym po to, by umożliwić sobie wejście do kręgów politycznych i przyspieszyć karierę.

– Udało mu się?

– Uciekła z jego najlepszym przyjacielem – skrzywiła się. – Nie mógł winić za to mnie, bo to on pchnął ich ku sobie. – Jej uśmiech zbladł. – Niestety, przestałam być wtedy potrzebna. I tak trafiłam tutaj.

Napił się znów brandy.

– Ciągle zapominam, że to nie jest pani pierwsza posada. To dlatego byłem tak zaskoczony, gdy zobaczyłem, jaka pani jest młoda.

– Nie jestem taka młoda. Niedługo skończę dwadzieścia osiem lat.

– Wielce zaawansowany wiek, rzeczywiście – zauważył sarkastycznie.

– Jestem tylko trzy lata młodsza od pana – wytknęła.

Kącik jego ust drgnął.

– To prawda, ale z mężczyznami jest inaczej. Widzimy więcej świata w wieku trzydziestu jeden lat niż kobieta przez całe życie.

– Proszę mi uwierzyć, że widziałam już dość świata.

Umilkł zamyślony.

– Dwadzieścia siedem lat. I już trzecia posada. Musiała pani bardzo wcześnie wyjść za mąż.

Ta uwaga wzmogła jej czujność.

– Miałam dość lat.

– Ile?

– A dlaczego to pana interesuje?

– Pracuje pani dla mnie. Mam prawo wiedzieć więcej o pani życiu. – Kiedy się nastroszyła, powiedział o ton łagodniej: – Poza tym dlaczego wiek pani w dniu zamążpójścia miałby być tajemnicą? Czyżby miała pani dziesięć lat, gdy sprzedano panią z sierocińca jakiemuś dziewięćdziesięciolatkowi?

– Proszę nie pleść głupstw. Miałam dziewiętnaście lat. A sierociniec był bardzo przyzwoity. Pracowałam w nim nawet, zanim wyszłam za mąż.

– Ach tak, więc tam poznała pani męża.

– Tak – przyznała ostrożnie, niepewna, czy chce mówić przy nim o Kennecie. – Odprawiał mszę dla dzieci, a ja mu pomagałam.

– A on się zakochał. – Było to powiedziane uszczypliwie. Gdy zwlekała z odpowiedzią, poprawił się:

– Albo może nie?

Poczuła się niezręcznie, tak przepytywana, wstała więc i podeszła do biblioteczki.

– Może chciałby pan, żebym panu jeszcze coś przeczytała?

Odstawił kieliszek i także wstał.

– Nie życzy sobie pani mówić o swoim małżeństwie. Ciekawe dlaczego.

Spojrzała mu w twarz.

– Może z tego samego powodu, dla którego pan nie chce rozmawiać o swoich stosunkach z matką. To prywatna sprawa.

Zdawał się nie słyszeć.

– Mąż panią źle traktował? – zapytał ostro. – Dlatego nie chce pani o nim rozmawiać?

– Skądże znowu! – odparła, wzburzona na samą myśl. – Pan spodziewa się po ludziach najgorszego, prawda? Był przecież pastorem, na litość boską!

– To nic nie znaczy. – Powiedział to obojętnym tonem. – Mężczyzn, którzy źle traktują kobiety, można znaleźć we wszystkich kręgach społecznych, proszę mi wierzyć.

– Mój małżonek nie traktował źle nikogo. Był orędownikiem biednych i chorych.

– Tyle tylko, że nie kochał? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Pani pozwoli, że zgadnę. Zobaczył panią w sierocińcu i uznał za idealną pomoc w swojej pracy.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Skąd pan wie?

– Przeciętny bojownik traktuje kobiety jako narzędzie w swej misji.

– To byłaby zbyt mądra konkluzja jak na ledwie dojrzałą pannę.

Przeszedł po pokoju i oparł się o kolumnę łoża.

– Dzieci często obserwują otoczenie z większą uwagą, niż wydaje się dorosłym.

– Kolejna zbyt mądra uwaga – rzekła.

– Miewam dobre chwile. – Skrzyżował ręce na piersi.

– Więc jak to się stało, że skończyła pani w małżeństwie z pastorem, orędownikiem

ubogich i chorych? Wygląda pani na kobietę, która mogłaby wyjść za mąż jedynie z miłości. – Jego oczy lśniły w blasku świec niczym obsydian. – Powiedział pani, że pani nie kocha? Czy udawał, że jest zakochany, dopóki nie zakuł pani w małżeńskie kajdany?

– Jest pan bardzo wścibski.

– Jeśli nie ma pani nic do ukrycia, dlaczego się pani martwi?

Wolała mu nie wyjawiać swoich najtajniejszych sekretów. Miała nadzieję, że zadowoli go mniej istotnymi.

– Jeśli już musi pan wiedzieć, niczego nigdy nie udawał. Przez parę lat byliśmy przyjaciółmi, nim się oświadczył. Powiedział, że potrzebuje kobiety z moimi umiejętnościami, a ja dostanę w zamian dom i rodzinę. Dlatego zaproponował… – przerwała. – Zupełnie nie wiem, dlaczego panu to mówię, skoro nie opowiadałam o tym nawet pańskiej matce. Ona jednak nigdy nie posunęła się do takiej natarczywości w wypytywaniu mnie o cokolwiek.

– Nie, ponieważ matki nie interesuje los innych, prócz jej własnego.

– To nieprawda! – Popatrzyła na niego ponuro. – To bardzo dobra, myśląca o innych i…

– Proszę nie zmieniać tematu – odparował. – Mówiła pani, że pastor zdobył się na oświadczyny ze względów praktycznych. Proszę mówić. Nie powiedział niczego romantycznego, co by sprawiło, że pani je przyjęła?

A niech go. Będzie naciskał póty, póki nie dowie się wszystkiego. A odmowa oznacza ryzyko, że zacznie grzebać zbyt głęboko w jej przeszłości. Nie mogła na to pozwolić.

– Kenneth nie był romantykiem – powiedziała cierpko. – Jeżeli żywił do mnie uczucia głębsze niż przyjacielskie, nigdy mi ich nie wyznał. Dla niego nasze małżeństwo było rynkową wymianą usług.

– To brzmi bardzo chłodno, nawet dla mnie, choć zdecydowanie nie jestem romantykiem.

– To dopiero zaskoczenie – mruknęła.

– I co? Była to uczciwa wymiana?

Poprawiła okulary.

– Całkiem uczciwa, ale trzy lata po ślubie zawiodło go serce i zostawił mnie samą.

– Ach, teraz rozumiem. Poślubiła go pani, bo był starszy, dojrzalszy…

– Wyszłam za niego, bo się oświadczył – powiedziała wprost, zagniewana, że hrabia uzurpował sobie prawo do całej wiedzy, podczas gdy wiedział zbyt mało. – Był tylko o parę lat od pana starszy. Doktor powiedział, że czasami tak się dzieje, nawet z mężczyznami młodymi i zdrowymi. Jednego dnia Kenneth czuł się doskonale, a następnego umarł. – Zostawił ją z niemowlęciem, niewielką sumą pieniędzy i smutkiem.

Zmartwienie musiało odmalować się na jej twarzy, bo powiedział:

– Kochała go pani.

Hrabia zupełnie nic nie pojmował, ale nie zamierzała mu tłumaczyć, jak pogmatwane bywa małżeństwo, w którym nie ma miłości, ale jest dziecko. Pragnęła zbudować rodzinę, a znalazła się w mało zadowalającym związku z mężczyzną, którego prawie nie znała. Odwróciła się na pięcie i znów podeszła do biblioteczki.

– Jeśli mamy dziś jeszcze poczytać, musi pan wybrać inną książkę…

– Była pani zakochana w mężu – drążył. Odszedł od kolumienki łoża i zbliżył się do niej. – Dla pastora było to małżeństwo dla wygody, ale nie dla pani, prawda?

Postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Przesuwała palcami po grzbietach książek na półce.

– Widzę tu powieść Henry'ego Fieldinga, podobno bardzo dobrą – rzuciła stanowczo.

– Proszę to przyznać! – Złapał ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. – Kochała pani męża.

– Nie, nie kochałam! – Oswobodziła się z jego uchwytu, ale on nie spuszczał z niej wzroku. – Opłakiwałam go szczerze, ale go nie kochałam. – Była to najbardziej żenująca rzecz w jej życiu. – Chciałam go kochać. Myślałam, że kiedy się pobierzemy, coś do niego poczuję, ale nigdy… Nie potrafiłam…

Patrzył na nią uporczywie, świdrował ją wzrokiem.

– Niech się pani o to nie wini. Romantyczna miłość nie jest pisana wszystkim.

To stwierdzenie ją rozzłościło.

– Uważa pan, że kobieta taka jak ja niezdolna jest do miłości.

Oburzył się.

– Tego nie powiedziałem.

– Uważa pan, że kobieta bez środków do życia jest zwierzyną łowną dla każdego mężczyzny z pieniędzmi – ciągnęła zapalczywie.

Wyglądał tak, jakby go czymś dźgnęła.

– Ależ nic podobnego!

– Nie? Wyszłam za mąż, by uciec z sierocińca i uniknąć losu starej panny. – Gdyby dodała, że też po to, by zyskać rodzinę, zabrzmiałoby to żałośniej. – Pan twierdzi, że matka wyszła za mąż dla pieniędzy. Żadna z nas nie uczyniła tego z miłości, a zatem nie różnię się od niej wcale.

– To nieprawda – odciął się. – Nie poślubiła pani człowieka z pieniędzmi i pozycją, o którym wiedziała pani, że będzie się piął wyżej. Zawarła pani układ z człowiekiem, który nie wyznał pani miłości…

– A skąd pan wie, że ona nie uczyniła tego samego? – Kiedy obrzucił ją groźnym spojrzeniem, podniosła dumnie głowę. – Nie wie pan, co naprawdę zrobiła, czyż nie? Nigdy nie poznał pan wszystkich okoliczności jej postępowania, lecz wydał pan wyrok, prawda?

Trafiła w czuły punkt, przybrał wysoce obojętną minę.

– Nie będę rozmawiał o matce.

– Pewnie, że nie. Okazałoby się, że nie zna jej pan tak dobrze, jak pan sądzi. I że się pan myli…

– Cicho! – ryknął. – Nie będę o tym rozmawiał z panią!

– Jest pan gotów usprawiedliwić mnie, osobę, której prawie pan nie zna – ciągnęła, obojętna na fakt, że prowokowanie go to lekkomyślność – ale nie chce pan usprawiedliwić własnej matki, która wydała pana na świat i wychowała.

– Ona nie… – powstrzymał się. – Nic pani nie wie, do diabła!

– Nie wiem? To proszę mnie oświecić! Jak inaczej się dowiem, skoro nie od pana?

– Jeśli nie przestanie pani mówić o niej, ja…

– Co pan zrobi? Zwolni mnie pan, tak? Ucieknie do Londynu, gdzie jest bezpiecznie? Tyle że wcale nie jest, prawda? Nawet ja, osoba zupełnie obca, widzę tę zaciskającą się pętlę, która dusi pana coraz bardziej, z każdym dniem…

– Do licha z panią! – Złapał ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć. – Niech panią wezmą wszyscy diabli!

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

Wtedy ją pocałował. Mocno. Żarliwie. W same usta.

Zdumiało ją to. Odskoczyła i patrzyła na niego z otwartymi ustami.

– Co to, na litość boską, miało znaczyć?

– Chciałem zamknąć pani usta – wyjaśnił i oczy mu zabłysły. Zatrzymał wzrok na jej wargach, po czym zdjął jej okulary i rzucił je na łoże. – Ten wszakże będzie już dla mnie…

Drugi pocałunek był objawieniem. Już samo to, że ją całował, było objawieniem. Mężczyźni jej nie całowali.

Oczywiście Kenneth robił to, kiedy przychodził do jej łóżka, lecz jego całusy były niedbałe, bez fantazji. Szybko zmierzał do celu.

Pocałunek hrabiego był odmienny: zaborczy, lecz przekonujący, namiętny i ożywczy. Jego przesiąknięty aromatem brandy oddech oszołomił ją. Nie mogła zebrać myśli. Dłonie trzymał w jej włosach i całował ją władczo.

A kiedy pocałunek pogłębił się, mimowolnie jęknęła. Zapomniała już, jak dobrze być w objęciach mężczyzny, pod pocałunkiem mężczyzny, nawet jeśli ów mężczyzna jej nie kocha. A ten pocałunek obiecywał coś więcej. Był władczy, budził dreszcz…

Wzięła się w garść. Naturalnie uwodziciele zawdzięczają swoją reputację takim właśnie pocałunkom.

Na myśl o tym się odsunęła.

– Nie powinien pan…

– Do licha z tym, czego nie powinienem. – Oburącz ujął jej głowę i zajrzał jej prosto w oczy. Spojrzenie miał nieprzytomne. – Nawet ja to wiem, co jednak nie chroni mnie przed pożądaniem tego. I ty też mnie pragniesz.

Jak to odgadł?

Zapewne dlatego, że pozwoliła mu kilkakrotnie się pocałować. Obejmowała go wtedy wpół tak mocno, jakby tonęła.

Oderwała od niego dłonie.

– Milordzie…

– Nie nazywaj mnie tak. – Pochylił głowę i zbliżył usta do jej ust. – W tym pokoju są tylko Pierce i Camilla, rozumiesz?

Nie rozumiała, dlaczego kiwnęła głową. Przyjął to jako zaproszenie. Wziął głęboki oddech i znów ją pocałował.

Rozdział VIII

Pierre wiedział, że to, co robi, jest nierozważne. Chociaż był rozpustnikiem i miał na sumieniu tysiące gorszących czynków, nie napastował kobiet, które zatrudniał. Nie podszczypywał pokojówek ani nie obmacywał ukradkiem ochmistrzyni. Nie całował się także z matczynymi damami do towarzystwa.

Tyle że teraz właśnie się całował i nie wyglądało na to, by potrafił przestać.

Nie pomagało mu, że odwzajemniała pocałunek. Ani to, że wiedział, iż była wdową, że nie kochała męża. Poza tym uznał tę kobietę za bystrą i podniecającą z powodu zalet, którymi się odznaczała.

Pożądał jej. Miała piękną duszę. Pragnął ją wziąć nieśpiesznie, ale z żarem, tak by krzyczała z rozkoszy. Pachniała miodem, smakowała cynamonem. To pobudzało jego zmysły.

Popatrzyła na niego szczęśliwymi oczami, które zdawały się dostrzegać więcej, niż na to pozwalał.

– To tak zazwyczaj uciszasz kobiety?

Musnął ustami jej policzek.

– Wcześniej nie musiałem tego robić – wyszeptał jej do ucha.

– Czyżbym była jedyną kobietą, która cię dręczy? – spytała sceptycznie, po czym westchnęła, kiedy uszczypnął zębami płatek jej ucha.

Była jedyną, która dręczyła go z powodu matki. Może dlatego, że nie dopuścił żadnej na tyle blisko, by dowiedziała się o jej istnieniu.

– Jedyną, której nie da się uciszyć słowami – szepnął i pocałował ją w szyję. – Albo groźbą, że odtrącę jej natarczywe awanse.

Zaczęła płytko dyszeć.

– Znasz tylko kobiety o słabej woli.

– Albo też bardzo zachłanne – powiedział oschle. I pocałował ją, by mu nie wypomniała oczywistości – że ma różne kryteria dla kobiet i mężczyzn, jeśli chodzi o pieniądze. Gdy mu to pierwszy raz wytknęła, bardzo go to rozzłościło.

Poza tym chciał ją całować. Całowała jak kobieta nieświadoma swojej zmysłowości. Większość miała tę świadomość, nawet dziewice. Pragnął ją tego nauczyć.

Zilustrować. Starannie wyjaśnić. Raz za razem, żeby pojęła wreszcie, że od kiedy przed nim stanęła, wiedział, że ma przed sobą jedną z tych rzadko spotykanych kobiet rozumiejących, jak prowadzi się tę grę… a potem grających w nią wedle własnych zasad.

Pragnął jedynie złamać wszystkie zasady, nawet swoje. Z nią. Teraz. W tym łożu.

Dlatego nakrył dłonią jej pierś i pieścił tak długo, aż poczuł pod tkaniną stwardniały sutek. Na chwilę poddała się pieszczocie. Pragnął zedrzeć z niej suknię, by pieścić językiem jej krągłe miękkie piersi, aż Camilla zacznie wzdychać z rozkoszy.

Kiedy jednak sięgnął do zapięcia sukni na plecach, zamarła i odsunęła jego rękę.

– Nie!

Pozbawione okularów oczy Camilli zalśniły kobaltowym błękitem w świetle rzucanym przez ogień z kominka. Usta miała spuchnięte i czerwone od pocałunku, a pierś jej falowała przyspieszonym oddechem.

– Tego nie było w naszej umowie.

Nie było, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to nie umiał zmusić się do jej dotrzymania.

– A powinno – wychrypiał. Pożądał jej, krew szybciej krążyła mu w żyłach.

Jej ruchy nabrały ostrożności, gdy zbliżyła się do łoża, by wziąć okulary i włożyć je.

– Nie pozwolę się uwieść tylko dlatego, że chcesz sobie coś udowodnić.

Te słowa rozzłościły go.

– Uważasz, że o to chodzi?

– Masz ochotę na kobietę, a ja jestem pod ręką, to wszystko.

– Nie dość blisko – powiedział prowokująco i wyciągnął po nią rękę. Przebiegła przez pokój i stanęła za fotelem.

Och, na miłość boską… Trudno, by gonił za kobietą, skacząc po meblach. Wystarczy, że przybrała postawę obronną tylko na skutek pocałunku i jednej niewinnej pieszczoty.

Jednej oszałamiającej niewinnej pieszczoty, która sprawiła, że zapragnął więcej…

Do diabła z tym! Nie wolno mu tego robić.

Stał, ciężko dysząc. Starał się odzyskać panowanie nad sobą. Co w ogóle sobie myślał? Pracowała dla niego. Nie próbował uwodzić żeńskiej służby. Nie była nawet w jego typie! Lubił kobiety wysokie, jasnowłose i myślące głównie o sobie, takie, które nie interesowały się jego sekretami.

Do licha, co mu się stało?

Był zwyczajnie znudzony, samotny i miał temperament. Nie pofolguje pożądaniu dla naprzykrzającej się kobiety. Mogłaby wciągnąć go w coś, czego by potem żałował.

Oparł się o biblioteczkę, skrzyżował ręce na piersi i siłą woli uspokoił oddech. Przybrał maskę uwodziciela, wydawała mu się najbezpieczniejsza i najwygodniejsza.

– Doskonale – stwierdził przeciągle. – Zrobimy to po twojemu. – Taksował ją pożądliwym wzrokiem.

– Chociaż nie powiem, że się z tego cieszę.

– Nie uczynimy mądrze, jeśli…

– Jestem tego świadomy. – Rzucił jej chmurne spojrzenie. – Dałem się porwać chwili. To się nie powtórzy.

W jej szeroko otwartych, pięknych oczach czaiła się niepewność.

– Powiedział pan, że jeśli posunę się o centymetr, pan posunie się o kilometr. Wtedy nie myślałam, że bierze to pan poważnie, ale…

– Sądzę, że ustaliliśmy, że mówiłem poważnie. – Odszedł od biblioteczki. Zauważył, iż Camilla znieruchomiała, gotowa do skoku. Zatrzymał się.

– Teraz jednak odzyskałem panowanie nad swoją chucią, zapewniam panią.

Skinęła głową.

– Jak przypuszczam, powinnam wybrać panu lekturę.

– Nie, może pani odejść – rzekł tonem, którym zazwyczaj zwalnia się służbę. Na jej zaskoczone spojrzenie dodał: – Odbyłem dziś długą i forsowną podróż. Nawet tak nikczemny człowiek jak ja się męczy.

Tymczasem wcale nie dlatego chciał zakończyć ten wieczór. Ani też nie dlatego, że nie mógł jej mieć w łożu. Prawda była taka, że im dłużej mierzyła go głębokim, sondującym spojrzeniem, tym bardziej niezręcznie się czuł.

Jeśli odgadła, nie dała tego po sobie poznać. Na jej twarzy odmalowała się tylko ulga.

– Dziękuję, Pierce. Ja też jestem zmęczona.

Zwróciła się do niego po imieniu, dziwnie się z tym poczuł. Nikt, poza rodziną, nie

mówił do niego Pierce. Nawet jego kochanki mawiały do niego Devonmont albo milordzie. Żałował, że nie zaproponował jej zastosowania tej zasady. Kiedy usłyszał, jak wymawia jego imię, poczuł się bezbronny. Nie miał jednak zamiaru zmieniać zasad, by nie zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak zdecydował.

– Proszę bardzo – powiedział krótko. A kiedy podeszła do drzwi, wyraźnie pragnąc jak najszybciej zniknąć mu z oczu, dodał: – Jutro wieczorem zagramy w pikietę.

A niech to wszyscy diabli, po co to powiedział?

Odwróciła się do niego. Patrzyła czujnie.

– Myślałam, że rankiem wyjeżdżasz do Londynu.

Tak planował, póki nie zobaczył, jak się uradowała, że może już pójść, i jak przestraszyła, że mógłby rzucić ją na łóżko i wziąć siłą. Co by było tylko odrobinę gorsze od jej sposobu patrzenia na niego: jakby rozumiała rzeczy, których zrozumieć nie mogła.

Zwolni mnie pan, tak? Ucieknie do Londynu, gdzie jest bezpiecznie? Tyle że wcale nie jest, prawda? Nawet ja, osoba zupełnie obca, widzę tę zaciskającą się pętlę, która dusi pana coraz bardziej, z każdym dniem…

Przecież nie mogła widzieć takich rzeczy, niech ją diabli! Nadludzkim wręcz wysiłkiem uwolnił się od zadręczania się tym, co zrobiła mu matka. Jeśli teraz wyjedzie do Londynu, Camilla pomyśli, że wciąż go to boli, co było mu nie w smak.

– Przed wyjazdem muszę odbyć naradę z Fowlerem, co zazwyczaj zajmuje więcej czasu, niż na to przeznaczam. A skoro i tak będę w posiadłości… – wzruszył ramionami.

Zadarła podbródek i obrzuciła go sondującym spojrzeniem.

– Czy to oznacza, że zjesz znów obiad z matką i ze mną?

A niech to! Źle go zrozumiała. Pomyślała, że chce powtórzyć dzisiejsze spotkanie.

Milczał, zarumieniła się więc i pośpiesznie dodała: – W przeciwnym razie nie sądzę, by było stosowne, byśmy ty i ja znowu…

– Ta sama umowa co dziś – usłyszał siebie jak przez mgłę. – Zjem z wami dwiema obiad, a potem przyjdziesz do mnie.

Głupiec! Przecież nie mógł pozwolić jej przyjść ponownie do swojej sypialni, chyba że chciał zostać jednym z tych odrażających chlebodawców, którzy zmuszali służące, by szły z nimi do łoża. A co zmieni jeszcze jeden obiad z matką? Poznał się już na jej grze. Uodpornił się na nią. Istotnie, pokaże pani Znam Twoje Mroczne Sekrety, czyli pani Stuart, że nie pozwoli, by udusiła go jakaś przeklęta pętla.

Wzrok Camilli złagodniał. Pierce zaczął żałować, że zaproponował następny wspólny wieczór.

– Dobrze. Ten sam układ co poprzednio. Chociaż uważam, że powinniśmy trzymać się z daleka od nieprzyzwoitej lektury.

– I żadnych więcej pocałunków – obiecał solennie.

Uwierała go myśl, że ona może go uznać za niezdolnego nad sobą zapanować. Tymczasem słynął z samokontroli. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, więc przybrał znudzoną minę.

– Nie martw się, Camillo. Jak powiedziałem dziś po południu, nie nadużywam zaufania osób, które dla mnie pracują. Zagramy tylko w pikietę. Czy raczej: ogram cię w pikietę.

– Jeśli zdołasz – rzuciła lekko.

– Spędziłem dużą część życia w jaskiniach hazardu. Sądzę, że wygram z kobietą, której doświadczenie ogranicza się do gry ze starszymi kobietami i sierotami.

– Uznaję, że nie pamiętasz nazwiska starszej kobiety, u której służyłam jako dama do

towarzystwa.

A kiedy próbował przypomnieć sobie zawartość jej listów polecających, dodała:

– Lady Stirling. Nauczyła mnie wszystkiego, co wiedziała o pikiecie.

To oznaczało, że Camilla wiedziała dość. Wicehrabina nieboszczka zasłynęła w Anglii jako mistrzyni gry w pikietę.

– To dobra wiadomość, bo udało mi się wygrać z nią aż dwa razy – pochwalił się.

Twarz Camilli się wydłużyła.

– Oszukujesz mnie.

– Dowiesz się już jutro wieczorem, prawda?

– Tak sądzę – powiedziała, skłoniła głową i wyszła.

Szkoda, że musiał podjąć kolejne wyzwanie, jakim był obiad z matką, by spędzić parę godzin z Camillą. Wciąż nie miała pojęcia, co narobiła swoją intrygą.

Proszę mnie oświecić! Jak inaczej się dowiem, skoro nie od pana?

Mógł właśnie tak uczynić – powiedzieć jej wszystko, by zobaczyła, że kobieta, którą tak uwielbia, nie ma serca.

Nie uwierzyłaby mu. Matka przez sześć miesięcy umacniała Camillę w przekonaniu, że winien jest wyłącznie on. Nie odkręci tego przez podanie paru oczywistych faktów. To by jej sprawiło ból. Camilla wyglądała na rozsądną, nie powinna się poddać manipulacji. To, że się poddała, nie dawało mu spokoju. Może rzeczywiście czegoś nie wziął pod uwagę.

Nie wziął pod uwagę? Niemożliwe.

Camilla była po prostu naiwna i tyle. Czarująca i ładna, ale jeśli chodziło o manipulacje kobiet tego pokroju co matka, była niczym sierotka w ciemnym lesie. Jeśli da się jej jeszcze okazję, by przyjrzała się Pierce'owi i matce razem, pozna prawdę. Przekona się, że myliła się co do ich stosunków i jego w tym winy.

I nie będzie już pisać lekkomyślnych listów wzywających go do Montcliff.

W korytarzu Camilla oparła się o ścianę, żeby złapać oddech i uspokoić przyśpieszone tętno. Zostanie na następny dzień, zje z nią i hrabiną jeszcze jeden obiad. Wcześniej ucieszyłaby się z drugiej okazji przekonania go, że matka zasługuje na jego uwagę.

Teraz nie była tak uradowana. Bo sposób, w jaki ją całował…

Och, na Boga, wiedział doskonale, jak się całuje. Nie było w jego pocałunku wahania ani nieśmiałości. Brał w posiadanie kobietę i plądrował wnętrze jej ust niczym zwycięski wiking. Starannie. Wielokrotnie. Z wielkim zapałem.

Obiecał już tego nie robić. Czy mogła mu wierzyć? Nigdy jeszcze nie doświadczyła aż takiego pożądania ze strony mężczyzny. I to nieudawanego, bo w jego objęciach doskonale je wyczuła.

Szkoda, że i on ją pociągał. Nie wiedziała dlaczego. Tak, miał wprawdzie interesującą fizjonomię, niepokojące spojrzenie i usta, które w każdej kobiecie mogły wyzwolić rozwiązłość, był jednak dziecinny i arogancki zarazem. Tacy mężczyźni na ogół ją denerwowali.

Może to, że zdawał się taki… zagubiony. Dziś wieczorem pozbył się maski nonszalancji. Był niczym osierocony chłopiec, który każdemu mówi, że nie potrzebuje rodziców, po to, by ukryć, jak rozpaczliwie ich potrzebuje.

Miał przecież matkę, która go kochała. Camilla musi sprawić, by przejrzał na oczy i zrozumiał, jakie to cenne. Dla dobra ich wszystkich.

Właśnie. Altruizm to twój jedyny motyw.

Oderwała się od ściany. Dobrze, pragnęła, by nie byli sobie obcy. Chciała otrzymać jeszcze szansę: poczuć jego gorące wargi na swoich ustach, jego pewne ręce na swoim ciele…

Słodki Boże, musiała stracić rozum! Kochanek chlebodawca to ostatnie, co jej potrzebne. Gdy skończy się romans – a w przypadku mężczyzn takich jak on zazwyczaj kończył się szybko – straci i kochanka, i dobrą posadę. Na to nie mogła pozwolić.

Zwłaszcza że oboje z Jasperem znaleźli po raz pierwszy w życiu przyjazną rodzinę. Kenneth był dokładnie taki, jak wyobrażał go sobie Pierce. Czas spędzał w Spitafields, pomagając ubogim, chorym i grzesznikom. Pracowała do upadłego, by pomóc mu w jego misji, stworzyć jemu i Jasperowi dom, a nader rzadko otrzymywała za to podziękowanie. Ich wspólny dom był dla niej niczym więzienie. Podczas gdy tutaj…

Westchnęła. W Montcliff było jak w niebie. Dostawała tu nie tylko podziękowania, lecz także matczyne ciepło i dobroć. Tutaj Jasper rozkwitał. Nie mogła tego zniszczyć.

Na myśl o synu przyśpieszyła kroku. Zatrzymała się przed jego pokojem, by przejrzeć się w szkle stojącego zegara, i jęknęła. Rozczochrana, w pomiętym ubraniu wyglądała jak nierządnica. Nie mogła w takim stanie pokazać się Maisie.

Szybko poprawiła włosy i wygładziła suknię, mając nadzieję, że nie widać po jej twarzy, że hrabia ją wycałował, po tym jak kazał czytać sobie na głos gorszącą powieść, i po tym jak przeraził się, że książka zawiera niecenzuralne obrazki.

Na tę myśl uśmiechnęła się, po czym zganiła, że tak jej się to spodobało.

Weszła do swojego pokoju, gdzie znalazła Jaspera pogrążonego w głębokim śnie i drzemiącą obok niego Maisie. Ta poderwała się, gdy Camilla podeszła do łóżka.

– Och, wróciła pani. – Przecierała oczy i wstała, by pomóc Camilli się rozebrać. Jeśli zauważyła cokolwiek niestosownego, nie wspomniała o tym.

Camilla mimo to pozostała czujna i odetchnęła dopiero, gdy Maisie poszła do pokojówek na górę. Nie usnęła jednak od razu. Przypominały jej się chrapliwie wypowiedziane słowa jego lordowskiej mości:

Nawet ja to wiem, co jednak nie chroni mnie przed pożądaniem tego. I ty też mnie pragniesz.

Tymczasem nie to było najgorsze, Najgorsze było, że naprawdę pragnęła, by ją pocałował. Żeby ją całował bez końca. I żeby posunął się dalej.

Nigdy nie całowano jej z podobną namiętnością. Bardzo zaniepokoiło ją, że aż tak chciała, by się to powtórzyło. Czasami pocałunki były niczym pyszne desery – wyzwalały pragnienie, by dostać ich więcej. A ona nie była dostatecznie silna, by oprzeć się deserom…

Och, musiała się go strzec póty, póki jej i hrabiny życie nie wróci na zwykłe tory.

Tego przecież Camilla także nie pragnęła. Wyraźnie zarówno Pierce, jak i hrabina nie wydawali się szczęśliwi. Gdyby potrafiła zgadnąć, co ich rozdzieliło, mogłaby… mogłaby…

Co takiego mogłaby? Skrępować ich razem? Westchnęła. Nie była zdolna nawet zbudować więzi we własnym małżeństwie z rozsądku, czemu więc uważała, że potrafi naprawić cudzą, tak bardzo popsutą?

Zwłaszcza że miała na to jeszcze tylko jeden wieczór.

Rozdział IX

Camilla była wstrząśnięta, żadnego wieczoru zrobiło się więcej. I to z najbardziej nieprawdopodobnego powodu. Zachęcanki jego lordowskiej mości.

Wieczorem, gdy poszła do niego zagrać w pikietę, rzeczywiście ją ograł. Potem oświadczył, że ma więcej zajęć w majątku i zostanie jeszcze nazajutrz. Równie dobrze może też zjeść trzeci obiad z matką i jej towarzyszką. Naturalnie, jeśli Camilla się zgodzi przyjść później do jego sypialni i znów go zabawić.

Tak uczyniła, a hrabia został na kolejny dzień.

A potem na następny i jeszcze następny. Później jeszcze na trzy dni. Za każdym razem oświadczał, że zatrzymują go w Montcliff wyłącznie ważne sprawy związane z posiadłością.

Może by mu uwierzyła, tylko że to już nie sprawy majątku trzymały go akurat w starym dworze, a nie w pałacu. Nie z powodu interesów co wieczór zjadał obiad z hrabiną i z nią. Interesy także nie miały nic wspólnego z żądaniem Pierce'a, by przychodziła potem do jego sypialni. Nie wiedziała, co o tym sądzić.

Nie miała także pojęcia, co ma sądzić o nim. Między nim a matką nic się nie zmieniło. W czasie obiadów panowała niezręczna atmosfera. Hrabia przeważnie milczał, chyba że Camilla wciągnęła go w interesującą konwersację. Złapała się na tym, że traktuje to jako zgadywankę, co zainteresuje go na tyle, by został jak najdłużej przy stole i powstrzymał się od ucieczki na cygaro.

Tymczasem hrabina zdawała się nie posiadać z wdzięczności za każde grzecznościowe słówko, jakie jej rzucał. Camilla miała ochotę go za to spoliczkować. Tym bardziej że kiedy jaśnie pani nie było w pobliżu, potrafił być szczerze miły. Jego zachowanie zdawało się niewytłumaczalne.

Matka odmawiała rozmowy o nim, głucha na przebąkiwanie Camilli, naprowadzanie na temat i podobne zabiegi, łącznie z zapytaniem wprost. Czasami zdumiewało ją, jak bardzo są do siebie podobni – oboje szalenie uparci.

Najbardziej niepokojące było to, jak zmieniał się hrabia, kiedy Camilla była z nim sama. Przedzierzgał się w bystre, zabawne i dogłębnie fałszywe stworzenie, które zaczęła nazywać Devonmontem Lekkoduchem. Nie sądziła, że ją celowo okłamywał, ale tylko dlatego, że nie rozmawiali o niczym, co warte byłoby kłamstwa. Swoje prawdziwe opinie, rzeczywistego siebie ukrywał pod maską dowcipnisia.

Grali w szachy i karty, czytali książki, a ostatniego wieczoru zabawiała go anegdotami z życia płatnej damy do towarzystwa. Wszystkie, ma się rozumieć, były bardzo przyzwoite. Ani razu nie spróbował jej pocałować. Rzecz jasna, to ulga – powtarzała sobie za każdym razem, kiedy patrzyła na Jaspera.

Czasami jednak, w chwilach, kiedy kończyły się ich wspólne wieczory, kiedy wstrzymywała oddech i zastanawiała się, czy widzi go już ostatni raz, uświadamiała sobie, że pragnie, by ją pocałował. Musiała się pilnować, by się na niego nie rzucić. To, że się przed nią maskował, doprowadzało ją do szaleństwa. Pragnęła siłą zedrzeć z niego maskę.

Nadal nie zbliżyła się ani o krok do wyjaśnienia, dlaczego tak unikał matki. To

wystarczyło, żeby nawet osoba przy zdrowych zmysłach zaczęła wariować.

Siedziała teraz w salonie z hrabiną i Jasperem, i zastanawiała się, jak przekonać hrabinę do zwierzeń. Camilla wyczuwała, że hrabia ma coraz większą ochotę wyjechać, a także, że jego rozdrażnienie z powodu sytuacji się nasila. Mogła nie mieć już czasu na odkrycie prawdy.

Niestety, dziś nie był dobry dzień na podejmowanie tematu. Pierce bawił w pałacu Montcliff, gdzie zajmował się sprawami majątku. Miał wrócić dopiero na obiad, a ona i lady Devonmont całe popołudnie poświęciły Jasperowi. Obecność chłopca znacznie utrudniała szczerą rozmowę z jaśnie panią.

Lady Devonmont spojrzała znad pończochy, którą wyszywała.

– Wyglądają ślicznie. Koszyczki na orzechy to świetny pomysł.

Camilla owijała orzechy siatką i związywała wstążeczką, tak by można je było powiesić na choince.

– Ile takich powinnyśmy zrobić?

– Mnóstwo! – zawołał Jasper zza stołu. – Wtedy moi ołowiani żołnierze będą mieli co jeść.

Kiedy Pierce zaczął przedłużać swój pobyt, jaśnie pani obiecała Jasperowi po jednym żołnierzyku za każdy dzień usuwania się sprzed oczu hrabiego. Miał ich już sześć i przez kilkanaście minut prowadził ich do zażartej bitwy. O dziesięć dłużej, niż zwykł poświęcać jakiemukolwiek innemu zajęciu.

– A kto powiedział, że orzechy są dla ciebie, mufinku? – zażartowała Camilla.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Nie dostanę ani jednego?

– Oczywiście, że dostaniesz – wtrąciła uspokajająco lady Devonmont. – Damy ci trochę już teraz, jeśli chcesz.

– Nie przed obiadem – ostrzegła Camilla.

– Och, orzeszek lub dwa nie zaszkodzi. – Hrabina odłożyła robótkę, zgniotła kilka orzechów i podała Jasperowi. – Proszę bardzo, chłopcze.

– Co się mówi? – spytała Camilla.

– Dziękuję, milady. – Pochłonął je w mgnieniu oka, po czym zapytał: – A skorupki też mogę dostać?

Hrabina wręczyła mu je zaskoczona. Jasper porozrzucał je po stole, tworząc z nich bitewny krajobraz, po czym kontynuował symulację wybuchów i ataków, aż Camilla i jaśnie pani się roześmiały.

Po chwili znudził się zabawą i popatrzył w stronę ozdabiającej pończochę hrabiny.

– Czy to pończocha z wiersza? Ta, którą wiesza się przy kominku?

– To nowy pomysł – powiedziała lady Devonmont. – Mamy nadzieję utworzyć w Stocking Pelham[3] tradycję odwołującą się do nazwy naszego miasteczka. Uczynimy z niego miejsce słynne ze świątecznych pończoch. I jednocześnie zdobędziemy trochę pieniędzy dla kościoła, bo sprzedamy pończochy na jarmarku.

– Żeby każdy mógł sobie powiesić taką na kominie i czekać na Świętego Mikołaja.

– Zapamiętałeś. – Camilla popatrzyła na chłopca zdziwiona.

– Znam na pamięć cały wiersz.

Wymieniły z hrabiną powątpiewające spojrzenia.

– Naprawdę umiem. Po części o pończochach idzie tak: *Już w łóżkach cieplutkich utulone dzieci/ sen słodki śnią, pyszny, łakomy*[4] .

– Doskonale – pochwaliła hrabina.

– Pyszne są śliwki w cukrze – oznajmił nieśmiało Jasper.

– Pyszne – zgodziła się z uśmiechem jaśnie pani. – Musimy parę sobie zjeść.

Camilla przewróciła oczami. Albo hrabina nie była świadoma sprytu Jaspera w wyciąganiu od niej rozmaitych korzyści, albo też nie przywiązywała do tego wagi. Camilla uznała, że raczej to pierwsze.

– A następny kawałek mówi, że:

Szlafmycę zakładam, mamusia swój czepek,
I drzemka zimowa nadpływa.
Wtem łoskot na zewnątrz dobiega nas jakiś,
Zdziwiony więc z łóżka się zrywam.

Wymienił z Camillą znaczące spojrzenie.

– Bo to był Święty Mikołaj, wiesz?

– Czy nie wybiegasz za daleko w historyjce? – spytała, uśmiechając się, hrabina.

Jasper, pochłonięty recytacją, powtarzał słowo w słowo.

– Jest na saniach z małymi reniferkami i… – zatrzymał się. – A co to takiego sanie?

– To saneczki, tylko duże – wyjaśniła Camilla.

– Albo powóz, tyle że do jeżdżenia po śniegu – dodała hrabina.

– I do latania, tak?

Lady Devonmont popatrzyła na Camillę rozbawiona.

– Cóż, ja nigdy nie widziałam latających sań.

– Ale Święty Mikołaj takie ma. Właśnie tak dostaje się na dach, żeby wskoczyć przez komin.

– Wciągają go tam renifery – przypomniała jaśnie pani.

– Właśnie. – Zaczął wyliczać na palcach: – Tancerz, Fircyk…

– Znasz imiona ich wszystkich? – spytała Camilla.

Naprawdę nauczył się wierszyka na pamięć. A przynajmniej dużej jego partii.

Podniósł ołowiane figurki.

– Tak nazwałem żołnierzyki. To znaczy na razie sześć. Nie mam jeszcze Grzmota i Błyskawicy.

Camilla przełknęła. Jaśnie pani gotowa była zaraz znaleźć pretekst, aby dać mu Grzmota i Błyskawicę, nawet jeśli jego lordowska mość nie zostanie.

– A co zrobisz, jak będziesz miał wszystkich osiem? – spytała hrabina.

– Każę im ciągnąć sanie, to jasne. To żołnierze, więc są bardzo silni. Dlatego muszę wiedzieć, jak wyglądają sanie, żebym mógł je im dać.

– Ach, tak – powiedziała.

– Sądzi pani, że sanie będą na jarmarku i będę się mógł im przyjrzeć?

Camilla westchnęła. Nie bacząc na to, co mu powiedziała, Jasper nie dopuszczał myśli, że nie pojedzie na jarmark.

– Mówiłam ci już, kochanie, że nie możemy tam pojechać.

Wyglądał jak z krzyża zdjęty.

– Mogę udawać stajennego mamy.

– Poza tym, że jesteś za mały, wszyscy w miasteczku wiedzą, że nie umiem jeździć konno – tłumaczyła łagodnie Camilla.

Nigdy się nie uczyła. W rzeczy samej, miała nadzieję posiąść tę umiejętność jako dama do towarzystwa, bo nic na świecie nie wydawało się jej bardziej ekscytujące od pędzenia na końskim grzbiecie po gościńcu.

Jaśnie pani dokuczało biodro i konna jazda sprawiała jej ból, dlatego nie natrafiła się

ku temu okazja.

– A skoro i jaśnie pani nie jeździ konno, nikt nie uwierzy, że jesteś stajennym.

– Wiesz co? – wtrąciła hrabina. – Ja myślę, że w jednej z książek w biblioteczce może być obrazek z saniami. Jest tam taka o Ameryce i Kanadzie. Jak myślisz, uda ci się ją znaleźć?

– Pewnie, milady! – Zebrał szybko żołnierzyki i zaniósł do biblioteczki.

– Cały tydzień mówi tylko o tym – powiedziała półgłosem Camilla. – Że zobaczy jarmark.

Hrabina uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Powiedział mi, że chce pojechać, żeby kupić ci prezent. A kiedy go zapytałam, czym za niego zapłaci, pomyślał, a potem powiedział, że sprzeda żołnierzyki, które mu dałam.

– Ojej! – Camillę ścisnęło w gardle. Jakie to słodkie.

– Ależ ty jesteś szczęśliwa – powiedziała z nutką zazdrości lady Devonmont, przyglądając się Jasperowi, gdy szukał właściwej książki. – Masz syna, który zrobi dla ciebie wszystko, nawet sprzeda własne zabawki.

Camilla wstrzymała oddech. Nadarzyła się okazja poruszyć temat stosunków jaśnie pani i Pierce'a.

– O tak, mam szczęście mieć syna, który nie pożałuje mi paru bombek.

Hrabina zesztywniała, po czym zmierzyła ją mrocznym spojrzeniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Camilla starannie dobierała słowa.

– Nie słyszała pani jego lordowskiej mości w czasie pierwszego obiadu? Nie zwróciła pani uwagi na to, że próbował doprowadzić do tego, by poprosiła pani o pieniądze?

Lady Devonmont się zamyśliła.

– Cóż, tak, ale sądzę, że jest po prostu taki jak inni mężczyźni – troszczy się o finanse.

– Tak naprawdę… – Zastanawiała się, lecz stwierdziła, że lepiej dla hrabiny będzie, jeśli usłyszy to właśnie od niej niż pewnego wieczoru od hrabiego, gdy ten wpadnie w zły nastrój. – Jego lordowska mość uważa, że pani… Zdaje się działać przy nieprawdziwym założeniu, że… cóż… że jest potrzebny tutaj tylko dlatego, że zamierza pani prosić go o więcej pieniędzy.

Wszelkie obawy, które mogła żywić, że hrabia mógłby mieć rację, znikły momentalnie, gdy ujrzała zaskoczoną twarz jego matki.

– Cóż ty za bezeceństwa opowiadasz!

– Uważa, że poślubiła pani jego ojca tylko dla pieniędzy, a teraz, gdy małżonka już nie ma…

– Ach! – Lady Devonmont wyraźnie się wycofywała. – Widzę, że mój syn zignorował to, co napisałam mu w listach. Woli słuchać starych plotek.

– Które są oczywistym kłamstwem – rzekła Camilla.

Hrabina zmusiła się do uśmiechu.

– Obawiam się, że nie. To znaczy pomysł, jakoby chcę od Pierce'a pieniędzy, jest absurdalny, ale…

Kiedy przerwała, Camilla wzięła oddech.

– Istotnie wyszłam za ojca Pierce'a dla jego majątku. – Uciekła wzrokiem gdzieś daleko. – Mój mąż nieboszczyk się o to postarał.

– Co to znaczy?

W tej chwili do salonu wpadła Maisie.

– Jego lordowska mość już jest przy drzwiach frontowych.

– Tak szybko? – Camilla podskoczyła.

– Musiał wcześniej dziś skończyć pracę – mruknęła jaśnie pani. – Zapewne nie wejdzie tutaj, lecz na wszelki wypadek…

Camilla już biegła do Jaspera.

– Musisz iść szybciutko z Maisie. Hrabia nadchodzi.

– Dopiero znalazłem książkę! – pożalił się.

– Weź ją ze sobą, a Maisie pokaże ci obrazki. – Camilla zebrała szybko żołnierzyki i wepchnęła mu do ręki.

Usłyszały w holu odgłos męskich kroków. Lady Devonmont starannie omiotła wzrokiem pomieszczenie, szukając śladu, który by mógł zdradzić obecność Jaspera. Maisie złapała książkę i chłopca, po czym wymknęła się drzwiami dla służby.

Ledwie zdążyła to uczynić, kroki stóp odzianych w buty z cholewami ucichły tuż przed drzwiami do salonu. Camilla pośpiesznie zajęła miejsce przy stole. Tak samo hrabina, choć wysoce nieprawdopodobne było, żeby Pierce wszedł. Wyjąwszy porę obiadu, unikał ich, choć wiedział, że popołudnia spędzają w salonie.

Dlatego była zaskoczona, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł hrabia.

Próbując uciszyć bijące mocno serce, spojrzała w górę i zmusiła się do uśmiechu.

– Dzień dobry, milordzie.

– Dzień dobry paniom. – Rozejrzał się po salonie, po czym spoważniał. – Przysiągłbym, że słyszałem dochodzący stąd głos dziecka.

Camilla z trudem przełknęła ślinę. Cóż mogła odpowiedzieć?

Rozdział X

Pierce zdziwił się, że Camilla zdawała się przestraszona.

– Dziecko! – powtórzyła matka i zaśmiała się serdecznie. – Musiałeś słyszeć naszą rozmowę i tyle.

– Możliwe. – Jego uwaga była jedynie wymówką, by wejść do salonu. Znał doskonale stary dwór – dźwięki odbijały się w nim od ścian i zdawały się dochodzić nie z tej strony, skąd naprawdę pochodziły. Nie przywiązywał właściwie wagi do tego, co usłyszał. Skorzystał tylko z wymówki, by zamienić parę zdań z Camillą.

Był już zmęczony widywaniem jej oficjalnej i tylko w czasie obiadu z matką, a potem trochę tylko mniej oficjalnej w czasie ich wspólnych wieczorów. Chciał ją widzieć podczas dnia, przyłapać w naturalnym otoczeniu, kiedy nie pilnowała się przed nim, jak u niego w sypialni, przez nierozważne wcześniejsze pocałunki. Od tej strony dała się poznać tylko jego matce, nigdy jemu.

I to był jeden z powodów, dla których upłynął tydzień, a on jeszcze tutaj był. Po pierwsze został, by jej udowodnić – oraz sobie – że zapanował nad swoimi uczuciami, jeśli chodzi o matkę. Że nie jest już dręczony bolesnymi wspomnieniami z przeszłości. Niemniej jednak to szybko ustąpiło woli ustalenia, dlaczego kobieta tak przenikliwa jak Camilla nadal uwielbia taką kobietę jak jego matka.

Nie mógł tego zrozumieć i to go męczyło. Dlatego wszedł do salonu. Miał nadzieję, że matka ucina sobie drzemkę w sypialni na górze, a on swobodnie porozmawia z Camillą w miejscu, w którym nie czuła się zagrożona.

Nie miał dość szczęścia.

Zganił się sam za wyraźne rozczarowanie, które poczuł. Widocznie tak idiotyczne zachowanie wynikało z tego, że odmawiał sobie kobiety, której pożądał, co wcześniej nie miało miejsca. To by tłumaczyło, dlaczego zachowywał się jak skończony błazen.

Mimo to nie mógł się zmusić do opuszczenia salonu.

Coś się tutaj działo. Czuł to. Dłonie Camilli lekko drżały i mięły kawałek tkaniny. I po raz pierwszy od jego przyjazdu matka nie udawała radości, że go widzi. Usta miała zaciśnięte i w milczeniu wbijała igłę w swój haft.

– Wrócił pan wcześniej, nieprawdaż, milordzie? – odezwała się Camilla.

– Zaczął prószyć śnieg, więc wróciłem, na wypadek gdyby miało go napadać zbyt dużo na konną jazdę.

– To pada śnieg? – zakrzyknęła Camilla. – Ojej, mam nadzieję, że nie zrujnuje nam to planów na pojutrze!

– A co się będzie działo pojutrze? – zapytał.

– Jarmark, który tylko dwa razy do roku odbywa się w Stocking Pelham – wyjaśniła. – Domyślam się, że długo tam pan nie był.

– Od bardzo dawna. – Pierce obrzucił matkę zagadkowym spojrzeniem, zastanawiając się, czy pamięta. – Ostatni raz, kiedy miałem osiem lat. I chyba był to ten sam jarmark, jakoś przed Bożym Narodzeniem.

Matka zachowała się przyzwoicie, bo poczerwieniała.

– Tak, to był jarmark przed świętami.

Kiedy zapanowała niezręczna cisza, Camilla spróbowała ją nieco zatuszować.

– Pana matka i ja poprowadzimy stoisko, by zebrać fundusze na naprawę organów w kościele. Trzeba je koniecznie odrestaurować.

– Ach tak.

Poczuł się jak intruz i rozejrzał po salonie, którego wcześniej tak unikał. Zapomniał już, jaki jest przytulny, z wielkim kominkiem, spłowiałym, ale nadal puszystym dywanem i fortepianem. Swędziały go palce, żeby zagrać.

Dziwne, że matka nie uczyniła niczego, by salon nabrał bardziej nowoczesnego wyglądu. Na ścianach miał wciąż tę samą, odchodzącą gdzieniegdzie czerwoną tapetę w wielkie owoce granatu, a wewnątrz stał ten sam mahoniowy stół z dobranymi doń mahoniowymi krzesłami i marmurowy cokół z popiersiem pierwszego hrabiego Devonmonta.

To wszystko nadal było bliskie i znajome. Spędził tu jako chłopiec wiele godzin. Bawił się przy nogach matki albo siedział przy niej i uczył się grać na fortepianie. Odgonił burzące spokój wspomnienia i podszedł do stołu, gdzie zauważył orzechy, siatkę i wstążki.

– Co to jest? Coś na sprzedaż?

– Koszyczki orzechów na choinkę – wyjaśniła Camilla.

Znów ta diabelna choinka.

– Widać, że zjadła pani więcej, niż zrobiła koszyczków – zażartował i odgarnął na bok łupiny. Pod łupinami znalazł ołowianego żołnierzyka.

Zamarł, rozpoznawszy w nim własną zabawkę z dzieciństwa. Jako chłopiec miał ich komplet. Dostał je od ojca, bez wątpienia miały rozbudzić w nim zamiłowanie do walecznych czynów. Bawił się jednak nimi, udając, że są to podróżnicy, których posyłał na pełne przygód wyprawy odkrywcze.

Chciał je zabrać do Harrow, ale regulamin tego zabraniał. Nie wiedział, że w dniu, gdy wyjeżdżał do szkoły, widzi je po raz ostatni.

– Zamierzacie wieszać na choince ołowiane żołnierzyki? – zapytał ochryple, obracając w palcach figurkę. Nie był w stanie spojrzeć na matkę.

– Dlaczego nie? – spytała poirytowanym tonem matka. – Jest ich dużo. Można z nich wyczarować oryginalne ozdoby.

– Z pewnością niedrogie. Dziwię się, że mama nie chce niczego kosztowniejszego. – Obrzucił ją pełnym goryczy spojrzeniem.

– Nie wiem, dlaczego cię to dziwi – odparła ostrym tonem. – Wcześniej nie obchodziły cię takie rzeczy.

– Milordzie, może zechciałby pan… – zaczęła Camilla.

– Och, nie udawaj przede mną, matko! – wybuchnął Pierce. Miał już dość czekania, aż matka pokaże swoje prawdziwe oblicze. Najwyższy czas ją do tego zmusić. – Oboje wiemy, jak wielką wagę przywiązujesz do pieniędzy. Choć raz bądź uczciwa i przyznaj, że ta farsa jest po to, żeby położyć ręce na fortunie ojca.

Zbladła.

– Camillo, moja droga, gdybyś mogła zostawić mnie z synem samych na słówko…

Camilla wstała, lecz Pierce zatrzymał ją wzrokiem.

– Moja matka nie chce, by się pani dowiedziała, że mój macierzysty dziadek, baron, uwielbiał żyć ponad stan. Matka wychowała się w luksusach, ale do czasu, gdy dorosła do małżeństwa, dziadek Gilchrist był już zmuszony oszczędzać, co jak przypuszczam, nie wychodziło mu zbyt dobrze. Dlatego matka zastawiła sidła na ojca, by móc wrócić do

bogactwa i prestiżu, którymi cieszyła się w dzieciństwie.

Uśmiechnął się lodowato do matki. Niech teraz zaprzeczy, patrząc mu prosto w oczy.

Patrzyła na niego nieruchomym i bynajmniej nie zakłopotanym wzrokiem.

– Skoro postanowiłeś nasze rodzinne sprawy załatwiać w obecności Camilli, waż słowa. Doskonale wiesz, że mój papa nie został zrujnowany przez życie ponad stan, ale przez hazard. Narobił tyle długów, że groziło mu pójście do więzienia.

Na ten wywód Pierce osłupiał.

Matka skierowała wzrok ku Camilli.

– Ojciec Pierce'a wykupił długi papy i zaproponował, że o nich zapomni w zamian za moją rękę. Tak zatem, oczywiście, wyszłam za niego. Wtedy zdawało się to najlepsze z możliwych rozwiązań. – Wstała, oblana szkarłatem. – A teraz, wybaczcie, lecz pójdę po kogoś, by zrobił nam herbatę.

Gdy matka wyszła z salonu, Pierce patrzył nieruchomo przed siebie, jak rażony piorunem. O czym, u diabła, ona mówiła?

– Nie wiedziałeś? – spytała stłumionym szeptem Camilla.

Popatrzył na nią ponuro.

– Z pewnością kłamie.

– Po co miałaby kłamać? Przecież wyznała rodzinny sekret z rodzaju tych, jakich żadna kobieta nie chciałaby rozgłaszać. I w dodatku zrobiła to w mojej obecności, a ja nie jestem członkiem rodziny.

Rozumowanie Camilli zdawało się nie do odparcia.

– To dlaczego słyszę o tym po raz pierwszy? – Schował ołowianego żołnierzyka do kieszeni i przechadzał się wokół stołu. – Moi krewni powiedzieli, że poślubiła ojca dla majątku. Musiałem bardzo się przymilać, by dowiedzieć się tego, co wiedziałem – że dziadek był bez pensa, kiedy matka brała ślub z ojcem. Nie było mowy o długach hazardowych.

Nagle zdał sobie sprawę dlaczego. Kto miałby mu powiedzieć? Ostatni pełnomocnik ojca został zatrudniony już dobrze po ślubie. Rodzina Waverlych była rodziną ze strony ojca i wiedziała tylko tyle, ile jej chciano powiedzieć. A ojciec był zbyt dumny, by się przyznać, jaką drogą zdobył żonę.

Pochłonięty potrzebą, by usłyszeć całą historię, Pierce wyszedł z salonu, a Camilla za nim. Oboje zatrzymali się na widok stojącej w holu hrabiny, ciężko dyszącej i walczącej o odzyskanie równowagi.

– Ojciec cię kupił? – zażądał odpowiedzi.

Matka wyprostowała się i odwróciła, by popatrzeć mu w twarz.

– Nie dramatyzuj. Zalecał się do mnie jak inni dżentelmeni. Zapewnił sobie tylko przewagę w konkurach nad innymi. Mogłam odmówić. Nikt mnie nie zmuszał, bym go przyjmowała, nawet twój dziadek. –

Zadarła dumnie podbródek. – To był mój wybór.

Patrzył na nią. Może tak. Chociaż wyglądało to teraz zupełnie inaczej.

– Nie wiedziałem – wykrztusił.

– Wyjaśniałam to przecież w listach – powiedziała, nie rozumiejąc, hrabina.

Znajome poczucie winy dźgnęło mu wnętrzności.

Musiała to wyczytać z jego twarzy, bo pobladła.

– Nie przeczytałeś ich.

Kiedy wymamrotał ciche przekleństwo i odwrócił głowę, wyszeptała:

– A ja myślałam… że nie byłeś mi w stanie wybaczyć tego, że… I to po zastanowieniu się

rozumiałam. A ty… A ty nawet nie…

Jęknęła cicho i podeszła do schodów.

– Wybaczcie mi, czuję, że właśnie nadchodzi atak migreny.

Camilla patrzyła za odchodzącą, po czym zaatakowała hrabiego:

– Nie czytałeś ich? Żadnego nie przeczytałeś? A ja myślałam, że po prostu nie wierzysz w to, co napisała. Nigdy bym się nie spodziewała, że mogłeś ich w ogóle nie czytać…

Wściekłość w jej głosie obudziła w nim gniew.

– Nie potępiaj mnie, skoro nie wiesz wszystkiego. – Ruchem głowy pokazał schody. – Nie słyszałaś, że mówiła, że czegoś nie mogłem jej wybaczyć? Nie jesteś ciekawa czego?

– Och, jestem pewna, że winisz ją za wszelkie głupstwa.

– Głupstwa! – Zaśmiał się. – Zapytaj o uroczystości immatrykulacji w Harrow, zapytaj o każde wakacje. – Zaczął na nią krzyczeć. – Zapytaj, co się wydarzyło, kiedy osiągnąłem pełnoletność. Ośmielam się zaryzykować stwierdzenie, że ci nie odpowie. A dopóki nie odpowie, dopóty nie masz prawa mnie osądzać.

– A dlaczego sam mi tego nie powiesz? – spytała.

– Bo nie uwierzysz, jeśli nie usłyszysz tego od niej. To chyba jasne.

Poza tym, zanim zniszczy zaufanie Camilli do matki, powinien dowiedzieć się całej prawdy. Najwyraźniej brakowało mu paru fragmentów układanki.

Odwrócił się na pięcie i podążył do dawnego gabinetu ojca, jedynego miejsca, gdzie mógł odnaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Stanął w drzwiach. Nie mógł się przemóc, by tam wejść. Nie mógł po tym, co zdarzyło się tam ostatnio.

W każdym razie, jeśli ojciec zostawił jakieś dokumenty, znajdowały się już one w pałacu, a nie tutaj. Ojciec z matką przenieśli się do pałacu, kiedy Pierce skończył dwadzieścia dwa lata. A po tym jak Pierce wszystko odziedziczył, przeczesał każdy centymetr i przejrzał papiery ojca, by natrafić choćby na drobną wskazówkę. Tymczasem nie znalazł nic.

– Powinieneś przeczytać jej listy.

Wyraz twarzy matki, kiedy zrozumiała, że nie ma pojęcia, o czym myśli. Wyglądała na zranioną do żywego. Wstrząśniętą. Zdradzoną.

Ośmiolatek w głębi jego duszy chciał krzyczeć: *Dobrze ci tak! Teraz wiesz, jak to jest być porzuconym i zlekceważonym!*

Dojrzały mężczyzna czuł jednakże zawstydzenie, a potem złość na siebie, że jest mu wstyd. Dlaczego pozwalał, by miała na niego wpływ? Posługiwała się emocjami, by zaspokoić swoje potrzeby. Czy w listach znajdował się choć jeden dowód? Czy podała tam nazwisko kogokolwiek, kto mógłby potwierdzić jej wersję?

Do licha, powinien przeczytać te listy, żeby się lepiej przygotować na to, czego mógł się spodziewać. To by poprawiło jego pozycję w tej grze przed przyjazdem tutaj. Teraz musiał polegać tylko na sobie.

Czyżby naprawdę napisała w listach o zamiłowaniu dziadka do hazardu? Musiała – przypuszczała, że je przeczytał, zatem to, co dziś powiedziała, nie powinno być kłamstwem. Co jeszcze tam napisała? Coś, co wyjaśniało, dlaczego kompletnie się nim nie interesowała aż do śmierci ojca?

Na pogrzebie ojca wprost odmówiła odpowiedzi na pytania. Nie miał powodów przypuszczać, że opisze wszystko w listach, zwłaszcza że i podczas jego pobytu we dworze także wykazywała powściągliwość w rozmowie o przeszłości.

Fakt, że opacznie pojmował naturę związku rodziców, skierował jego myśli ku pytaniu, co jeszcze pojmował na odwrót.

Przeczesał palcami czuprynę. Jeśli dziadek sprzedał córkę ojcu, jeśli to naprawdę nie był związek zawarty z miłości, może to ojciec stał za jej odmową widzenia się z synem. Czy mógł ją postraszyć czymś, co kazałoby jej trzymać się jego boku i z dala od Pierce'a?

To się nie kleiło. Przede wszystkim, czemu ojciec miałby porzucać jedynego dziedzica? Dlaczego miałby żądać od żony tego samego? Poza tym, kiedy tu wrócił po ukończeniu dwudziestu jeden lat, matka okazała się dla niego tak samo okrutna, o ile nie bardziej okrutna od ojca. Wtedy, kiedy…

Przeklął pod nosem. O wiele więcej sensu było w wersji, według której matka rzuciła się w życie z człowiekiem, który mógł dać jej wszystko, a Pierce był tylko pewnego rodzaju niedogodnością. W szkole czytywał o hrabim i hrabinie Devonmont obecnych na tym lub tamtym ważnym balu lub obiedzie w Bath, Yorku albo w Londynie. Zdawali się nierozerwalnie powiązani z najwyżej postawionymi członkami angielskiej socjety.

Coraz trudniej było mu wierzyć w matkę jako osobę frywolną i kochającą wyłącznie pieniądze, która złapała hrabiego tylko po to, by bardziej się liczyć w towarzystwie.

W gardle mu zaschło. To dlatego nie chciał tutaj przyjeżdżać! Nie było tu odpowiedzi, natomiast rodziły się same pytania. Wiązały się z otwieraniem ran, o których myślał jak o dawno zaszytych stalową nicią.

Do diabła z matką! I jej wścibską towarzyszką!

Myśl ta nie opuszczała go przez resztę popołudnia. Pierce zbroił się do starcia w czasie obiadu. Zażąda odpowiedzi na pytanie, co było w listach. A potem – wyjaśnienia, czego właściwie matka chce od niego po tylu latach odrzucenia. A kiedy odmówi mu odpowiedzi, on wyłoży Camilli, dlaczego on i matka żyją jak obcy sobie ludzie.

Tak, tak właśnie uczyni.

Kiedy zszedł na obiad, w pełni przygotowany na konfrontację, nikogo tam nie było. Na jego talerzu leżał zwinięty arkusz papieru zaadresowany do lorda Devonmonta charakterem pisma, które musiało należeć do Camilli, bo na pewno nie należało do matki.

Zazgrzytał zębami. Boże, jak miał dosyć listów i liścików. Ludzie uciekali się do listów wtedy, kiedy nie chcieli komuś kłamać w twarz. Albo kiedy mieli ochotę udawać, że nie rozdzierają ci serca na pół.

Z przekleństwem na ustach otworzył i przeczytał:

Wasza Hrabiowska Mość,

Pańska matka cierpi na ostrą migrenę i nie zejdzie na obiad. Za Pańskim przyzwoleniem dziś wieczorem zostanę przy niej.

Z wyrazami szacunku
Camilla Stuart

Zmiął kartkę i cisnął do kominka. Za jego przyzwoleniem – akurat! Tak jakby miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

Umiał czytać między wierszami. Nie ma obiadu z matką, nie będzie wieczoru z Camillą. To była kara za wyznanie prawdy, że nie czytał listów od matki. Kara za to, że w porę nie otworzył Camilli oczu na to, jaka naprawdę jest matka.

Tyle tylko, że nie miał już pewności, jaka ona naprawdę jest. Kim w ogóle jest. Nie mógł być nawet pewien tego, co właściwie dla niej znaczył.

To doprowadzało go do szaleństwa.

Rozdział XI

Camilla przechadzała się po pokoju, dziwiąc się hrabinie i modląc się, żeby jaśnie pani pojawiła się w nim jak najszybciej. Pokojowa przekazała prośbę hrabiny, by jej nie przeszkadzać: miała migrenę.

Camilla westchnęła. Najprawdopodobniej serce pani pękało zranione przez nieczułego syna.

Zapytaj, co się wydarzyło, kiedy osiągnąłem pełnoletność. Ośmielam się zaryzykować stwierdzenie, że ci nie odpowie. A dopóki nie odpowie, dopóty nie masz prawa mnie osądzać.

Dobrze, może nie tyle był nieczuły, co zraniony. Dlaczego? W pracy damy do towarzystwa widziała rodziny skłócone przez błahostki – ojca, który publicznie zawstydził syna, czy córkę, która odrzuciła oświadczyny. Rodziny czasem trudno było zrozumieć.

Teraz pomyślała, że tę rodzinę zniszczyło coś więcej niż błahostka. Rozłam był głębszy i szerszy, niż sądziła.

Możliwe, że Pierce miał słuszność. Możliwe, że nie powinna się wtrącać. Z pewnością sprowadziła na hrabinę więcej cierpienia. Jak mógł nie czytać listów od matki? To do niego niepodobne.

Z drugiej strony, nie znała go dobrze, spędziła z nim zaledwie kilka wieczorów. Był zabawny – dowcipny, bystry, a nawet czarujący, kiedy tego chciał. Przeniknęła trochę jego pancerz, uchyliła go i chciała pod niego zajrzeć. Ilekroć wydawało jej się, że patrzy w jego prawdziwą twarz, natychmiast przywdziewał maskę.

To zaczynało być denerwujące.

Drzwi sypialni otworzyły się i ukazała się w nich hrabina. Serce Camilli drgnęło. Jaśnie pani miała zaczerwienione oczy i nos, a twarz bardzo udręczoną.

Widok Camilli zaskoczył ją.

– Myślałam, że jesteś na obiedzie.

– Nie mogę pani zostawić samej w zmartwieniu.

Hrabina zmusiła się do uśmiechu.

– Nie jestem zmartwiona, tylko trochę… – Wykrzywiła twarz do płaczu i odwróciła się, by to ukryć.

– Jest pani smutna i ma pani do tego pełne prawo. – Camilla podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu. – Zachował się okrutnie, ignorując pani listy.

– Miał powody – wykrztusiła hrabina.

– Jaśnie pani stale to powtarza. Jakież to mogą być powody?

Kiedy hrabina potrząsnęła głową i cofnęła się, by wrócić do sypialni, Camilla, już opanowana, dodała:

– Powiedział, bym zapytała panią o wakacje w szkole.

Lady Devonmont znieruchomiała.

– Nie wyjaśnił, czemu miałabym pytać, ani też nie powiedział, czemu o nich wspomniał. Zostawił to pani. Dlaczego? Co się wydarzyło w czasie wakacji?

Hrabina długo stała, jakby coś ważąc w myślach. Potem westchnęła.

– Nie wydarzyło się nic i w tym cały kłopot.

– Jeśli nic się stało, to dlaczego…

– Nie było mnie przy nim w czasie wakacji ani świąt. Chciał, byś się tego dowiedziała.

Camilla zamrugała, pewna, że źle rozumie. Żadnej kochającej matki nie brakuje przecież przy dzieciach w czasie wakacji czy świąt.

– Żadnych świąt? Ani Bożego Narodzenia, ani Wielkanocy?

– Ani jednych – wyszeptała.

Ciarki przeszły jej po plecach. Nawet jeśli była zmuszona zostawić Jaspera w rodzinie męża, zawsze zdobywała się na wysiłek, by być z nim w czasie ważnych uroczystości. Nie wyobrażała sobie nie widzieć się z nim na Boże Narodzenie.

Przypomniała sobie, o czym jeszcze wspominał Pierce:

– A immatrykulacja? Mówił, że i o to powinnam zapytać. Proszę nie mówić, że i wtedy pani nie było.

Hrabina popatrzyła jej w twarz zdruzgotana.

– Każde wakacje, od kiedy skończył osiem lat, spędzał z krewnymi w Waverly Farm. Tylko oni razem z jego stryjecznym dziadkiem brali udział w ceremonii immatrykulacyjnej. Ja nie mogłam pojechać. Nie pozwolono mi.

– Co to znaczy?

Oczy lady Devonmont, o ciepłej brązowej barwie, takie same jak oczy Pierce'a, pociemniały, po czym hrabina westchnęła głęboko i boleśnie.

– Ojciec Pierce'a na to nie pozwolił.

– Hrabia?

– Oczywiście, że hrabia – syknęła. – Któżby inny?

– Prawda, przepraszam – bąknęła Camilla. W głowie jej się kręciło od myśli o chłopcu zdanym na opiekę krewnych, podczas gdy miał dwoje wspaniałych rodziców. – Nie rozumiem.

– To oczywiste, że nie rozumiesz. Pierce też nie rozumie.

Nie, jakże mógł pojąć? W zasadzie jako dziecko stracił rodziców. Był wtedy tylko dwa lata starszy od Jaspera!

Jaśnie pani zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Dlatego nigdy mu nie powiedziałam, że ojciec był prawdziwym powodem mojej przy nim nieobecności. To tylko wywołałoby kolejne pytania, na które nie mogę odpowiedzieć.

– A zatem nie wie pani, dlaczego hrabia chciał utrzymać panią z daleka od syna? – spytała z niedowierzaniem.

– Wiem dlaczego. – Hrabina stała się nieprzystępna. – O tym, mimo wszystko, nie będę mówić. Nie mogę. Pewne sprawy są zbyt osobiste.

– Osobiste? Powód, dla którego pani syn został zostawiony sam sobie, nazywa pani osobistym?! – zawołała Camilla. – Ośmielę się twierdzić, że syn ma prawo go poznać.

– Ma prawo, lecz ja nie mogę… – Głos jej się załamał. – Nie będę o tym rozmawiać. Błagałam go o wybaczenie w listach, że nie byłam mu przez tyle lat matką, i zrozumiem, jeśli mi nie wybaczy. Napisałam mu, że naprawdę miałam powody, by pozwolić wychowywać go innym. Uczyniłam, co musiałam, a on musi to po prostu przyjąć do wiadomości.

Camilla patrzyła na nią z otwartymi ustami.

– Czy nie widzi pani, dlaczego nie może?

Hrabina obrzuciła ją ostrzegawczym spojrzeniem.

– Trzymaj się od tego z daleka, moja droga.

– Jakże mogę, gdy widzę, jakie to wam obojgu zadaje cierpienie?

– Do licha, dlaczego oboje nie możecie uwolnić się od przeszłości? Dlaczego nie zaczniemy od nowa i zapomnimy…

– Bo to pani nie może! Nie może, jeśli pragnie naprawić stosunki z synem.

Jaśnie pani jęknęła cicho, lecz nie odezwała się już ani słowem.

– Dlaczego hrabia nie pozwolił pani widywać się z synem?

Potrząsnęła tylko głową.

A niech to, kobieta była równie uparta jak Pierce! I co miała na myśli, kiedy mówiła, że niektóre sprawy są zbyt osobiste?

O nie, tylko jeden powód, dla którego hrabina mogłaby czuć potrzebę dochowania tajemnicy, przychodził Camilli do głowy. To by wyjaśniało, dlaczego jaśnie pani tak naskoczyła na Camillę, gdy ta nieświadomie zasugerowała, że Pierce mógłby nie być synem hrabiego.

Może i tak.

Wiele by to wyjaśniało – i to, że hrabina nie chciała na ten temat rozmawiać, i to, dlaczego nie chciał o tym mówić Pierce. Jeśli jest synem innego mężczyzny…

Tę myśl jednak szybko porzuciła. Widziała przecież portret hrabiego nieboszczyka. Pierce był wierną kopią ojca. Każdy to przyznawał.

Poza tym urodził się z prawego łoża. Hrabina powtarzała, że urodziła go w dziesięć miesięcy po swym ślubie w wieku lat osiemnastu. A o ile Camilla mogłaby sobie wyobrazić hrabinę ofiarującą się jednemu mężczyźnie, a potem zmuszoną do poślubienia innego, gdy zorientowała się, że jest w ciąży, miała nie lada kłopot, by wyobrazić sobie ją jako kobietę zdradzającą męża. Szczególnie jeśli ten mąż był aż tak surowy jak hrabia.

Pierce także zdawał się nie żywić co do tego wątpliwości. Z pewnością by coś napomknął, gdyby wiedział. Niemniej jednak mógł nie wiedzieć. O ile było coś na rzeczy, w co szczerze wątpiła. Był szalenie podobny do ojca.

To oznaczało, że na rzeczy musiało być coś zupełnie innego.

Przypomniawszy sobie, o czym jeszcze mówił Pierce, Camilla spytała:

– Może przynajmniej powie mi pani, co się wydarzyło, gdy Pierce stał się pełnoletni. On uważa, że nigdy mi pani tego nie zdradzi.

Rumieniec znikł z twarzy lady Devonmont.

– Miał rację.

– Dlaczego?

– Znienawidzisz mnie, jeśli ci o tym opowiem. – Pierś jej zaczęła falować gwałtownie. – A ja nie zniosę… nie zniosłabym myśli, że i ty mnie znienawidzisz.

Camilla nie mogła wyobrazić sobie żadnej rzeczy, którą mogłaby uczynić hrabina, a która byłaby jeszcze okropniejsza niż wszystko, co zrobiła dotychczas.

– Nigdy pani nie znienawidzę, milady. Gdyby tylko mogła mi pani wyjaśnić…

– Dość tego! – Hrabina doszła do siebie i włożyła swoją maskę – zimnej i nieczułej. Oczy jaśnie pani pałały jednak wielkim żarem.

Odwróciła się i skierowała do sypialni:

– Kładę się już. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać.

– Ależ, proszę pani!

– Nie! – Zatrzymała się w drzwiach. Ramiona jej drżały, jakby próbowała powstrzymać się od płaczu. Po chwili się uspokoiła.

– Nie prosiłam cię, Camillo, żebyś się wtrącała, i jeśli będziesz to czynić nadal… –

zawiesiła głos, choć zakończenie było oczywiste.

Camilla odchrząknęła. Jaśnie pani nie mogłaby jej zwolnić? A może tak? Nie, Camilla w to nie wierzyła. Samo to, że zagroziła jej zwolnieniem, wskazywało, w jak wielkiej była rozpaczy.

Świadczyło także o tym, że Camilla posunęła się tak daleko, jak życzyła sobie hrabina. Przeciwstawianie się hrabiemu to jedno. Natomiast przeciwstawianie się kobiecie, która okazała się tak dobra, że ściągnęła tutaj Jaspera, byłoby szaleństwem. Nie mogła zachowywać się nierozsądnie, miała przecież syna, o którego musiała się troszczyć.

– Jak sobie pani życzy – powiedziała cicho. – Nie będziemy już o tym rozmawiać.

Nie oznaczało to wcale, że nie będzie próbowała się dowiedzieć czegoś więcej innymi sposobami.

Gdy tylko hrabina kiwnęła głową i znikła w sypialni, Camilla skierowała się do pokoju hrabiego. Miała dość patrzenia, jak dwoje ludzi, którzy tak wiele dla niej znaczyli, rozbija sobie głowy o mur przeszłości.

Częściowo to rozumiała. W swoim życiu także miała sprawy, o których wolałaby nie wiedzieć. Hrabina mimo wszystko zbyt daleko posuwała się w pojmowaniu spraw „osobistych". Przynajmniej kiedy oddała syna do krewnych na wychowanie, powinna mu powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Wówczas by nie zwątpił w jej miłość.

Wyraźnie Pierce bardzo głęboko w nią wątpił. Czuła rozżalenie na samą myśl o tym. Nawet nie znała własnych rodziców, rozumiała więc, jaki to skarb ich mieć, i to takich, którym można wierzyć.

Zapukała do drzwi. Usłyszała zaproszenie do środka. Zebrała się na odwagę i otworzyła drzwi. Wewnątrz było zupełnie ciemno. Ogień w kominku wygasł, nie paliła się ani jedna świeca, poza tą, którą trzymała w ręku.

Słodki Boże, musiał się już położyć do snu.

– Najmocniej przepraszam – bąknęła i zaczęła się wycofywać.

– Nie odchodź – powiedział cicho rozkazującym tonem. Nie był to głos kogoś wyrwanego ze snu.

Zawahała się.

– Obawiam się, że muszę.

– Nie leżę w łóżku. Siedzę tylko po ciemku. – Z ironią dodał: – Jestem kompletnie ubrany i obiecuję cię nie napastować.

Kiedy nadal stała nieprzekonana, powiedział już łagodniej:

– Wejdź i dotrzymaj mi przez chwilę towarzystwa, proszę.

„Proszę". Tego słowa używał bardzo rzadko – ludzie o jego pozycji nie musieli go używać. Coś w tonie jego głosu i sposobie, w jaki poprosił ją o towarzystwo, sprawiło, że w oczach stanęły jej łzy. Bez wątpienia w dzieciństwie wielokrotnie prosił w ten sposób o towarzystwo matki. Bezskutecznie.

Wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy oczy przywykły do ciemności, zobaczyła go w ulubionym fotelu, wysuniętym na środek, by można było, siedząc w nim, patrzeć przez okno.

– Często siedzisz w ciemnościach? – Zbliżyła się do Pierce'a.

– Tylko wtedy, kiedy jest pełnia księżyca, a ziemię pokrywa śnieg. – Wskazał widok przed sobą. – Popatrz tylko.

Musiała zdmuchnąć świecę, żeby dostrzec coś poza odbiciem w szybie. Ujrzała niewiarygodny krajobraz. Poniżej rozciągała się pokryta śniegiem łąka, w świetle księżyca wprost czarodziejska. Krzewy wyglądały jak mrożone ciasteczka podane na

pierzynce z marcepana. Wydeptane w śniegu ślady były niczym migdały na polewie. Jedynie czarne, pozbawione liści buki rosnące na obrzeżach ogrodu dodawały widokowi smutnego wyrazu.

– Kochałem ten widok. – W ciemności rozległ się jego głos. – W dzień widać mleczarnię, strumień z pstrągami, a nawet kilka chat. Kiedy siadywałem tutaj jako chłopiec, wyobrażałem sobie, jak to będzie, kiedy wszystko odziedziczę. Miałem wielkie plany. Zamierzałem być łaskawym władcą wszystkich i wszystkiego. Dokładnie w tym pokoju, chociaż nie była to sypialnia pana. – Wyrwał mu się zduszony śmiech. – Rzecz jasna, ojciec w swej nieskończonej głupocie postanowił wybudować nieopodal większy i świetniejszy pałac. Nie lubił tego dworu. Mawiał, że jest za skromny na siedzibę hrabiego. I teraz, kiedy przyjeżdżam do Herfordshire, siedzę w pozbawionym duszy mauzoleum, które nie posiada nawet dziesiątej części uroku starego dworu. – Potrząsnął głową. – A tymczasem matka mieszka w domu, który ukochałem. Tylko dlatego, że postanowiłem ją ukarać. Założyłem, że nienawidzi tego domu, tak samo jak ojciec. I że to ona skłoniła go do budowy pałacu Montcliff. – Jego głos zdawał się docierać z daleka. – Zamiast tego urządziła się tutaj, zadomowiła i uczyniła to miejsce tak ciepłym i przytulnym, jak je zapamiętałem z dzieciństwa. Myślałem, że moje miłe wspomnienia z tamtego czasu to iluzja. Teraz nie jestem już tego taki pewien.

Serce podskoczyło jej do gardła. To dlatego powiedział, że bardzo lubi ten pokój, choć już pierwszego dnia przyznał, że nie był jego. Jeśli wierzyć hrabinie, nie miał w tym domu innego pokoju prócz dziecięcego.

Wspomniał wprawdzie, że coś się wydarzyło, kiedy osiągnął pełnoletność. Czy wtedy się zatrzymał właśnie w tym pokoju? Musiała się tego dowiedzieć.

– Zadałam twojej matce pytania, jak kazałeś – zaczęła.

Kiedy usłyszała, że głęboko i raptownie zaczerpnął powietrza, pomyślała, że nie powinna poruszać tematu. Niemniej jednak on sam zaczął i zapewne oczekiwał sprawozdania, czy zrobiła to, co kazał.

Minęło sporo czasu, nim zapytał:

– Odpowiedziała?

– Na niektóre. Z tego, co mówiła, zrozumiałam, że w wieku ośmiu lat wyjechałeś z domu do szkoły i wróciłeś dopiero po latach. Spędzałeś wakacje u krewnych?

Z trudem przytaknął.

– Czy ktoś kiedykolwiek wytłumaczył ci dlaczego?

– Rodzina Waverlych za każdym razem podawała inne powody. – W jego głosie wyczuła napięcie.

– A to mawiali, że rodzice są w Brighton, a to, że bawią z wizytą w Yorku. Albo też, że wyjechali na sezon do Londynu. – Zacisnął dłonie w pięści. – Zawsze mieli jakąś wymówkę. Sprowadzały się do jednego: matka i ojciec krążyli po kraju, byle dalej ode mnie.

– Och, Pierce – szepnęła, próbując sobie wyobrazić, jak się czuł. Wyglądało na to, że gorzej mieć rodziców, którzy porzucili własne dziecko, niż nie mieć ich w ogóle.

Chciała mu powiedzieć to, co rzekła matka: że nie pozwolono jej się z nim widywać. Zdawało jej się jednak, że Pierce chce mówić o swojej przeszłości. Nie chciała powiedzieć czegoś, co mogłoby powstrzymać zwierzenia.

– Najpierw pisywałem do matki – mówił dalej. – Przykładnie, raz w tygodniu. Nie odpisywała jednak, więc po dwóch latach przestałem. Wtedy też rodzina Waverlych przestała wymyślać wymówki dla rodziców. – Wymamrotał przekleństwo pod nosem, po

czym ciągnął pewniej: – Wymówki, dlaczego nie chcą mnie widzieć. Krewni po prostu przyjęli mnie do rodziny.

– To bardzo chwalebne. – Może nie lubiła zbytnio brata Kennetha, ale ceniła to, że przyjął na siebie obowiązek opieki nad Jasperem.

Rozważała, czy nie powiedzieć Pierce'owi o Jasperze. Zaczęło jej doskwierać, że ukrywa przed nim jego istnienie. Jednakże nie mogła ryzykować bez pewności, jak zostanie to przyjęte.

– Każdy, kto bierze cudze dziecko na wychowanie, jest dobry.

– Tak, to są dobrzy ludzie. – Popatrzył za okno. – Zrobili wszystko, by ukryć przede mną bolesną prawdę. Kiedy rodzice nie pojawili się na mojej immatrykulacji, pomyślałem, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. I że nigdy nie będą chcieli, bym wrócił do domu.

Rzekł to głosem tak zduszonym, że ścisnęło jej się serce.

– To brzmi okropnie – wyszeptała.

Wzruszył ramionami, po czym obrzucił ją przelotnym spojrzeniem:

– Ale nie aż tak okropnie, jak dzieciństwo w sierocińcu, prawda?

– To nie to samo, choć tak samo okropne. Nie znałam rodziców i nie czułam bólu, że się mnie pozbyli, takiego, jaki ty musisz czuć. Znałam tylko sierociniec.

– Twoi rodzice musieli zatem umrzeć bardzo wcześnie – zauważył.

Nigdy nie rozmawiali o jej rodzicach. Zazwyczaj unikała tego tematu, ilekroć rozmowa zmierzała w tym kierunku. Teraz było już za późno.

Zastanawiała się, co powiedzieć, żeby nie skłamać.

– Trafiłam do sierocińca już jako niemowlę. – To prawda, choć sporo przemilczała. – Szczęśliwie, było to przyjazne miejsce – nie jedno z tych, w których dzieci źle się traktuje.

Zaśmiał się, ganiąc siebie.

– Musisz myśleć, że jestem rozpieszczony, bo żalę się na to, że nie miałem obok siebie rodziców, gdy tymczasem miałem więcej niż ty. Poszedłem do Harrow, a wakacje spędzałem ze wspaniałymi ludźmi. Byli dla mnie jak rodzice. A mój stryjeczny dziadek, którego nazywam wujem, traktował mnie jak ojciec.

Próbował dostrzec plusy swojej sytuacji. Serce znów zaczęło jej się krajać.

– Absolutnie nie jesteś rozpieszczony – rzekła cicho. – Musiało cię bardzo ranić, że nie wiedziałeś, czemu rodzice…

– Mnie nie chcą? – dokończył nagle. – Tak, to było najtrudniejsze. Zawsze byłem krnąbrnym dzieckiem, ale gdyby choć powiedzieli mi, co takiego zrobiłem, by zasłużyć sobie na banicję…

– Nie zrobiłeś niczego, by sobie na to zasłużyć! – zapewniła żarliwie. – Żadne dziecko nie zasługuje na takie traktowanie.

– To dlaczego to zrobili?

Westchnęła.

– Twoja matka powiedziała, że ojciec zabronił jej się z tobą widywać.

Westchnął ciężko.

– A ty jej wierzysz?

– Wierzę. Wyglądała na bardzo zmartwioną. – Patrzyła w dół na jego ciemną głowę. Chciała zdobyć się na odwagę: pogładzić go po jedwabistych włosach i pocieszyć.

– Twój ojciec był zdolny do czegoś takiego? Ona o nim nie wspomina. Nikt ze służby też nie wie, jakim był człowiekiem.

– Popaprańcem. Nie lubił, gdy się przy nim kręciłem. Więc tak, to możliwe.

– Nawet skoro byłeś jego dziedzicem?

– To zdawało się nie mieć dla niego znaczenia. I szczerze mówiąc, nie wiem, co miało. – Po chwili wahania dodał: – Chociaż teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że był bardzo zaborczy względem matki. Jeśli na czymkolwiek mu zależało, to właśnie na niej. – Spojrzał na Camillę. – Czy moja matka powiedziała, dlaczego trzymał ją z dala ode mnie? Napisała o tym w listach, których nie czytałem?

– Nie. – Zastanawiała się, czy mówić mu więcej, lecz to, że matka znała prawdę i nie chciała mu jej wyznać, mogło go zranić bardziej. – Ja… ja… nie rozmawiałyśmy zbyt długo. Powiedziała, że wolałaby, bym… trzymała się z dala od tej sprawy.

Zaśmiał się ponuro.

– Wyraźnie nie zna cię zbyt dobrze.

– Przepraszam – wyszeptała. – Nie miałam pojęcia, kiedy cię tutaj wezwałam…

– Rozumiem, że wiedziałaś wiele – stwierdził chłodno.

– Naprawdę nie spodziewałam się tego, co się stało. – Kiedy milczał, przypomniała sobie, że nadal nie odpowiedział na niektóre pytania. A tak długo, jak był w nastroju do wynurzeń…

– Zatem nie było cię w domu przez dziesięć lat? Tyle czasu nie widziałeś rodziców?

– Raczej trzynaście lat. Dopóki nie stałem się pełnoletni. – Spojrzał na nią. Światło księżyca zalśniło w jego ciemnych oczach.

– O tym też ci powiedziała?

– Nie. Na to pytanie odmówiła odpowiedzi. Powiedziała, że znienawidzę ją, jeśli mi powie, a nie zniesie tego, jeśli oboje będziemy ją nienawidzić. – Camilla zawahała się, po czym położyła mu rękę na ramieniu. – Zatem to ty będziesz musiał opowiedzieć mi o tym, co się wydarzyło.

Napiął się, po czym, ku jej rozczarowaniu, strącił jej rękę i wstał. W samych skarpetkach podszedł do kominka. Pochylił się, żeby rozpalić ogień.

Kiedy milczał, wyobrażała sobie najgorsze scenariusze.

– Twój ojciec nie… To znaczy nie był człowiekiem tego pokroju, który by cię bił albo coś w tym rodzaju?

– Nie, nic z tych rzeczy – odburknął.

Dzięki Bogu. Gdyby ojciec uciekał się do przemocy, Pierce i matka mogliby niechętnie o tym mówić. A przypuszczała, że nawet w wieku dwudziestu jeden lat Pierce mógł być obiektem przemocy ze strony ojca.

A nawet ze strony…

– A matka? Ona też nie… To znaczy, nie wyobrażam sobie, żeby mogła, ale…

– Żadne z nich nigdy nie podniosło na mnie ręki – zapewnił. Podkładał podpałkę pod płomień. Westchnął. – Ma w pewnym sensie słuszność. Gdybyś usłyszała całą historię, mogłabyś też ją znienawidzić. A nawet odejść z posady. A ja bym tego nie chciał.

– Dlaczego?

Wstał i stanął przed nią z oczami lśniącymi w blasku płomieni.

– Bo nie chcę, żebyś odeszła.

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Atmosfera się zmieniła, coś zaiskrzyło między nimi. Patrzyli sobie prosto w oczy. Jego spojrzenie było natarczywe, niezgłębione i ciężkie od pożądania.

Po chwili schował twarz za swoją maską. Wzruszył ramionami.

– Nie mogę sobie pozwolić, by stracić dobrą damę do towarzystwa dla matki. Potrzebuje kogoś, przy kim będzie miała zajęcie, żeby się nie wtrącała w sprawy

posiadłości. A ty swoje obowiązki czynisz z wdziękiem.

Stała osłupiała. Podszedł po karafkę z brandy. Znów pojawił się Devonmont Lekkoduch. To bolało. Słowa, które wypowiedział tak zwyczajnie, zabolały.

Poszła po rozum do głowy. Dobry Boże, ależ miała wyobraźnię! Pomyślała, że mu na niej zależy? Że mógłby za nią tęsknić, gdyby wyjechała?

Zatracała wyczucie proporcji. Jednego wieczoru pocałowali się parę razy, co zapewne dla takiego rozpustnika jak on nie znaczyło nic. Powierzył jej swoje sekrety, ale może dlatego, że była pod ręką. Bez względu na to, ile wieczorów spędzili razem, on był hrabią, a ona kobietą bez koneksji. Hrabiowie nie żywią głębokich uczuć do wdów po ubogich pastorach. Jeśli była mu tutaj potrzebna, to tylko z powodu matki.

Poprawiła okulary i odezwała się, udając, że jest w pogodnym nastroju.

– Jeśli mamy dziś oddać się wspólnej rozrywce, sądzę, że powinniśmy zacząć. Na co masz ochotę?

Skupił się na nalewaniu sobie brandy i nawet na nią nie spojrzał.

– Nie jadłem dziś z matką obiadu, nie ma potrzeby, byś mi dotrzymywała towarzystwa.

Dał jej jasno do zrozumienia, że wolałby zostać sam.

– Jak sobie życzysz. – Usiłowała ukryć rozczarowanie w głosie. Wyczekiwała wspólnych wieczorów, ale prędzej by umarła, niż się do tego przyznała. On, bez wątpienia, już się nimi nudził.

– Poza tym – dodał łagodniejszym tonem – domyślam się, że nie jadłaś obiadu. Dość, że wzięłaś na siebie rolę rozjemczyni między mną a matką. Przez te nasze głupstwa nie możesz nam tu zmarnieć.

– Nie sądzę, bym zmarniała przez to, że nie zjadłam jednego obiadu – powiedziała sucho. – Doceniam troskę. Ale teraz, skoro o tym wspomniałeś, poczułam się głodna.

Tylko trochę mniej rozczarowana ruszyła w stronę drzwi.

– Camillo! – zawołał, gdy sięgała do klamki.

– Tak? – odwróciła się.

– Dziękuję, że zadałaś matce moje pytania. – Wzrok miał wbity w kieliszek. – I dziękuję też, że obdarzyłaś mnie kredytem zaufania, kiedy odkryłaś, że nie przeczytałem jej listów. Powinienem je przeczytać, ale…

– Rozumiem. Czasami złość pcha człowieka do robienia rzeczy bez odwrotu. Jeśli to ci pomoże, powiem, że nie sądzę, by w tych listach odkryła przed tobą coś szczególnego.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jeśli czegoś ci nie powiedziała, ani też nie powiedziała czegoś mnie, trudno sobie wyobrazić, by zapisała to w liście. – Ważyła słowa, by go znowu nie zranić. – Poza tym zachowywała się jak osoba, która nie jest jeszcze gotowa na rozmowę.

Pociągnął łyk brandy.

– Wszystko jedno, chciałbym je teraz przeczytać, dowiedzieć się, co w nich jest.

– To dobry pomysł.

– I, żebyś nie miała mnie za kompletnego głupca, w przeszłości już zadawałem jej pytania. Na pogrzebie ojca zapytałem, czemu mnie odesłali. Nie odpowiedziała. Rzekła tylko, że chce pozostawić przeszłość za sobą.

– Dziś powiedziała mi to samo. Odparłam, że to nie wyjdzie, że nie może cię zostawić z tym samego. – Potrząsnęła głową. – Kazała mi trzymać się z dala od tych spraw, więc obawiam się, że niewiele wskórałam.

– Zrobiłaś bardzo wiele – stwierdził zagadkowo. Wychylił resztę brandy, a gdy się

odezwał, znów był Devonmontem Lekkoduchem.

– A teraz idź na obiad, bo wyciągnę ci do przeczytania na głos jakąś niecenzuralną książkę.

Chciała zapytać, czy jeszcze zostanie, ale była na to zbyt dumna. Wyszła, żałując, że aż tyle się o nim dowiedziała dziś wieczorem. Przedtem nie żałowała go aż tak. Pamiętała, jaki okropny jest dla matki.

Tymczasem teraz, gdy sprawy pogmatwały się tak dalece, zrozumiała, że będzie jej trudniej upilnować swoje serce.

Rozdział XII

Kiedy Camilla wyszła, Pierce nalał sobie następny kieliszek brandy. Nie wiedział już, o czym myśleć. Rozumiał, że ojciec mógł chcieć mieć matkę tylko dla siebie, ale czemu matka się na to zgadzała? Umiała się mu przeciwstawić. Co się zmieniło, kiedy Pierce skończył osiem lat?

Może rzeczywiście czekała tylko na to, żeby dorósł na tyle, by spakować się do szkoły. Jeśli jednak nie chciała go odsyłać, dlaczego do niego nie pisała? Dlaczego nie próbowała się z nim zobaczyć? Jej rodzice od dawna już nie żyli. Co, za sprawą ojca, utrzymało ją z dala od syna, którego kochała?

Chyba że nie kocha cię naprawdę – dobiegł go znienawidzony głos, który dręczył go w Harrow. – *Chyba że tylko tobą manipuluje, używając do swoich celów*.

Pociągnął łyk brandy, jakby chciał nią wypłukać swoje podejrzenia. Zbyt wiele zaszło między nim a matką i zbyt wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Ojciec nie żył – nie miała powodu już niczego utrzymywać w tajemnicy. Dlaczego nadal coś ukrywała?

A niech to wszyscy diabli!

Cisnął kieliszek do kominka, czując chwilowe zadowolenie na dźwięk tłuczonego szkła i widok płomieni podsyconych przez brandy. To właśnie tego szaleństwa z powodu nieodgadnionych pytań i niepewności chciał za wszelką cenę uniknąć. Lepiej się czuł w Londynie. Wierzył, że matka go nienawidzi i pragnie tylko pieniędzy ojca.

Wtedy jednak nie poznałbyś Camilli.

Wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w płomienie. A tak, to prawda. Tylko dlaczego cieszył się z poznania wdowy o ciepłym uśmiechu i szlachetnym sercu, pozostało dla niego zagadką.

Ona rozumie twój ból.

Rozumiała. Wnikała bardzo głęboko. Może dlatego, że była sierotą, wiedziała, co znaczy tęsknota za rodzicami. To musiało go do niej przyciągać, z jej uporem, lojalnością wobec podopiecznej… Pragnął jej, pragnął i pragnął…

Do diabła! To szaleństwo. Uroił sobie intymny związek.

To nie urojenie sprawiło, że błagałeś ją, by nie odeszła.

Nawet gdyby wypowiedział te słowa, wiedziałby, że są niemądre. Mogłaby przypuścić, że znaczą coś więcej, podczas gdy jedynie chwytał się oferowanego przez nią współczucia.

Prawda, to tylko współczucie. *Dlatego właśnie nie powiedziałeś żadnej innej kobiecie rzeczy, które powiedziałeś tego wieczoru. To dlatego pozwalasz jej zajrzeć w swoją duszę. Bo oferuje ci współczucie.*

Zaklął pod nosem. W porządku, może było w tym coś więcej, lecz tylko ze względu na sprawę z matką. I całe to gadanie o Bożym Narodzeniu. A jego bolesne wspomnienia tamtego dnia w gabinecie…

Nie, do cholery, nie może pozwolić, by to go niszczyło! Stanowczo nie dopuści, by Camilla go zgubiła. I tylko dlatego, że patrzyła na niego tym swoim wzrokiem, z sercem jak na dłoni, nie zamierza wylać przed nią swoich żalów.

Pora przestać o niej myśleć. Był przecież lekkoduchem! Nie dbał o nic i o nikogo! Jutro

powinien wrócić do Londynu.

Wziął kolejny kieliszek i napełnił po brzeg. Dziś wieczorem zamierzał się upić i zapomnieć, że przyjechał do tego przeklętego miejsca, zapomnieć, że poznał wścibską Camillę. Rano spojrzy na wszystko jaśniej.

Zaczął więc pić. I pić. I jeszcze więcej pić. Przeprowadził swój plan z taką determinacją, że kiedy się kładł, był kompletnie zalany.

Niestety, kiedy obudził się nazajutrz koło południa, nie był w stanie zobaczyć niczego więcej, a co dopiero jaśniej. Nie był w stanie widzieć nic, tak potężnego miał kaca.

Wyraźnie plan się nie powiódł. Zwłaszcza że obiecał spotkać się z Fowlerem do południa, żeby porozmawiać o podarunkach dla służby na święta. Zarządca zaczeka, rzecz jasna, ale Pierce nie lubił, by na niego czekano. Ojciec tak czynił, a choć Pierce słyszał, jak podobny był do ojca, nie chciał go przypominać charakterem, przynajmniej jeśli miał na to wpływ.

Pierce zadzwonił po lokaja, który pełnił w starym dworze rolę jego osobistego służącego, i zwlókł się z łóżka, by wypić kawę. Potrzebował aż trzech filiżanek, żeby móc się ubrać. Wypił kolejne trzy, żeby nabrać sił na jazdę do pałacu Montcliff.

Dojechał tam tuż przed południem. Nie był zdziwiony, gdy zastał Fowlera w gabinecie przy pracy, tam gdzie zazwyczaj pracował też Pierce.

Kiedy wszedł, zarządca poderwał się na równe nogi.

– Mam nadzieję, że wasza hrabiowska mość nie obrazi się, lecz posunąłem się już do spisywania listy. Pomyślałem, że kiedy spiszę wszystko…

– Dobrze – wykrztusił przez zaciśnięte zęby Pierce, marząc o tym, żeby Fowler nie krzyczał. – Powinienem przyjechać wcześniej.

– Bez wątpienia w starym dworze nie sypia się zbyt wygodnie – rzekł uprzejmie Fowler.

Było to bardzo delikatnie powiedziane.

– Wie pan, jak to jest – obce łóżko. Przywyknięcie zabiera trochę czasu. – Podobnie jak towarzystwo matki, choć towarzystwo Camilli akurat nie wymagało przyzwyczajania się. Nie znał kobiety, z którą tak świetnie się konwersowało.

No nie, nie zamierzał o niej myśleć, czyżby nie pamiętał?

Zajął miejsce za biurkiem. Fowler usiadł naprzeciwko.

Zbliżający się do pięćdziesiątki Miles Fowler był interesującym człowiekiem. Urodzony w rodzinie murarza, wygrał stypendium do Harrow. Miał celujące wyniki ze wszystkich przedmiotów i zrobił takie wrażenie na szkolnym koledze – wicehrabim Rathmoorze, że ten zatrudnił go jako zarządcę swojego majątku.

Kiedy Rathmoor umarł i zostawił wszystko dziedzicowi George'owi Mantonowi, zaprzysięgłemu szkolnemu wrogowi Pierce'a, Manton, jak to on, tak zraził do siebie większość służby, że kilkoro szukało innej posady, także Fowler.

Pierce nie pożałował, że sprzątnął go Mantonowi sprzed nosa. Fowler był piekielnie dobrym zarządcą. Nic nie uszło jego uwagi, a ponadto posiadał niezgłębione pokłady uczciwości.

Niestety, był także bardzo obowiązkowy, a właśnie dziś Pierce nie miał nastroju do pracy. W głowie miał mętlik, kiedy patrzył na papiery i próbował się skupić.

– Mam nadzieję, że jego hrabiowska mość znajduje resztę starego dworu dostatecznie wygodnym – zaryzykował Fowler, gdy Pierce chwilę milczał.

Byłoby wygodniej, gdyby nikogo tam nie było, chciał powiedzieć w pierwszej chwili.

Tyle że nie była to prawda. Lubił towarzystwo Camilli.

A niech to diabli, znów o niej pomyślał.

– Dostatecznie wygodnym – stwierdził krótko.

– To doskonale, ponieważ z pobytem waszej lordowskiej mości w starym dworze wiąże się pewna rzecz wielkiej wagi, o której chciałbym pomówić.

Pierce wyczuł napięcie w głosie Fowlera. Odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na zarządcę.

– Proszę dalej.

– Wstrząsnął mną list od pana Boyda, który dostałem dziś rano. Pan Boyd wyraził w nim troskę o jaśnie panią i poprosił o szczegóły dotyczące stanu zdrowia pani. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy się dowiedziałem, że przybył pan w zeszłym tygodniu z powodu wiadomości od pani Stuart, że hrabina jest śmiertelnie chora.

Ach, tak. Powinien wysłać uspokajający list do Boyda, ale zupełnie zapomniał, że wygadał się komukolwiek o chorobie matki. Poza tym nie zamierzał zostać tutaj tak długo.

Fowler patrzył na niego skonsternowany.

– Ponieważ nie wspomniał pan o tym ani razu, a służba też nie słyszała o chorobie pani, mogę tylko przypuszczać, że matka pana hrabiego nie była nigdy poważnie chora, albo też cudownie ozdrowiała pomiędzy pana wyjazdem z Londynu a przybyciem tutaj. Służba ze starego dworu zazwyczaj milczy na temat hrabiny, lecz gdyby zaistniała taka sytuacja, wątpię, że utrzymałaby ją długo w tajemnicy.

– Ma pan słuszność – przyznał Pierce. – Matka czuje się dobrze. – Jeżeli tego słowa można użyć w stosunku do niej. – To zwykłe nieporozumienie.

Niestety, Fowler był zbyt dociekliwy, by pozwolić Pierce'owi przejść nad tym do porządku dziennego.

– Jeśli wolno zapytać, sir, jaka dokładnie była natura owego nieporozumienia? Kiedy zatrudniałem panią Stuart, myślałem, że to uczciwa osoba. Nie wyobrażam sobie, by mogła zburzyć spokój pana hrabiego bajeczką o śmiertelnej chorobie hrabiny.

Przeklinając spostrzegawczość Fowlera, Pierce zastanawiał się, co takiego mu odpowiedzieć, żeby nie narażać Camilli na reprymendę.

– Gdybym podejrzewał, że ta osoba ma jakiekolwiek skłonności do kłamstwa, nigdy bym…

– To nie wina pani Stuart – oświadczył stanowczo Pierce. – To wina matki. Zachorowała i dała pani Stuart do zrozumienia, że to poważniejsze, niż było w rzeczywistości.

To poniekąd prawda. Matka twierdziła, że za nim tęskni. A jeśli wierzyć Camilli, rzeczywiście tęskniła.

Twarz Fowlera pojaśniała.

– Ach, rozumiem. A pani Stuart pośpieszyła się z wiadomością?

– Właśnie tak. Wie pan, jak jest troskliwa. A kiedy zrozumiałem, że z matką nie jest aż tak źle, jak myślałem, postanowiłem zostać tam parę dni. – Fowler wyglądał na skonsternowanego, więc Pierce dodał: – Na wypadek gdyby matka dostała nawrotu tej choroby, rozumie pan?

Zarządca kiwnął głową. Widać było, że nadal sytuacja jest dla niego dość dziwna, choć jest zbyt dyskretny, by to powiedzieć.

Fowler wiedział, że Pierce i matka stronią od siebie, ale nie znał tego przyczyny. Pierce nie chciał, by jego uczucia odbiły się niekorzystnie na traktowaniu mieszkańców starego

dworu przez Fowlera.

– A zatem jest pan zadowolony z pani Stuart? – nalegał Fowler. – Nie zrobiła niczego… co by pana dotknęło?

Zarządca wydawał się martwić tym, jak zachowanie Camilli odbije się na nim jako człowieku, który ją zatrudnił.

– Oczywiście. Matka bardzo ją lubi.

Na twarzy Fowlera odmalowała się ulga.

– To dobrze. Doskonale. Pomyślałem, że jaśnie pani ucieszy się z towarzystwa kogoś młodego i pełnego życia. Pani Stuart ma tak pogodną naturę, nie sposób jej nie lubić.

Zarządca pisał już coś podobnego na temat Camilli, ale to, jak o tym mówił, dało Pierce'owi do myślenia.

– Dama jest też całkiem ładna – zaryzykował, przyglądając się bacznie twarzy Fowlera. – Co jest wartością dodaną.

Fowler był zaskoczony.

– Doprawdy? Nie zauważyłem.

Była to bardzo nieszczera odpowiedź, co Pierce natychmiast odgadł. – Ja zauważyłem od razu – rzekł i dodał sucho: – Ale mam opinię uwodziciela, a ci zazwyczaj widzą takie rzeczy.

Fowler roześmiał się z przymusem.

– Byłoby roztropnie z pana strony nie dać pokazać tego hrabinie. Pańskiej matce się to nie spodoba.

A to ciekawe.

– Dlaczego?

– Lady Devonmont ogromnie sobie ceni młodą wdowę. Jest wobec niej bardzo opiekuńcza i niezmiernie by ją zmartwiło, gdyby wasza hrabiowska mość… to znaczy, gdyby ktokolwiek próbował wykorzystać damę. – Po czym dodał pośpiesznie: – Naturalnie nie myślę, że pan byłby do tego zdolny, ale pańska matka mogłaby… właśnie tak błędnie wytłumaczyć sobie pańską przyjaźń dla pani Stuart.

Pierce popatrzył na Fowlera surowo. Czyżby próbował go zniechęcić do Camilli? I skąd tyle wiedział o stosunkach łączących jego matkę i Camillę?

– Brzmi to tak, jakby spędzał pan wiele czasu z moją matką i panią Stuart.

– Wcale nie tak wiele. – Fowler nerwowo poprawił fular. – Choć, kiedy zapraszają mnie na obiad, na ogół nie odmawiam.

– A często pana zapraszają?

– Raz na dwa tygodnie. To bardzo miłe damy, a mnie brakuje kobiecego towarzystwa.

Jak każdemu mężczyźnie. Niemniej jednak wdowiec mógł za nim tęsknić bardziej niż inni. Fowler poza tym nie był ani za stary, ani też zbyt brzydki, żeby nie pociągać kobiet. W rzeczy samej, większość kobiet patrzyła przychylnie na jego przymioty. A pozycja zarządcy majątku zamożnego hrabiego mogła także otwierać dla niego wiele kobiecych serc.

Czy serce Camilli też? Czy pociągał ją Fowler?

Co za niedorzeczna myśl. Przecież ten człowiek był od niej o dwadzieścia lat starszy!

Ojciec był prawie dwadzieścia lat starszy od matki i to nie powstrzymało ani jego… ani jej.

– Towarzystwo kobiet czasem się przydaje – powiedział konwersacyjnie Pierce. Postanowił ustalić prawdę.

– Z pewnością. – Fowler westchnął. – Doświadczenie pani Stuart z pracy w sierocińcu

pozwala jej udzielać doskonałych rad, jak wybrnąć z rozmaitych kłopotów ze służącymi w obu domach. Ma swoje sposoby odgadywania sedna sprawy…

– Wiem doskonale, co ma pan na myśli. Jest bardzo przenikliwa.

– A także chętna do pomocy. A przy tym rozsądna i nie narzuca się jak większość kobiet. Między nią a jaśnie panią – przerwał i lekko poczerwieniał, jakby złapał się na tym, że pieje z zachwytu nad Camillą.

– Cóż, obie są kopalnią informacji.

– Rozumiem. – O tak, zobaczył dość. Fowlerowi spodobała się Camilla. A czemuż by nie? Miała serce na dłoni, była miła w obejściu i posiadała zdrowy rozsądek. A do tego jej ciało: nader apetyczne. Każdy mężczyzna, który miał oczy na właściwym miejscu, chciał pójść z nią do łóżka.

Albo uderzyć do niej w konkury. Fowler mógł do tego dążyć, nieprawdaż? Był szanowanym wdowcem, prawdopodobnie pragnącym ożenić się po raz drugi. Nie miał dzieci, więc pewnie chciał mieć syna.

Jak Camilla przyjęła jego starania? Nie wspomniała o nim, lecz z drugiej strony, raczej by się na to nie zdobyła. Większość chlebodawców nie pochwalała zawierania małżeństw wśród służby.

Czy to możliwe, żeby trzymała w tajemnicy sympatię do Fowlera?

I żeby Fowler krył się ze skłonnością do niej?

Łatwo można było się o tym przekonać.

– Cóż, powinien pan przyjść dzisiaj na obiad – stwierdził, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.

Nie szkodzi, że obiecał sobie dziś powrót do Londynu. Nie czuł się zbyt dobrze na podróż. Piekielnie bolała go głowa. Poza tym było już po południu – niezbyt dobra pora do wyruszania w drogę. I jakąż różnicę uczyni jeden wieczór?

– Proszę przyjść na obiad – powtórzył. – Tyle tylko mogę uczynić, by nie przerywać długoletniej tradycji.

– Och, nie, nie było to nic sztywno ustalonego, milordzie – pośpiesznie zapewnił Fowler. Jego policzki zrobiły się szkarłatne. – Nie śniłoby mi się zakłócać jego lordowskiej mości bezcennych chwil z matką.

– Drobiazg. Miło mi będzie mieć sprzymierzeńca przy stole – powiedział z naciskiem. – Obie damy wykańczają mnie paplaniną o przygotowaniach do świąt.

Fowler się rozluźnił.

– Ach, mogę to sobie wyobrazić.

– Żeby poczuł się pan lepiej – porozmawiamy przy obiedzie o interesach. Nie ma pan pojęcia, jaką mi pan zrobi tym przyjemność.

– Proszę mi wierzyć, milordzie, jestem świadom tego, jak zachowują się kobiety. – Fowler pozwolił sobie odchrząknąć.

– Przybędzie mi pan zatem na ratunek?

– Skoro tak pan to przedstawił, jak mogę odmówić?

– Doskonale – ucieszył się Pierce. – Nie dostanie pan wyśmienitego francuskiego jedzenia, jakie mamy na stole w pałacu, ale jak pan zapewne zauważył, kucharka w starym dworze jest całkiem niezła. Dam jej znać, że pan przyjedzie.

Dziś wieczorem będzie obserwował Fowlera i Camillę, by zgadnąć, jak bardzo intymne są ich stosunki. Tak czy inaczej, nie może pozwolić, by jego służba tworzyła za jego plecami związki, chodziła na schadzki…

Hipokryta.

Niemal usłyszał głos Camilli. Miałaby słuszność. Przedtem nie troszczył się ani trochę o to, czy jego służący zalecali się do siebie, czy też nie. To, co robili w wolnym czasie, było wyłącznie ich sprawą. Tak długo, jak nie przeszkadzało to w pracy, nie obchodziło go to.

Niemniej jednak myśl, że Camilla miałaby coś przed nim ukrywać… A niech to, musiał się tego dowiedzieć. Nie spocznie, póki tego nie wyjaśni.

A jeżeli Fowler jej się podobał?

Pierce żachnął się. Przecież nie rościł sobie do niej żadnych praw. To, że działała jak balsam na jego ból, nic nie znaczyło. Ani też to, że patrzyła na niego łagodnie, a on czuł, że wreszcie kogoś obchodzi, czy żyje, czy umarł. Ani to, że koiła jego gniew, a także…

Cóż z niego za bęcwał!

Byłoby dla niego lepiej, gdyby ciągnęło ją do Fowlera. Wtedy mógłby raz na zawsze pozbyć się obsesji na punkcie niebrzydkiej wdowy, zanim zrobi z siebie głupca.

Rozdział XIII

Camilla na jeśli nie miała nic przeciwko obecności Fowlera na obiedzie, choć dziś wolałaby, by się nie zjawiał. Zwłaszcza że jego lordowska mość pojechał do Londynu. To głupie, wiedziała, ale po szczerej rozmowie z Pierce'em poprzedniego wieczoru miała nadzieję…

Nie wiedziała na co właściwie. Na to, że wieczorem poprowadzą dalej tę intymną rozmowę? Czy że dziś mogła wystąpić w roli rozjemczyni między nim a matką?

To niemądre. Hrabina nie zająknęła się słowem o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Tymczasem służba zdała sprawozdanie, że jego lordowska mość spał prawie do południa, szeptem wyjaśniając, że spił się w nocy do nieprzytomności. I wyraźnie ani on, ani jego matka nie byli gotowi do zdobycia się na szczerość.

To złościło Camillę, A obecność pana Fowlera tylko gmatwała sprawę. Może właśnie dlatego Pierce go zaprosił. Po to, żeby uniknąć rozmowy na temat poważniejszy niż pogoda. Unikanie drażliwych kwestii zdawało się jego ulubionym sposobem na radzenie sobie z nimi.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem zza okularów. Dziś odgrywał Devonmonta Lekkoducha. Ubrał się oficjalnie: w czarny frak, białą aksamitną kamizelkę i jedwabne spodnie. Wyglądał nadzwyczaj przystojnie, jak zwykle. Za lekko znudzoną miną nie było widać śladu walki, która musiała się w nim toczyć.

Jaśnie pani wbiła widelec w duszone małże.

– Jak miło mieć pana znów u nas, panie Fowler. Nie widzieliśmy się kilka tygodni, prawda?

Pan Fowler także ubrany był elegancko, ale widać było po nim zdenerwowanie. Co zrozumiałe, zważywszy, że jadł obiad z hrabią i hrabiną.

– Owszem, milady, tak sądzę.

– Co słychać w pałacu? – spytała Camilla, co go trochę rozluźniło. – Pani Perkins pozbyła się wreszcie przeziębienia?

– Szczęśliwie tak. – Popatrzył na hrabinę. – Obiecała, że jeśli trzeba, przyśle paniom służące do pomocy w sprzedaży na jutrzejszym jarmarku.

– To bardzo uprzejme z jej strony – przyznała lady Devonmont, po czym dodała ciszej: – I niespodziewane.

– Czemu? – spytał Pierce tonem, który zawsze ją poruszał.

Lady Devonmont zesztywniała, lecz nieprzerwanie zajadała małże.

Nie był to czas odpowiedni na wyjaśnianie, że rozłam pomiędzy jaśnie panią a jego lordowską mością przełożył się też skutecznie na służbę z obu domów. Camilla pośpieszyła zatem z innym wyjaśnieniem:

– Służba w pałacu jest znacznie bardziej zajęta niż w starym dworze. Pałac jest, mimo wszystko, sporo większy. – Uśmiechnęła się do pana Fowlera. – Dlatego tak miło, że pani Perkins oferuje pomoc na jarmarku.

Pan Fowler nałożył na talerz szynkę.

– Przyznaję, że póki mi o tym nie wspomniała, póty nie wiedziałem, że panie wystawiają na jarmarku stoisko. Nie powinienem się dziwić. Jarmark w tym roku

zapowiada się na spore przedsięwzięcie. Szykuje się na niego cała żeńska część miasteczka. Podobno jakaś dama przeczytała wiersz amerykańskiego autora o Świętym Mikołaju, który zostawia prezenty w pończochach. Teraz wszystkie siedzą i dziergają pończochy na sprzedaż.

Camilla mrugnęła do niego porozumiewawczo. Czyżby nie wiedział, że *jakaś dama* to matka jego chlebodawcy?

– Ta kobieta przekonała je, że szykowanie pończoch na Boże Narodzenie stanie się bardzo modne –
ciągnął zbyt protekcjonalnym tonem. – Absurdalne, bo to się nie przyjmie.

Jaśnie pani utkwiła w nim spojrzenie zmrużonych oczu.

– Skąd taka pewność?

– Bo to niemądre. – Pan Fowler ukroił szynkę. – Jeśli ludzie zaczną wieszać pończochy, to co będzie dalej? Czepki na schodach? Czy szlafmyce przy oknach?

– Panie Fowler… – zaczęła Camilla.

Hrabina przerwała jej.

– Jest to nie mniej głupie niż wieszanie gałęzi jedliny w holu, czy jemioły, i oczekiwanie, że ludzie zaczną się pod nią całować.

Niepomny niczego pan Fowler podniósł brwi.

– Przeciwnie, milady. To sposoby świętowania znane od wieków. A wieszanie pończoch kojarzy się z praniem. Mało to świąteczne, powiedziałbym.

Lady Devonmont zamrugała, po czym roześmiała się serdecznie.

– Jest w tym jakaś słuszność, panie Fowler. Ale gdyby pan sam przeczytał wiersz, zrozumiałby pan, jaki czarujący zawiera on pomysł. – I z błyskiem w oku dodała: – I dlaczego wspomniana przez pana kobieta robi te pończochy, żeby zebrać pieniądze na naprawę kościelnych organów.

– Zaraz, myślałem, że stoisko jaśnie pani… – Choć lekko pobladł, kiedy zrozumiał prawdę, spokojnie popatrzył na hrabinę. – Och, proszę mi wybaczyć, milady. Widzę, że niechcący panią uraziłem.

Jaśnie pani zarumieniła się na jego dżentelmeńskie przeprosiny.

– Wprost przeciwnie, sir. Wyznaję, że mnie pan rozbawił, i to nie było w porządku z mojej strony. – Rozjaśniła twarz w uśmiechu. – Potem przeczytam panu wiersz. Możliwe, że i pan uzna wspomniany pomysł za przyjemny i nie taki znów głupi, po zapoznaniu się z oryginalnym opisem tego obyczaju.

Odprężył się.

– Choć brzmi to kusząco, chętniej posłuchałbym, jak gra pani na fortepianie. Gra pani naprawdę pięknie.

Tym razem hrabina się zarumieniła. Camilla przyjrzała się baczniej panu Fowlerowi. Ostatnim razem, kiedy tu był, też prosił hrabinę, żeby zagrała. A także wcześniej. Z każdą chwilą utwierdzała się w przekonaniu, że zarządca żywi do hrabiny ciepłe uczucia.

– Nie tylko ja umiem tutaj grać na fortepianie – zauważyła hrabina.

– Ja gram byle jak i doskonale pani o tym wie – wtrąciła Camilla.

– Mówiłam o synu. Grał już od wczesnego dzieciństwa.

Pierce zesztywniał. – To było tak dawno, mamo. Pewien jestem, że najchętniej posłuchalibyśmy wszyscy gry mamy.

Lady Devonmont popatrzyła na niego łagodnie.

– Lubiłeś zawsze walc Sussex.

– Już zapomniałem. – Pierce upił wina. – Ale o ile pamiętam, grała mama zawsze

szybszą wersję utworu, niż czynili to wszyscy.

– Matka waszej hrabiowskiej mości zawsze gra szybsze wersje – wtrącił pan Fowler. – Kocha żywą muzykę. Tak samo jak ja.

– I to dlatego prosi pan jaśnie panią, by grała?

Pan Fowler rzucił szybkie spojrzenie hrabinie, po czym odpowiedział Camilli z szerokim uśmiechem: – Proszę jaśnie panią, żeby grała, bo wtedy wiem, że usłyszę pani śpiew, pani Stuart.

– O tak – wtrąciła się lady Devonmont. – Musisz zaśpiewać, moja droga.

– Musi pani, stanowczo. – Pan Fowler zwrócił się do Pierce'a. – Może pan jeszcze tego nie odkrył, milordzie, ale pani Stuart ma głos słowika.

Pierce utkwił w niej wzrok. – Nie miałem pojęcia. A więc powinniśmy stanowczo urządzić muzyczny wieczorek po obiedzie.

Camilla popatrzyła na niego, nieco zaskoczona tonem jego głosu.

– Zawsze z chęcią służę rozrywce waszej lordowskiej mości. I panu, panie Fowler, także.

– Oczywiście – odparł Pierce i wwiercił się w nią wzrokiem. – Jestem zdziwiony, że wcześniej nic nie wiedziałem o tym talencie. Może chowa go pani tylko dla gości specjalnych, takich jak pan Fowler.

Co to miało znaczyć?

– Chowam go na czas, kiedy nadarza się akompaniament. Zawsze tak szybko opuszczał nas pan po obiedzie, śpiesząc się do swojego cygara, że nie miałam nawet okazji zaproponować.

– Cóż, zatem będę musiał odłożyć dzisiaj cygaro na potem – rzekł cierpko. – Nie chcę opuścić pani śpiewu.

– Och, a pan, panie Fowler, pan też musi nam zaśpiewać! – wykrzyknęła hrabina. Uśmiechnęła się radośnie do Pierce'a. – Twój zarządca dysponuje doskonałym tenorem.

– Doprawdy? – Pierce rzucił Camilli kolejne ze swoich zagadkowych spojrzeń.

– Oczywiście – ciągnęła beztrosko jego matka. – Kiedy śpiewają w duecie z Camillą, powiedziałbyś, że to zawodowi śpiewacy operowi z Londynu.

– Ty wiesz to doskonale, matko – wypalił Pierce. – Pasjami bywałaś z ojcem w operze, kiedy ja byłem w szkole. Czytałem o was w gazetach.

Hrabina zbladła, a Camilla stężała niepewna, czy Pierce nie wciąga teraz Fowlera w swoją wojnę z matką. Pierce tymczasem uśmiechnął się z przymusem i dodał: – Moi rodzice tak często zażywali rozmaitych rozrywek, panie Fowler, że nigdy nie wiedziałem, co przeczytam o nich w „Timesie".

– Jeśli chodzi o moich rodziców, nie musiałem się o nic martwić – rzucił pogodnie pan Fowler. – Matka znana była głównie z puddingu figowego. To średnio nadawało się do gazety.

– To zależy od tego, co by zrobiła z tym puddingiem – zażartował Pierce. – Gdyby wystrzeliła nim z armaty, zaręczam, że trafiłoby to do gazety.

Wszyscy się roześmiali. Od tej pory rozmowa potoczyła się na temat tego, co jest warte opisania w gazecie.

Z westchnieniem ulgi Camilla wróciła do obiadu, mając nadzieję, że nie będzie już więcej spięć. Dostatecznie ciężko było grać rolę arbitra w sporze między hrabiną a hrabią. Nie wiadomo, jak by sobie poradziła, gdyby w ten spór wmieszał się jeszcze pan Fowler.

Pierce po raz kolejny poczuł się jak intruz. Widać było, że Camilla, matka i Fowler spędzali wiele czasu w swoim towarzystwie. Opowiadali dowcipy, których nie rozumiał, anegdoty o służących, których nie znał, i dobrze się razem czuli. W serdecznej i przyjacielskiej atmosferze jak miał odgadnąć, co Camilla naprawdę czuje do Fowlera?

Ubrała się odświętnie, wyraźnie na jego przybycie. Jej popołudniowa suknia z różowej satyny była przybrana bufiastymi ozdobami wokół spódnicy i mniejszymi bufkami przy staniku, które podkreślały jej krągłą figurę. Podobnie jak naszyjnik na nakrapianych piegami piersiach. Nigdy jeszcze nie miała na sobie tej sukni. Czyżby chowała ją dla Fowlera?

Jeśli tak, dobrze ją wybrała. Pierce nie mógł oderwać od Camilli wzroku. Zastanawiał się, jak to by było polizać gładki rowek między jej piersiami, poszukać ustami brodawki…

Do licha, chyba oszaleje!

Obrzucił przelotnym spojrzeniem Fowlera, ten jednak był zbyt dobrze wychowany, by bez żenady gapić się na dekolt Camilli. Spoglądał na nią często, to prawda, lecz równie często kierował wzrok ku hrabinie. Nie dowodziło to niczego, prócz zadowolenia z towarzystwa pań.

Jeśli szło o Camillę, Pierce czuł, że raczej lubi Fowlera. Wyraźnie próbowała go wyprowadzić z błędu, kiedy zmierzał wprost do urażenia hrabiny. Czy to jednak nie był po prostu akt zwykłej kobiecej dobroci? Czy może kobiety biorącej stronę mężczyzny, którego miała nadzieję poślubić w przyszłości? Uśmiechała się do Fowlera bez podtekstu, ale czy mógł jej uwierzyć?

Poza tym Camilla była dobra w ukrywaniu uczuć. Ani razu nie zdradziła się, że spędza z Pierce'em wieczory.

Mogłaby być nawet szaleńczo zakochana i ukrywać to przed światem. Choć dziwne byłoby, gdyby postanowiła utrzymać w tajemnicy taką rzecz, skoro nie ukrywała innych, na przykład uwielbienia dla matki.

– Co pan o tym myśli, milordzie? – spytał Fowler. – Zapomnimy o brandy oraz cygarze i pójdziemy od razu posłuchać muzyki?

– Oczywiście – odparł.

Podniósł się, by pomóc Camilli wstać od stołu, lecz ubiegł go w tym Fowler. Pierce popatrzył jej w twarz – nie zarumieniła się, gdy Fowler podał jej ramię, ale obdarzyła go miękkim spojrzeniem, po czym przyjęła je. W sercu Pierce'a zagościł niepokój.

Dopiero potem zrozumiał, że chodziło o to, by odprowadził matkę do salonu. A niech to piorun trzaśnie.

Ze ściśniętym gardłem podał matce ramię. Dopiero gdy je przyjęła, przypomniał sobie, kiedy szli pod ramię po raz ostatni. Na pogrzebie ojca. Spoczywało na nim tyle spojrzeń, że nie mógł się od tego wymigać. Zżymał się, bowiem wspieranie ramieniem kobiety, która go porzuciła, to ostatnie, na co miał ochotę.

Teraz, gdy miał dla niej więcej serca, zrozumiał, jak ciężko musiało jej być po stracie męża, z którym przeżyła blisko trzydzieści lat. Czy płakała na pogrzebie? Nie wiedział. Nie dało się zajrzeć pod welon.

Czuł, że drżała. To pamiętał. Teraz też drżała, a jej mała dłoń z lękiem ściskała jego ramię.

Próbując nie zwracać uwagi na wspomnienia, które wzbudził jej dotyk, popatrzył przed siebie, na Camillę i Fowlera. Śmiali się z czegoś, co powiedział Fowler. Miała ożywioną twarz, a wzrok utkwiony w Fowlerze.

Pierce się zamyślił.

– Czy pani Stuart czyni awanse Fowlerowi? – zapytał szeptem matkę. Tylko ona mogła to wiedzieć.

– Nic o tym nie wiem – odparła. – A czemu pytasz?

Szybko znalazł powód.

– Jeżeli wyjdzie za niego, będzie od niej oczekiwał gromadki dzieci, co oznacza, że przestanie dotrzymywać mamie towarzystwa.

– O to się nie martwię – padła zaskakująca odpowiedź. – Pragnę jej szczęścia. Będę rada, jeśli znajdzie mężczyznę, który ją pokocha i będzie chciał się z nią ożenić. Zasługuje na lepszy los niż siedzenie ze starszą panią i granie z nią w karty.

Zasługiwała. Nie chciał tylko, by był to Fowler. Musiałby widzieć ją w ramionach innego i obserwować, jak ze sobą flirtują.

Z drugiej strony, przyjeżdżał do posiadłości jedynie, kiedy był potrzebny, nie musiał więc oglądać Fowlera przy okazjach towarzyskich. I nie mógł sobie wyobrazić umizgów żadnego z nich. Ani trochę go to nie uspokajało.

Matka przyjrzała się parze podążającej do salonu.

– Sądzę, że Fowler nie byłby dla niej odpowiedni.

Pierce też tak sądził, chociaż raczej nie z tych samych powodów co matka.

– Dlaczego? Bo jest dla niej za stary?

– Nie jest wcale stary, jest młodszy ode mnie. – Popatrzyła na niego pytająco.

Niewiele młodszy. Nie, lepiej tego nie mówić.

– Jest zbyt ostrożny – dokończyła. – Nie żeby Camilla była lekkomyślna, nie zawsze jednak podąża za tym, co dyktuje towarzystwo.

Stanowczo za mało powiedziane.

– Panu Fowlerowi by się to nie podobało. Jest bardzo zasadniczy.

– Nie zawsze – wytknął Pierce. – Dzisiaj pozwoliłaś mu posunąć się za daleko.

Ku jego zaskoczeniu matka się zawstydziła.

– Wiem. To niewłaściwe z mojej strony. Po prostu złości mnie, gdy mężczyźni są zbyt stanowczy w opiniach.

– Pamiętam – rzekł miękko, przypominając sobie gorące sprzeczki między nią a ojcem.

Obrzuciła go wzrokiem, po czym podjęła rozmowę na poprzedni temat.

– Pan Fowler zasługuje na lepsze traktowanie. Jest bardzo miły. Nawet jeśli przywiązuje nadmierną wagę do tego, co człowiekowi na jego stanowisku wypada, a co nie wypada. – Ostatnie słowa matka wypowiedziała z zastanawiającym napięciem.

Doszli do salonu. Hrabina podeszła do fortepianu. Zdała sobie sprawę z tego, że przed chwilą przeprowadziła pierwszą zwyczajną rozmowę z synem, bez Camilli grającej rolę przewodniczki i zarazem bufora.

Jak to się mogło stać?

– W porządku – powiedziała, gdy zasiadła do fortepianu i zagrała kawałek utworu. – Wiem, jak się pan przed tym wzdraga, sir, ale oboje musicie zaśpiewać *Pięknego huzara*. Inaczej będę rozczarowana.

Camilla zaśmiała się, po czym puściła ramię Fowlera i zaczęła przeszukiwać nuty na fortepianie.

– Spełnimy zadość pani życzeniu, *madam*, lecz tylko jeśli zgodzi się pani na moje. Musimy zaśpiewać kilka kolęd. – Uśmiechnęła się do Pierce'a. – W ten sposób i jego lordowska mość będzie mógł się przyłączyć.

– W żadnym razie! – Pierce opadł na fotel. – Ze mnie większy pożytek jako ze

słuchacza niż wykonawcy.

– Bardzo proszę, milordzie. – Camilla poprawiła okulary. – Nie ma znaczenia, jak dobrze pan śpiewa, chodzi o wspólną zabawę.

Fowler obrzucił Pierce'a szybkim, zagadkowym spojrzeniem.

– Myślę, że jego lordowska mość nie przepada za kolędami.

– Och! – krzyknęła Camilla. Przecież pamiętała, że święta spędzał z dala od rodziców. – Cóż, w takim przypadku…

– Nie, w porządku – zaprotestował Pierce. Nie chciał stać się znowu obiektem współczucia. – Bardzo chętnie posłucham kolędy, jak również śpiewu innej osoby. Nie chciałbym tylko śpiewać.– Spojrzał na matkę. – Poza tym dawno nie słyszałem muzyki mamy, a nie będę się mógł nią cieszyć, kiedy zacznę fałszować.

To zaskakujące, ale naprawdę chciał posłuchać, jak zagra matka. Teraz, gdy wiedział już, jak mylnie ocenił stosunki między rodzicami, w przeżywaniu przeszłości odnajdywał rodzaj przyjemnego bólu. Chciał się dowiedzieć, co mógł opacznie zrozumieć. A częścią tej przeszłości była matka grająca kolędy na fortepianie.

Choć kiedy muzyka już zabrzmiała, to nie gry matki słuchał, ale śpiewu Camilli. Fowler się mylił. Nie była wcale słowikiem, tak nazywano przenikliwe i wysokie soprany w operze. Camilla była syreną… z kontraltem tak bogatym i głębokim, że soprany brzmiały przy nim piskliwie.

I jakże była ekspresyjna! Wciągnęła go natychmiast w historię dziewczyny, która błaga ukochanego żołnierza, by zabrał ją ze sobą na wojnę. Fowler zaśpiewał partię huzara, a Camilla Jane. Podczas pieśni Pierce z łatwością wyobraził sobie, że są kochankami.

Zbyt łatwo. Kiedy Fowler patrzył na twarz Camilli i śpiewał *Jej piękne liczko*, Pierce miał ochotę sprawić mu lanie. Pieśń nie kończyła się tragicznie jak wiele ludowych ballad. W tej Jane i jej piękny huzar ruszali razem na wojnę *połączeni na wieki*.

Było to dziecinne, lecz miał ochotę wysłać Jane wraz z jej huzarem do piekła, zwłaszcza gdy Camilla i Fowler w ostatnich akordach połączyli głosy tak wspaniale, że nikt, nawet człowiek tak przesiąknięty jadem jak on, nie mógł nie docenić piękna. Wbrew opinii matki był przekonany, że Fowler i Camilla stanowiliby piękną parę, niech to diabli!

Kiedy ucichła ostatnia nuta, zmusił się do aplauzu. Zasłużyli na wielkie brawa, nawet jeśli nie spodobało mu się, że Fowler miał taką przyjemność ze śpiewania z nią w duecie.

Camilla uśmiechnęła się do Pierce'a ciepło i to ukoiło jego wzburzenie. Na chwilę.

– Niech mi pan powie, Fowler – zaczął Pierce – czemu matka mówi, że boczy się pan na tę piosenkę?

– Nie boczę się wcale – zaprotestował Fowler. – Uważam jedynie, że żołnierz, który rozważa zabranie ze sobą na wojnę ukochanej kobiety, jest skończonym głupcem. Nie zgodzi się pan ze mną?

Pierce wzruszył ramionami.

– Zależy jaka to wojna. Jeśli mieliby tylko maszerować i wkraczać gładko do belgijskich miasteczek, lepiej mieć ze sobą kobietę, żeby gotowała i prała.

Fowler roześmiał się, a Camilla zmarszczyła.

– Uważa pan, że kobieta najlepiej nadaje się do gotowania i prania?

– Jak również do zapewnienia rozrywki – dodał przeciągle, myśląc o tym, że Camilla przyjdzie wieczorem do jego pokoju. O ile przyjdzie, jeśli jest tutaj Fowler. Kiedy oblała się rumieńcem, dodał tonem niewiniątka: – Jak czyni to teraz pani, śpiewając.

– A jeśli w grę wchodzi miłość? Czyż huzar nie chciałby mieć ze sobą Jane po prostu

dlatego, że ją kocha?

– Miłość jest dla dzieci i głupców – żachnął się Pierce. – Żaden mężczyzna, który ma odrobinę rozsądku, nie podejmuje zasadniczych decyzji, kierując się niedojrzałym uczuciem, o którym bazgrze się na walentynce. – On z pewnością nie rzuci dla miłości wszystkiego.

– Jestem mężczyzną – wtrącił poważnie Fowler. – I spędziłem wiele szczęśliwych lat z żoną. – Spojrzał przelotnie w miejsce, gdzie, obok hrabiny, stała Camilla. – A teraz zrobiłbym prawie wszystko, by dostać jeszcze jedną szansę na miłość.

Świat zawalił się Pierce'owi na głowę. Nareszcie miał swoją odpowiedź. Dostał ją właśnie od Fowlera.

– A pani, pani Stuart? – spytał lekko, starając się zignorować swoje uczucie. – Pani również była zamężna. Czy pani też chciałaby otrzymać kolejną szansę na miłość?

Choć drgnęła na jego zawoalowany przytyk do pozbawionego uczuć małżeństwa, odpowiedziała bardzo poważnie:

– Oczywiście, milordzie. Życie bez miłości jest jak głos bez umiejętności śpiewania. Żadna kobieta, która ma odrobinę rozsądku, nie chce żyć bez miłości. Nie jeśli może temu zaradzić… Nie jeśli pochwyci w porę jej ulotny ton. Smutne, że nie każdej się udaje.

Zapadła cisza i wszystkie spojrzenia spoczęły na hrabim. Tym razem nie potrafił się zdobyć na błyskotliwą ripostę.

Ku jego zdziwieniu, to matka pośpieszyła mu na ratunek.

– Zaśpiewamy teraz kolędy. Zacznijmy od *Świątecznego drzewka*. Zgoda, Pierce?

Kiwnął głową, ale nie słuchał. Myślami krążył wokół słów Camilli. Życie bez miłości. Takie właśnie pędził i nawet czuł się szczęściarzem, że nie doświadcza uczuciowych dramatów, które dokuczały żyjącym w miłości.

Teraz stracił już pewność. A to, że wątpliwości wzbudziła w nim Camilla, nie dawało mu spokoju.

Jak i to, że miała nadzieję znaleźć miłość z Fowlerem. Nie będzie jej z nim dobrze, nie należała do świata zarządcy. To by była pomyłka. Najwyższy czas, żeby przejrzała na oczy.

Rozdział XIV

Hrabina nareszcie udała się na spoczynek, a Camilla pobiegła, by ucałować śpiącego Jaspera przed pójściem do pokoju Pierce'a. Było później niż zwykle, nie była zatem pewna, czy Pierce życzy sobie jej towarzystwa. Musiała się upewnić, na wypadek gdyby uważał, że umowa z poprzednich wieczorów ich obowiązuje.

Żachnęła się. Właśnie. Przez tę umowę nie mogła się doczekać, kiedy spotka się z nim sam na sam. Zachowywała się jak szalona. Nic na to nie umiała poradzić. Kiedy mówili o miłości, wydawał się tak zbity z tropu, że znów pękało jej serce.

Przyśpieszyła kroku, lecz gdy wspięła się na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie, dobiegł ją subtelny dźwięk z salonu. Fortepian.

Czyżby hrabina wstała w czasie, kiedy Camilla poszła pocałować Jaspera na dobranoc? Nie mogła zasnąć? Jeśli tak, Camilla powinna zrezygnować z wizyty u Pierce'a. Nie mogła ryzykować, że hrabina będzie jej szukać i nie znajdzie tam, gdzie się spodziewała.

Zbiegła do salonu, by to sprawdzić, i zatrzymała się w drzwiach. To sam hrabia grał na fortepianie. I robił to doskonale.

– Przypuszczam, że matka już się położyła – powiedział, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

– Tak. – Zamknęła drzwi. – Nie obawiasz się, że cię usłyszy?

– Niemożliwe. Ściany są grube, a sypialnie na drugim końcu domu. Kiedy byłem mały, matka grywała czasem, kiedy ojciec spał. Nigdy nie słyszał.

– To wtedy nauczyłeś się grać? Kiedy ojciec spał?

Zacisnął mocno zęby. – Grywałem czasami.

Nie przerywał gry. Stanęła za fortepianem, by widzieć jego palce na klawiaturze.

– Jesteś w tym bardzo dobry.

Wzruszył ramionami.

– Gram dla odprężenia. W Londynie mam doskonały fortepian.

– Czy to oznacza, że to ty zapewniasz rozrywkę dziś wieczorem? – spytała lekko. – Pójdziemy na górę?

– Nic z tych rzeczy. – Przerwał grę i popatrzył na nią wymownie. – Chciałbym, żebyś dla mnie zaśpiewała.

– Twoja matka na pewno usłyszy.

– Jeśli nawet, będzie myślała, że grasz i śpiewasz dla siebie.

– O nie, przyjdzie sprawdzić, dlaczego jeszcze nie śpię, i znajdzie nas tutaj razem.

– No i co, jeśli znajdzie? – Na jego wargach pojawił się lekki uśmieszek. – Z pewnością wolno nam zabawiać się w salonie, kiedy ona jest w łóżku.

– Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie masz nic przeciwko temu, by nas znalazła?

– A czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie chcesz dla mnie zaśpiewać? – Obrzucił ją ciężkim spojrzeniem.

– Nie.

Twarz mu spochmurniała, a w głosie zabrzmiała gorycz:

– Może coś chowasz tylko na okazje, kiedy pan Fowler jest obok.

Zamrugała. Podobny przytyk rzucił podczas obiadu. Wtedy nie poświęciła temu uwagi, a teraz…

– Nie bądź śmieszny. Dlaczego miałabym tak robić?

– Nie wiem. – Odsunął się ze stołkiem i wstał. Nadal miał gradową minę.

– A dlaczego nigdy nie zaproponowałaś, że mi zaśpiewasz?

– Z oczywistego powodu. – Popatrzyła w jego jarzące się oczy. – Gdybym zaśpiewała dla ciebie na górze, matka by nas usłyszała. Jej pokój jest za blisko od twojego, by nie dotarł do niego śpiew.

Jej rozumowanie wytrąciło mu broń z ręki. Pochylił się nad fortepianem i znów się zamyślił.

– Może i tak, ale czemu nie powiedziałaś, że śpiewasz? I to tak doskonale?

Ta rozmowa psuła jej radość z tego, że polubił jej śpiew.

– Nie złożyło się. A dlaczego ty nie wspomniałeś, że grasz na fortepianie?

Skrzyżował ręce na piersi.

– To nie jest rzecz, którą mężczyzna się chwali. Po prostu to robi.

– To bzdura. Mężczyźni zawsze grali na instrumentach. – Kiedy zobaczyła, jak drgnął mu mięsień w szczęce, dodała: – Ale nie hrabiowie, tak? Nieczęsto w każdym razie.

– Nie, nieczęsto. Na pewno nie wtedy, kiedy ich ojcowie uważali to za niemęskie.

Serce podeszło jej do gardła.

– Zaczynam nienawidzić twojego ojca.

– Nie będziesz jedyna. – Skupił na niej wzrok i dodał: – A zatem twoja odmowa śpiewania dla mnie nie ma nic wspólnego z panem Fowlerem. – Pochylił się i zniżył głos do szeptu: – Nie ma nic wspólnego z tym, jak na ciebie patrzy. I jak o tobie mówi.

Zmieszana gniewem w jego głosie popatrzyła na jego piękne rysy.

– A jak on na mnie patrzy?

– Jakbyś była lekiem na jego samotność.

Dopiero teraz to do niej dotarło.

– Ty myślisz, że pan Fowler… i że ja… – Roześmiała się. – To szaleństwo, przecież jest ode mnie o dwadzieścia lat starszy.

Wyraźnie nie podzielał jej rozbawienia. Nadal patrzył na nią pochmurnym wzrokiem.

– Niektóre kobiety lubią starszych mężczyzn. A ja wyobrażam sobie, że względy mężczyzny takiego jak on mogłyby przemówić do…

– Ubogiej damy do towarzystwa? – rozgniewała się. – Sieroty?

– Wdowy po pozbawionym miłości małżeństwie, która chciałaby, jak to ujęłaś, *pochwycić w porę ulotny ton*. Fowler przyznał się, że poszukuje miłości, więc mogłabyś się w nim zakochać.

– Och, ty akurat znasz się na tym doskonale – zauważyła cierpko.

– Ale to byłaby pomyłka, ty i on.

Patrzyła na niego, niepewna. Przychodziły jej na myśl tylko dwa powody jego obawy, że mogłaby zakochać się w panu Fowlerze – jeden ją obrażał, a drugi intrygował. Bała się dowiedzieć, jaka jest prawda.

Musiała, mimo wszystko, spytać.

– Martwisz się, że mogłabym zwolnić się z pracy, by wyjść za pana Fowlera? Że będziesz zmuszony do szukania nowej damy do towarzystwa dla matki?

– Nie! – odparł, a kiedy zobaczyła, jak był wściekły, ulżyło jej. – Mówię tylko szczerze, traktując cię jak przyjaciółkę, to wszystko.

– Przyjaciółkę – powtórzyła. – Jesteśmy przyjaciółmi?

Zamurowało go.

– Myślałem, że tak.

– Rozumiem. Zatem ty, jako mój przyjaciel, uważasz, że stanowimy z panem Fowlerem niedobraną parę.

– Właśnie tak.

– Czy masz jakiś szczególny powód, by tak czuć? Bo różnicy wieku nie traktujesz przecież jako poważnej przeszkody?

Spojrzał w bok, po czym przeczesał palcami włosy.

– Nie powiedziałem, że to nie przeszkoda, lecz tylko, że sama możesz tego nie uważać za przeszkodę.

– Skoro mnie to nie martwi, nie rozumiem, dlaczego miałoby martwić ciebie.

– Nie chodzi tylko o jego wiek – mruknął. – Wy do siebie nie pasujecie. Fowler jest zbyt… purytański. A ty… zbytnio… zbytnio…

– Nieposkromiona? – spytała figlarnie.

– Ależ skąd! – wypalił. – Tylko taka… pełna życia. Mógłby to zniszczyć, próbując zrobić z ciebie osobę bardziej poważaną.

– Dziwne. Myślałam, że już jestem poważana – powiedziała. Jego zakłopotanie zaczynało ją bawić.

Zaklął cicho.

– Nie chciałem, żebyś to tak zrozumiała. Miałem na myśli…

– Że nie powinnam mieć życia poza dotrzymywaniem towarzystwa twojej matce.

– A niech to, skądże znowu!

Kiedy nie powstrzymała śmiechu, zmarszczył się. – Bawi cię to.

– Jasne, że tak. Jak dotąd nie podałeś ani jednego rozsądnego powodu, dla którego nie powinnam wychodzić za mąż za Fowlera.

Spochmurniał jeszcze bardziej.

– Rozważasz to?

– To ty zdajesz się sądzić, że tak.

– Powiedz prawdę. Czy ty i pan Fowler zawarliście już umowę?

– Jeślibyśmy zawarli, dlaczego miałoby cię to obchodzić? – odparowała. Jeśli słusznie podejrzewała, był po prostu zazdrosny. Chciała, żeby się do tego przyznał. Bez bredzenia, że się o nią troszczy jak o przyjaciółkę.

Tymczasem po nagłej oziębłości odmalowanej na jego twarzy spostrzegła, że się wycofuje.

– Nie chciałbym widzieć, jak popełniasz pomyłkę.

– Bo tak troszczysz się o innych.

Drgnął. – Ponieważ to niewłaściwa dla ciebie partia.

– Skoro tak sądzisz. – Odwróciła się do drzwi. – Przypuszczam, że nie powinnam zapraszać cię na ślub.

Złapał ją za rękę i przyciągnął przed siebie.

– Nie wychodź za Fowlera, do krocset!

Podniosła wysoko głowę.

– Daj mi jeden dobry powód – jeden prawdziwy powód, dla którego nie powinnam.

Coś mrocznego i groźnego błysnęło w jego oczach, po czym powiedział niskim, gardłowym głosem:

– Bo nie chcę, żebyś to robiła.

I gdy jeszcze kręciło się jej w głowie od tej niewiarygodnej uwagi, pocałował ją.

Jej serce wzbiło się do góry, kiedy pocałował ją z namiętnością równą jej namiętności. Chociaż wiedziała, jakim było szaleństwem posunąć się tak daleko, nie mogła nie odpowiedzieć. Cały tydzień borykali się z wzajemną na siebie ochotą, próbowali ją odegnać albo okiełznać. Pojawiała się, kiedy najmniej się tego spodziewali, i Camilla miała już dość.

Pragnęła go. On też wyraźnie jej pożądał. Choć jeden jedyny raz postanowiła nacieszyć się namiętnością mężczyzny.

Jego pocałunki były tak gorące, tak głębokie… takie cudowne, że pozwoliła im porwać się tam, dokąd miały ją doprowadzić. Zaborcze, chociaż on sam nie był zaborczy. Widocznie jednak był zazdrosny, co ją zdumiało. Nie pomyślałaby, iż aż tak mu zależało.

Po kilku długich, hipnotyzujących pocałunkach oderwał od niej usta i wyszeptał:

– Obiecaj mi, że nie poślubisz Fowlera.

Cofnęła się, popatrzyła na niego zdziwiona. Mówił poważnie. Nawet po tym, jak pozwalała mu się całować, nadal myślał… Nadal czasami był taki nieświadomy. Zachciało jej się śmiać.

– Przekonaj mnie, bym tego nie robiła – powiedziała.

Wziął głęboki oddech. A potem bez ostrzeżenia złapał ją w pasie, podniósł i posadził na fortepianie tak gwałtownie, że spadły jej okulary. Nuty pozsuwały się na podłogę, lecz nie zważała na to, bo znów ją całował i napierał na nią ciałem, aż rozchylił jej nogi i przywarł do niej tak mocno, że poczuła jego podniecenie.

Przeszył ją dreszcz. Wsunęła mu dłonie pod frak, chcąc być bliżej niego, a gdy poczuła pod palcami jego kamizelkę, wsunęła palce i pod nią. Poczuła pod nimi twarde napięte mięśnie i jęła je głaskać bez wstydu. Całował ją żarliwie.

Całował wspaniale… zachłannie, jakby pocałunkiem chciał nasycić żądzę. Przykrył dłonią jej pierś, ugniatał, gładził i bezlitośnie pocierał. Nie mógł dostać się pod stanik, więc drugą ręką szukał zapięcia z tyłu, na co nie zaprotestowała.

Oderwał wargi od jej ust, by pokryć pocałunkami łuk jej szyi. Wiedziała, dokąd zmierza.

Gdy suknia była już rozpięta, Camilla jęknęła. Ściągnął tkaninę, by dobrać się do gorsetu oraz halki i zsunąć je z jej piersi.

– Pierce – wyszeptała. – Słodki Boże, Pierce…

– Miałem na to chęć przez cały wieczór – mruknął, upajając się widokiem jej odsłoniętego biustu. Oczy mu płonęły.

– Za każdym razem, kiedy nabierałaś oddechu, by zaśpiewać, pragnąłem dotknąć ustami tego miejsca. – Przycisnął usta do jej piersi. – I tego. – Przesunął wargami po krągłościach. – I jeszcze tego.

W końcu zamknął usta na jej sutku i possał.

To było wspaniałe. Przytuliła głowę Pierce'a i zanurzyła palce w jego jedwabistych włosach, podczas gdy on językiem drażnił jej sutki, najpierw jeden, potem drugi. Bawił się nimi tak przepysznie, że myślała, iż zaraz odejdzie od zmysłów. Kenneth nigdy nie poświęcał uwagi jej piersiom. Nie miała pojęcia, że ich pieszczenie może dostarczać takich wrażeń.

Odsunął się, by na nią popatrzeć, i wyszeptał: – Przekonałem cię?

– Może odrobinę – zażartowała.

Spochmurniał, po czym złapał ją w pasie i przytulił.

– Jeżeli myślisz, że będę stał z boku i patrzył, jak Fowler…

Wybuchła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

– On nie… on nie mnie chce… ty głuptasie – wykrztusiła między jednym chichotem a drugim.

– Mylisz się. Możesz go nie chcieć, lecz on zdecydowanie pragnie ciebie. Chciał słuchać, jak śpiewasz. To na ciebie patrzył, gdy z takim uczuciem mówił o miłości.

– Pomyśl, Pierce – powiedziała i pogładziła go po głowie. – Kto siedział koło mnie?

Zamrugał.

– Matka? – Był przerażony. – O Chryste!

– Są mniej więcej w tym samym wieku. Zawsze prosi, żeby zagrała, kiedy tu przychodzi. Zawsze się o nią troszczy. To dla niej jest taki miły.

Nadal obejmując Camillę, Pierce spojrzał w bok i zmarszczył brwi.

– Przecież jest zarządcą, a ona…

– Hrabiną, owszem. A jak myślisz, czemu on tak skrzętnie skrywa swe uczucia? Nie wiem nawet, czy ona je odwzajemnia. Podejrzewam, że to go nie powstrzymuje.

– Chwileczkę. – Pierce popatrzył na nią. – Wiedziałaś, że pan Fowler coś czuje do matki.

Wstrzymała oddech. Och! Zdemaskował ją.

– No, mogłam się domyślać, tak.

– A mimo to pozwoliłaś mi przypuszczać, że chce się z tobą ożenić. Nigdy bym się nie spodziewał, że jesteś kokietką.

– To dlatego, że wcześniej nikogo nie kokietowałam. – Zakręciło się jej w głowie. Kto by się spodziewał, że drażnienie się z mężczyzną będzie tak podniecające? – Nie zaliczałam cię do tych zazdrosnych.

– Bo nie jestem zazdrosny. – Kiedy uniosła brwi, przyznał uczciwie: – A przynajmniej nie byłem do tej pory.

– Nigdy? – Zmierzyła go sceptycznym spojrzeniem.

– Nigdy. Nie miałem powodu. – Wyprostował się. – Jestem uważany za łowcę przygód miłosnych.

– Mam tego świadomość – przyznała sucho. – Zapominasz, że czytałam o tobie w gazetach.

– No, nie jestem aż tak zły, jak mnie tam malują.

– I to mówi mężczyzna, który w salonie rozebrał mnie do połowy.

Znów spojrzał namiętnie na jej piersi.

– Nie masz nic przeciwko temu? – Oburącz sięgnął po suknię i zaczął ją ściągać.

Puls jej przyśpieszył.

– Nie. – Zadrżała, gdy jego palce prześlizgnęły się po jej obnażonym ciele. – Powinnam, lecz nie mam.

– Ostrzegłem, że jeśli cofniesz się choć o centymetr, ja…

– Tak, to prawda – westchnęła i objęła ramionami jego szyję. – Dziś możesz posunąć się o kilometr, jeśli tylko chcesz.

Była to wystarczająca zachęta. Przesunął dłońmi w górę jej ud i odszukał wilgotne, pulsujące pożądaniem miejsce. Potarł je kciukiem, wyczyniając cuda w najczulszym punkcie, który Kenneth ignorował.

Kiedy jednak wsunął w nią dwa palce, otworzyła usta zdumiona.

– O Boże, najdroższa – wykrztusił. – Jesteś taka gorąca i ciasna.

– Upłynęło sporo czasu – przyznała.

Przymknęła powieki, kiedy pieścił ją z zapałem, którego nie zaznała nigdy od męża. Cóż to za cudowne uczucie…

Pierce pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

– Chcę widzieć, jak dochodzisz. Chcę, żebyś w moich rękach rozpadła się na kawałki, tutaj, w tym salonie. A potem zaniosę cię na górę na rękach do łóżka i zabawię się z tobą na swoje grzeszne sposoby.

– A co, jeśli nie będę chciała tam pójść? – zapytała, choć miała na to wielką chęć.

– Wtedy będę musiał cię przekonać, prawda? – powiedział, dysząc coraz gwałtowniej.

Ona też dyszała coraz szybciej. Nie mogła tego pojąć. Zaczęła się zwijać i jęczeć. Napierała mocniej na jego rękę.

Odpowiedział, zwiększając nacisk pieszczoty. Przyśpieszył jej rytm, aż jęła się wić na fortepianie. Bezwstydnie unosiła się i opadała na jego dłoń, jak w siodle. Pochwyciła go, mocno zacisnąwszy dłonie, i wydała z siebie cichy szloch, który uciszył pocałunkiem.

Było to niepodobne do niczego, co znała. Czy to tego chciał, kiedy powiedział, że chce ją zobaczyć rozpadającą się na kawałki? Jeśli tak, spełniła jego życzenie. Czuła się odkryta przed nim do cna.

Oderwał od niej usta i wyszeptał:

– Chodź ze mną do łoża, Camillo. Nie zniosę tego dłużej. Potrzebuję prywatności. Do tego, co chcę zrobić z tobą.

– Dobrze – zgodziła się, świadoma tylko tego, jak cudownie się czuła w jego objęciach.

Zdjął ją z fortepianu i pomógł jej poprawić ubranie. Nie mogła uwierzyć, że szykuje się do jego łoża. Była zbyt zmęczona walką z własnym pożądaniem i tym, że jest obok niego, lecz nie z nim.

Nie miało już znaczenia, że mogli być tylko kochankami. Jeśli mogła go mieć choćby przez chwilę…

– Wyglądam wystarczająco przyzwoicie? – spytała, gdy dopięła do fryzury kosmyk włosów, który się z niej wymknął.

Pochylił się, by podnieść jej okulary, które znalazły się na podłodze.

– Wątpię, byśmy o tej porze kogoś spotkali – mruknął i założył je jej na nos. – Poza tym i tak zaraz zedrę z ciebie to ubranie.

Przeszyło ją podniecenie. Wyzbyła się wątpliwości. Nigdy jeszcze nie miała mężczyzny, który by jej tak mocno pożądał, było to nad wyraz kuszące.

Skierowali się do drzwi. Byli o krok od nich, gdy się otworzyły.

Ku jej przerażeniu, dziecinny głosik powiedział: – Nie położyłaś mnie do łóżka, mamo, a kiedy wstałem, żeby usiąść na nocnik, Maisie już spała, a ciebie nie było, i dlatego…

Jasper umilkł, gdy dostrzegł Pierce'a.

– O nie – szepnął i szeroko otworzył oczy. – Obudziłem wielkiego hrabiego!

Rozdział XV

Pierce stanął jak wryty. Był wstrząśnięty. Niebieskooki chłopiec o ciemnych włosach stał w jego sypialni w Apcher Hall. Coś w obu piątkach! Patrzył na Pierce'a tak, jakby ujrzał samego diabła.

Nagle zaczął płakać.

– Mamo – chlipał. – Nie chcę być odesłany!

Camilla podbiegła do niego i złapała w ramiona.

– Już wszystko dobrze, kochanie – powiedziała i przytuliła główkę chłopca do swojego ramienia.

– Pewna jestem, że wszystko będzie dobrze, mufinku, na pewno będzie dobrze.

Nie umiała teraz spojrzeć Pierce'owi w oczy. Kołysała tylko chłopca, którego ramiona drżały ze strachu.

– Rozumiem, że to pani syn – wykrztusił Pierce.

Jezu Chryste, miała dziecko, którego istnienie ukryła przed nim. A on myślał, że coś dla niej znaczy, że znaczą coś dla siebie. Tymczasem przez cały czas…

– Nie pozwól wielkiemu hrabiemu mnie odsyłać! – zawodził malec. Pierce powstrzymał się. Teraz chodziło tylko o dziecko, małego bezradnego chłopca.

Chłopca, który był synem Camilli, na litość boską!

– Nikt cię stąd nie odeśle, chłopcze – odezwał się ochryple.

Malec przestał płakać i popatrzył na niego zaczerwienionymi od łez oczami.

– Ale jaśnie pani po… powiedziała, że mu… muszę się trzymać z dala od…

– Matka wie? – spytał Pierce i poczuł ucisk w sercu. – Obie trzymałyście to przede mną w tajemnicy?

Camilla popatrzyła na niego wzrokiem, w którym malowała się panika.

– Proszę, musi pan to zrozumieć. – Przytuliła syna mocniej, jakby miano go jej wyrwać z objęć. – Musiałam iść do pracy, żeby utrzymać Jaspera. Moi pracodawcy życzyli sobie, żebym nie miała zobowiązań, więc mówiłam im, że nie mam. Wysyłałam Jaspera do rodziny Kennetha.

– Oni mnie nie lubią – chlipnął chłopiec.

– To nieprawda, Jasperze – skarciła go łagodnie. Popatrzyła na Pierce'a. – To są Szkoci, rozumie pan, bardzo religijni ludzie. Mają już trójkę dzieci. – Pogładziła synka po włosach. – Ale nawet mimo to nie sprowadziłabym tutaj Jaspera, gdyby nie dowiedziała się o nim jaśnie pani i nie poprosiła mnie o to.

– Matka poprosiła, żeby sprowadzić tu dziecko? – nie dowierzał. Nie trzymała przy sobie własnego syna, a sprowadziła cudze dziecko do Montcliff!

– Tak – potwierdziła ostrożnie Camilla. – Jak pan sądzi, dlaczego tak trudno mi było uwierzyć, że była wobec pana okrutna? Dla mnie i Jaspera jest bardzo dobra.

Postąpił krok w ich stronę, a malec pisnął i złapał matkę.

– Nie bój się, chłopcze, nic ci nie zrobię. – Popatrzył na Camillę. – Coście, u diabła, mu o mnie naplotły?

– Jest pan wielkim hrabią – wyszeptał Jasper. – Nie może mnie pan zobaczyć, bo mnie pan odeśle.

– Nigdzie stąd nie pojedziesz! – warknął Pierce. Kiedy chłopiec się wzdrygnął, dodał łagodniejszym tonem: – Nikt nie rozdzieli cię z matką, a już na pewno nie ja. – Rzucił Camilli surowe spojrzenie. – Nie mogę pojąć, dlaczego naopowiadałyście mu takich bzdur.

Podniosła głowę.

– Pan Fowler dał mi jasno do zrozumienia, że wymaga pan, żebym nie miała dzieci – broniła się. – Potrzebowałam tej pracy. Nie mogłam się przyznać, że mam syna.

– Zupełnie nie wiem, dlaczego pomyślał… – jęknął. – Do licha, to musiało być wtedy, kiedy rozmawialiśmy o dzieciach. Musiałem się wygadać, że nie zamierzam mieć dzieci. A ponieważ nie chciałem rozwijać dlaczego, powiedziałem mu na odczepnego, że ich nie lubię.

Na widok śmiertelnie już przerażonego Jaspera dodał dobitnie:

– Ale wcale tak nie myślałem. – Przeniósł wzrok na Camillę. – Ani też nie wydałem Fowlerowi szczegółowych instrukcji co do braku dzieci w posiadłości, przysięgam. Musiał sam wyciągnąć takie wnioski.

Dobry Boże, musiały się z tym ukrywać nawet przed Fowlerem! Od samego początku? Jak im się to udało?

Coś mu się przypomniało.

– To Jaspera usłyszałem wczoraj w salonie?

Camilla westchnęła i potwierdziła.

– Musiałyśmy pośpiesznie wypchnąć go stamtąd z Maisie. Napędził nam pan strachu wcześniejszym powrotem do domu.

Myśl o dwóch kobietach żyjących w lęku, że mógłby wyrzucić stąd dziecko, boleśnie kłuła go w serce.

– Służba o tym wie?

– Tylko tutejsza. Nie ośmieliłyśmy się powiedzieć nikomu więcej z obawy, że dowie się o tym pan Fowler. A jak zapewne pan zauważył, pomiędzy służbą pałacową a tutejszą istnieje coś w rodzaju rywalizacji, więc nasza służba z satysfakcją trzymała to w sekrecie.

Nie zauważył rywalizacji. Do stu piorunów, był nieświadomy jak dziecko. Sądził, że wie wszystko, co dotyczy posiadłości, że trzyma sprawy w garści, nie wspominając o życiu i stosunkach z matką, podczas gdy nie miał o tym zielonego pojęcia.

Nawet Camilla stała się dla niego zupełnie obca. Pomimo że czuł się zdradzony z powodu utrzymywanej przed nim tajemnicy, nie potrafił mieć do niej żalu. Ona przynajmniej walczyła o syna. To więcej, niż powiedzieć mógł o własnej matce.

Poza tym że matka także walczyła o tego chłopca. Pierce nie wiedział, czy ją za to nienawidzić, czy szanować.

Jasper patrzył na niego już z mniejszym lękiem.

– To znaczy, że mnie pan nie odeśle?

– Nie – udało mu się wykrztusić, bo coś dławiło go w gardle. Wspomnienie dnia w powozie z Tytusem wróciło jak żywe. Jasper był niewiele młodszy od niego podówczas. Pierce doskonale pamiętał, jak zabolało rozdzielenie z rodzicami.

– Jesteś bezpieczny, Jasperze. Masz na imię Jasper, tak?

Kiwnął głową.

– Ile masz lat, chłopcze?

Jasper popatrzył na matkę, która ośmieliła go ruchem głowy. Trochę spłoszony, popatrzył w górę na Pierce'a.

– Mam sześć lat i dziewięć miesięcy.

Pierce ukrył uśmiech.

– To sporo, prawda? – Podszedł. Z ulgą przyjął, że Jasper od niego już nie ucieka. Starał się mówić łagodnie, by go nie przestraszyć.

– Co trzymasz w rękach?

Dziecko przyglądało mu się chwilę, zanim otworzyło pięści i pokazało po trzy ołowiane żołnierzyki w każdej.

– Jaśnie pani obiecała, że za każdy dzień niepokazywania się panu na oczy dostanę jednego żołnierzyka. Mam już siedem. – Zastanowił się. – To znaczy sześć, bo jednego wczoraj zgubiłem. Tutaj, w salonie.

Pierce poczuł czop w gardle. Wiele go kosztowało, by nie pokazać, co poczuł na wieść, że matka dała chłopcu żołnierzyki będące jego, Pierce'a, własnością. Choć przecież już nie były mu potrzebne.

– Powiedziała, że jest ich wiele. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa. – Wzrok Camilli złagodniał i stał się przepraszający.

– Jasne, że się nie gniewam. – Cudem powiedział to pogodnie. – Jestem już za stary na żołnierzyki, nie uważa pani?

Jasper z wahaniem wyciągnął rączkę.

– Jeśli pan chce, mogę się podzielić. Dam panu jednego.

Pokój zaoferowany mu w ten sposób przez nieśmiałego sześciolatka to było już dla Pierce'a za wiele.

– Zatrzymaj je – poprosił ochryple. – Byłeś dzielny i zasłużyłeś na nie.

Cherubinek uśmiechnął się szeroko. Bo to był cherubinek z brązoworudawymi puklami i błękitnymi jak niebo oczami, które tak wiele widziały. Oczami podobnymi do oczu matki.

– Co się mówi? – podpowiedziała Camilla.

– Dziękuję, sir – bąknął.

– Mówi się „milordzie", kochanie – poprawiła.

– „Sir" w zupełności wystarczy – wtrącił Pierce.

Jasper ziewnął szeroko, a Camilla popatrzyła na Pierce'a.

– Powinnam położyć go do łóżka.

Pierce kiwnął głową. Mój Boże, cóż za koszmar mógł się wydarzyć, gdyby chłopiec zabłąkał się do salonu, kiedy byli w trakcie…

– Powinna pani z nim zostać – rzekł szorstko. – Potrzebuje teraz pani.

Posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Dziękuję, milordzie.

Byli już za drzwiami, gdy chłopiec się odezwał: – Poczekaj! Muszę zapytać o coś wielkiego hrabiego.

– O co chodzi, chłopcze? – Pierce podszedł do nich.

– Pan jest ważniejszy od pana Fowlera, tak?

– Można tak powiedzieć. – Pierce się uśmiechnął.

Jasper wyprostował dumnie głowę, bezwiednie imitując ruch matki.

– A zatem, jeżeli mama i ja, i jaśnie pani chcemy jutro pojechać na jarmark, to pan może powiedzieć panu Fowlerowi, że to w porządku i będziemy mogli pojechać?

Camilla westchnęła.

– Jasper słyszał, jak rozmawiałyśmy z matką jego lordowskiej mości, że nie możemy go ze sobą zabrać, bo może go zobaczyć pan Fowler.

– Ale jaśnie pani powiedziała, że możemy pojechać, zanim mama powiedziała, że nie

możemy – wyjaśniał gorączkowo Jasper. – A ja naprawdę bardzo, bardzo chcę jechać, bo może będą tam mieli sanie. Chcę zobaczyć sanie, a jutro jest jarmark, i…

– Osobiście powiem panu Fowlerowi, że możesz jeździć, gdzie chcesz. Nie masz się czego obawiać.

Promienny uśmiech, który rozlał się na twarzy Jaspera, sprawił, że Pierce'owi ścisnęło się serce. Tak łatwo sprawić przyjemność dziecku. Jak również łatwo w jednej chwili zrujnować mu cały świat.

– A pan pojedzie, milordzie? – Kiedy Pierce zesztywniał, Jasper dodał pośpiesznie: – Bo jeśli pan pojedzie, pan Fowler nie uczyni niczego, by nas powstrzymać. I żaden chłopak nie będzie nam dokuczał, mamie i mnie.

– Kto dokucza tobie i mamie? – Pierce zapytał, bardziej zapalczywie, niż zamierzał.

– On myśli o Londynie – wyjaśniła Camilla. – Wie pan, jak jest w mieście, kiedy kobieta i chłopiec zostają sami – takie tam drwiny i dokuczanie, jak zwykle. Tutaj nic takiego się nie działo. Jasper nie był jeszcze w miasteczku, bo nie chciałam ryzykować, że zobaczy go pan Fowler. Jestem pewna, że w Stocking Pelham wszyscy będą dla nas uprzejmi.

– Na pewno, kiedy pan z nami pojedzie – nalegał Jasper.

– Jasperze! – skarciła go matka. – Jego lordowska mość ma ważniejsze rzeczy, niż towarzyszyć ci na jarmarku.

– Chcesz, żebym z wami pojechał? – usłyszał swój głos Pierce.

Oczy chłopca błysnęły z zachwytu.

– Byłoby wspaniale!

– Doprawdy nie musi pan – wtrąciła pośpiesznie Camilla cichym głosem. – Wystarczy już, że w wielkiej dobroci swojej zechciał pan przejść do porządku dziennego nad faktem, że…

– To nie dobroć – zaoponował. – To zwyczajna powinność.

Opuściła wzrok.

– Tak, oczywiście.

Nie podobało mu się, że zrobiła się wobec niego tak ostrożna, tak zmartwiona, że mógłby zabrać jej dziecko. A przecież ze wszystkich ludzi na świecie po nim najmniej się mogła czegoś podobnego spodziewać. Powinna to wiedzieć.

– Pojedziemy wszyscy, Jasperze – rzekł, choć oznaczało to, że spędzi cały dzień w towarzystwie matki. – Wyjedziemy z rana – ty, ja, twoja mama i jaśnie pani.

– A Maisie też pojedzie? – spytał, trąc śpiące oczy.

– Jasperze! – zawołała zniecierpliwiona matka.

Pierce nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Chłopak doskonale potrafił zdobywać to, czego chciał.

– Maisie też pojedzie.

– Tak mi przykro, milordzie – rzekła Camilla. – Przysięgam, nie wiem, co w niego wstąpiło.

– Nie ma pani za co przepraszać. – Nie cierpiał tego, że zwracała się do niego oficjalnie, choć wiedział, czemu tak robiła. – To grzeczny chłopiec i zasłużył na nagrodę.

Nawet jeśli będzie to oznaczało, że Pierce cały dzień spędzi w piekle.

– Dziękuję – powiedziała miękko. – Nie wie pan nawet, ile to dla niego znaczy. I dla mnie.

Popatrzył na nią znacząco.

– Wiem coś o tym, proszę mi wierzyć.

Oblała się rumieńcem.

– I proszę wybaczyć, że nie zaufałam i nie powiedziałam panu prawdy. Nie zasłużył pan sobie na to.

– Rozumiem. Szło o dziecko i nie mogła pani ryzykować.

Pogodny uśmiech, bardzo podobny do uśmiechu syna, rozpromienił jej twarz. Popatrzyła na Jaspera, który już zasnął na jej ramieniu, i dodała z poważną miną:

– Milordzie, myślę, że być może, po tym, co zrobiliśmy, lepiej nie…

– Wiem. – Doszła do zdrowych zmysłów i zrozumiała, że niemądre z jej strony byłoby dzielić z nim łoże, kiedy miała dziecko. Nie porzucił myśli, by się z nią kochać. Niemniej nie chciał teraz, bo wiedział, że ona uczyni to z wdzięczności, iż pozostawił przy niej syna. Ciągle pragnął… Ciągle tęsknił…

Nie miało znaczenia, czego chciał. W tej chwili liczył się tylko chłopiec.

– Poza tym – dodał Pierce z wymuszonym uśmiechem – jutro przed panią długi dzień. Matka zdaje się mówiła, że jedziecie tam urządzać stoisko.

– Tak, właśnie tak. Dziękuję za zrozumienie.

Kiedy wyszła z pokoju z synem w ramionach, zrozumiał, że nie obchodzi go, czy ma już dziecko, czy nie. Nieważne, że to oznaczało, iż może szukać męża, którym nie miał zamiaru się stać dla żadnej kobiety, nawet dla niej. Nie miało dla niego znaczenia także i to, że wdawanie się w intymne stosunki z kobietą w jej położeniu jest niemądre w najlepszym i niebezpieczne w najgorszym razie.

Niczym diabeł wcielony, którym zapewne był, nadal pragnął mieć ją w łożu.

Pytanie brzmiało, jak, u licha ciężkiego, miał tego teraz dopiąć.

Rozdział XVI

Następnego ranka o siódmej Camilla poganiała bardzo podnieconego Jaspera, by zeszli po śniadaniu. Była już spóźniona – jaśnie pani wstała o szóstej i gniała pacjentkę wyjechać o wpół do ósmej. Wbicie wiercącego się sześciolatka w jego pierwszy garniturek zabierało trochę czasu nawet komuś, kto nieskończoną liczbę razy ubierał chłopców w sierocińcu. Maisie nie mogła jej pomóc, ponieważ pomagała ubrać się hrabinie.

Jaśnie pani, zatroskana, czekała już na dole.

Camilla natychmiast zaczęła przepraszać:

– Wiem, że robi się późno. Mamy jeszcze czas na śniadanie?

– Oczywiście, moja droga. To będzie długi dzień, więc Jasper musi się pokrzepić. – Wzięła chłopca z drugiej strony za rękę i poszły do pokoju śniadaniowego.

– Jesteś pewna, że dobrze zrozumiałaś Pierce'a? Nie ma nic przeciwko Jasperowi?

Z samego rana Camilla zdała hrabinie bardzo starannie ocenzurowaną relację z wydarzeń poprzedniego wieczoru, omijając wszelkie partie o zazdrości o pana Fowlera i… pozostałe rzeczy.

– Jego lordowska mość zgodził się zabrać nas do miasteczka na jarmark. Powiedziałabym, że dość mocny dowód na to, że nie ma nic przeciwko.

Co ją nadal zdumiewało. Pierce okazał się dla jej syna taki dobry i uprzejmy. Biorąc pod uwagę jego wstrząs na widok Jaspera w salonie i wyraz zawodu na twarzy, takie zachowanie było niezrozumiałe. Żałowała bardzo, że nie zaufała mu wcześniej. Z drugiej strony, aż do wczoraj nie wiedziała, że choć trochę mu na niej zależy. Lub też, że jej powinno zależeć na nim także, do tego stopnia, że mogła brać pod uwagę pójście z nim do łóżka.

Rumieniec rozgrzał jej policzki. Na nieszczęście Jasper omal nie nakrył ich razem! To by dopiero było straszne!

Przynajmniej to wreszcie przywróciło jej zmysły. Czy też większość zmysłów, które nie cierpiały z tęsknoty niespełnienia. Przy nim poczuła się śpiewająco. Rozpaczliwie czekała na kolejną okazję, kiedy znów będą razem.

Chcę widzieć, jak dochodzisz. Chcę, żebyś w moich rękach rozpadła się na kawałki, tutaj, w tym salonie. A potem zaniosę cię na górę na rękach do łóżka i zabawię się z tobą na swoje – grzeszne – sposoby.

Przeszywał ją dreszcz za każdym razem, kiedy o tym myślała. Za każdym razem, kiedy o nim myślała. Jak ją dotykał. Jak rozniecał ogień, którego Kenneth nigdy nie odkrył.

Nie mogła sobie pozwolić na kochanka, zwłaszcza kiedy musiała myśleć o Jasperze. A jeśli znów zaszłaby w ciążę? Nie mogła znieść samej myśli o tym.

Weszli do pokoju śniadaniowego, gdzie przy kredensie stał Pierce. Odwrócił się do niej i uśmiechnął, a jej serce podskoczyło radośnie. Nigdy nie schodził do nich na śniadanie – zamawiał tacę do pokoju albo czekał ze śniadaniem aż do przyjazdu do pałacu, gdzie jeździł spotykać się z zarządcą. Czy to też zrobił dla niej i dla Jaspera?

Jeśli tak, poczuła się szczęśliwa, zwłaszcza że pełnym uznania spojrzeniem ocenił jej lawendową suknię. Cieszyła się, że dołożyła dziś rano starań, by wyglądać jak najlepiej,

ozdobiła nawet włosy gałązkami zielonego ostrokrzewu.

On też wyglądał nieźle w ciemnozielonym kaszmirowym surducie, kamizelce i długich butach z cholewami wypolerowanymi na wysoki połysk. Miała nadzieję, że śnieg stopniał i że ich nie zniszczy, bo wyglądały na bardzo drogie.

W chwili gdy Jasper zobaczył hrabiego, krzyknął zdziwiony i ruszył do niego biegiem, jakby byli dobrymi przyjaciółmi.

– Dzień dobry, sir!

Pierce zmierzwił czuprynę chłopca.

– Dzień dobry, chłopcze. Bardzo dobrze wyglądasz.

– Mama powiedziała, że muszę włożyć nowe ubranie. – Stęknął i podrapał się w nogę. – Drapie mnie.

Camilla westchnęła. Jasper dopiero wyrósł z koszuli i nie był zadowolony, gdy zapinało się go ciasno.

– Ja w twoim wieku też nosiłem taki garniturek – powiedział Pierce tonem zniżonym do szeptu, jakby wyznawał tajemnicę. – Przyzwyczaisz się. Tylko duzi chłopcy noszą spodnie, więc kiedy cię wszyscy zobaczą w miasteczku w nowym ubraniu, będą pod wrażeniem, jaki już duży urosłeś.

– O tym nie pomyślałem. – Jasper popatrzył na buty Pierce'a. – Na pewno zrobiłbym wrażenie, gdybym miał takie buty. W nich byłbym też znacznie wyższy.

– O, z pewnością – zgodził się ze śmiechem Pierce. – Choć jeszcze wyższy staniesz się w ten sposób. – Bez ostrzeżenia złapał Jaspera i posadził sobie na ramionach.

Jasper zapiszczał z zachwytu i złapał się głowy hrabiego.

– Mamo, zobacz, jaki jestem duży!

– Och, rzeczywiście jesteś bardzo wysoki! – zawołała Camilla, choć ścisnęło ją w gardle, kiedy Pierce przemaszerował w ten sposób przez pokój. Hrabia wyglądał tak pogodnie. Takiego go nie widziała. Oczy mu błyszczały, uśmiechał się od ucha do ucha, kiedy zdjął Jaspera z ramion i posadził na krzesło przy stole.

– O Boże – szepnęła Camilla do hrabiny. – Wydaje mi się, że przedstawiając ich sobie, otworzyłyśmy puszkę Pandory.

– Nie wiem – powiedziała miękko hrabina. – Nie widziałam Pierce'a tak radosnego, od kiedy był chłopcem. Może mu to dobrze zrobi.

Możliwe, że tak. Dla Jaspera mogło okazać się bardzo trudne. Pierce przecież zabawi w starym dworze nie dłużej niż do jutra. A jeśli Jasper się do niego przywiąże…

– Masz zimowe palto, prawda? – Pierce pochylił się, by zapytać Jaspera.

– O tak, milordzie – odrzekł ten, kiedy lokaj postawił przed nim tacę pełną jedzenia. – Jaśnie pani mi kupiła. Ma futerko i wszystko, co trzeba.

– Brzmi wystarczająco ciepło. – Pierce posłał matce nieodgadnione spojrzenie. – Mam nadzieję, że czapkę i szalik też ci kupiła.

Wtrąciła się Camilla, oburzona, że mógłby pomyśleć, iż oboje z Jasperem wykorzystują jego matkę:

– Jaśnie pani jest bardzo dobra, ale te rzeczy ja zapewniłam Jasperowi. Dbam o swojego syna.

– Naturalnie – przytaknął Pierce.

– Dzień dobry wszystkim – dobiegł od drzwi głęboki głos.

Camilla poczuła ucisk w żołądku. Co tutaj robił pan Fowler?

– Och, Fowler, jest pan wreszcie! – odparł Pierce, trzymając rękę na ramieniu Jaspera. Oczy chłopca otworzyły się szeroko, lecz nim powiedział choć jedno słowo, Pierce dodał:

– Pozwól, że ci przedstawię mojego małego przyjaciela. Jasper Stuart. Paniczu Stuart, to jest pan Fowler, mój zarządca.

Jasper wymamrotał pozdrowienie i zmarszczył brwi. Camilla przyglądała się Fowlerowi. Dziwne, ale nie okazał zaskoczenia.

– Dzień dobry, paniczu Jasperze. Jego lordowska mość opowiedział mi już wszystko o paniczu.

Pierce wstał przed świtem? Mój Boże.

– Wygląda na to, że się spóźniłem z przywitaniem panicza w Montcliff – ciągnął mężczyzna, a jego chłodny, pełen dystansu ton przeczył serdecznym słowom. Camilla stężała. Bez wątpienia Pierce dał mu wykład na temat jego surowych reguł. Powinna uważać, co mówi.

– Naturalnie – ciągnął pan Fowler – gdybym wiedział o obecności panicza tutaj, nie spóźniłbym się. –

Nie na Camillę spoglądał mrocznym spojrzeniem, lecz na hrabinę. – Z pewnością okazałem się niegodny zaufania, by powierzyć mi taki cenny sekret.

Lady Devonmont oblała się rumieńcem.

– Przez lata nauczyłam się bardzo uważać na to, komu powierzam cenne sekrety, sir. Camilla również. Nie wolno panu jej za to winić. To mój pomysł, żeby chłopiec zamieszkał tutaj, a także by trzymać to w tajemnicy.

Przez chwilę przez oblicze pana Fowlera przemknął gniew, nim go zamaskował.

– Nie winię wcale pani Stuart. – Oderwał wzrok od hrabiny. – Nie winię absolutnie nikogo. Pozwoliłem sobie zaledwie na małą uwagę.

Narastające napięcie przełamał cienki głos Jaspera:

– Jedziemy dzisiaj na jarmark, panie Fowler. Czy pan także z nami pojedzie?

Pan Fowler postanowił okazać urażoną dumę.

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Ależ skąd! – wtrąciła się hrabina i pokraśniała jeszcze bardziej. – Nie będzie pan wcale przeszkadzał. Będzie nam bardzo miło, jeśli pan się do nas przyłączy. Nieprawdaż, Camillo?

– Oczywiście. Proszę jechać z nami, sir.

Skłonił głową Camilli, starannie unikając spojrzenia hrabiny.

– Naturalnie. Tak serdecznego zaproszenia nie mogę odrzucić.

Camilla westchnęła, gdy Pierce zaprosił zarządcę do napełnienia sobie tacy. Pan Fowler był wyraźnie zraniony brakiem zaufania ze strony jej i hrabiny. Skądinąd nie powinien być zaskoczony, bo to on był przecież nieprzejednany, gdy chodziło o dzieci.

Niemniej jednak zadziwiające, że jaśnie pani zaprosiła go, by pojechał z nimi na jarmark. Camilla zniżyła głos do szeptu:

– Pan Fowler przyjął to zaskakująco dobrze.

Hrabina popatrzyła na szerokie plecy zarządcy.

– Przyjmie to jeszcze lepiej, kiedy pozna chłopca.

– Obawiam się, że to będzie zależało całkowicie od tego, czy Jasper będzie grzeczny – powiedziała Camilla. – Proszę na niego spojrzeć – roznosi go entuzjazm, a za chwilę wystrzeli z krzesła.

– Jeśli pan Fowler pożali się na Jaspera, natychmiast daj mi znać – poprosiła hrabina. – Nie jestem wprawdzie panią tej posiadłości, ale jeśli będę zmuszona, potrafię ustawić zarządcę do pionu.

Camilla przyglądała się hrabinie, która podeszła do Jaspera i pogłaskała go, co

sprawiało, że promieniał. Z dnia na dzień stanowiła większą zagadkę. Nie przeciwstawiła się własnemu mężowi, by wystąpić na rzecz własnego syna. Dlaczego zatem była tak opiekuńcza wobec Jaspera?

Patrzenie na to, jak traktuje chłopca, musiało być bolesne dla Pierce'a, choć nie dał niczego po sobie poznać w czasie pośpiesznego śniadania.

Wyszli na dwór, przed frontowymi drzwiami czekały zarówno lekki powóz hrabiny, jak i masywny powóz zaprzężony w cztery konie.

– Chciałbyś pojechać ze mną? – spytał Jaspera Pierce.

– A mama także może pojechać? A Maisie? A jaśnie pani?

Pierce wyglądał na rozbawionego.

– Czy one trzy wszędzie z tobą jeżdżą?

– No… – Jasper myślał przez chwilę. – Przeważnie. Kiedy nie muszę siedzieć z Maisie, żeby nie być zobaczonym przez…– Spojrzał przelotnie na pana Fowlera, po czym dokończył szeptem: – Wie pan przez kogo.

Szczęśliwie pan Fowler był zajęty pomaganiem hrabinie, która pilnowała załadunku pudeł na dach czterokonnego powozu.

– Już się nie musisz o to martwić – odpowiedział cicho Pierce. – Możesz się pokazywać na oczy, komu chcesz. I jeśli upchniemy ich wszystkich w powozach, mogą pojechać z nami.

Wreszcie służba zajęła miejsca w powozie hrabiny, a oni w sześcioro zmieścili się w większym powozie.

Kiedy ruszyli – Camilla, hrabina i Maisie po jednej stronie, a dwóch dżentelmenów i Jasper po drugiej, Pierce zwrócił się do Fowlera:

– Czy na ten jarmark przyjeżdża wielu ludzi?

– Nie wiem – odparł zarządca. – Nigdy tam nie byłem.

Obaj popatrzyli na hrabinę.

– Na ogół kilka setek – powiedziała.

– Jarmark świąteczny jest najpopularniejszy – wtrąciła Maisie i poczerwieniała, gdy spostrzegła, że nie powinna zabierać głosu wśród takich osobistości.

Pierce uśmiechnął się do niej, dodając odwagi.

– Czy to z powodu koni? Przypominam sobie z dzieciństwa, że na tym – świątecznym – jarmarku sprzedawało się ich dużo.

Camilla poczuła, że hrabina obok spięła się, więc spojrzała na nią, lecz twarz pani pozostała niewzruszona i pogodna.

– O tak, milordzie, sprzedaje się na nim nadal wiele koni – przyznała Maisie. – A także bydło i sery.

– A renifery? – spytał z nadzieją w głosie Jasper.

– Renifery? – powtórzył Pierce zdziwiony.

– Z tego wiersza, wie pan – wyjaśnił Jasper. – Z tego o Świętym Mikołaju.

Pierce popatrzył na Camillę.

– To ten słynny wiersz, który tak bardzo poruszył damy w Stocking Pelham?

– Obawiam się, że tak – odparła Camilla. – Jasper jest nim oczarowany.

– Znam go na pamięć – pochwalił się Jasper. – Mogę powiedzieć, jeśli pan chce.

– Och, koniecznie, posłuchajmy tego wybitnego utworu – podchwycił pan Fowler.

Biorąc to za dobrą monetę, chłopiec zaczął recytować. Camilla nie miała serca mu przerywać. Poza tym bawiło ją, że pan Fowler przyjął wszystko ze stoickim spokojem.

A kiedy Jasper doszedł do ośmiu małych reniferów, przerwał mu Pierce.

– Obawiam się, że nie pokażę ci żadnego, chłopcze, ale możesz zobaczyć sarny i jelenie, jeśli chcesz.

Jasper szeroko otworzył oczy.

– Domyślam się, że nie będą miały cugli.

Camilla się zaśmiała. Aż do tej chwili nie wiedziała, jak Jasper wyobrażał sobie renifery.

– Potrzebują cugli tylko wtedy, kiedy ciągną sanie – odparł poważnie Pierce. – Te jelenie tylko leżą sobie i jedzą. Chciałbyś je zobaczyć?

– O tak, sir, bardzo!

– Nie wiem, czy mamy na to czas – przerwała Camilla.

– To zabierze tylko kilka minut. Jest niedaleko od naszej trasy. – Pierce spojrzał na matkę po raz pierwszy, od kiedy wsiedli do powozu. – Jeśli mama nie ma nic przeciwko temu.

– Ależ skąd. Powiedz tylko służbie, żeby pojechali prosto do Stocking Pelham i zaczęli beze mnie urządzać stragany. Parę innych dam też tam będzie.

Pierce wstał, otworzył przednie okienko i wydał stangretowi kilka poleceń, po czym usiadł obok Fowlera.

– Przypuszczam, że mówi pan o sarnach w parku? – spytała Camilla. Zastanawiała się, skąd Pierce weźmie dzikie sarny i jelenie dla Jaspera, zwłaszcza w wielohektarowym parku.

– Właściwie to – zaczął Fowler – jego lordowska mość udzielił im schronienia na zimę.

– Jak to: udzielił schronienia? – spytała zaciekawiona hrabina.

– Zapożyczyłem pomysł hrabiego Clarendona – wyjaśnił Pierce. – Wybiera te z saren i jeleni, które same nie poradziłyby sobie w zimie. Zamyka je w zagrodzie, daje siano, poi, czyli tuczy je, i wiosną ma sarninę bez konieczności zabijania najsilniejszych osobników w stadzie.

– Dzięki jego lordowskiej mości – wtrącił pan Fowler – robimy to samo od dwóch lat i obserwujemy, że stada powiększyły się znacznie. A wymaga to tylko niewielkiej ilości paszy i zajrzenia do nich od czasu do czasu. Niekiedy mamy aż tyle sarniny, że musimy ją sprzedawać.

– Są tutaj! – zawołał Pierce i posadził sobie Jaspera na kolanach, żeby chłopiec mógł więcej zobaczyć przez okno. – Zobacz chłopcze – tyle saren i jeleni, ile dusza zapragnie.

– Och! Popatrzcie! – zawołał Jasper. – Są większe, niż myślałem. Założę się, że pociągnęłyby wielkie sanie!

Naprawdę wyglądały zdrowo. Camilla nałożyła okulary, żeby im się przyjrzeć. Nie była w tej części posiadłości, ponieważ rzadko opuszczały z hrabiną stary dwór, a poza tym nie umiała jeździć konno. Nie widziała dużej zagrody z wiatą z jednej strony, chroniącą zwierzęta przed wiatrem, rozścielonym na ziemi sianem i paśnikami, które musiały zawierać paszę.

Przemysłowy sposób wykorzystania zasobów posiadłości przez Pierce'a zdumiał ją. Nie pomyślałaby, że jest tego rodzaju właścicielem – chcącym wprowadzać ulepszenia, zainteresowanym nowymi pomysłami. Zdawał się być z rodzaju tych, którzy wszystko zostawiają na głowie zarządcy.

– Może później, w drodze do domu – powiedział Pierce – zatrzymamy się i przyjrzysz się im.

– Och, byłoby cudownie! – zawołał Jasper. Wielkimi oczami patrzył przez okienko.

Jechali powoli wzdłuż zagrody, gdy Camilla zauważyła coś dziwnego.

– Dlaczego zagroda przykryta jest siatką?

Jasper popatrzył na nią pytająco.

– Mamo, no przecież po to, żeby nie pofrunęły – rzekł takim tonem, jakby wyjaśniał jej coś, co wszyscy powinni wiedzieć.

Kiedy Pierce spojrzał na nią pytająco, Camilla się roześmiała:

– Gdyby pozwolił pan Jasperowi dalej recytować wiersz, odkryłby pan, że renifery w wierszu potrafią latać. Ponieważ mój syn wychował się w mieście, nie zna się na leśnych zwierzętach i przypuszcza, że jelenie potrafią latać.

– Ani jelenie, ani sarny nie latają, chłopcze – sprostował stanowczo pan Fowler.

– Renifery latają – popatrzył na niego ponuro Jasper.

– To dlatego, że w wierszu występują zaczarowane renifery – wtrąciła łagodnie hrabina. – Są dalekimi krewniakami zwykłych saren i jeleni. Niestety, te zwykłe nie umieją latać.

– Ach, tak. – Jasper pokiwał głową, jakby to tłumaczyło wszystko. – Mam krewnych w Londynie i oni też nie latają.

Wszyscy się roześmiali, co widocznie zraniło uczucia Jaspera, który ucichł nadąsany.

Pierce posadził go sobie na kolanach i powiedział łagodnie:

– I ja mam krewnych w Londynie. A raczej pod Londynem. Mają stadninę z mnóstwem koni. Spędzam z nimi święta Bożego Narodzenia.

Jasper popatrzył hrabiemu prosto w oczy.

– Ale nie te święta. Te spędzi pan z nami w Montcliff, prawda?

Pierce znieruchomiał, po czym uśmiechnął się z przymusem.

– Nie sądzę, chłopcze – powiedział z trudem. – Wuj mnie oczekuje.

Nim Camilla zdołała załagodzić sytuację, zaskoczyła ją lady Devonmont:

– Jego hrabiowska mość jest bardzo zajęty, chłopcze. Ma wiele ważnych obowiązków. Nie może spędzać czasu z nami na wsi.

Pierce spojrzał na matkę: – Dobrze, że mama to rozumie.

Camillę ogarnęła rozpacz. Jaśnie pani wyszukiwała dla syna usprawiedliwień, ale nic nie rozumiała. Zdawała się wierzyć, że Pierce może zostawić wszystko za sobą i zacząć od nowa.

Zbyt mało znała syna. Pierce i hrabina mogli być w stanie zachowywać się poprawnie i nawet spędzać ze sobą czas bez większego wysiłku, lecz przeszłość zalegała między nimi niczym wielki głaz i z każdym dniem stawało się jasne, że żadna moc nie ruszy go z miejsca.

Pora zatem, by Camilla poszła po rozum do głowy. On wkrótce uda się do Londynu lub do Waverly Farm, a kiedy się to stanie, będzie musiała żyć dalej bez niego, bez względu na to, co zaczynała do niego czuć.

Kiedy Pierce już raz wyjedzie, wątpiła, czy kiedykolwiek powróci do starego dworu.

Rozdział XVII

Ludwig Pierce znalazł się na jarmarku dopadły go wspomnienia. Zupełnie jak dwadzieścia trzy lata temu plac w miasteczku wypełniały namioty i stragany, a pokryta śniegiem ziemia była już rozdeptana przez setki butów i zwierzęcych kopyt. Zapach gorących potraw z wołowiny mieszał się z zapachem świątecznych stroików, którymi udekorowano rozstawione stragany.

Stał nieruchomo, pogrążony we wspomnieniach z dzieciństwa. Kiedy pozostali zaczęli działać, wykonując polecenia hrabiny, otrząsnął się z transu i ruszył na pomoc, nosząc pudła na kościelne stoisko, razem z panem Fowlerem, Camillą i służbą ze starego dworu.

Matka zajęła się Jasperem i zaprowadziła go, trzymając za rękę, do stoiska. Pokazywała mu po drodze różne widoki, które mogły go zainteresować i Pierce znów wrócił myślą do dnia, kiedy był na miejscu Jaspera.

Nareszcie zrozumiał powód, dla którego Camilla tak czciła hrabinę. Właśnie z powodu Jaspera. Dlatego że matka sprowadziła chłopca do Montcliff, podczas gdy wcześniejsi chlebodawcy Camilli w ogóle nie interesowali się tym, czy chłopiec żyje, czy nie. I dlatego, że okazywała mu dobroć.

Matka traktowała Jaspera jak syna.

Pierce przełknął gorycz. Dobrze świadczyło to o matce, która zachowywała się tak wobec Camilli i jej syna. A Pierce nie chciał zazdrościć sześciolatkowi tego, że wzbudził macierzyńskie uczucia hrabiny.

Kiedy dotarli do stoiska i otoczył ich komitet kościelnych dam, coś jeszcze przyszło mu do głowy. Mały Jasper był niespodzianką nie tylko dla niego.

Powinien się tego spodziewać, zważywszy, że Camilla powiedziała mu wieczorem, że uważały za konieczne utrzymywać istnienie Jaspera w tajemnicy. Pierce jednak nie wziął pod uwagę wszystkich następstw tego, że do tej pory nikt nie wiedział o istnieniu dziecka. Musiały nastąpić wyjaśnienia i wzajemne prezentacje, nie wspominając już o wrzawie, jaką podniosło wszystkich sześć dam prowadzących stoisko.

Pierce ociągał się z podejściem do stoiska. Wolałby uniknąć gdakania kur rozpływających się nad chłopcem.

– To pani synek, pani Stuart? – wykrzyknęła jedna z pań. – Ależ cudownie! Czyż nie jest słodki? – Pogłaskała Jaspera po włosach, co chłopiec uznał za napastliwe, przytulił się bowiem do matki.

– Zmarzło biedactwo – powiedziała druga i szybko poprawiła szalik na jego szyi. Powinien stanąć przy piecyku, tam będzie mu cieplej.

Jasper poluzował szalik, gdy trzecia dama podsunęła mu tacę z czymś, co z daleka wyglądało jak spalone ciasteczka.

– Poczęstuj się, kochanie. Na pewno jesteś głodny.

– Nie, dziękuję bardzo – bronił się, wyraźnie wystraszony.

Przynajmniej zachowywał się grzecznie. Pierce nie był pewien, czy on taki był w wieku sześciu lat. Camilla nie powstrzymała pań, widocznie nie chcąc ich obrazić.

– Popatrzcie na jego spierzchnięte wargi – powiedziała kolejna matrona. – Potrzebny ci jest, chłopcze, mój balsam z olejku jałowca i miodu. – Wyjęła z torebki fiolkę i wylała

trochę zawartości na chusteczkę, po czym z wyciągniętą ręką pochyliła się ku ustom Jaspera. Biedny chłopiec cofnął się ze strachu.

– Przepraszam. – Pierce przerwał to wreszcie i położył rękę na jego ramieniu. – Panicz Jasper i ja udajemy się właśnie obejrzeć konie wystawione na sprzedaż.

Wszystkie kobiety skierowały wzrok ku niemu. Wtedy uzmysłowił sobie coś jeszcze. Żadna z matron nie wiedziała, kim jest. Nic dziwnego, zważywszy, że nie uczęszczał na msze w Stocking Pelham od czasu, kiedy skończył osiem lat, ale było to nieco denerwujące.

– Drogie panie – przerwała nabrzmiałą ciekawością ciszę matka. – Może pamiętacie mojego syna, hrabiego Devonmonta. Choć upłynęło sporo lat od jego wizyty w Stocking Pelham, dziś zaszczycił nas swoją obecnością i pomocą, dając czterokonny powóz na nasze pudła.

Matrony przyglądały mu się z otwartymi ustami, niepewne, co sądzić. Musiały słyszeć, że został odseparowany od rodziny. Jak to tłumaczyli rodzice, i czy w ogóle? Dziedzic tytułu i mieszkańcy pałacu musieli być choć trochę znani w lokalnym miasteczku i po wsiach. Musiano zastanawiać się i mówić, czemu nie pojawił się tutaj przez dwadzieścia trzy lata.

Gdy się nad tym zastanawiał, matka rzekła:

– Pierce, pewna jestem, że pamiętasz… – po czym wymieniła listę nazwisk.

Ku swojemu zdumieniu kilka rozpoznał.

– Pani Townsend – skłonił się damie o pyzatych policzkach, tej z balsamem. – Mam nadzieję, że pani małżonek czuje się lepiej. – Townsend był jednym z lepszych dzierżawców w Montcliff. Pierce kilka razy rozmawiał z nim, choć nie poznał jego żony.

Pani Townsend się rozpromieniła.

– Tak, milordzie, dziękuję, że pan zapytał. Leżał plackiem przez tydzień, ale wczoraj poczuł się lepiej i wstał z łóżka, by tu przyjechać. Syn pomaga mu w sprzedaży dwóch naszych macior.

– Przy odrobinie szczęścia wyciągną dziś dobrą cenę. – Pierce zwrócił się do siwowłosej kobiety z tacą ciasteczek. – Pani Wallace, proszę mi powiedzieć – to jest pani słynny imbirowo-orzechowy przysmak, prawda? Pan Fowler kupił mi go raz i od tamtej pory wprost o nim marzę.

Rozpromieniła się i wyciągnęła tacę, którą wcześniej podała Jasperowi. – Tak, to właśnie ten smakołyk, milordzie. Proszę bardzo się poczęstować.

Wziął jedno z okrągłych ciemnobrązowych ciasteczek dla siebie i drugie dla Jaspera:

– Proszę, chłopcze, obiecuję, że będzie ci smakować.

Jasper sceptycznie odgryzł kawałek, po czym twarz mu się rozjaśniła.

– Są tak dobre jak śliwki w cukrze – obwieścił.

Kiedy Jasper wziął jeszcze jedno ciasteczko z tacy, Pierce zadawał mnóstwo pytań o posiadłość, co wkrótce zakończyło się pytaniami o to, jak długo zamierza zostać w Hertfordshire i o nowiny z Londynu. Odpowiadał najlepiej, jak potrafił, pomny tego, że życie na wsi było inne i toczyło się wokół nowinek, plotek i życia miejscowych posiadaczy ziemi.

Potem, oczywiście, musiał jeszcze przetrwać wycieczkę po stoisku. Na każdej ławie damy umieściły przepisany ręcznie egzemplarz wiersza, w którym tak rozkochany był Jasper, aby nabywcy rozumieli przeznaczenie tego, co sprzedawały kobiety. Obok znajdowała się ekspozycja pięknie zdobionych pończoch. Widocznie panie zrobiły po kilka barwnych i przesadnie strojnych.

Wielki Boże, ile powinien ich kupić? I jak ma je wybrać bez urażenia uczuć tych, których nie zaszczyci kupnem?

Wiedział dobrze, jak to działa. Bez względu na to, jakiego wyboru dokona, panie będą bez końca roztrząsać to, które pończochy jego hrabiowska mość kupił, a na które nie zwrócił uwagi. Bezpieczna była tylko jedna droga – kupić choć po jednej od każdej matrony. Może wykorzystać je jako prezenty, choć nawet on nie miał tylu zaprzyjaźnionych dam. Przynajmniej z rodzaju tych przyzwoitych.

Wszak cel był zbożny.

Dokonał zakupu i zebrał się do ucieczki od kakofonii paplaniny. Ponieważ towarzyszył mu Jasper, użył chłopca jako wymówki.

– Proszę mi wybaczyć, drogie panie, niechętnie się z paniami rozstaję, ale Jasper musi pooglądać konie, nim najlepsze zostaną sprzedane. Jestem pewien, że panie zrozumieją.

Damy były bardzo wylewne w zapewnieniach, że rozumieją. Mimo to nie aż tak, by nie zauważył Camilli rozmawiającej z młodym kawalerem o pociągłej twarzy, który właśnie podszedł i oglądał pończochy na jej stoisku.

Oczy Pierce'a się zwęziły. Sądząc po uśmiechach i gładkich komplementach, kawaler poszukiwał innego towaru niż pończochy na Boże Narodzenie.

– Pani Stuart! – zawołał Pierce. – Miałem nadzieję, że przyłączy się pani do mnie i Jaspera, i razem obejdziemy jarmark.

Na straganie zrobiło się bardzo cicho. Camilla zaróżowiła się i rzuciła hrabinie spojrzenie spod kapelusza.

– Obiecałam, że pomogę w sprzedaży, milordzie. Jeśli jednak potrzebuje pan kogoś do pomocy przy Jasperze, Maisie chętnie pójdzie.

Nie potrzebował nikogo do pomocy przy Jasperze, ani też z pewnością nie chciał, by towarzyszyła mu Maisie. Chciał iść z Camillą. Czy inaczej – chciał oszczędzić Camilli umizgów ze strony każdego wiejskiego prostaka, który zapragnął poflirtować z ładną londyńską wdową.

Uważał też, że to z jego strony dość szlachetne, że o tym pomyślał. Nie było w tym cienia zazdrości, a zaledwie troska o osobę pracującą dla niego.

– Niech Maisie pomoże tutaj za panią, a pani może iść z nami – powiedział apodyktycznym tonem.

– Nie potrzebujesz ani Camilli, ani Maisie – wtrąciła się matka stalowym tonem. – Jasper jest dobrym chłopcem i nie sprawi ci kłopotów. A jeśli uważasz, że sobie z nim nie poradzisz, zostaw go tutaj.

Pierce nastroszył się na interwencję matki, gdy nieoczekiwanie w sukurs przyszedł mu Jasper:

– Chcę pójść z jego lordowską mością. I chciałbym, żeby mama także poszła z nami!

To zaskoczyło hrabinę, ale też zmartwiło.

– Cóż, w takim razie, przypuszczam…

– Pójdę – rzekła z naciskiem Camilla i odłożyła pończochy pokazywane jegomościowi. Spojrzała na hrabinę: – Oczywiście, jeśli pani jest pewna, że poradzą sobie panie beze mnie, milady.

– Damy sobie radę przez godzinę, dwie. Mamy dość rąk do pomocy.

– I ja z radością służę, czym mogę – odezwał się Fowler. Spojrzał na matkę tak miękko, że Pierce natychmiast pomyślał o podejrzeniach Camilli.

Biedny głupiec. Matka poślubiła hrabiego dla pieniędzy, więc mało prawdopodobne, żeby poślubiła teraz zarządcę bez grosza przy duszy.

Zaraz jednak Pierce przypomniał sobie to, czego ostatnio się dowiedział o okolicznościach małżeństwa rodziców. Powinien myśleć o matce w innych kategoriach. Niestety, nadal nie był pewien, jakie to by mogły być kategorie.

– Idź, naciesz się jarmarkiem i dzieckiem – nakazała matka Camilli.

Ta skłoniła głową i podeszła do nich. Nie uśmiechała się, co powiedziało mu, że powinien się mieć na baczności.

Po odejściu od stoiska podał jej ramię, na którym ledwie raczyła położyć dłoń w rękawiczce. Od razu zgadł, że jest zagniewana.

– Co się stało?

– Nic, milordzie.

To *milordzie* sprawiło, że się nastroszył.

– Na litość boską, myślałem, że ucieszy się pani, że ją zabrałem na chwilę od sędziwych matron, i trochę się pani zabawi.

– A zdaje sobie pan sprawę z tego, co te „sędziwe matrony" sobie teraz myślą, prawda? – Patrzyła prosto przed siebie, kawałek przed nimi podskakiwał Jasper.

– Nie obchodzi mnie, co sobie myślą – wysyczał rozdrażniony jej niezadowolonym tonem.

Spojrzała na niego ostro.

– Oczywiście. Ponieważ pan spędza w Montcliff jeden dzień na dwadzieścia i nawet wtedy nie wstępuje do miasteczka. Nie kupuje pan wstążek w sklepiku, nie chodzi do kościoła, nie mija rolników na polach. A ja to robię.

Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, gdy spojrzała do góry.

– A biorąc pod uwagę różnicę naszych pozycji, nie wspominając o pańskiej powszechnie znanej reputacji i fakcie, że jestem wdową z dzieckiem, wszyscy będą myśleć jak najgorzej o pańskich względem mnie intencjach.

– To karkołomny przeskok w myśleniu – odparł, mimo że w głębi duszy poczuł, że miała słuszność. Plotka wiejska ogromnie różniła się od plotki miejskiej. Niewiele było trzeba, by wprawić ją w ruch. Zabranie Camilli na taką przechadzkę oznaczało to samo, co wypalenie jej piętna na czole.

Co, u diabła, było z nim nie w porządku? Powinien to wiedzieć.

– Chciałabym, żeby to był karkołomny przeskok w myśleniu – powiedziała ze szczerym żalem. – Już dostarczyłam paniom nie lada nowiny, bo nic nie wiedziały o moim synu. Miejmy nadzieję, że nie daliśmy im powodów do domysłów, kim naprawdę jest ojciec Jaspera.

Te słowa usadziły go w miejscu. Dobry Boże, w ogóle o tym nie pomyślał. Do tego wcale nie pomógł tym, że publicznie okazał tyle zainteresowania Jasperowi i jego matce. Nic dziwnego, że matka próbowała go powstrzymać.

Co takiego powiedział Fowler wczoraj w gabinecie?

Lady Devonmont ogromnie sobie ceni młodą wdowę. Jest wobec niej bardzo opiekuńcza i niezmiernie by ją zmartwiło, gdyby wasza hrabiowska mość... to znaczy gdyby ktokolwiek próbował wykorzystać damę.

Do stu piorunów!

– Z pewnością na skutek moich długich nieobecności wszelkie plotki zostaną ukrócone. Była tu pani od miesięcy, a ja byłem w Londynie.

– Był pan tutaj tego lata – przypomniała głucho, jakby poddawała się fatalnemu przeznaczeniu.

– A z tego, co oni wiedzą, to nim wynajął mnie pan jako damę do towarzystwa matki,

pozostawał pan moim… opiekunem.

– To absurdalne – stwierdził, choć żołądek ścisnął mu się na myśl, że może to nie być absurd. Spojrzał na Jaspera i ściszył głos: – To niemożliwe, żeby pomyśleli, że mógłbym obrazić matkę, paradując przed nią i jej przyjaciółmi z kochanką.

– Nie, czemu? – rzekła z goryczą. – Nie widzieliście się tylko przez lata, czego wszyscy w okolicy są świadomi, choć nikt nie wie dlaczego. Wiedzą o panu tylko to, co wyczytają w gazetach.

Podskoczył, ugodzony celnym zarzutem. Choć jego dokonania jako gospodarza majątku powinny zyskać mu pozytywną opinię wśród mieszkańców miasteczka, przesłaniał je cień renomy pierwszego utracjusza i uwodziciela londyńskiej socjety. Zwłaszcza że w tej drugiej dziedzinie wypracowywał sobie pozycję znacznie dłużej. A to była prząśna wieś, nie wyrafinowany Londyn.

Poza tym, jeżeli jego sąsiedzi nawet nie postrzegali jego czynów aż tak niekorzystnie dla niego, jak się obawiała, mogli myśleć, że rozpoczyna się romans. To niewiele lepsze. On wróci do Londynu, a ona będzie musiała znosić plotki. Może nawet skandal.

– Ależ ze mnie samolubny bęcwał – mruknął.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że powiedział to głośno, nim nie odezwała się poważnie:

– No cóż, tak daleko bym, mimo wszystko, nie poszła.

Spojrzał na nią i zauważył, że ma już mniej zaciśnięte usta.

– Nieświadomy niczego ośli łeb? – podsunął.

– Rzekłabym, że ktoś pomiędzy jednym a drugim – powiedziała już łagodniej, chociaż nadal miała zmarszczone brwi.

– Czyli co, samolubny osioł?

Wyrwał się z jej ust śmiech, który natychmiast ucichł.

– Raczej komplikacja.

– A tak, komplikacja. Zwykłem być właśnie komplikacją – spojrzał na nią z ukosa. – Nie zmienię tego, co już zrobiłem, lecz czy jest sposób, by zadośćuczynić szkodzie?

Westchnęła.

– Plotka umrze, kiedy pan wyjedzie, zwłaszcza że znów nie będzie pana długie miesiące, a ja będę tu sama z pana matką.

– Oczywiście. – Plotka umrze, o ile Camilla będzie prowadziła się wzorowo.

I o ile on będzie się trzymał z dala od niej i jej cierpkich opinii. Oraz prób załagodzenia wszelkich trudności między nim a matką. A także jej jasnego uśmiechu i współczującego ucha, jak i najsłodszych ust, jakich kiedykolwiek posmakował.

Ta myśl go przygnębiła.

– Czy to są sanie? – zawołał Jasper, podbiegając do nich, aby coś im pokazać. – To wygląda tak jak na obrazku.

Pierce podążył wzrokiem za ręką chłopca.

– Obawiam się, że nie, chłopcze. To jest kosiarka do zbierania rzepaku.

Jasper pobiegł się jej przyjrzeć, a Camilla uważnie przyjrzała się Pierce'owi.

– Skąd się znasz na sprzęcie rolniczym?

– A jak sądzisz, co robię po całych dniach w gabinecie pałacu Montcliff? Czytam nieprzyzwoite książki? – Uśmiechnął się ironicznie.

Zarumieniła się.

– Nie, tylko przypuszczałam… to jest…

– Że siedzę z założonymi rękami i ucinam sobie drzemki – zakpił. – Przykro mi, że cię

rozczaruję, ale robię to co dzień.

– Pierce – skarciła go. – Bądź poważny.

Przyjrzał się jej twarzy i westchnął.

– Dobrze. Kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, zacząłem czytać o hodowli i uprawie ziemi, i o wszystkim, co może się przydać w majątku ziemskim. Wydawało mi się, że powinienem cokolwiek wiedzieć o swoim spadku, kiedy już go dostanę, nawet jeśli przez pewien czas nie będę miał udziału w jego prowadzeniu.

– Przez pewien czas? Jako dorosły człowiek też nie przyjeżdżałeś do Montcliff?

Zapomniał, że nic jej nie powiedział o konfrontacji, do której doszło przed dwoma laty.

– Powinnaś się tego domyślić z zachowania pań.

– Tak, ale powiedziałeś, że wróciłeś do Montcliff, kiedy osiągnąłeś pełnoletność.

– Na krótko. – Nie chcąc drążyć bolesnej przeszłości, podszedł do Jaspera, który próbował wdrapać się na kosiarkę.

– Hola, chłopcze, to najlepszy sposób, żebyś skręcił kark.

Zdjął wiercącego się chłopca z maszyny, po czym postawił przed jego matką. Podniósł też czapkę, która mu spadła. Jasper włożył czapkę i natychmiast pobiegł do zagrody krów.

Pierce pokręcił głową.

– Niezmordowany chłopak.

– Przez długie tygodnie siedział w domu, pamiętasz? – zauważyła miękkim tonem.

– To prawda. – Ze strachu, że Pierce mógłby go odesłać. Na samą myśl nadal bolało go serce. – Taki chłopiec powinien spędzać czas na dworze i mieć dużo miejsca do biegania.

– Jak najbardziej. – Popatrzyła na niego łagodniej niż do tej pory. – Dzięki tobie to ma.

Podał jej znów ramię. Tym razem objęła je mocniej. Krew szybciej popłynęła mu w żyłach. Widocznie wybaczono mu jego niezręczność wobec komitetu pań.

Dobrze. Wykorzysta to, kiedy będzie ją miał tylko dla siebie.

Rozdział XVIII

Zmierzali bardzo wolnym stępa ku końcu jarmarku, gdzie trzymano konie. Jeszcze miesiąc temu Pierce uznałby wiejski jarmark za nudny. Trudno przecież się nudzić, kiedy chłopiec jak sprężynka skakał to tu, to tam i ciągnął ich za sobą z zachwytem odmalowanym na twarzyczce, że zobaczył tyle cudów. Minęła prawie godzina, a nadal nie doszli do koni.

– Maisie powiedziała, że sprzedają tu sery, prawda? – Camilla zdjęła okulary i przetarła je chusteczką.

– Chciałabym kupić kawałek cheddara dla pani Beasley. To jej ulubiony ser.

– Tam są chyba stoiska z żywnością.

– Jasperze, chodź tutaj! Idziemy po ser! – zawołała chłopca.

Skrzywił się, ale podbiegł do nich.

– Nie lubię sera.

– To dobrze, mufinku, bo to nie jest ser dla ciebie – powiedziała i wzięła go za rękę.

– Mają tu pieczone kasztany – przypomniał sobie Pierce. – Lubisz je?

– Kocham kasztany! – zawołał Jasper.

– Ach, tak. – Pierce wyglądał, jakby właśnie coś odkrył. – To ty musiałeś jeść orzechy w salonie przedwczoraj.

– Tak, wtedy zgubiłem żołnierzyka – potwierdził poważnie.

– Byłbym zapomniał. – Pierce wyciągnął żołnierzyka z kieszeni płaszcza. – Czy to ten zgubiony?

– Złośnik! – Jasper złapał go prędko. – Znalazł pan Złośnika!

– Dziwne imię jak na żołnierza – mruknął Pierce do Camilli.

– Został tak nazwany na cześć renifera z wiersza – wyjaśniła. – One wszystkie noszą dziwaczne imiona.

– Jedyny, którego mi teraz brakuje, to Błyskawica – pochwalił się Jasper. – A wtedy będę ich miał już ośmiu do ciągnięcia sań Świętego Mikołaja.

Pierce nie mógł powstrzymać uśmiechu. Entuzjazm chłopca był zaraźliwy.

– Posłuchaj, Jasperze. Dzisiaj, gdy wrócimy do domu, dam ci żołnierzyka, który posłuży za Błyskawicę.

– Hura!

– Tylko najpierw musimy znaleźć ser dla pani Beasley i kasztany dla ciebie. A być może też wstążki dla matki, aby nie musiała ich kupować w sklepiku.

Kiedy Camilla zarumieniła się, Jasper powiedział:

– Możemy jej kupić czepek. Jak w wierszu.

– To i czepki są w tym wierszu? – spytał, kiedy zmierzali do stoisk z żywnością.

– Nie pamięta pan? – spytał protekcjonalnym tonem, którego dzieci używają wtedy, gdy tracą cierpliwość do dorosłych. – Recytowałem ten kawałek: *szlafmycę zakładam, mamusia swój czepek*.

– Racja, zapomniałem. To tam wchodzą renifery. – Popatrzył na Jaspera. – Co jeszcze jest w wierszu?

– Święty Mikołaj wpada przez komin.

– Dobry Boże, to bardzo niebezpieczne! – rzekł Pierce. – Muszę koniecznie sam przeczytać wiersz. Te pończochy, czepki i renifery – to wszystko wyciągnięte jest z bajki.

– Z tą różnicą, że tam nie ma dziewczyn – powiedział pogodnie Jasper. – To jest w tym najlepsze.

– Przepraszam bardzo! – wtrąciła się Camilla, udając głęboko zranioną. – Ja też jestem dziewczyną.

– Nie, skądże znowu. Mama jest damą. Dziewczyny są głupie. – Zniżył głos do poufnego szeptu. – Jedna z moich krewnych to dziewczynka. Jest okropnie głupia.

– Ma tylko trzy lata, Jasperze – zaprotestowała matka.

Pierce się roześmiał.

– Sądzę, że kiedy stanie się starsza, odkryjesz, że nie jest taka głupia. Zaufaj mi – dzięki dziewczynom świat jest bardziej interesujący. – Rzucił w stronę Camilli porozumiewawcze spojrzenie. – Gdyby ich nie było, bardzo byśmy za nimi tęsknili.

Kiedy na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, uderzył go grom z jasnego nieba – będzie za nią tęsknił! I nie było na to rady.

Nie mógł zostać tutaj jako komplikacja w jej życiu. Nie chciałby tego.

Prawda, że nie?

Znaleźli stragan z serami i wybrali jeden dla pani Beasley, po czym zatrzymali się przy pieczonych kasztanach. Obok sprzedawano tarty wiśniowe, więc kiedy Pierce kupował torby z kasztanami dla siebie i Jaspera, Camilla poszła kupić tartę.

Przyglądał jej się, jak rozmawiała przyjaźnie z właścicielką straganu, gdy przyszedł mu do głowy pomysł. Skoro matrony tak czy inaczej zrobią sensację z jej związku z nim, dlaczego nie podrzucić im czegoś naprawdę skandalicznego? Camilla mogłaby przyjechać do Londynu. Razem z Jasperem, oczywiście. Pierce umieściłby ich w którymś ze swoich domów i uczynił z niej swoją utrzymankę.

Jęknął. Czyżby oszalał? Prócz tego, że nigdy by się na to nie zgodziła, nie należała do kobiet, które wybierał sobie na kochanki. Wiedziała już o nim zbyt wiele. Była z tych kobiet, które mogłyby zażądać od niego wszystkiego. A on nie mógłby jej tego dać.

Myśl ta męczyła go, gdy przyglądał się Camilli jedzącej tartę wiśniową. Jej błękitne oczy błyszczały, a jej usta – pełne i bogate – poplamione były sokiem wiśniowym, kiedy delektowała się smakiem słodkiego deseru.

Zastanawiał się, czy miałaby ten sam wyraz twarzy, gdyby ją wziął do łóżka w przytulnym małym domku, który opłacał w Londynie. Jasper byłby gdzieś odesłany z nianią, którą Pierce mógłby wynająć – może byłaby to Maisie, która już dobrze znała chłopca, i…

Nie, niemożliwe. Czyż jeszcze tego nie zrozumiał?

Camilla kącik ust miała ubrudzony wiśniami. Zapragnął zlizać ten ślad, a potem polizać miękki jedwab jej skóry w dół, do…

– Kiedy zobaczymy konie? – spytał Jasper. Ufnie spoglądał Pierce'owi w twarz.

Powrócił do rzeczywistości, w której należało ręce trzymać z dala od jego matki. Zmełł w ustach przekleństwo. Musiał odzyskać nad sobą władzę.

– Konie – wykrztusił. – Oczywiście. Jeśli dobrze zrozumiałem, trzeba iść tędy.

Z każdym krokiem Pierce delektował się dotykiem dłoni Camilli obejmującej jego ramię i lekkim zapachem cynamonu z miodem. Kiedy jednak doszli do padoku, gdzie jakiś człowiek pokazywał konia potencjalnemu nabywcy, prezentując mu różne rodzaje chodu, obudziło się w nim wspomnienie, które oderwało jego uwagę od Camilli.

To znajomy widok – padok, konie i nawet handlarz końmi.

Po chwili rozpoznał mężczyznę.

– Kupiłem od tego człowieka klacz rok temu. – Podeszli do ogrodzenia. Pierce podniósł Jaspera i posadził na ogrodzeniu, by mógł wszystko widzieć. – W prezencie ślubnym dla mojej kuzynki Virginii, która wyszła za mąż za członka znanej ze skandali rodziny Sharpe'ów.

– Och, tak. Przypominam sobie, że coś o nich czytałam. – Camilla spojrzała na niego. – To są ci nazwani przez prasę diablętami z Halstead Hall, prawda?

Pierce uniósł brwi. – Ostatnio nie ma już w nich nic diabelskiego. Mariaże pokonały wszystkich.

Uśmiech na jej ustach stał się cokolwiek wymuszony, gdy zwróciła wzrok ku koniom.

– Małżeństwo to sposób na wypędzanie diabła z wielu ludzi.

– To prawda. Dlatego się jeszcze nie ożeniłem.

– Nie chcesz przecież porzucić czytania nieprzyzwoitych książek i picia do białego rana – rzekła oschle.

– Właśnie. – Nie miał zamiaru nigdy więcej oddawać władzy nad swoim życiem komukolwiek. – Lubię swoje rozrywki. – Tyle tylko, iż jego życie przestało już być rozrywką. Niemniej nigdy się do tego przed nią nie przyzna.

– Pewnego dnia będziesz się musiał ożenić – zauważyła.

– A to czemu? Żeby spłodzić dziedzica, który przedłuży linię mojego przeklętego rodu? Nie, dziękuję bardzo. Ród może umrzeć wraz ze mną, jeśliby mnie kto pytał o zdanie.

– Rozumiem. Nie żenisz się, bo chcesz w ten sposób ukarać ją. – Uśmiechnęła się smutno.

– Nie chcę nikogo karać – obruszył się. Nie musiał pytać, kogo miała na myśli Camilla.

– Czyżby? To jedyny sposób, by odegrać się na niej za to, co zrobiła. Jeśli się nie ożenisz i nie będziesz miał dzieci, ona nie będzie miała wnuków, które mogłyby się nią zająć na starość.

– Zważywszy na to, jak mały miała udział w moim życiu, nie sądzę, żeby chciała mieć wnuki.

Była to częściowa prawda. To, co powiedziała Camilla, także miało sens. Czy to rzeczywiście był prawdziwy powód unikania ożenku? Aby nie dawać matce wnuków?

Nie, ten pomysł był absurdalny. Nie jest aż tak wyrachowany.

Pochylił się nad Jasperem, który chłonął każdy szczegół tego, co działo się na padoku. To samo uczucie czegoś znajomego ogarnęło Pierce'a, lecz nie zwrócił na nie uwagi. W Anglii musiały być setki takich padoków na targach.

– Który koń podoba ci się najbardziej, chłopcze? – spytał Jaspera. – Ten czarny? A może siwy ogier?

– Podoba mi się ten mały brązowy, tam. – Jasper pokazał ręką.

– Ach, ten kucyk. W stajni w Montcliff mam walijskiego kucyka. Mógłbyś na nim pojeździć.

– Nie wie jak – powiedziała Camilla.

– Dlaczego go pani nie nauczy?

– Bo ja też nie wiem.

– Nie umie pani jeździć konno? – Pierce otworzył usta ze zdziwienia.

Spojrzała na niego pytająco.

– Spędziłam całe życie w Londynie. Tam nie musiałam umieć jeździć. Poruszałam się głównie piechotą. A jeśli wybierałam się dalej, były pod ręką powóz lub furmanka.

– Przecież kiedy była pani dzieckiem, to na pewno… – przerwał i przeklął się w duchu

za głupotę. – Nie, nie sądzę, żeby w sierocińcu były konie pod wierzch dla dzieci.

– Rzeczywiście, nie było ani jednego – powiedziała z udawaną nonszalancją.

Zapominał, jak bardzo różniło się jej dotychczasowe życie od tego, które znał on. Nagle się zawstydził.

– Powinna pani jeździć konno w Montcliff.

– Ktoś musiałby mnie nauczyć. Poza tym spędzam całe dnie z pana matką, a ona ma w tej chwili trudności z konną jazdą. – Była rozżalona. – Cóż, widocznie jazda konna nie jest mi pisana.

– A tam, do diabła z przesądami. Sam pani pokażę, jak się jeździ konno.

Zaśmiała się krótko.

– Wraca pan do Londynu, już pan zapomniał?

A ty jedziesz razem ze mną.

O mało tego nie powiedział na głos. Niech to wszyscy diabli, nie mógł się pozbyć myśli o uczynieniu jej swoją kochanką. Tylu rzeczy mógł ją nauczyć, tyle robić z nią razem…

Po pierwsze, kupić jej konia, który by się jej spodobał. Mogłaby być wspaniałą amazonką. Wyobrażał sobie ją ścigającą psy gończe, z włosami rozwianymi przez wiatr i policzkami zaróżowionymi z radości.

Najpierw jednak musiał ją przekonać, by z nim pojechała, a to będzie kosztować go trochę starań.

– Mama nie może jeździć konno, boby jej spadły okulary – obwieścił Jasper. – Ale ja chcę się nauczyć.

– Oczywiście, że się nauczysz. – Pierce ukrył uśmiech. – Będziesz jeździł, pomówię o tym z Fowlerem. – Popatrzył przeciągle na ich oboje. – O nauce jazdy konnej dla ciebie i mamy.

– Pierce – zaczęła cicho.

– Dzień dobry, milordzie, witam uniżenie! – zawołał handlarz, który dobił targu z nabywcą i teraz zobaczył Pierce'a. Zbliżył się biegiem. – Poszukuje pan kolejnego konia do stajni?

– Niewykluczone, Whitley – odparł z uśmiechem hrabia. – Kuzynka jest bardzo zadowolona z konia, którego jej kupiłem. Jej małżonek także.

– Świetnie, doskonale. Klacz była znakomitym nabytkiem. Cieszę się, że trafiła w tak dobre ręce.

Pierce położył rękę na ramieniu Jaspera.

– Jesteśmy tutaj, bo mój młody przyjaciel, panicz Jasper, chciałby obejrzeć pana stado.

– Chciałeś zobaczyć, chłopcze? – sprzedający błysnął zębami w uśmiechu. – Lubisz konie?

– Podoba mi się kucyk, o ten tam! – Jasperowi oczy zaokrągliły się jak spodki.

– Rozumiem – odparł Whitley i popatrzył na Pierce'a, który skinął głową. – Może zechciałbyś się na nim przejechać? Będę mógł posłużyć się opinią eksperta.

– Nie jest dość duży – przerwała Camilla.

– Bzdura. – Pierce poklepał ją po ręce. – Ja w jego wieku już ponad rok jeździłem konno.

– Nie wiem, Pierce, ja… – Spostrzegła, że zwróciła się do niego po imieniu, więc szybko się poprawiła: – Milordzie, może lepiej będzie, jak tylko popatrzy.

Whitley był bystrym człowiekiem i wnet ocenił sytuację.

– To dobry kucyk, proszę pani. Młody panicz będzie miał z niego wiele radości.

Zamrugała.

– Och, nie planuję wcale zakupu…

– Chłopiec chciałby się przejechać, to wszystko. – Pierce rzucił Whitleyowi ostrzegawcze spojrzenie. Później wyliczy Camilli, co ona i Jasper zyskają, gdy zostanie jego kochanką. Nie było potrzeby już teraz budzić podejrzeń.

Popatrzył na Jaspera:

– Chcesz się przejechać na kucyku?

– O tak, milordzie. Bardzo.

– Dobrze, załatwione.

Camilla mocniej ścisnęła rękę Pierce'a.

– Czy jest pan pewien, że nic mu się nie stanie?

– Przejedzie się tylko po padoku, prawda, Whitley? – powiedział Pierce głosem zapowiadającym konsekwencje, gdyby chłopcu włos spadł z głowy.

– Będę na niego uważał jak na własnego syna, proszę pani – obiecał Whitley, obyty z nadopiekuńczymi mamami. Pomógł Jasperowi zeskoczyć z ogrodzenia, a potem kazał młodemu pomocnikowi przyprowadzić z zagrody ładnego kucyka szetlandzkiego. Gdy posadził chłopca na jego grzbiecie, Pierce'a dopadło niepokojące wspomnienie.

Nie chodziło o to, że kupił kiedyś konia od Whitleya; transakcja odbyła się w stodole. Chodziło o tę konkretną sytuację – padok i chłopiec, który miał przejechać się na konno.

– Och, mam nadzieję, że Jasper się nie przestraszy. Jest jeszcze taki mały.

Prawie jej nie słyszał, pogrążony w rozpamiętywaniu wspomnień. – Wiesz, Camillo, wydaje mi się, że ja dokładnie tak samo jechałem na kucyku na jarmarku przed wieloma laty.

Podniosła na niego wzrok:

– Co masz na myśli?

– Pamiętam, że przyjechałem tutaj z matką. – Zamknął oczy, próbując odtworzyć scenę.

– Powiedziała… tak, powiedziała, że chce mi kupić prawdziwego konia, a nie kucyka.

Nagle otworzył oczy.

– Nie, to nie mogło tak być. Jazda konna zaczęła mi się podobać dopiero wtedy, kiedy spędzałem wakacje w stadninie wuja. Gdy jeszcze mieszkałem w domu, konie mnie nie bawiły i matka o tym wiedziała. Nigdy by nie wpadła na pomysł kupienia mi większego konia.

– W takim razie dlaczego tak powiedziała? – Camilla spojrzała na Jaspera siedzącego z dumą w siodle, napuszonego niczym sułtan na tronie. Czapka siedziała mu na głowie na bakier. Uspokojona, że nic mu nie jest, dodała: – Po co w ogóle miała cię wsadzać na siodło, jeśli nie po to, by wypróbować dla ciebie konia pod wierzch?

Pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Pamiętam, że prowadzono mnie po padoku, a matka się przyglądała. – Wstrzymał oddech, kiedy przed oczami pojawiły mu się kolejne obrazy z przeszłości. – Nie, nie tylko patrzyła. Spierała się z jakimś krewnym.

– Krewnym z jej strony?

– O ile dobrze sobie przypominam, dalekim krewnym z jej strony. – Pokręcił głową. – Całkiem mi to wyleciało z głowy. Stał przy ogrodzeniu. Wtedy nie wydawało mi się to dziwne, lecz teraz… Dlaczego krewny matki był na jarmarku? Z tego, co wiedziałem, nie mieszkał w pobliżu.

– Jesteś pewien, kto to był?

– Poznałem go na herbacie po pogrzebie dziadka Gilchrista, kiedy miałem sześć lat.

Przedstawiła nas sobie jedna z ciotek matki. Znałem go jako pana Gilchrista. Tamtego dnia na jarmarku pan Gilchrist wzburzył się z jakiegoś powodu, zanim skończyłem przejażdżkę. Kiedy zapytałem o to mamę, powiedziała, że się spierali, ponieważ on też chciał kupić tego konia. Tylko że…

Och, Boże!

– Tylko że co? – zachęciła, by mówił dalej.

– Wcześniej nie połączyłem tych dwóch rzeczy. To było tak dawno. Kilka dni później krewny pojawił się w Montcliff. Usłyszałem służącego, który mówił ojcu, że krewny matki czeka na niego w salonie. Ojciec poszedł do niego, a matka za nim. Rozpętała się dzika awantura. Nie słyszałem o co.

Żołądek mu się ścisnął boleśnie, zupełnie tak samo, jak wtedy.

– Pamiętam tylko, że ojciec był naprawdę wściekły. Wypchnął Gilchrista z domu i kazał mu nigdy nie wracać. Oświadczył, że nie jest w Montcliff mile widziany.

Camilla rzuciła krótkie spojrzenie na Jaspera, który zamachał do niej ręką. Odmachała, po czym zapytała cicho:

– Czy rodzice ci wyjaśnili, o co chodziło?

– Pytałem ojca. Powiedział, żebym pilnował własnego nosa. – Przeszył go dreszcz. – Ponieważ powtarzał to często, pomyślałem, że to jakaś zwykła sprawa dorosłych. Nie cierpiał rodziny matki. Teraz jednak zastanawiam się, czy nie chodziło o coś jeszcze.

– Dlaczego?

– Bo parę tygodni później spakowano moje bagaże i wysłano mnie do szkoły. Od tamtej pory przez trzynaście lat nie widziałem ojca.

Rozdział XIX

Camilla wpatrywała się w Pierce'a, zmartwiona tym, że nagle spowaźniał i stał się nieprzystępny. Popatrzyła na syna, który nie posiadając się ze szczęścia, jechał na grzbiecie kucyka, i uśmiechnęła się do niego z trudem. Trudno jej było zachować spokój. W głowie zaświtał jej ten sam pomysł co wcześniej, tym razem pomyślała, że może powiedzieć o nim głośno.

– Rozważałeś kiedyś… – zatrzymała się, zastanawiając się, jak można powiedzieć coś takiego hrabiemu. – Czy to możliwe, że…

– Że nie jestem synem swojego ojca? – dokończył zduszonym głosem.

Skinęła w milczeniu głową.

– Do tej pory nigdy. – W szczęce zagrał mu mięsień. – Ale to by miało sens. Wyjaśniłoby, dlaczego mnie nienawidził, dlaczego wygnał mnie z domu po tym, jak Gilchrist przyszedł się z nim zobaczyć. Może krewny matki wiedział, kim był mój ojciec. Gilchrist mógł próbować szantażować matkę albo groził, że pójdzie z tym do gazet, jeśli ojciec mu nie zapłaci.

– Albo sam mógł być tym człowiekiem.

– O tym nie pomyślałem. – Wstrzymał oddech.

– Krewni często przebywają ze sobą. Na przykład tak jak ty i rodzina Waverlych. Mogli się widywać przy okazji rodzinnych uroczystości.

– Tyle tylko, że urodziłem się zdecydowanie już po ślubie rodziców – dziesięć miesięcy po ślubie. – Zamrugał. – Czy coś koło tego. Tak mi mówiono. Tych kilka tygodni zawsze można było oszukać. Nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że urodziłem się wcześniej, niż mówili. A to jest łatwiejsze do przełknięcia niż możliwość, że matka…

– Wiem, to do niej zupełnie niepodobne, by złamała przysięgę małżeńską.

Obrzucił ją ciężkim spojrzeniem.

– A więc myślałaś już o tym.

Spąsowiała pod jego wzrokiem.

– Dopiero wtedy, kiedy mi powiedziała, że to ojciec trzymał ją z dala od ciebie. Tyle tylko, że jesteś do niego bardzo podobny.

– Wszyscy to mówią. Chociaż ja tego nie widzę. Prócz koloru włosów i oczu nie widzę innego podobieństwa.

Nie była tego taka pewna. Musi jeszcze raz przyjrzeć się portretowi. Portrety jednak nie zawsze odpowiadają prawdzie.

– Tak czy inaczej, nie mogę sobie wyobrazić, żeby matka… ukrywała kochanka.

– Ja też nie. Miała za wiele do stracenia, by pozwolić sobie na romans. Jeśli jestem bękartem, musiałem zostać poczęty przed ślubem. A ojciec musiałby w noc poślubną odkryć, że nie była dziewicą.

– Są sposoby… no cóż… wiesz.

– Tak, wiem. Żeby to ukryć. Bo na pewno, gdyby odgadł to od razu, nie czekałby z wyrzuceniem mnie aż do czasu, kiedy skończyłem osiem lat. – Westchnął głęboko. – I jest jeszcze jedna rysa w tej teorii.

– Jaka? – spytała. Pan Whitley zatrzymał kucyka i wyglądało na to, że przejażdżka

Jaspera dobiega końca.

– Mogę zrozumieć, że ojciec wykorzystał jej grzech, żeby nas utrzymywać z dala od siebie, zwłaszcza jeśli nie byłem jego synem i nie mógł znieść mojego widoku. Czemu aż tak bez reszty się temu poddała? Nie napisała, nigdy mnie nie odwiedziła. Nie widziałem jej przez trzynaście lat.

– Może zagroził jej rozwodem.

Patrzył na konie niewidzącym wzrokiem.

– Nie jest łatwo uzyskać rozwód, zwłaszcza jeśli się nie ma dowodu małżeńskiej zdrady. Wywołałoby to potężny skandal, nawet jeśli było do zrobienia. A wierz mi, nie był to człowiek, który by lubił skandale.

– Poza tym – wtrąciła – nie wyobrażam sobie twojej matki, że postawiona przed wyborem rozwód a strata syna wybrałaby stratę syna, zwłaszcza jeśli hrabia naprawdę nie był twoim ojcem. Chociaż jeśli miała obawy, czy cię utrzyma…

– Dobrze, załóżmy, że groził jej rozwodem i zostawieniem nas obojga w nędzy. Mogła uczynić, czego żądał, żeby do tego nie doszło, ale działałoby to tylko do osiągnięcia przeze mnie pełnoletności. Kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, odziedziczyłem majątek po babce, a to by wystarczyło nam obojgu na wygodne życie do śmierci ojca i odziedziczenia przeze mnie posiadłości Montcliff.

– Mogło ci grozić wydziedziczenie?

– Nie. Posiadłość idzie w parze z tytułem i obie te rzeczy przechodzą na dziedzica. Prawo mówi, że dziedzic to najstarszy syn urodzony w małżeństwie, a ja urodziłem się z prawego łoża. Nawet gdyby ojciec się rozwiódł z matką, i tak bym wszystko z czasem odziedziczył. – Dokończył zduszonym głosem: – Pozwoliłby odziedziczyć bękartowi, którego nienawidził, a pozbyłby się żony, której chciał i którą trzymał przy sobie? Nie, to nie rozwodem musiał jej grozić.

– Musiał czymś grozić, że tak się podporządkowała.

– Tak, ale czym? I dlaczego podporządkowała się nawet wtedy, kiedy już byłem dorosły? – Przełknął z trudem. – Dlaczego wybrała jego, a nie mnie?

– Skąd wiesz, że wybrała?

– Z tego, co mi powiedziała, kiedy przyjechałem tutaj skonfrontować się z ojcem, po tym jak skończyłem dwadzieścia jeden lat.

– A co to było?

Nie odpowiedział. Wskazał ruchem głowy Jaspera, który biegł do nich.

– Mamo! Mamo! Jechałem na kucyku, widziałaś?

– Tak, tak, mufinku, widziałam! – powiedziała wzruszona, uśmiechając się. Pochwyciła go w ramiona i w jej oczach zalśniły łzy, kiedy dostrzegła umęczony wzrok Pierce'a.

Przytuliła Jaspera mocno do piersi. Jak matka może oddać dziecko? To nie do wyobrażenia. Gdyby straciła Jaspera, zabiłoby ją to.

Gdyby to ona była na miejscu hrabiny, uciekłaby z synem i nigdy nie wróciła.

Westchnęła. Łatwo powiedzieć. Nie była hrabiną z mężem, który cieszył się bogactwem i władzą ponad miarę.

– Nie ściskaj mnie tak, mamo! – zawołał Jasper, wyrywając się z jej objęć. – Nie jestem już dzieckiem, jeździłem na kucyku!

Pozwoliła mu ześlizgnąć się na ziemię, choć serce podeszło jej do gardła.

– Tak, i poszło ci bardzo dobrze.

– Podobało ci się na kucyku, chłopcze? – spytał Pierce, próbując ukryć napięcie

w głosie.

– O tak, milordzie. Pochodzi z wyżynnej Szkocji i ma na imię Czekoladek, bo bardzo lubi czekoladowe cukierki. – Kiedy Pierce podszedł do pana Whitleya i zaczął z nim cichą rozmowę, Jasper dodał: – Jak myślisz, mamo, pociągnąłby sanie?

– Pewnie nie sam – powiedziała nieobecna duchem, zaabsorbowana wciąż tym, co usłyszała od Pierce'a.

Pierce wrócił i przybrał poważny wyraz twarzy.

– Lepiej wracajmy, bo zaczną się o nas martwić.

Potaknęła, choć wiedziała, że nie był to prawdziwy powód, dla którego śpieszył się na stoisko. Chciał postawić pytania matce i uzyskać na nie odpowiedzi.

Kiedy Jasper w podskokach pobiegł przed nimi, powiedziała cicho:

– Wiem, że chcesz prawdy, i nie mam ci tego za złe. Nie wolno ci jednak zadawać pytań matce teraz, ale dopiero gdy wrócimy do Montcliff i będziesz mógł porozmawiać z nią na osobności.

– Dlaczego? – odburknął. – Nieważne, z której strony spojrzeć, to matka mnie zostawiła, kiedy trochę podrosłem. Bo on tego zażądał. Może miała poczucie winy, że wyszła za mąż, kiedy była już w ciąży. A może Gilchrist groził wywołaniem skandalu. Tak czy inaczej, zgodziła się na odseparowanie od własnego dziecka.

– Nie możesz mieć pewności. Nie ma pewności co do żadnej z tych rzeczy.

– Wiem, że o mnie nie walczyła, i jeśli miałbym uwierzyć, że chciała, to znaczy, że czymś jej groził. Czym? Czy po prostu nie miała odwagi mu się przeciwstawić? A niech to, muszę się dowiedzieć. Zasługuję na to, by poznać prawdę.

– Naturalnie, lecz nie teraz – skarciła go. – Ona należy do tej społeczności. Na pewno nie jesteś na nią aż tak zły, żeby ją zawstydzać przed ludźmi, którzy ją szanują. – Kiedy się nie odezwał, dodała: – A czy tego chcesz, czy nie, ty też jesteś częścią tutejszej społeczności. Musisz zachowywać się godnie, choćby tylko dlatego, że jesteś hrabią Devonmontem.

Szedł przez chwilę w milczeniu, po czym zmarszczył czoło i odpowiedział:

– Nie cierpię, kiedy mówisz tak rozsądnie.

Odetchnęła z ulgą.

– To szkoda. Bo ja lubię, kiedy ty tak mówisz.

– Naprawdę? – Popatrzył na nią bez uśmiechu i zniżył głos do chrapliwego szeptu, na dźwięk którego jej puls przyśpieszył. – Ostatniego wieczoru nie byłem rozsądny, a ty nie zdawałaś się mieć coś przeciwko temu.

Poczuła, że pieką ją policzki, i odwróciła wzrok.

– To nie powinno się zdarzyć.

– Ale się zdarzyło. – Popatrzył, jakby miał zamiar powiedzieć więcej. A potem popatrzył na Jaspera, który zwolnił, żeby słyszeć, o czym rozmawiają, i się rozmyślił.

Chwilę szli w milczeniu, skupiając się na znalezieniu suchej drogi pośród rozmokłej ziemi, żeby Jasper nie przemoczył bucików w tak chłodną pogodę. Do Bożego Narodzenia pozostał zaledwie tydzień. Stragany przybrane były jemiołą i girlandami z jedliny, a sprzedający nawoływali młodzieńców do kupna wstążek i pstrych ozdóbek dla swoich ukochanych.

Camilla mimo to nie miała świątecznego nastroju. Zbliżająca się nieuchronnie burza między matką a synem stawiała ją w rozterce. Oboje byli jej bardzo bliscy. Będą oczekiwali, by stanęła po czyjejś stronie, tymczasem nie potrafiła.

Pierce popatrzył przed siebie, na stragan zawieszony rozmaitymi nutami ballad

i pieśni na sprzedaż.

– Jak sądzę, jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinienem konfrontować się z matką przed Bogiem i wszystkimi.

– Tak?

– Jeśli publicznie ją zawstydzę, ty i Jasper także będziecie zażenowani.

– O tym nie myślę – odpowiedziała.

– Doskonale wiem, że nie – rzucił rozdrażniony. – Nie troszczysz się o siebie. Nie oznacza to jednak, że ja na to pozwolę. Może jestem samolubnym bęcwałem, ale zważywszy uszczerbek na twojej reputacji, którego doznałaś przeze mnie, kiedy w obecności wszystkich matron zabrałem cię na przechadzkę… – Zatrzymał się przy stoisku z nutami. – Wielki Boże, mam pomysł. Zaczekaj tu.

Znikł wewnątrz, po czym wyszedł po chwili z paczuszką zawiniętą w brązowy papier.

– Chodź – rzekł szorstko. – I pozwól, że tylko ja będę mówił, kiedy wrócimy.

Zabrzmiało to trochę niepokojąco. Znaleźli się w najbardziej zatłoczonej części jarmarku, gdzie trudno było rozmawiać, zwłaszcza że przybywało kupujących i sprzedających, niepomnych na zimowy chłód.

Między głowami przechodzących dostrzegła wreszcie kościelne stoisko i lady Devonmont. Razem z innymi paniami uwijała się jak w ukropie. Wyglądało na to, że pończochy świetnie się sprzedają.

Gdy weszli, hrabia odwołał panią Townsend na bok i spytał szeptem:

– Gdzie mógłbym ukryć mały pakunek do wyjazdu? Mam upominek świąteczny dla matki.

Matrona zamrugała:

– Och! Proszę dać go mnie, a ja schowam pod koszykiem koło ławy.

– Mam nadzieję, że się jej spodoba – ciągnął konwersacyjnym tonem, podając jej pakunek. – To składanka nut do fortepianu, bo matka bardzo lubi śpiewać i grać. Pani Stuart pomogła wybrać mi takie, których matka jeszcze nie ma.

– Ach, tak? – spytała pani Townsend i uśmiechnęła się lekko do Camilli.

Camilla starała się wyglądać jak osoba wtajemniczona w sekret.

Pierce popatrzył na panią Townsend porozumiewawczo.

– Trudno mi było wyciągnąć stąd panią Stuart, żeby uzyskać jej poradę. Nie mogłem głośno powiedzieć, po co jest mi potrzebna, a matka, zna ją pani przecież, protestowała.

– Oczywiście. – Starsza dama westchnęła z zachwytem, wniebowzięta, że została dopuszczona do tajemnicy. – Matka pana bardzo dba o otaczających ją ludzi, milordzie.

Rozradowana Camilla wystąpiła, by odegrać swoją rolę.

– Powiedziałam jego lordowskiej mości, że hrabina ucieszy się ze wszystkiego, co ofiaruje jej syn, ale jego lordowska mość nalegał na kupno nut.

– Bardzo słusznie – szepnęła pani Townsend. – To świadczy, że jest pamiętający.

– Nie wolno jej nic powiedzieć – ostrzegł matronę.

– Nie pisnę ani słóweczka, może pan na mnie polegać. Położę pakunek pod koszykiem. – Odeszła, zatrzymując się przy każdej z matron, by zrelacjonować jej sprawę.

Camilla szepnęła do Pierce'a, nie patrząc na niego:

– Dziękuję.

– Tyle mogłem zrobić – odszepnął. – Może nie najzręczniejsza historyjka, lecz wystarczy.

– Wprost przeciwnie, moim zdaniem przekonywująca. Bardzo sprytnie wymyślona.

– Może nawet można nazwać ją rozsądną – stwierdził sucho. Podniósł głos, żeby

usłyszały go najbliżej stojące kobiety: – Dziękuję za pomoc, pani Stuart.

– Proszę bardzo, milordzie. – Z przyklejonym uśmiechem ukłoniła się, po czym zaprowadziła Jaspera na drugi koniec stoiska. Skoro hrabia postarał się, by nie ucierpiała jej reputacja, nie miała zamiaru tego zniszczyć. Nie chciała stać przy nim i być powodem zbędnych dociekań.

Następnych kilka godzin spędziła, pomagając w sprzedaży pończoch. Maisie wzięła Jaspera na oglądanie reszty jarmarku, a Pierce zniknął. Zwiedzał jarmark i oglądał konie i bydło? A może kupował prezenty na święta dla krewnych z Waverly Farm?

A może dla kochanki?

Żołądek skurczył się jej boleśnie na samą myśl o tym. Według wiedzy Camilli nadal był związany ze słynną kurtyzaną, często wymienianą w gazetach przy okazji rozmaitych skandali. Nie miała powodu przypuszczać, że Pierce nie wyczekuje z niecierpliwością powrotu do niej.

Ta możliwość z pewnością pomniejszała znaczenie tego, co zaistniało między nią a hrabią. Przypominało, że hrabia nie ma zobowiązań wobec niej ani Jaspera. Jakikolwiek związek, który mogliby zawrzeć, byłby bardzo ulotny. Hrabiowie, nawet ci, którzy nie przejmowali się konwenansami, nie poślubiali dam do towarzystwa.

A nie sądziła, by mogła ścierpieć inny rodzaj związku. Należeć do niego, ale tylko w ukryciu, to wstyd.

Słodki Boże, ależ się zapędziła. On może tego wcale nie chcieć. W Montcliff nie trzymało go nic, musiała więc pozwolić mu wyjechać czym prędzej. Inaczej jego wyjazd złamie jej serce.

Niemniej nastrój poprawił jej się bezwstydnie, gdy wczesnym wieczorem Pierce pojawił się na stoisku. Słońce już zaszło, a jarmark trwał w najlepsze, oświetlony lampami olejowymi i księżycem. Pierce przyniósł wielką torbę paszteciков, co wszystkie panie powitały z wdzięcznością. Czas obiadu dawno minął, a żadna z nich nie miała przerwy na posiłek.

Dzieląc paszteciki, panie zastanawiały się, kiedy rozebrać stoisko. Ludzie nadal się kręcili, choć ruch znacznie się zmniejszył. Sprzedały prawie wszystkie pończochy. Kiedy minęła kolejna godzina, w czasie której sprzedały jeszcze tylko jedną parę, postanowiły zamknąć stragan.

Pierce nie brał już w tym udziału, zamiast tego wdał się w rozmowę z panem Fowlerem. Ku zaskoczeniu Camilli zarządca spędził cały dzień, pomagając w sprzedaży. Panie były tym oczarowane, a jedna wdowa nawet zaczęła z nim flirtować, co spotkało się z gniewną reakcją hrabiny. Może jednak trochę interesowała się zarządcą.

Maisie przyprowadziła Jaspera, który po zjedzeniu przydziałowej porcji paszteciков usiadł w kącie i zaczął bawić się Złośnikiem.

Kiedy zaczęły zamykać, Pierce podszedł do Jaspera i przyglądał się, jak chłopiec się bawi. Wydawał się zadumany i posępny. Mówił niewiele. Przyjął z podziękowaniem pakunek od pani Townsend, a potem wydał polecenia służbie, żeby zaniosła pudła do obu powozów.

Jasper rozpłakał się, ale nim Camilla lub Maisie zdążyły się tym zająć, Pierce posadził go sobie na ramieniu, co natychmiast pocieszyło chłopca na tyle, że nie był zbytnio marudny w drodze do powozu.

Jaśnie pani poszła do powozu z Camillą, trzymając się z dala za panami, aby pozostać poza zasięgiem ich słuchu.

– Bardzo dobrze nam dzisiaj poszło – powiedziała. – Uzbierałyśmy dość nie tylko na

odnowienie organów, lecz także na pomalowanie kruchty.

– To świetnie, bo kruchta jest bardzo zniszczona.

Lady Devonmont popatrzyła na syna.

– Dobrze się bawiliście razem na jarmarku?

Camilla się spięła.

– Oczywiście. Chociaż Jasper nieźle nas przegonił.

– Podsłuchałam jedną z pań, która wyjaśniła, że Pierce zabrał cię, żebyś pomogła mu wybrać prezent na Boże Narodzenie dla mnie, czy to prawda? – Hrabina popatrzyła na nią ukradkiem.

– Oczywiście – potaknęła lekko.

– Daj spokój, wiemy, że Pierce nie kupuje mi na święta prezentów.

Camilla się wyprostowała.

– Może się pani zdziwić.

– Wątpię. – Hrabina zniżyła głos. – Uważaj, Camillo. Sądząc po londyńskich plotkach, Pierce od dawna poczyna sobie swobodnie z kobiecymi sercami. Może i ma dużo wdzięku, ale to lubieżnik.

To pani zasługa, bo pani go zostawiła.

Nie, zbyt okrutnie byłoby powiedzieć coś takiego. Zresztą mogła to nie być prawda. Pierce mógł też mieć po prostu taką naturę.

– Nie jest aż takim lubieżnikiem, jak pani myśli – powiedziała Camilla. Przypomniała sobie ból w jego oczach, ilekroć mówił o przeszłości. – Jest w nim wiele dobrego.

– Owszem, lecz to nie znaczy, że jego zamiary względem ciebie są uczciwe.

– Zdaję sobie sprawę, że nawet nie mogłyby być. – Na widok zaniepokojonej miny hrabiny dodała pośpiesznie: – To znaczy gdyby miał wobec mnie jakiekolwiek zamiary. Bo, oczywiście, nie ma.

– Na pewno?

Nie. Nie miała zamiaru mówić tego jego matce.

– Proszę mi wierzyć, nie musi mnie pani ostrzegać, że mężczyzna taki jak on nigdy nie ożeni się z kimś tak dalece poniżej jego stanu. Mam tego świadomość.

– Nie ma to nic wspólnego z twoją pozycją życiową, moja droga. Nie sądzę, żeby zwracał uwagę na takie rzeczy. – Ścisnęła rękę Camilli. – Byłabym szczęśliwa, gdybym miała cię za synową. Tylko że Pierce nie wydaje mi się…

– Z tych mężczyzn, co się żenią? – dokończyła.

– Właśnie – westchnęła hrabina.

– Mnie też się tak wydaje – powiedziała z wymuszoną nonszalancją. – Znam sytuację i jestem w pełni uzbrojona. Nie musi się pani o mnie bać.

Hrabina popatrzyła z uczuciem prosto w jej twarz.

– Nie chcę, żebyś cierpiała, to wszystko.

– Rozumiem. Daję słowo, że jestem bezpieczna.

Była… ponieważ gdyby nawet pofolgowała chęci wdania się z nim w romans, uczyniłaby to, wiedząc, czym się on zakończy.

Niemniej było to „gdyby" z wielkim znakiem zapytania.

Kiedy zajęli miejsca w powozie i ruszyli do domu, Pierce wyglądał bardziej ponuro niż kiedykolwiek. Nie odzywał się, tylko patrzył przez okno.

Jasper natychmiast zasnął jej na kolanach. Była z tego rada. Wątpiła, żeby Pierce, albo nawet hrabina zdobyli się teraz na cierpliwe odpowiadanie na pytania sześciolatka.

Kiedy dojechali do posiadłości, jaśnie pani powiedziała:

– Powinien pan zostać z nami na kolacji, panie Fowler. Wiem, że jest późno, ale przynajmniej tyle możemy panu zaoferować za całodzienną ciężką pracę.

Nim zarządca zdołał odpowiedzieć, Pierce rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Fowler ma dużo do roboty dla mnie wieczorem, bo cały dzień zajmował się czymś innym.

– Pierce, z pewnością może to zaczekać do jutra – rzekła hrabina.

– Nie, jego hrabiowska mość ma słuszność – wtrącił gładko Fowler. – Zaplanowałem już, że pojadę na parę godzin do pałacu Montcliff, a dopiero potem wrócę do domu.

Ze spojrzenia, które rzucił Pierce'owi, można było wywnioskować, że obaj omówili to, zanim weszli do powozu. Camilla westchnęła. Zapowiadał się długi wieczór.

– Cóż, trudno – rzekła lady Devonmont, wyraźnie nieświadoma, co się szykuje.

Kiedy dojechali na miejsce, Jasper rozbudził się na tyle, żeby wysiąść z powozu. Wszyscy weszli do środka, poza panem Fowlerem, który odjechał czterokonnym powozem do pałacu.

Lokaj wziął od nich płaszcze, a Camilla poleciła Jasperowi pójść z Maisie na górę i zjeść kolację.

– Przyjdę otulić cię na dobranoc, mufinku – powiedziała. Był zbyt zmęczony, by zażądać, żeby poszła z nim od razu.

– Z pewnością mają dla nas obiad – rzekła hrabina, kiedy Maisie z Jasperem odeszli. – Może już wystygł, ale…

– Mamo, chciałbym porozmawiać z mamą w gabinecie – przerwał Pierce.

Hrabina zamrugała.

– W gabinecie? A o czym?

– O czymś, o czym rozmawialiśmy rok temu.

Zrobiła się czujna.

– Nie sądzę, by były po temu czas i miejsce.

– Miejsce jest albo w gabinecie, albo tutaj, na oczach służby – powiedział stanowczo.

Lokaje, którzy pomogli państwu zdjąć płaszcze, wymienili spojrzenia, a hrabina zbladła. Skinęła głową i podążyła pierwsza korytarzem do gabinetu.

Camilla stała, niepewna, co powinna uczynić.

– Chcę, żeby pani poszła z nami – zwrócił się do niej Pierce.

– Jest pan pewien? Beze mnie może okazać się bardziej szczera.

– Wątpię. Przy pani powiedziała mi więcej prawdy w jeden wieczór niż przez całe życie. – Uśmiechnął się do niej smutno. – Poza tym w pani obecności powstrzymam gniew na dłużej i łatwiej mi będzie dotrzeć do prawdy.

– Jeśli okaże się tak uparta, jak zwykle, nie wiem, czy ja powstrzymam się od gniewu.

– To ryzyko, które chętnie podejmę. – Zaoferował jej ramię. – Chodźmy, pora jej zadać trudne pytania. Nie sądzę, bym mógł się na to zdobyć sam.

– Dobrze. – Przyjęła ramię. Serce podskoczyło jej w piersi. Co znaczyło, że w trudnej chwili chciał ją mieć przy sobie? Próbowała nie przypisywać temu znaczenia, lecz nie sposób się było temu oprzeć.

Kiedy szli korytarzem, przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. Nie była jeszcze w gabinecie jego ojca. Prosiła o to kiedyś hrabinę, ale ta odrzekła, że nie lubi tam wchodzić. Z tego, co wiedziała, Pierce także nie lubił tego miejsca. Dlaczego więc wybrał je na taką rozmowę?

Kiedy otworzył drzwi i weszli do środka, Camilla poczuła chłód, który nie pochodził wyłącznie od tego, że nie paliło się w kominku. Meble przykryte były pokrowcami i pokój

wyglądał na opuszczony. Matka Pierce'a stała odwrócona do nich plecami i patrzyła na puste biurko. Pierce obrzucił wnętrze szybkim, niechętnym spojrzeniem, jakby samo przebywanie w nim sprawiało mu ból.

Widocznie to samo czuła jego matka, ponieważ na dźwięk zamykanych drzwi wyraźnie zadrżała.

Kiedy zobaczyła Camillę, odezwała się pierwsza. Unikając jej spojrzenia, stwierdziła krótko:

– Nie powinna przy tym być.

Zaperzył się.

– Nie byłoby mnie dzisiaj w tym domu, gdyby nie ona. Nie spędziłbym tutaj całego tygodnia, ale nawet nie pomyślałbym, żeby zjeść z tobą obiad, spędzać czas w twoim towarzystwie, a tym bardziej pojechać na jakiś piekielny… – opanował się. – Orędowała za tobą i walczyła o ciebie. Zasłużyła przynajmniej, żeby wiedzieć dlaczego.

Hrabina przełknęła z trudem.

– Pierce, nie życzę sobie…

– Dlaczego krewny mamy przyjechał na jarmark dwadzieścia trzy lata temu? – spytał wprost.

Hrabina pobladła.

– O co ci chodzi?

– Już mama doskonale wie, o co mi chodzi. – Odsunął się od Camilli i zbliżył się do hrabiny. – Dziś na jarmarku coś sobie przypomniałem. Mianowicie to, jak kłóciła się mama z Gilchristem. Zaledwie po dwóch dniach przyjechał tutaj, do tego domu, a ojciec się z nim pokłócił. Wkrótce potem zostałem stąd wygnany. – Patrzył na nią gromiącym wzrokiem. – Dlatego pytam cię, matko: dlaczego się zjawił? O co się pokłóciliście? Co powiedział ojcu tamtego dnia?

Uniosła wysoko głowę.

– Nic. Zupełnie nic nie powiedział.

– Nie wierzę – upierał się. – Gilchrist zapewne wiedział o czymś, co dotyczyło ciebie, a może też mnie, a cokolwiek to było, dawało ojcu podstawę do tego, żeby trzymać cię w posłuszeństwie do tego stopnia, że porzuciłaś swojego jedynego syna. Do jasnej cholery, zasługuję na to, żeby wiedzieć, co ten człowiek wtedy powiedział!

– Nigdy cię nie porzuciłam! – wykrzyknęła hrabina. – W sercu nigdy. Nawet na jeden dzień!

– Ja czułem się porzucony. – Jego wzrok rozgorzał.

Twarz jej się skurczyła.

– Wiem. Ale przecież możemy zacząć od nowa, zapomnieć o przeszłości…

– Nie zaczniemy, póki nie dowiem się od ciebie prawdy.

– Mój kuzyn niczego nie powiedział, przysięgam! Wiesz, jaki był ojciec.

– Wiem, lecz wypędził mnie stąd dopiero po wizycie Gilchrista. To nie mógł być zbieg okoliczności. –

Pierce wyprostował plecy. – Powiedz mi: czy jestem synem ojca?

Camilla jęknęła. Pierce nie miał pojęcia o subtelności, przynajmniej jeśli szło o matkę.

Hrabina popatrzyła na niego z otwartymi ustami, po czym gniewnie błysnęła oczami.

– Jeśli zarzucasz mi to, co teraz myślę, jesteś…

– Niczego nie zarzucam – wypalił. – Próbuję tylko dojść prawdy. Wygląda mi na to, że jedyna rzecz, jaką ojciec mógł na ciebie mieć, i jedyna rzecz, która mogła sprawić, iż wypędził mnie z tego domu, to ta, że urodziłaś mu syna innego mężczyzny!

– Innego mężczyzny… – Wymamrotała pod nosem przekleństwo. – Wystarczy tylko na ciebie spojrzeć, żeby wiedzieć, czyim jesteś synem! – Uniosła się całą godnością, na jaką zdobyć się może tylko hrabina.

– Jak ty w ogóle śmiesz posądzać mnie o…

– Nie winiłbym cię za to, gdybyś wychodząc za mąż, była z kimś w ciąży, zwłaszcza po tym, czego dowiedziałem się o okolicznościach tego ślubu. Poszukuję tylko prawdy – powodu, dla którego pozwoliłaś ojcu mnie odesłać i trzymać z dala od domu aż do jego śmierci. I jedyny powód, który przychodzi mi do głowy, jest taki, że nie jestem jego synem.

Zgromiła go oburzonym spojrzeniem i skierowała się do drzwi.

– Nie mam zamiaru zostać tutaj ani chwili dłużej i być oskarżaną o taką rzecz we własnym domu.

– To też mój dom, pamiętasz? – zawołał i poszedł za nią z twarzą rozpłomienioną słusznym gniewem.

– Mój. Dom należy do mnie. Posiadłość należy do mnie. Wszystko jest tutaj moje. Możesz być władczynią jakiejś części, ale tylko dlatego, że ci na to pozwalam. Zasługuję przynajmniej na to, żeby poznać prawdę.

Zatrzymała się w drodze do drzwi i wycedziła ponuro:

– A ja zasługuję przynajmniej, jako kobieta, która wydała cię na ten świat, na pozór szacunku.

To go otrzeźwiło. Stał przez chwilę nieruchomo, wyprostowany, z zaciśniętymi zębami. Kiedy przemówił znowu, w jego głosie dźwięczał szczery ból.

– Nie pytam o to z powodu lat spędzonych u krewnych ani z powodu setek napisanych do ciebie listów, które pozostały bez odpowiedzi. Pytam dlatego, bo dziesięć lat temu byłem w tym właśnie gabinecie i prosiłem ciebie i ojca o to, bym mógł wrócić do domu i nauczyć się, jak zarządzać posiadłością, która pewnego dnia miała zostać moja.

Jej twarz poszarzała.

– Widzę, że i ty, matko, przypominasz sobie ten dzień. Może także pamiętasz odpowiedź ojca. – Popatrzył na Camillę ze złością. – Ojciec powiedział mi, że jeśli nie zabiorę z tego domu „swojego przeklętego tyłka", każe lokajom wyrzucić mnie siłą.

Camilli serce stanęło w gardle. Mogła sobie wyobrazić dwudziestojednoletniego Pierce'a, który postanowił zażądać tego, co mu się należało, i zderzył się z tak oczywistym odrzuceniem przez ojca.

Jak mógł coś takiego znieść? Jak mógł znieść nawet mówienie o tym?

Z dłońmi zaciśniętymi w pięści zwrócił się do matki.

– Jeśli dobrze pamiętasz, powiedziałem, że nie wyjdę, póki nie porozmawiam z tobą na osobności. Roześmiał się, ale pozwolił mi na to. Wyszedł i zostawił nas samych. – Twarz mu pociemniała. – Był ciebie pewien, prawda? Wiedział, że mocno trzyma cię w garści.

– Pierce, przestań – wyszeptała hrabina. Jej pełen cierpienia wzrok skierował się na Camillę. – Proszę, nie mów o tym w jej obecności. Niech to zostanie między nami, błagam.

– Nie zostawię tego – przyrzekł ochryple. – Nie zostawię, póki nie powiesz mi, jaki był powód takiego traktowania mnie. To jest jedyna rzecz, której chcę. Wytłumaczenia. Jakiegokolwiek wytłumaczenia.

Camilla poczuła, że krew odpływa jej z głowy. Przyprowadził ją tutaj po to, żeby użyć jako broni przeciwko matce.

– Pierce, zostaw to w spokoju – poprosiła cicho.

– Sama mi nie powie! – Skrzyżował wzrok ze wzrokiem matki. – Muszę ją zmusić, by mi powiedziała.

– Nie w taki sposób – błagała.

– Jeśli upierasz się, aby wyjawić przed nią wszystkie te okropne rzeczy, które wtedy powiedziałam, to proszę bardzo. – Ramiona matki drżały. – Ja jednak nie zostanę tutaj, żeby tego słuchać.

Odwróciła się znów do drzwi. Pierce krzyknął:

– Jeżeli przekroczysz ten próg, matko, bez słowa wyjaśnienia, przysięgam przed Bogiem, że rano pojadę do Londynu i będzie to już koniec między nami!

Stanęła w drzwiach, popatrzyła na niego wzrokiem pełnym najszczerszego bólu i wykrztusiła:

– Wszystko, co ci mogę powiedzieć, to, że cię kocham, synu. Bez względu na to, co zrobiłam albo powiedziałam przez te wszystkie okropne lata i bez względu na to, jak to w twoich oczach wygląda, nigdy nie przestałam cię kochać.

Po tych słowach wyszła.

Camilla naskoczyła na niego, nie była w stanie znieść widoku udręczonej hrabiny.

– Jak mogłeś być tak okrutny? To widać, że nie może o tym mówić, a ty tylko pogarszasz sprawę przez obrzucanie jej ciężkimi słowami i oskarżeniami!

Z sercem w gardle skierowała się do drzwi. Pragnęła coś zrobić, cokolwiek, byle tylko pomóc jego matce znieść straszny ból.

– Okrutny? – zawołał za nią. – Nie masz pojęcia, co znaczy słowo „okrutny"!

Kiedy Camilla się odwróciła, twarz miał chłodną, bez wyrazu. Kiedy znów się odezwał, jego głos zabrzmiał głucho.

– Jej słowa o miłości zdają ci się przekonujące, bo nie wiesz, co się działo przedtem. – Zacisnął dłonie w pięści. – Ostatni raz, kiedy stałem w tym gabinecie, kobieta, której tak zawzięcie bronisz, powiedziała mi w twarz, że nigdy więcej nie chce mnie widzieć.

Rozdział XX

Może i Pierce nie powinien tego mówić, ale w tej chwili powiedziałby wszystko, żeby powstrzymać Camillę od pójścia do matki, by ją uściskać i wybaczyć odmowę stawienia czoła temu, co uczyniła. A gdzie powinien przeprowadzić tę rozmowę, jak nie w miejscu, w którym najadł się tyle wstydu? W miejscu, w którym oboje jego rodzice tak wyraźnie zademonstrowali, że go nienawidzą.

Camilla spojrzała na niego nieufnie zza okularów.

– Twój ojciec musiał ją zmusić do tego, co powiedziała.

– Jak, do krocset? Była ze mną zupełnie sama, tutaj, w tym gabinecie. Patrzyła mi w oczy, twarz miała lodowatą jak trup i mówiła, że jeśli na kilometr zbliżę się do posiadłości, każe mnie stąd wyrzucić. Powiedziała, że nie jestem tu mile widziany i mam tutaj nie wracać. Nigdy.

Ujrzał, jak bardzo była wstrząśnięta, i ogarnęło go poczucie winy. Do licha, pora, by ona pojęła wreszcie, że to nie jego wina. To był wybór matki, by wygnać go ze swojego życia, a on miał pełne prawo, by ją za to znienawidzić.

Tyle tylko, że tego nie zrobił.

W gardle poczuł wielki czop. Myślał, że znienawidził matkę, że nie ma dla niej miejsca w swoim sercu. Teraz zrozumiał, że to nieprawda. Matka wciąż szukała do niego drogi.

Przez długie lata piekielnie mocno walczył, by strzec swojego serca i być tak zimnym, jak zimna okazała się matka. Tymczasem wszystko, co miała mu do powiedzenia, to: *Kocham cię, synu… Nigdy nie przestałam cię kochać. I rana się otworzyła na nowo.*

Jak śmiała tak kłamać? To nieprawda. To nie mogła być prawda. Gdyby była, gdyby to on był wobec niej nie w porządku, gdyby się mylił w swojej niechęci…

– Może ojciec tego słuchał, a ona o tym wiedziała – odezwała się Camilla, wyraźnie zdecydowana znaleźć usprawiedliwienie dla matki. – Może czekał w holu.

– Rozważałem taką możliwość. – Patrzył przez okno, wspominając mękę, która go ogarnęła, kiedy zrozumiał… – Lecz zobaczyłem go wtedy, jak odjeżdża, beztrosko, jakby matka nie powiedziała mi tych okropnych rzeczy.

Zaschło mu w gardle. Słowa płynęły jak nigdy przedtem. – Wykorzystałem więc jego nieobecność, bo nie mogłem uwierzyć, że nie okazała się tą samą matką, która… przytulała mnie, kiedy byłem chłopcem, i pocieszała, kiedy cierpiałem na atak astmy, i…

Zdusił przekleństwo.

– Złapałem ją za ramię i powiedziałem: *Mogę cię obronić. Mam spadek po babce. Chodź teraz ze mną i do diabła z nim.*

Camilla zbliżyła się do niego, lecz uciekał wzrokiem. Nie mógł ścierpieć jej współczucia, tak samo jak nie mógł ścierpieć swojej słabości i potrzeby zrzucenia na nią przygniatającego go ciężaru. Obnażenia przed nią, jakim żałosnym był mężczyzną, skoro nawet rodzice potrafili go wyrzucić jak śmiecia.

– I wiesz, jaką mi dała odpowiedź? – spytał. – Wyrzuciła mnie i stała tutaj z zaciśniętymi pięściami, kiedy powiedziała, że nie chce ani nie potrzebuje mojej obrony, chce jedynie się ode mnie uwolnić. Potem wyszła.

Stał tu, gdzie wtedy, słyszał trzask ognia w kominku i tykanie stojącego zegara. Czuł

smak nieuronionych łez, kiedy pojął, że naprawdę nie ma rodziców. Już nie będzie ich miał.

– Po paru chwilach weszli lokaje, lecz ja już zrozumiałem wiadomość. Wyjechałem. Wróciłem do Londynu i zacząłem dla przyjemności studiować sztuki piękne. Upijałem się, grałem i miałem kochankę za kochanką. Był to jedyny sposób na pokazanie, że mnie nie złamali.

Jedyny sposób na zagłuszenie wspomnienia tamtego dnia. Przynajmniej na pewien czas.

Teraz już nie działał. Ani też przed tym, nim stawił się na wezwanie Camilli. Cotygodniowe listy od matki kruszyły jego zbroję, pomimo że nie chciał ich czytać. To był powód jego wiecznego niepokoju. Już to zrozumiał.

– Wtedy widziałeś ją po raz ostatni? – spytała miękko Camilla.

– Nie widziałem jej do pogrzebu ojca. – Odwrócił się do niej i spiął się bez powodu, lecz choć w jej oczach mignął błysk żalu, zmieszany był z czymś jeszcze. Ze zrozumieniem, albo nawet z empatią.

Mówił dalej.

– Widzisz zatem, czemu przypuszczałem, że chodzi tylko o pieniądze. Pomyślałem, że chce mnie odzyskać, ponieważ postanowiła wreszcie mnie wykorzystać.

– Uważam, że miałeś powód, by źle o niej myśleć. To, co zrobiła, i to, co powiedziała, było straszne. – Camilla mówiła wolno i ostrożnie, dobierała starannie słowa. – Z pewnością jednak teraz, kiedy spędziłeś z nią trochę czasu i zobaczyłeś, jaka jest naprawdę, zrozumiałeś, że sprawy nie wyglądały tak, jak sądziłeś, że nic nie było takie, jak na to wyglądało.

– Nie wiem już kompletnie nic.

– Wiedz jedno. – Podeszła do niego z rozjaśnionym wzrokiem. – Siedziałam z tą kobietą przez sześć miesięcy i każdego dnia słuchałam opowieści o jej wspaniałym synu. Mogę cię zapewnić, że naprawdę cię kocha. A podejrzewam, że wtedy też kochała, niezależnie od tego, co powiedziała.

– Gdyby mnie kochała – rzucił ponuro – toby się wytłumaczyła!

– Może tak, a może nie czyni tego, bo cię kocha. Może jest zbyt zawstydzona tym, co przywiodło ją do takiego zachowania. Rozumiem, dlaczego cię to drażni. Mnie także doprowadza do złości, choć znam ją lepiej niż ty. – Spojrzała w jego patrzące surowo oczy niespeszona. – Możesz przecież pogodzić się z tym, że nie poznasz prawdy.

– Nigdy w życiu! – odparł.

– Posłuchaj mnie, Pierce – szepnęła, a w jej głosie zabrzmiało takie współczucie, że stężał.

Nie wiedział, czy współczucie to adresowane jest do niego, czy do matki. A przecież nie mogło dotyczyć ich obojga naraz.

– Jeśli zamierzasz się o nią kłócić…

– Mam zamiar kłócić się o ciebie. Cokolwiek zdarzyło się w przeszłości, nie da się już wymazać. Jasne jest też, że ona tego ci nie wyjaśni. Możliwe, że mogłaby to uczynić w przyszłości, gdybyś zapomniał o swoim zagniewaniu. – Uśmiechnęła się do niego smutno. – Mówię to jako ktoś, kto nie miał rodziców. Zapewniam, że mieć niedoskonałego rodzica, który cię kocha, jest lepsze niż nieposiadanie rodziców w ogóle.

Zacisnął zęby. Camilla chciała, by przebaczył i zapomniał. Dlaczego nie umiała dostrzec, że to niemożliwe?

– Nie rozumiesz. Twoich rodziców odebrała ci siła wyższa, choroba czy coś innego. –

Nagle dotarło do niego, że nigdy nie powiedziała co. Choć nie miało to znaczenia. – Cokolwiek to było, było do zrozumienia. Od początku wiedziałaś, że jesteś sierotą, podczas gdy ja…

– Nie jestem sierotą – przerwała.

Skupił na niej wzrok.

– Oczywiście, że jesteś. Opowiadałaś tyle o sierocińcu. – Kiedy zesztywniała, poczuł, że szybciej krąży mu krew. – Miałaś referencje z domu dla sierot św. Józefa. – Podniósł głos. – Nie chcesz powiedzieć, że były kłamliwe?

Nie poruszył jej gniewny ton.

– Nie, były prawdziwe. Wychowałam się u św. Józefa i potem tam pracowałam. Zrozumiałam tam, że nie mam rodziców. Czy raczej nie mam rodziców, którzy by się o mnie upomnieli. – Policzki nabiegły jej czerwienią i spuściła wzrok na ręce. – Nie jestem sierotą, Pierce. Jestem podrzutkiem. Na pewno dobrze wiesz, że to dwie różne rzeczy.

Przez chwilę nie mógł odzyskać mowy. To istotnie dwie różne rzeczy.

– To dlatego mnie okłamałaś? – syknął, a serce zabiło mu mocniej.

Spojrzała mu w twarz.

– Nigdy cię nie okłamałam. To był twój domysł. Nie prostowałam tego przed nikim. Musiałam. Łatwiej mi było dostać pracę.

Zamilkł. Wrócił myślą do wszystkich rozmów, po czym jęknął. Miała słuszność. Nigdy nie powiedziała wyraźnie, że jest sierotą. W ogóle nie mówiła o rodzicach, bo widocznie nic o nich nie wiedziała.

Patrzył na nią bardzo powierzchownie, tak jak powierzchownie potraktował sprawę z jej synem. Nie wniknął głębiej, zbyt zajęty przeżywaniem własnego bólu, by dostrzec jej cierpienie.

Ciągnęła beznamiętnym tonem:

– Podejrzewam, że rodzice, kimkolwiek byli, znali osobiście kogoś z zarządu sierocińca i przekonali tę osobę, żeby mnie wzięła, pomimo że byłam bękartem. – Gniew zapłonął na jej twarzy. – Inaczej i ty, i ja doskonale wiemy, że mnie by tam nie przyjęto. Nawet szpital dla podrzutków pomimo zamożnych patronów zmuszony był ograniczyć liczbę przyjmowanych niemowląt. Każda instytucja charytatywna obawia się, że przyjmowanie bękartów ośmieli tych z niższych sfer do wskakiwania ze sobą do łóżka bez baczenia na konsekwencje. – Prychnęła gniewnie. – Jakby kobieta z własnej woli fundowała sobie trwającą dziewięć miesięcy niewygodę i ryzykowała życiem, rodząc dziecko, a wszystko dla przyjemności jednej nocy. Ludzie to głupcy.

– To prawda – powiedział ochryple, próbując odgadnąć jej nowo odsłonięte oblicze.

Spojrzała na niego pogardliwie.

– Chodzi mi o to, że moi rodzice chcieli się mnie pozbyć, odkąd się urodziłam. Nie wiem, kim byli, ale tyle wiem. Nie mogli mnie umieścić w przepełnionym szpitalu dla podrzutków, więc oddali do sierocińca. – W jej głosie zabrzmiała gorycz. – Tak czy inaczej, musieli wiedzieć, że nigdy nikt mnie stamtąd nie zabierze. Nikt, kto chce wziąć do siebie czyjegoś bękarta, nie życzy sobie rudowłosego piegowatego dziecka. Wszyscy chcą ślicznej dziewczynki o blond loczkach i porcelanowej cerze.

– Camillo…

– Nic nie mów! – rzuciła gniewnie. – Nie próbuj mnie przekonywać, że jestem ładna i że każdy byłby szczęśliwy, biorąc takie dziecko. Nie opowiadaj mi tych wszystkich bzdur, jakie opowiada się dzieciom, których nikt nie chce.

– Dobrze – odparł osłupiały. Jeszcze jej takiej nie widział.

– Nawet mój mąż chciał mnie tylko po to, co mogłam mu dać. – Dygotała i ogarniał ją gniew. – Twoja matka może i porzuciła cię, gdy miałeś osiem lat, ale wcześniej mogłeś się nią cieszyć. A kiedy cię oddała, upewniła się, że jesteś w bezpiecznym miejscu, wygodnym, u dobrych ludzi, którzy się o ciebie zatroszczą. Nie zostawiła cię pod bezduszną opieką instytucji. Sierociniec nie był najgorszym miejscem, oczywiście, że nie, lecz daleko mu do domu.

Gniew i udręka splotły się w jej głosie w jeden ton.

– Zatem nie mów mi, jak bardzo jesteś usprawiedliwiony, bo odrzucasz matkę, która cię kocha. Czy ci się to podoba, czy nie, masz ją. Masz krewnych i stryjecznego dziadka. – Wyprostowała się niczym lwica gotowa do ataku. – A ja nie mam nikogo prócz Jaspera.

Wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać wzroku.

Postrzegał ją jako rozsądną, opanowaną i niewzruszoną. Tymczasem pod pokrywką rozsądku wrzał kocioł słusznego gniewu, kipiąca masa wściekłych uczuć. Pragnęła, potrzebowała miłości i spalała się w tym samym stopniu co on.

Była w tym wspaniała.

Jakby uświadamiając sobie, jak wiele z siebie obnażyła przed nim, uczyniła ruch, by się odwrócić i odejść. Chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

– Masz mnie – powiedział wzruszony. – Naprawdę mnie masz.

Zaskoczenie przemknęło przez jej twarz, lecz roześmiała się kpiąco.

– I co to niby ma oznaczać? Jutro pojedziesz do Londynu, a wyjaśniłeś już, że nie wrócisz do starego dworu. Nie mam cię w żadnym znaczeniu tego słowa.

Próbowała się wyszarpnąć, lecz nie pozwolił jej. Przyciągnął ją bliżej. Puls przyśpieszył mu wściekle.

– Mogłabyś mieć, jeśli ze mną pojedziesz.

– Co masz na myśli? – Otworzyła szeroko oczy.

– Do Londynu. Ty i Jasper możecie tam wrócić ze mną. – Kiedy zmarszczyła brwi, dodał pośpiesznie: – Posłuchaj. Będziesz tam miała swój dom, ty i twój syn. Otoczę was oboje opieką.

W jej oczach błysnęła czujność, jak w oczach zaszczutego zwierzęcia.

– Niech się upewnię, że zrozumiałam właściwie. Proponuje mi pan, że uczyni mnie pan swoją utrzymanką, milordzie?

– Tak – odpowiedział, nie zwracając uwagi na lodowaty ton, jakim wymówiła słowa „utrzymanka" i „milordzie". – To właśnie ci proponuję.

Powinien być zaskoczony, że wyciągnęła z tego od razu taki wniosek, nie myśląc ani chwili, że proponuje jej małżeństwo. Nie dziwił się jednak. Znała go i rozumiała tak dobrze, jak żadna dotąd kobieta. Oczywiste było, że pojęła w lot.

Nie oznaczało to jeszcze, że przyjmie propozycję. Będzie musiał o to powalczyć.

Był na tę walkę gotów, bo bardzo Camilli pragnął.

Tym razem więc, kiedy się wyrwała, puścił ją, choć gotów był ją pochwycić znów, gdyby chciała mu uciec.

Zamiast tego podeszła do kominka.

– Przecież masz już kochankę – wytknęła głucho.

– Dałem ostatniej swojej kochance odprawę, zanim tu przyjechałem.

– Ach, więc teraz potrzebne ci zastępstwo, tak? – naskoczyła na niego zagniewana.

– Nie, do licha! To tylko zbieg okoliczności. – Zmierzał do celu ostrożnie, żeby jej znów nie spłoszyć.

– Gdybym chciał po prostu zastępstwa, wziąłbym sobie jakąś dziewczynę z półświatka, jak zwykle. Ale mi to już nie wystarcza.

– Rozumiem. Pragniesz odmiany – stwierdziła z goryczą. – Uważasz, że trzeba teraz spróbować z porządną kobietą, z taką, której będzie na tobie zależało. Czy tak?

Jak zwykle głębia jej spostrzegawczości zrobiła na nim wrażenie. Chociaż nie odgadła wszystkiego.

– Nie, to nie tak. – I wtedy reszta tego, co powiedziała, dotarła do niego. – Zaczekaj, troszczysz się o mnie? – I dlaczego znów żywiej zabiło mu serce? To przecież tylko słowa.

Tyle że przy niej żadne słowa nie były puste.

– Chyba jasne, że tak – wykrztusiła. – Na pewno zależy mi na tyle, że nie chcę zostać twoją tymczasową rozrywką.

– Znaczysz dla mnie o wiele więcej – powiedział zapalczywie i zrozumiał, ku swojemu zdumieniu, że mówił prawdę. Kiedy to się stało?

– Teraz tak mówisz, ale ile czasu upłynie, nim się mną znudzisz? – Stanęła z założonymi rękami.

– Zwłaszcza że mam pod opieką dziecko.

Z jakiegoś powodu wznieciło w nim to gniew.

– Między nami nie jest tak, jak myślisz – odparował.

– Nie jest? – W jej oczach błysnął smutek. – Jesteś zraniony i samotny i nikt na ciebie nie czeka w Londynie. Postanowiłeś zatem, że ci się przydam.

– Nie. Stanowczo tak nie jest.

Podszedł do niej z podniesioną głową, zdecydowany ją przekonać, by zrozumiała. Gdy zamrugała i cofnęła się, złapał ją w pasie i przytulił.

– Nie widzisz? – szepnął. – Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Oboje pokazujemy światu beztroskie oblicze i ukrywamy swoją mękę.

Przełknęła ciężko, pokazując, że doskonale wie, o czym mówił.

– To zaledwie świadczy o tym, że jesteśmy kłamcami.

– Wobec świata może tak, lecz nie wobec siebie nawzajem. Widzimy się takimi, jakimi jesteśmy, i dogłębnie się rozumiemy. – Podniósł rękę i pogłaskał Camillę po policzku. – Dlatego chcę, żebyś była moją kochanką.

Rozdział XXI

Camilla wiedziała, że powinna czuć się obrażona. Kiedy patrzyła w jego twarz, która w ciągu ostatniego tygodnia stała jej się tak droga, czuła nieodpartą chęć, by przyjąć ofertę.

Stał się dla niej niebezpieczny.

– Nie jesteśmy wcale do siebie podobni – odparowała, próbując się przekonać do swych słów. – Ty gardzisz szacunkiem, podczas gdy ja…

– Chcesz go? Naprawdę? – przyjrzał się jej twarzy. – Przyznaj, najdroższa, jedyna rzecz, którą dał ci szacunek, to lata wyczekiwania na przyjemność innych ludzi.

Zaśmiała się ironicznie.

– A z tobą nie byłoby tak samo?

– Nie musiałoby tak być – zachmurzył się.

– Doprawdy? Powiedz mi, jak by to było. – Kiedy nabrał powietrza, by wyjaśnić, dotknęła palcem jego ust. – Nie musisz – już to wiem.

Odsunął jej palec, by pochwycić rękę i wycisnąć czuły pocałunek we wnętrzu jej dłoni.

– Niczego nie wiesz – wydyszał, po czym pocałował jej nadgarstek. – Ustanowimy własne zasady.

Pokrywał pocałunkami jej przedramię, aż do delikatnej skóry w zgięciu ręki.

Walczyła z ogarniającym ją pożądaniem.

– Jeśli byłabym twoją kochanką, widywałabym się z tobą dla twojej przyjemności. Posyłałbyś tylko słówko, że życzysz sobie kobiecego towarzystwa, a ja rzucałabym wszystko, by być dla ciebie gotowa. Wysyłałabym Jaspera do pokoju z poleceniem, by z niego nie wychodził, a sama…

– Nie – przerwał stanowczo, przerywając całowanie, by wlepić w nią wzrok. – Wynajęlibyśmy Maisie. Opiekowałaby się chłopcem, gdy my spędzalibyśmy czas razem.

– To znaczy, kiedy byśmy cudzołożyli.

Gniew odmalował się na jego twarzy.

– Tam, do licha, czemu to brzmi tak nikczemnie? Wcale by tak nie było.

– Nic nie zrobisz, by tak nie było. – Wyrwała mu się, odwróciła się do drzwi, ale złapał ją, objąwszy ramieniem z tyłu, a ręką pieścił jej szyję, usta i podbródek.

Wycisnął jej na policzku gorący pocałunek.

– Związek będzie taki, jakim go uczynimy.

– Nie dla mnie – wypaliła. – Pobawisz się mną trochę i nikomu nie będzie to przeszkadzało. Kiedy ze mną skończysz, nie będę już mogła znaleźć sobie posady jako dama do towarzystwa. Pozostanie mi tylko wynająć się do kolejnych romansów.

– Nigdy do tego nie dojdzie. – Uszczypnął zębami jej ucho, aż przeszył ją dreszcz.

– Na pewno mężczyźni plotą takie głupstwa od setek lat – zdołała wydyszeć, choć każdy kawałeczek jej ciała pragnął, by się odwróciła i utonęła w jego ramionach. Niech będzie przeklęty. – Rozumiem, że stoisz zbyt wysoko nade mną, by zawrzeć uczciwy związek, nie oznacza to jednak…

– Nie o to chodzi – wysyczał. – Nie chodzi o twoje urodzenie i pozycję społeczną. Przecież także i ja mogę być bękartem, nieważne, co twierdzi matka. – Ucałował jej szyję

z żarliwą czułością, która stopiła ostatnie lody. – Jak dobrze wiesz, małżeństwo może nieoczekiwanie zmienić się w pułapkę, z której nie ucieknie żadna strona. Czegoś takiego dla nas nie pragnę.

Odwrócił ją twarzą do siebie i wwiercił się w nią spojrzeniem.

– Co zyskałaś przez swoje uczciwe małżeństwo? Szczęście? Oboje wiemy, że nie. Poczucie spełnienia? Także nie.

– Zyskałam syna – szepnęła. – I właśnie dla niego muszę pozostać porządną kobietą.

– I poświęcić swoje szczęście? On ci za to nie podziękuje, uwierz mi.

– Nie podziękuje mi także za zbrukanie jego nazwiska.

– Niczyje nazwisko nie zostanie zbrukane, obiecuję. – Przesunął ręce po jej ramionach i ścisnął. – Będziemy dyskretni.

– Chciałabym zobaczyć, jak ci się to uda – odparowała. – Zwłaszcza kiedy znajdę się w ciąży z twoim dzieckiem.

Popatrzył na nią jak rażony piorunem. Po czym się otrząsnął.

– Są sposoby, żeby temu zapobiec.

Ona także o tym słyszała w czasie pracy w Spitafields. Słyszała też, że mężczyźni nie są zadowoleni z tych środków.

– A ty, oczywiście, będziesz zawsze skłonny je stosować – powiedziała. Nie była w stanie ukryć sarkazmu w głosie.

– Dla ciebie bym to zrobił. Nie pragnę przynieść ci wstydu i zmuszać, byś urodziła moje dziecko. Wiem, jak się z tym czujesz. – Jego twarz pojaśniała, jak twarz człowieka, który zawsze dostaje to, czego chce, przynajmniej jeśli chodzi o partnerki do łoża. – A syn, którego już masz? Pomyśl, co mogę mu zaoferować. Mogę dać mu więcej, niż ty będziesz kiedykolwiek mogła z pensji damy do towarzystwa. Wiesz, że to prawda.

Wstrzymała oddech. To nieczyste zagranie.

– Nie mieszaj do tego Jaspera.

Nie usłuchał. – Pójdzie do najlepszych szkół, będzie wykwintnie jadał i miał tyle cholernych ołowianych żołnierzyków, ile pomieści w pokoju. Będzie miał służbę na każde skinienie i własnego kucyka, jeśli będzie tego chciał. Dostanie szansę zostania kimś.

Niebiosa, na pomoc! Wiedział, czym ją skusić. Nie próbował oferować jej klejnotów i pięknych sukien – wiedział, że jej to nie znęci. Jeśli szło o syna – na nim zależało jej najbardziej.

W jego wzroku była jedna wielka obietnica.

– Dam Jasperowi wszystko, czego zapragnie.

– Póki się mną nie znudzisz – odszepnęła.

– Przestań tak mówić! – wbił w nią pałające spojrzenie. – Nigdy się tobą nie znudzę. Jakże bym mógł? –

Sięgnął, by zdjąć jej okulary, i położył je na biurku. – Jesteś jedyną osobą, która widzi mnie takiego, jaki jestem, jedyną, która zna mój ukryty głęboko wstyd i się tym nie zniechęca. Jedyną, która mnie pragnie pomimo wszystko.

– Nie pragnę… – Przerwała, rozumiejąc pułapkę, którą na nią zastawił. Jeśli zaprzeczy, że go pragnie, powie tym samym, że gardzi jego wstydem, co nie było prawdą. – To, że cię pragnę, nie ma tu znaczenia. – Opierała się pokusie ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem.

Nie podziałało. Błysk triumfu pojawił się w jego oczach. – Dla mnie ma wielkie znaczenie.

Po czym jego usta wzięły ją w posiadanie, a ona poddała się mu bez reszty. Od wczoraj tęskniła za jego pocałunkiem, dotykiem i namiętnością.

Nie, tęskniła za tym znacznie dłużej. W głupocie swojej spędziła połowę życia na pragnieniu, by ktoś jej pożądał, by odkrył w niej namiętność. Pierce miał słuszność – nauczyła się ukrywać tę tęsknotę przed światem.

Poza nim. On ją dostrzegł i ze wszystkimi jej niedoskonałościami oraz kipiącymi namiętnościami nadal jej pragnął. To było takie kuszące, że nie mogła mu się oprzeć. Nie teraz.

Kiedy okrywał deszczem pocałunków jej usta, policzki i czoło, zaświtało jej w głowie, że ma jeszcze jedno wyjście.

Mogła go mieć na jedną noc. I zachować we wspomnieniach każdą chwilę z nim spędzoną na czas, kiedy odjedzie.

– Pragnę cię, najdroższa – wychrypiał, gdy tulił dłońmi jej pierś.

Zawahała się, zastanawiając, czy kompletnie postradała zmysły, że przychodzi jej do głowy coś takiego. Lecz nie mogłaby sobie darować, gdyby nie pochwyciła tej szansy. Chociaż raz w życiu pragnęła się dowiedzieć, jak wygląda namiętność i jak to jest mieć mężczyznę, który jej naprawdę pożąda. Chciała czegoś prawdziwego do wypełnienia snów w czasie pustych lat, które miały nadejść.

Wybór był łatwiejszy, niż przypuszczała.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Obiecałam Jasperowi, że go położę do łóżka, ale potem…

– Przyjdziesz do mnie. – Patrzył namiętnie.

Był to bardziej rozkaz niż pytanie, jednak potaknęła. Dziś wieczorem będzie należeć do niego.

– Przyrzeknij – zamruczał.

– Nie ufasz mi? – Przygładziła niesforny pukiel jego włosów.

Cóż za niemądre pytanie. Nie ufał nikomu – już matka się o to postarała, czy umyślnie, czy też nie.

Zapewne dlatego nie odpowiedział na pytanie wprost.

– Nie chciałbym ryzykować, że pobiegniesz zobaczyć syna albo pocieszyć matkę, a w tym czasie zmienisz zdanie. – Nie spuszczał z niej płomiennego spojrzenia, gdy wziął ją za rękę i pocałował. – Przyrzeknij.

Nie mogła oddychać ani myśleć.

– Dobrze. Przyrzekam, że przyjdę do ciebie, kiedy zobaczę się z synem.

Ta odpowiedź została nagrodzona żarliwym pocałunkiem. Kiedy skończył, z niechęcią zwolnił uścisk. – Idź, ale nie zabaw długo.

Kiwnęła głową, po czym włożyła okulary i wybiegła do pokoju. Mijając piętro z sypialniami, pomyślała, czy nie powinna zajrzeć do hrabiny. Wydało jej się okrutne pozostawiać ją dziś wieczorem w samotności.

Nie mogła stanąć przed panią w takim stanie, zważywszy na to, co przed chwilą robiła. Poszła więc do pokoju, który dzieliła z Jasperem. Gdy weszła, spał już smacznie, a Maisie na nią czekała.

– Jaśnie pani przesłała liścik przez lokaja. – Spojrzała znad robótki. – Jest tutaj, na szafce. Dziwne, że nie przyniosła go sama – lubi przecież kłaść Jaspera do łóżka.

– Tak – powiedziała Camilla i przeczytała liścik z ulgą i bez zdziwienia. Hrabina życzyła sobie pozostać sama wieczorem.

– Pewnie ma migrenę i chciałaby, by jej pani poczytała – odezwała się dziewczyna,

wyraźnie ciekawa, jaka wiadomość kryła się w liściku.

– Muszę iść. – Camilla schowała papier do kieszeni, mając nadzieję, że Maisie przyjmie to jako wytłumaczenie, a ona nie będzie musiała kłamać. – Nie wrócę zbyt późno.

– Och, nic nie szkodzi. – Dziewczyna ziewnęła. – Jak pani wyjdzie, położę się. Padam z nóg prawie tak samo, jak to biedactwo.

– Przypuszczam, że dał ci dzisiaj w kość.

– Ani trochę. Był szczęśliwy, że pobiegał na dworze, nawet w tym zimnie. Patrzeć na niego to sama radość. – Służąca się uśmiechnęła. – Całe popołudnie nie przestawał mówić o jego lordowskiej mości i koniach i o tym, że nauczył się jeździć na kucyku. To bardzo miłe ze strony hrabiego, że udzielił chłopcu lekcji.

– Tak, rzeczywiście bardzo miłe – zdołała wymówić Camilla. Właśnie dlatego nie zostanie utrzymanką Pierce'a. Gdyby ich romans się skończył, nie tylko jej serce byłoby złamane.

Otrząsnęła się z tej myśli. Dziś wieczorem miała zamiar nacieszyć się ich wspólnym czasem. Chociaż zmusi go do zrobienia tego, co obiecał, i użycia środka zapobiegającego ciąży.

– Dobranoc – pożegnała się z Maisie, czując się winna, że zwodzi biedną dziewczynę.

Kiedy wychodziła z pokoju, zdała sobie sprawę z tego, że tak by było zawsze, gdyby pojechała z Pierce'em do Londynu. Za każdym razem zostawiałaby Jaspera z Maisie, gdy szłaby do kochanka.

Nawet to spostrzeżenie nie stłumiło radosnego oczekiwania, które ją wypełniało, gdy po schodach kierowała się w dół, do jego sypialni.

Zanim do niej doszła, otworzyły się drzwi. Pierce zatrzymał się i spojrzał zaskoczony.

– Chciałem cię już przyprowadzić. Nie było cię tak długo.

Poczuła nagle chętkę, żeby się z nim podroczyć.

– Przechodziłam właśnie obok w drodze do kuchni, milordzie. Jestem bardzo głodna i pomyślałam…

Siłą wciągnął ją do pokoju, po czym zamknął drzwi i przycisnął ją do nich.

– Zajmę się twoim głodem – zachrypiał i przykrył wargami jej usta.

Pragnęła być przez niego dotykana. Pragnęła jego pocałunków, napawała się żarem i dotykiem jego ciała. Nawet aromat brandy i smak…

Przerwała pocałunek.

– Jadłeś kolację – rzuciła oskarżycielsko.

Roześmiał się. Ruchem głowy wskazał stół za sobą i przypomniał:

– Powiedziałem, że zajmę się twoim głodem.

Wyślizgnęła się mu, po czym podeszła do stołu. Otworzyła szeroko oczy. Jakimś cudem w tak krótkim czasie, kiedy była na górze, przyniósł dość jedzenia dla nich dwojga: plastry szynki na zimno i sera, cienkie kromki chleba, gruszki, orzechy i coś w salaterce, co wyglądało jak…

– Czy to budyń migdałowy? – wykrzyknęła.

Z uśmiechem zdjął surdut i rzucił na oparcie krzesła.

– Wiem, jak bardzo go lubisz. Szczęśliwie kucharka także, więc miała go dla nas, na wypadek gdybyśmy zechcieli zjeść kolację. Podwędziłem go dla ciebie. – Z błyszczącym wzrokiem podszedł do stołu, wziął salaterkę i zagłębił łyżkę w jej zawartości.

– Niegodziwie z twojej strony – powiedziała i przyjemny dreszczyk przeniknął jej ciało. Nikt nigdy nie robił dla niej takich rzeczy. – Nic dziwnego, skoro jesteś

rozpustnikiem, możesz być i złodziejem, to mnie nie zaskakuje.

– Nie zapomnij dodać: i uwodzicielem. – Podał jej salaterkę. Kiedy zaczęła jeść, stanął za nią. Jedną ręką przygarnął ją do siebie, a drugą zdjął jej okulary i położył je na stole. – Mam opinię całkiem zręcznego uwodziciela.

– Naprawdę? – spytała i wzięła do ust jeszcze jedną łyżkę budyniu. Kolejną łyżkę podsunęła jemu, a kiedy pochylił głowę nad jej ramieniem, żeby do niej sięgnąć, pocałowała go w policzek. – Nawet ty, który nie lubisz deserów, musisz przyznać, że smakuje wybornie.

Pocałował ją długo i namiętnie, po czym się cofnął.

– Nie tak wybornie jak ty, najdroższa.

Krew szybciej popłynęła jej w żyłach, zwłaszcza że dłonią ujął jej pierś i pieścił ją bezwstydnie przez tkaninę sukni, kciukiem drażniąc brodawki, aż zrobiły się twarde.

– Chociaż jestem szczęśliwy, że tobie smakuje.

– Och, tak – powiedziała, delektując się następną łyżką budyniu, podczas gdy on zsunął rękę w dół jej brzucha. Naprężyła się pod jego dłonią, pragnąc, by zsunął ją niżej.

– Karm mnie dalej budyniem – wydyszała – a nie będziesz musiał już mnie uwodzić. Wskoczę ci do łoża z własnej woli.

Roześmiał się.

– Możesz nie wiedzieć – wyszeptał, nie przerywając uwodzicielskich pieszczot – lecz słynę z tego, że najmuję najdroższych kucharzy. – Uszczypnął zębami płatek jej ucha, a potem zwilżył go językiem. – Zatem nawet najznamienitsi chętnie przyjdą pracować dla mojej kochanki. Będziesz mogła mieć najwspanialsze desery, o jakich tylko zamarzysz.

Omal nie zakrztusiła się budyniem. Grzeszny diabeł! Do czego to doszło, żeby kusił ją obietnicą wykwintnego jedzenia.

Czy naprawdę wierzył, że może ją zdobyć, tylko przekupując? Tak nisko cenił siebie?

Postawiła salaterkę na stole.

– Nie potrzebuję najdroższego kucharza. Wystarcza mi zwyczajna kuchnia.

Odpinał guziki jej sukni.

– Och, a czy wystarczą ci przerabiane suknie po innych kobietach? Bo jako moja kochanka nie będziesz już ich nosić. Będziesz miała ubrania szyte na miarę swojej doskonałej figury.

– Fałszywych pochlebstw także nie potrzebuję – rzuciła cierpko, rozgniewana, że posunął się tak daleko. – Wiem doskonale, że jestem pulchna.

– To nie pochlebstwo i z całą pewnością nie fałszywe. Lubię kobiety, które są w dotyku miękkie i kobiece. – Zaczął ciężko dyszeć. – Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, pożądałem ciebie. I owszem, jesteś ładna. Da mi to niekłamaną radość, jeśli będę cię mógł ubrać w suknie, które cię o tym przekonają.

Ta myśl wydała jej się kusząca wbrew jej samej. Słodki Boże, jakże mogła być aż tak bezwstydna? To dlatego miejscowy kaznodzieja atakował pokusy ciała, bo były naprawdę bardzo kuszące.

Kiedy rozwiązał jej gorset, odwróciła się twarzą do Pierce'a. Miała na sobie tylko halkę.

– Powiadasz, że będziemy dyskretni. Jeśli jednak mnie wystroisz i będziesz ze mną paradował po mieście, trudno będzie o dyskrecję.

Zdjął fular i kamizelkę, przywierając do jej ciała gorącym, pełnym zachwytu i pożądliwym wzrokiem.

– Możemy być dyskretni, nie zmuszając się do ograniczeń. Londyn to wielkie miasto.

Jeśli starannie wybierzemy dom, będziemy tam mogli żyć bez lęku, że wszyscy nas widzą.

Jeszcze większa pokusa. Myśl, by z nim być, nawet mieszkać…

Przecież wiedziała, że tak nie będzie, bez względu na to, jak tego pragnęła. Mieli przed sobą tylko tę jedną jedyną noc.

Dlatego musiała wykorzystać ją jak najlepiej. Sięgnęła, żeby rozpiąć mu koszulę i odsłoniła meszek ciemnobrązowych włosów, gdy odpięła ją do samego pasa, po czym wyciągnęła jej brzeg ze spodni.

Głos mu drżał.

– Będziemy mogli nawet iść razem na zakupy albo do teatru, jeśli zachowamy ostrożność.

Ściągnęła mu koszulę, obnażając całą pierś, i wstrzymała oddech. Zgadywała, że musi być muskularny i kształtny, lecz nie przypuszczała, że wywrze to na niej takie wrażenie.

Kenneth był odrobinę żylasty i nie przypominał wcale wspaniałego okazu męskiego ciała, który stał teraz przed nią. Pragnęła go dotykać, pieścić i się o niego ocierać. Ależ była rozwiązła!

Jakby wyczytał to w jej myślach, złapał jej ręce i położył na swojej piersi. Nieco zawstydzona unikała jego wzroku, przesuwając palce po napiętych teraz mięśniach. Odkrywała, jak drżą pod jej dotykiem i jak przyśpiesza przy tej pieszczocie jego serce.

I jak przyśpieszyło jej serce.

Rozwiązał troczki halki.

– Możemy pójść do muzeów albo… wynająć łódź i pływać latem po Tamizie…

Ucichł, kiedy zsunęła rękę na dół, by odpiąć guziki jego wyraźnie wybrzuszonych spodni. Zaczął oddychać szybko, chrapliwie, lecz nie przestawał mówić:

– Możemy nawet… zamieszkać niedaleko od wsi… żeby mieć konie i jeździć na przejażdżki. Kupię ci najwspanialszego wierzchowca… piękne siodło i… przytulny nieduży karykiel wyłącznie do twojego użytku… A potem nauczę cię jeździć i powozić, i…

– Cii… – wyszeptała. Nie mogła już znieść więcej. – Przestań już kupować moje uczucia. – Musnęła ustami jego wargi. – Już je masz.

W świetle ognia oczy zabłysły mu jak obsydian.

– Czy chciałabym, byś mnie tego wszystkiego nauczył, kupił mi nowe ubrania i całą resztę? – ciągnęła, pragnąc rozpaczliwie, żeby pojął. – Tak. Jednak jeśli zostanę twoją metresą, to nie dla żadnej z tych rzeczy. – Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do serca, które wściekle już biło. – Stanie się tak z powodu uczuć, jakie we mnie wyzwalasz.

– A jakie uczucia wyzwalam? – Westchnął.

Wyprostowała się i pocałowała go w usta.

– Jakbym potrafiła latać.

Przytulił ją i pocałował namiętnie. Serce o mało nie wyrwało jej się z piersi. Cóż ona najlepszego czyni? Właśnie się w nim zakochuje.

A on wcale tego nie chce.

Zatem dała mu to, czego pragnął. Pozwoliła ściągnąć z siebie halkę i zanieść się do jego łoża. Pozwoliła mu, żeby ją położył i przesuwał po niej palącym spojrzeniem, póki nie zdjął swojego ubrania. A ona nie zadrżała ani się nawet nie zarumieniła pod żarem i mocą jego wzroku.

Póki nie stanął nagi. Teraz musiała na niego popatrzeć. A był to widok wspaniały – piękne, smukłe mięśnie i kształtne linie, słodka symfonia ciała, którą pragnęła grać bez końca.

Sięgnął do szuflady nocnej szafki.

– Obiecałem, że zastosuję zabezpieczenie… – Wyjął długą kiszkę z jagnięcej skóry, po czym jej podał.

– Zechcesz uczynić mi ten honor?

Usiadła i wpatrzyła się w tę rzecz.

– Wozisz ze sobą coś takiego na wszelki wypadek?

Roześmiał się.

– Skądże znowu. Chociaż po tym, co zdarzyło się ostatniej nocy, przypuszczałem, że może będziesz bardziej skłonna podzielić ze mną łoże, jeśli obiecam ci, że się zabezpieczę. A nie masz pojęcia, co straganiarze na wiejskim jarmarku miewają na sprzedaż, jeśli tylko wiesz, jakie zadać pytania.

– Ach, to tego szukałeś całe popołudnie?

– Między innymi.

Pokręciła głową, po czym wzięła od niego jagnięcą kiszkę.

– Naprawdę jesteś grzesznikiem. – Chociaż to, że dla niej skłonny był włożyć coś takiego, głęboko ją wzruszyło.

– To właśnie ci się we mnie podoba – powiedział przeciągle.

– Raczej nie – pociągnęła nosem. – Lubię cię pomimo to.

Kiedy posuwistymi głaszczącymi ruchami nasunęła kondom na gruby, drżący członek, znacznie większy niż członek męża nieboszczyka, stwardniał jeszcze bardziej, a jej przyszło do głowy, że ta scena jako żywo powiela scenę z nieprzyzwoitej ryciny w *Fanny Hill*.

W końcu się zarumieniła.

Ze śmiechem zawiązał kondom, po czym wślizgnął się do łoża i pociągnął ją, by położyła się obok.

– Jak na wdowę, wyglądasz czasem na bardzo niewinną.

– Wybacz, że nie posiadam twojego szerokiego doświadczenia. Miałam tylko jednego męża, a on przeważnie dotykał mnie w nocy, kiedy zasypiałam. Prawie go nie widziałam takiego… no wiesz.

Patrzył na nią pożądliwie.

– Lepiej przywyknij od razu – powiedział ochrypłym szeptem i dłonią zaczął masować jej piersi. – Zamierzam być przy tobie nagi, kiedy tylko będę miał okazję.

A potem zamknął jej usta pocałunkiem i położył się na niej, a ona zamknęła oczy, by lepiej smakować to doznanie i starannie wymazać z pamięci wspomnienie zmarłego męża. Pierce szeptał komplementy o jej włosach i piersiach, a także brzuchu i całował każdy skrawek jej ciała to namiętnie, to czule, sprawiając, że pragnęła, pożądała i tęskniła…

Gdy pocałował ją między nogami, otworzyła oczy.

– Co ty robisz?

Chciała zacisnąć uda, ale jej nie pozwolił.

– Musisz przeczytać więcej nieprzyzwoitych książek, najdroższa. – Oczy mu zalśniły. – Dostałaś swój deser. Pozwól teraz, że ja dostanę swój.

Dotknął ustami najbardziej intymnego zakamarka.

– Ale, ale… Pierce…. Och!

Sposób, w który ją całował… tam… zdawał się zdrożny i barbarzyński, lecz… tak rozkoszny, że wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła bliżej.

W odpowiedzi jął ją tam całować, ssać i drażnić, aż pomyślała, że zwariuje

z pożądania. Niedługo trwało, i poczuła nadchodzący orgazm, poczuła, jak narasta i wznosi się…

– Pierce…och, słodkie niebiosa… proszę…

– Jeszcze nie, najdroższa. – Jego ciemne oczy zabłysły i przysunął się do jej twarzy. – Tym razem pojedziemy tam razem.

I wszedł w nią jednym gładkim pchnięciem.

Zaczęły się czary. Był w niej, wokół niej i znów doprowadzał ją do wspaniałego szaleństwa. Jakże mogłaby coś takiego porzucić? Jakże mogłaby jego porzucić? Zdawał się już być częścią jej samej. Przy nim była sobą i czuła się z tym dobrze. Lubił ją taką, jaka była.

Nie kochał jej tylko, a to by ją z czasem zabiło. Ona nie mogłaby z nim być dzień po dniu bez mówienia mu, że go kocha.

Kochała. Kochała tego drogiego i zagubionego człowieka. Wiedziała jednak, tak jak wiedziała o nim wszystko, że on nie chciałby tego usłyszeć. Zamiast tego musiała mu to dziś w nocy okazać.

Kiedy wsuwał się w nią i wysuwał z niej, pocałowała go w policzek, szyję, w usta i wszędzie, gdzie tylko mogła sięgnąć. Owinęła nogami jego biodra, kiedy ją do tego zachęcił, i poddała się cała aktowi, który do tej pory zdawał się jej niezręcznym i zawstydzającym. Z nim nie był ani trochę taki. Był niczym…. niczym…

– Lecisz już? – wydyszał, wbijając się w nią głębiej.

To było podobne do latania. Bardzo.

– Tak… – wykrztusiła. – Och, Pierce…

– Leć zatem, najdroższa – wymruczał, śląc ją wyżej i jeszcze wyżej. – Tak wysoko… jak tylko zdołasz… – Popatrzył na nią z pociemniałymi z uczucia oczami.

Tęsknota. Rozpoznała ją, ponieważ sama także jej doświadczała.

Musnął wargami jej usta, po czym wyszeptał:

– Nie zapomnij mnie tylko ze sobą zabrać…

I jednym potężnym pchnięciem wysłał ją do samego nieba.

Przywarła do niego, kiedy i on osiągnął spełnienie, i przez tę jedną drogocenną chwilę razem lecieli przez przestworza, owinięci ramionami, nie dbając o cały świat.

Po czym pomału wracali na ziemię. Ku jej zaskoczeniu, to też było cudowne doświadczenie. Chociaż zsunął się z niej, nie odwrócił się i nie zasnął. Tulił ją i całował tak, że poczuła się kimś więcej niż tylko partnerką w łożu.

Kiedy z bezgraniczną czułością całował jej szyję, słowa, których za żadne skarby nie chciała wypowiedzieć, wymknęły jej się z ust same:

– Kocham cię – wyszeptała mu do ucha. – Kocham cię, Piersie Waverly.

Rozdział XXII

Słowa te wstrząsnęły nim. Nigdy by się nie spodziewał, że mogą brzmieć tak pięknie. Nie spodziewał się też, że dzielenie łoża z Camillą będzie tak cudownym przeżyciem.

Nie miało to sensu. Był z wieloma kobietami – bardziej doświadczonymi, młodszymi, bardziej uległymi. Sypiał z aktorkami i prostytutkami, śpiewaczkami operowymi i księżniczkami, ale ani razu akt miłosny nie okazał się tak czuły, że nieomal przywiódł go do łez.

Ani razu żadna z partnerek nie powiedziała mu potem tych słów.

Och, Boże, czy nie wiedział już, że miłość to puste słowo, które nic nie znaczy?

Tyle tylko, że nie wierzył, by Camilla mogła skłamać. Wiedział, kim jest. Nigdy tak lekko nie powiedziałaby czegoś takiego.

Co jeszcze nie znaczyło, że to prawda.

Odsunął się i wlepił w nią wzrok.

– Nie rób tego.

Ból w jej spojrzeniu zastąpiła wojowniczość.

– Czego nie robić? Nie kochać cię? Czy nie wyznawać ci miłości? Tego ostatniego mogę nie robić, lecz pierwszego nie powstrzymam. Już na to za późno.

Wziął jej rękę i pocałował. Krew szybko krążyła mu w żyłach.

– Słuchaj, wiem, że zdaje ci się, iż coś czujesz.

– Nie sądzę, by zdawało mi się cokolwiek. – Strąciła jego rękę. – Wiem, co czuję. Nie próbuj mi wmawiać, że jest inaczej.

Wykręciła się z jego objęć, usiadła i spuściła nogi z łóżka.

Objął ją ramieniem w pasie, żeby ją przytrzymać, i wycisnął pocałunek na jej plecach.

– Nie odchodź. Jeszcze nie.

Siedziała napięta pod dotykiem jego ramienia, lecz gdy usiadł obok niej, przeciągle westchnęła.

– Przepraszam. Wiem, że nie chciałeś tego słyszeć. Ale nic na to nie poradzę. To przekleństwo mojego życia, że mówię, co leży mi na sercu, nawet kiedy nie powinnam – dodała rozgoryczona.

– To właśnie w tobie lubię – zapewnił. Nawet jeśli to, co mówiła, raniło go. Popatrzył na jej pochyloną głowę, mając w sercu mętlik uczuć. Niech to diabli! – Mimo to nie potrafię… nie mogę…

– Wiem, milordzie – potwierdziła, a oficjalny tytuł, którego użyła, zapiekł go do żywego. – Niemniej jednak to musiało zostać powiedziane.

Zaczęła wstawać z łóżka, ale pociągnął ją na swoje kolana.

– Nie chodzi o to, co myślisz. – Kiedy na niego nie patrzyła, przesunął do niej twarz. – To ja nie jestem w stanie nikogo kochać.

Pogładziła go po policzku delikatnie i czule.

– Nie sądzę, by to była prawda.

– Ale jest.

Zastanawiał się, lecz łagodne spojrzenie jej oczu przekonało go. Zasłużyła, by wiedzieć, z jakim rodzajem mężczyzny się zadała. Sięgnął do szufladki w stole i wyjął

stamtąd po wielokroć zgięty i zmięty list, po czym jej go wręczył.

Kiedy spojrzała na niego pytająco, wyjaśnił:

– To ostatni list, który moja matka napisała do szkoły, zaraz po tym, kiedy zostałem odesłany.

Zbladła i rozłożyła delikatny pergamin, by przeczytać wiersze, które przez lata przetrwały w jego duszy. Wiersze, które kończyły się: *Pamiętaj zawsze, że Cię bardzo, bardzo, bardzo kocham. Moc całusów, mama.*

– Najpierw trzymałem go jako podporę w trudnych czasach. – Jego głos się zmienił. – A potem trzymałem go, by mi przypominał, jak niewiele te słowa znaczą.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

– Ja nie kłamię, kiedy je mówię, a podejrzewam, że i ona nie kłamała.

– Może nie – zdołał wymówić. – Tyle że czyni to oczywistym fakt, że miłość jest fikcją bez znaczenia. Przynajmniej dziś jestem na tyle mądry, by to zrozumieć. A nie mogę czuć czegoś, w co nie wierzę. Mogłem kiedyś w to wierzyć, teraz już nie.

– Dlatego że rodzice cię porzucili, to masz na myśli?

– Nie tylko. – Robiło mu się nieprzyjemnie, kiedy Camilla wnikała tak głęboko. – Doświadczyłem w życiu sporo, byłem świadkiem zbyt wielu nieszczęśliwych małżeństw, i... – uśmiechnął się z trudem. – To tak jak Jasper wierzący w latające renifery. Jeśli ma się wokół siebie dość prawdziwych reniferów i wie się, że nie latają, czar pryska.

– Zupełnie przeciwnie – powiedziała cicho. – Wiara w miłość to nie to samo co wiara w latające renifery. To jak wiara w deszcz. Albo lato. Albo też w Boże Narodzenie. Miłość jest realna, stała i absolutnie konieczna dla każdej formy życia. To, że się w nią nie wierzy, nie umniejsza jej roli.

Broniąc się przed uwodzicielskim powabem jej słów, rzekł:

– Dla mnie umniejsza i to się liczy.

Zebrał siły, by odeprzeć kolejne argumenty, lecz ona tylko pokręciła głową.

– Wiem. Dlatego nie miałam zamiaru wypowiadać tych słów.

Ton żalu w jej głosie przeszył go bólem. Podparł jej podbródek, by ją pocałować czule i głęboko.

– To niczego nie zmienia. Pragnąć cię i wiedzieć, że ty mnie pragniesz, to mi wystarcza.

– Naprawdę? – Popatrzyła mu w twarz oczami, w których odbijał się blask ognia. Bez okularów wyglądała niczym niewinna dziewczyna marząca o miłości.

Uderzyło go, jak bardzo nieuczciwe było z jego strony, że prosił, by porzuciła przyszłość z innym mężczyzną tylko po to, by zostać jego kochanką.

Przecież ma za sobą już jedno małżeństwo i nie spodobało jej się to. To właśnie czyniło z nich idealnie dobraną parę. Pragnęli tych samych rzeczy, czy się do tego przyznawali, czy też nie.

– Camillo, ja...

Rozległo się pukanie do drzwi. Zamarł. Spojrzenie na zegarek powiedziało mu, że jest już dawno po północy. Służba na pewno już spała.

Camilla zeskoczyła mu z kolan.

– O Boże! Maisie domyśliła się, że tu jestem. Coś się stało Jasperowi! – Miała poczucie winy. Pospiesznie narzuciła halkę, a potem pantalony.

On też wstał i zaczął się ubierać.

Pukanie dobiegło znowu.

– Otwórz drzwi, Pierce! – rozległ się głos matki. – Chcę z tobą porozmawiać.

Camilla pobladła, a on zaklął pod nosem. Pokoje na dole miały specjalne przejścia dla służby, lecz sypialnie już nie. Nie było ucieczki.

– Zaraz idę, mamo! – zawołał i wskoczył w spodnie. Musiał ją jakoś odciągnąć, żeby Camilla wyszła stąd niezauważona.

Camilla w popłochu zbierała ubranie i złapała okulary, gdy drzwi się otworzyły i hrabina weszła.

A niech to diabli, zapomniał zamknąć drzwi od środka.

Matka przyglądała się scenie przerażona.

– Wiedziałam! – krzyknęła. – Poszłam do Camilli, a tam Maisie zdziwiła się, że Camilla miała być u mnie. Zajrzałam więc do salonu i do gabinetu, ale tam też nie było śladu żadnego z was.

Jej wzrok oskarżycielsko spoczął na synu, gdy Camilla stała jak wmurowana na środku pokoju.

– Jak mogłeś?

– Milady, proszę, to nie tak, jak na to wygląda – odezwała się Camilla.

– Nie? – wykrztusiła. – Bo mnie wygląda na to, że mój syn właśnie cię uwiódł.

– Jak śmiesz… – rzucił ze złością Pierce.

– Miałeś wszelkie powody gniewać się, Pierce – ciągnęła zapalczywie. – Ale użycie Camilli jako broni przeciwko mnie to już jest…

– Broni? – Całym wysiłkiem woli powstrzymywał się od wyrzucenia jej z pokoju. – To nie twoja sprawa, matko, lecz ona jest tutaj z własnej woli. To nasz wybór, żeby znaleźć się tutaj razem.

– Kobieta w położeniu Camilli nie ma wyboru – zaprotestowała matka. – Czy naprawdę uważasz, że mogła ci odmówić? Jesteś jej chlebodawcą, związki tego typu dają władzę tobie, dobrze o tym wiesz.

Stężał. Wiedział dobrze. A najgorsze było to, że zrobiłby to znowu, jeśli nadarzyłaby się okazja.

– Maluje pani syna w gorszych barwach, niż jest naprawdę, milady – wtrąciła Camilla. – Nigdy niczego ode mnie nie zażądał, nie wykorzystał mnie. Rzeczywiście znalazłam się tu z własnej woli. Wiem, że uważa pani, iż to bardzo niewłaściwe z mojej strony, ale…

– Nie winię ciebie, moja droga – powiedziała łagodnie hrabina. – Winię jego.

Przebrała się miarka.

– Nie masz prawa o nic mnie obwiniać, nigdy! – syknął Pierce i zbliżył się do niej, nie myśląc o tym, że ma na sobie tylko spodnie. – Wyrzekłaś się prawa dyktowania mi, co mam robić, w dniu, kiedy mnie porzuciłaś.

– Nie porzuciłam cię! – zawołała. – Działałam w twoim interesie.

To był nowy wybieg i jego niedorzeczność rozzłościła go.

– Tak? A w jaki mianowicie sposób?

Zacisnęła usta, spojrzała w bok i niczego więcej nie dodała.

Jego gniew przerodził się w furię, kiedy skrywany żal z dwudziestu trzech lat wreszcie znalazł ujście. Uderzył w matkę bez skrupułów.

– Działałaś w moim interesie, kiedy zignorowałaś wszystkie listy, w których błagałem cię, żeby wolno mi było wrócić do domu? Czy też wtedy, kiedy nie pozwoliłaś mi się uczyć, w jaki sposób zarządza się posiadłością, którą kiedyś miałem odziedziczyć? Czy może wtedy, gdy podeptałaś wszelkie szczere uczucia, jakie kiedykolwiek miałem, kiedy mi powiedziałaś…

Przerwał i zaklął.

– Odmawiam stanowczo. Nie obchodzi mnie, jakie miałaś powody. Nic, co powiesz, nie naprawi tego, co zrobiłaś. – Zwrócił się do Camilli, która patrzyła na nich oboje z wyraźną rozterką: – Camillo, zbieraj rzeczy, swoje i Jaspera. Zaraz wyjeżdżamy do Londynu.

Matka pobladła, poczuł wyrzuty sumienia, lecz nie zważał na nie. Nie miała tu nic do powiedzenia. Wyrzekła się tego prawa przed laty.

Camilla tymczasem nie poruszyła się.

– Chodźmy, kochanie – rozkazał. – Wiem, że późno, ale oboje z Jasperem prześpicie się w powozie. Weź ze sobą Maisie, jeśli ci jest potrzebna.

Przełknęła z trudem, po czym powiedziała niewiele głośniej od szeptu:

– Nie wyjadę z tobą.

Popatrzył na nią z otwartymi ustami. Zapewne nie usłyszał jej dobrze.

– Ależ oczywiście, że jedziesz.

– Nie mogę – powtórzyła nieco bardziej zdecydowanie. – Moje miejsce jest tutaj.

– Twoje miejsce jest przy mnie! – krzyknął.

Z oczu popłynęła jej łza, potem druga.

– Pierce, zrozum…

– Nie! – wrzasnął z głębi trzewi. – Nie muszę rozumieć ani jednej cholernej rzeczy, do wszystkich diabłów!

Nie mogła mu tego zrobić. Nie pozwoli jej.

Podszedł i złapał ją za ręce.

– Należysz do mnie. Należymy do siebie. Nic jej nie zawdzięczasz, nieważne, co o tym sądzisz.

Po twarzy płynęły jej łzy. Przyciskała mocno do piersi żałosne zawiniątko ubrań, jakby chciała z niego uczynić tarczę przeciwko niemu.

– Nie chodzi o twoją matkę.

– A jakże nie, do cholery! Przedkładasz ją nade mnie, bo wbiłaś sobie do głowy, że być na jej każde skinienie jest bardziej godne szacunku, bardziej…

– Nie wybieram żadnego z was – powiedziała umęczonym szeptem, kiedy wyrwała się z jego uścisku. – Wybieram syna.

To chwyciło go za gardło. Z takim argumentem nie dało się walczyć. Mimo to spróbował.

– Wiesz, że lepiej mu będzie w Londynie.

– Jako pogardzanemu synowi metresy?

Popatrzył na nią ponuro.

– Nikt nie ośmieli się nim pogardzać, ani też tobą. Nie, z uwagi na moją władzę i majątek, które będą za wami stały.

– A potem, jak nie będziemy już ciebie mieli? – spytała cicho. – Co się z nami wtedy stanie?

Przed jej logiką nie sposób było uciec. Nienawidził jej za to.

– Albo co zdarzy się, jeśli się ożenisz?

– Nigdy się nie ożenię – przyrzekł.

– Teraz tak mówisz, ale nie możesz tego obiecać. – W oczach błysnęły jej łzy.

– Jeśli chcesz ode mnie obietnic, jedź ze mną do Londynu. Mój radca prawny sporządzi dokument, jakiego tylko zażądasz, by zapewnić ci…

– To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi! – zawołała. – Nie mogę ryzykować, że będziesz pojawiał się w życiu Jaspera i znikał, kiedy będziesz chciał. Dzieci czegoś

takiego nie rozumieją. Ty ze wszystkich ludzi powinieneś to wiedzieć najlepiej.

Słowa ugodziły go jak silny cios pięścią w brzuch. Zapragnął oddać.

– Pamiętam, jak twierdziłaś, że mnie kochasz. I twierdziłaś też, że te słowa są prawdziwe.

Chociaż z twarzy odpłynęła jej krew, nie zawahała się.

– Są prawdziwe, a ja cię kocham. I właśnie dlatego z tobą nie pojadę. Bo kocham cię za bardzo, żeby zostać twoją zabawką.

– Nie będziesz moją zabawką, do cholery!

Widział jednak po minie, że żaden argument jej nie przekona. Kiedy Camilla postanowiła już coś uczynić, trzymała kurs, nawet jeśli ten kurs miał oznaczać jego rozdarte serce.

Jak śmiała pokazać mu przez chwilę niebo, a potem zabrać mu je sprzed nosa i zostawić znów samotnego?

Jak zawsze samotnego.

– Dobrze – wykrztusił, po czym zaczął się opancerzać przed bólem, który wkradł się do jego serca.

Zamierzała go zmusić do małżeństwa? Cóż, dni, kiedy czynił cokolwiek ze względu na kaprysy innych, minęły. Nigdy więcej nikt nie zmusi go do zrobienia czegokolwiek.

– Do diabła z tobą! – Popatrzył za nią w miejsce, gdzie nadal stała matka. – Do diabła z wami obiema! Wyjeżdżam z tego domu i już tu nie wrócę. Mam nadzieję, że będzie wam ze sobą dobrze. A teraz wyjdźcie z mojego pokoju.

Kiedy obie stały nieporuszone, wpatrzone w niego okrągłymi z przerażenia oczami, ruszył na nie.

– Zabierajcie się stąd, do wszystkich diabłów!

Matka wybiegła natychmiast. Camilla zatrzymała się w drzwiach, by ostatni raz na niego popatrzeć.

– Wiem, że jesteś rozgniewany, Pierce, i rozumiem dlaczego. Rodzice, porzucając cię, złamali ci serce i od tamtej pory usilnie próbujesz je załatać. Dlatego miałeś niezliczone kochanki – nie dlatego, że chciałeś rodzicom pokazać, iż cię nie złamali, ale dlatego, że miałeś nadzieję, iż znajdziesz kogoś, kto naprawdę się o ciebie zatroszczy.

– Zamilcz, do stu diabłów! – wrzasnął, przeciwstawiając się wściekle prawdzie. Próbował nie zważać na współczucie malujące się na jej twarzy.

– No cóż, znalazłeś kogoś takiego. Szczerze cię kocham. Niemniej, póki nie zostawisz przeszłości za sobą, póty nie uwolnisz się, by pokochać mnie czy kogoś innego. – Tuliła zwinięte ubranie. – Jeśli nauczyłeś się czegokolwiek od rodziców, to tego, że miłość działa, jeśli jest odwzajemniana. Inaczej z czasem staje się dokładnie taka, za jaką ją masz – jest słowem bez znaczenia. Dla obu stron.

Dopiero gdy skończyła, wyszła.

Patrzył na drzwi niewidzącym wzrokiem, pragnąc, by wróciła, by zmieniła zdanie, by okazało się, że rzuciła ostrzeżenie na wiatr.

Znał ją już dobrze. Tego by nie zrobiła. Nie dla niego. Nikt jeszcze tego nie zrobił.

Najwyższy czas przestać na to czekać.

Camilla stała w pokoju dziennym hrabiny, gdy w domu zapanował sądny dzień. Pierce wydał rozkazy stangretowi swojego czterokonnego powozu i służba została postawiona na równe nogi, żeby wykonać setki zadań niezbędnych do podróży pana.

Hrabina nie patrzyła na nią i Camilla nie była pewna, czy zakłopotanie, czy też

obrzydzenie wprowadziło między nie ten dystans.

W tej chwili było jej to zresztą obojętne. Była oszołomiona i otępiała. Powinna wiedzieć, że jej zapierający dech w piersiach skok w rozkosze życia tak właśnie się zakończy. Nic tak cudownego nie ma szans trwać.

Bez litości nad sobą powstrzymywała łzy, które zbierały się jej pod powiekami. Postanowiła nie płakać przy jaśnie pani. Będzie rozpaczać później, gdy zostanie sama. Bez wątpienia wraz ze łzami nadejdzie także skrucha.

Nie żałowała kilku skradzionych chwil. Będą ją podtrzymywać na duchu przez lata, które nadejdą.

Muszą, ponieważ teraz, kiedy wiedziała, jaka jest miłość, nie chciała jej doświadczać z nikim innym. Nie sądziła, że taki ból mogłaby znieść więcej niż raz.

Znów zbierało się jej na płacz. Podniosła chusteczkę, by osuszyć łzy, nim popłyną.

– Może powinnaś z nim pojechać – odezwała się hrabina drżącym szeptem.

Te słowa zabrzmiały jak odprawa i ją wystraszyły.

– Tak ciężko będzie teraz pani ścierpieć moją obecność?

– Nie! Nigdy, moja droga, nigdy. Mimo wszystko serce mnie boli, gdy widzę, jak odjeżdża całkiem sam. – Jaśnie pani wzięła Camillę za rękę i ścisnęła. – I nie mogę patrzeć na to, jaka jesteś nieszczęśliwa.

Camilli jeszcze bardziej zachciało się płakać. Odpowiedziała uściskiem na uścisk ręki hrabiny.

– Wezmę się w garść.

Kiedyś być może. W tej chwili czuła, że nie dojdzie do siebie.

– Uważam, że postąpiłaś właściwie. Nie przysłużyłoby się Jasperowi…

– Nie, nie przysłużyłoby – powtórzyła stanowczo Camilla. Nie przysłużyłoby się także jej. Spędzanie życia w roli kochanki Pierce'a wyczerpałoby ją.

– Nie powinien cię o to prosić. To bardzo niewłaściwe z jego strony.

– To właśnie cały Pierce.

A przecież…

Wciąż widziała wyraz rozczarowania na jego twarzy z powodu jej zdrady. Był pewien, że z nim pojedzie, zwłaszcza po tym, jak głupio wyznała mu miłość.

Rzecz jasna, że próbował użyć tego przeciwko niej. Wezbrała w niej złość, lecz ją stłumiła. Czego oczekiwała? Że Pierce przyrzeknie jej miłość aż po grób? Powinna zachować swoje uczucia dla siebie.

Otworzyły się drzwi i wpadła Maisie z rozbudzonym już Jasperem.

– Co się dzieje, milady? Biedaczek zerwał się, wystraszony hałasem.

Lady Devonmont wzięła się w garść, pokazując niewzruszoną twarz.

– Jego lordowska mość nas opuszcza.

– W środku nocy? Dlaczego… co się… – Maisie popatrzyła na Camillę, ubraną, ale z rozpuszczonymi włosami i oczami pełnymi łez, i zacisnęła usta. – Ach tak. Rozumiem.

– Nie wolno ci pisnąć nikomu ani słowa – rozkazała hrabina. – Nikomu, zrozumiałaś?

– Oczywiście, milady – zapewniła z zapałem Maisie. – Nie uczynię niczego, co mogłoby zaszkodzić jaśnie pani albo pani Stuart.

Camilla uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

W domu zapadła cisza i jaśnie pani westchnęła.

– Pewnie już wyjechał.

– Tak. – Camilli ścisnął się żołądek. Jak ona to zniesie?

Jasper wyciągnął do niej ręce, wzięła go od Maisie. Popatrzył na nią rozespany.

– Dlaczego jego lordowska mość wyjechał, mamo? I dlaczego się ze mną nie pożegnał?

– Na pewno chciał, kochanie – wtrąciła lady Devonmont. – Ale bardzo się spieszył. Wiele bardzo ważnych spraw, którymi musi się zająć, czeka na niego w Londynie.

Jasper popatrzył na hrabinę.

– Bo jest wielkim hrabią, tak?

– Tak, właśnie tak – powiedziała z trudem Camilla. Wielki hrabia, który zrównywał wiarę w miłość z wiarą w latające renifery. Ponieważ gdyby uwierzył w miłość, musiałby pogodzić się z przeszłością, a tego uczynić nie mógł.

– A co z Bożym Narodzeniem? – spytał Jasper. – A co z Błyskawicą? Powiedział, że da mi Błyskawicę, kiedy przyjedziemy do domu, i zapomniał.

– Ja ci dam Błyskawicę – obiecała hrabina. – Nie martw się.

– A jak sobie przypominasz – dodała Camilla – jego lordowska mość powiedział, że nie będzie go z nami na święta. Musi wyjechać do Waverly Farm.

– Pamiętam – potwierdził. – Tylko myślałem, że się rozmyśli.

Dzięki Bogu, że Pierce wyjechał właśnie teraz. W tej chwili Jasper był nim tylko zaciekawiony, ale więcej spotkań i wyjazd hrabiego sprawiłyby chłopcu ból.

Jasper przetarł oczy i popatrzył jej w twarz.

– A czy to znaczy, że nie nauczę się jeździć na kucyku? Jego lordowska mość mówił, że w stajni jest walijski kucyk i że mogę się nauczyć.

– Będziesz się uczył – zapewniła lady Devonmont. – Porozmawiam o tym jutro z panem Fowlerem.

– Nie wiem, czy jeszcze mam na to ochotę. – Jasper położył głowę na ramieniu Camilli. – Bez jego lordowskiej mości to nie to samo, prawda, mamo?

– Tak, mufinku, nie to samo – potwierdziła z trudem.

Nic już nie będzie takie samo.

Rozdział XXIII

W drodze do Londynu Pierce próbował zasnąć, lecz mu się nie udało. Jego myśli krążyły wokół Camilli. Z początku odczuwał tylko wściekłość z powodu braku jej przychylności. Jak mogła nie dostrzegać, jak wspaniałe było to, co jej oferował? I jak mogła twierdzić, że Jasper ucierpi przez ich związek? Przecież nie skrzywdziłby go. Nigdy!

Jasper odniósłby z tego korzyści przekraczające jej najśmielsze marzenia – wykształcenie, pieniądze i…

A potem, jak nie będziemy już ciebie mieli? Co stanie się z nami wtedy?

Zacisnął dłonie w pięści. Te słowa kołatały się wciąż w jego głowie. I teraz, gdy złość już opadała i górę brał nad nią rozum, dostrzegał, że wiele w tym prawdy. Miała prawo lękać się o swoją przyszłość. Jej mąż, głupiec, zmarł nieoczekiwanie, a ona z Jasperem zostali bez środków do życia. Jednak Pierce'owi nie przydarzy się nic takiego.

Dobrze zatem, załóżmy, że miała słuszność. Mógł postarać się o zabezpieczenie. Prawne zabezpieczenie.

To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi! Nie mogę ryzykować, że będziesz pojawiał się w życiu Jaspera i z niego znikał, kiedy będziesz chciał. Dzieci czegoś takiego nie rozumieją. Ty ze wszystkich ludzi powinieneś to wiedzieć najlepiej.

Wiedział. Jak dobrze wiedział!

Z mocno bijącym sercem wpatrywał się przez okno powozu w ciemności nocy tuż przed świtem. Ośnieżone pola połyskiwały bielą w świetle blednącego księżyca. Przypominało mu to dzień, kiedy wyjechał z domu do szkoły, nieświadomy, że nie zobaczy Montcliff przez tak wiele lat.

Zrozumiał, że gdyby Camilla postawiła jego nad Jasperem, nie okazałaby się lepsza od jego matki, która postawiła męża przed synem.

Czyż nie tak?

Oburzył się, gdy matka rzekła, iż działała w jego interesie, ale musiał to przemyśleć. Jeśli ojciec miał coś na matkę, jak założyli z Camillą, i jeśli to coś istotnie wiązało się z jego osobą? Pierce nie rozumiał wprawdzie, jak to możliwe, ale z drugiej strony, nie umiał myśleć logicznie, gdy w grę wchodziła przeszłość.

Camilla to zrozumiała.

Ja szczerze cię kocham. Jednak póki nie zostawisz przeszłości za sobą, nie uwolnisz się, by pokochać mnie czy kogoś innego.

Te słowa nadal dźwięczały mu w uszach. Łatwo jej powiedzieć – ona nie miała przeszłości.

Nie, pomyślał kwaśno, żyła tylko ze świadomością, że rodzice nie chcieli jej mieć. Że urodziła się już odrzucona z powodów, których nie próbował nawet pojąć, pomimo że on także miał bolesną przeszłość.

Westchnął ciężko. Nic dziwnego, że nie mogła przyjąć propozycji zostania jego utrzymanką. Pragnęła, by ją ktoś chciał dla niej samej, czego nie zaznała. To, co jej dawał, to zaledwie marna namiastka.

Czyż mógł dać jej więcej? Czy by się ośmielił? Czy też byłoby lepiej dla niego nie

ryzykować?

Odpowiedzi nie nadchodziły, także i wtedy, gdy tuż po świcie powóz wjechał na podjazd jego londyńskiego domu. Służba była już gotowa na jego powitanie, bo wysłał posłańca, lecz nawet pracowita krzątanina nie ożywiła tego miejsca, w którym wionęło grobowcem, po radosnym i pogodnym gwarze starego dworu. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak jałowe było jego życie, z utrzymankami wygnanymi do osobnych siedzib.

W rzeczy samej, jeszcze przed wyjazdem do Hertfordshire, najprzyjemniejsze dni, jakie spędzał, to te u krewnych oraz ich przyjaciół – rodziny Sharpe'ów. Co to o nim mówiło, że coraz częściej szukał radości w towarzystwie szczęśliwych par i krewnych?

Powinien pójść do łóżka – nie spał już dwadzieścia cztery godziny. Był zbyt niespokojny, by zasnąć. Kilka chwil gry na fortepianie w salonie także nie przyniosło mu pocieszenia.

Pomyślał tęsknie o karafce brandy. Tę drogę pocieszenia wypróbował przed trzema dniami i okazała się dziwnie niesatysfakcjonująca.

Sądząc, że pogrążenie się w pracy będzie najlepszym wyjściem, poszedł do gabinetu. Kiedy jednak stanął za biurkiem i przekopał się przez stos korespondencji, którą zostawił tu dla niego Boyd, jego wzrok przykuło skazane na niesławę pudełko listów od matki.

Ścisnęło go w gardle na ten widok.

Potem usiadł, obrócił pudło do góry dnem, by pierwszy list znalazł się na górze, po czym otworzył go i zaczął czytać.

Mój najdroższy Synu,

nie możesz wiedzieć, jak bardzo tęskniłam za Tobą przez te wszystkie lata. Zapewne z trudem przyjdzie Ci w to uwierzyć, ale to szczera prawda. Widok Ciebie w czasie pogrzebu, nawet tak na mnie zagniewanego, uczynił resztę mojego życia do zniesienia.

Czy mogę Ci powiedzieć, że ubrany byłeś doskonale? Ucieszyłam się z tego powodu. Twój stryjeczny dziadek mówił, że nosisz frak lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, i muszę się z tym zgodzić.

Cały dziewięciostronicowy list matki był w tym tonie i mieszał jej obserwację z pogrzebu z tym, czego widocznie dowiedziała się od stryjecznego dziadka. Nie wiedział, czy wuj Isaac do niej pisał, ale nie miało to znaczenia. Widocznie nie odpisywała też wujowi Isaacowi, skoro o tym nie wspomniał.

Tu i ówdzie jej listy zawierały wzmiankę o tej czy innej anegdocie, którą opisał jej wuj Isaac. Zdarzenia, które wspominała, tak wyblakły we mgle jego pamięci, aż zdumiał się, że ktokolwiek je pamiętał, a już zwłaszcza matka.

W miarę gdy odpieczętowywał list za listem, znajdował w nich sporo uwag o jej codziennym życiu, przeplatanych wspomnieniami, które o nim zgromadziła z mnóstwa różnych źródeł. Niektóre pochodziły nawet z gazet – w jednym z listów była uwaga, jak bardzo Eugenia nie jest go warta – a niektóre były wzięte z listów stryjecznego dziadka oraz zmarłego Tytusa Waverly'ego.

Od czasu do czasu wspominała też o czymś, co powiedział jej Fowler na temat jego pracy w posiadłości. Przekazywała mu rady. Z lekkim rozbawieniem zdał sobie sprawę z tego, że chociaż żadnej dotychczas nie przeczytał, przekazywane mu były z drugiej ręki, przez Fowlera, i często wprowadzane w życie.

Poświęcił kilka godzin na przeczytanie listów, a kiedy się z tym uporał, usiadł z niemałym ciężarem na piersi. W listach znalazł historyjki o sobie z wielu lat, w tym takie, co do których trudno uwierzyć, że dotarły do matczynych uszu. Wyglądało to tak, jakby zbierała okruchy jego życia na czas, kiedy będzie mogła jeszcze raz z nim je przeżyć. Na dzień, w którym będzie mogła znów z nim być.

A on ten dar zlekceważył, nie zaszczyciwszy go ani jednym spojrzeniem. Dlaczego? Bo nie wyjaśniła mu przyczyn swojego postępowania.

Nie wyjaśniła ich także w listach, jak przeczuwała to Camilla. Nie było w nich wzmianki o latach wygnania, ani też o strasznym spotkaniu w gabinecie. Prawie nie wspominała o ojcu. Jakby człowiek ów zniknął z jej myśli i wspomnień w dniu swojej śmierci. Oczywiste, że nie było w tym związku miłości.

A tylko miłość do syna okazywana w każdym prawie słowie.

Siedział z ostatnim listem w dłoni. W skroniach szumiała mu krew, a w oczach wzbierały łzy, gdy czytał ostatni wiersz. Był ten sam w każdym liście:

Nawet jeśli nie wybaczysz mi nigdy, mój Synu, wiedz, że będę Cię kochać do dnia śmierci. A także później, jeśli Bóg pozwoli.

Spoglądał przed siebie niewidzącym wzrokiem, gdy zabrzmiały mu w uszach słowa Camilli:

Twoja matka może i porzuciła cię, gdy miałeś osiem lat, ale wcześniej mogłeś się nią cieszyć. A kiedy cię oddała, upewniła się, że jesteś w bezpiecznym miejscu, wygodnym, z dobrymi ludźmi, którzy się o ciebie zatroszczą… Zatem nie mów mi, jak bardzo jesteś usprawiedliwiony, bo odrzucasz matkę, która cię kocha.

Matka go kochała. Teraz to widział.

Camilla powiedziała, że samo to, że go kocha, powinno mu wystarczyć. Że mógłby nie dociekać prawdy o przyczynach swego wygnania na tak wiele lat.

Czy rzeczywiście mógł zostawić przeszłość za sobą i iść dalej, odbudowując stosunki z matką niezależnie od przeszłości?

Nie sądził. Nie dlatego, że nie chciał. Sądził, że i matka nie mogła. Bez względu na to, jak bardzo starali się na to nie zważać, lata cierpienia kładłyby się cieniem na każdym ich spotkaniu.

Jeśli Camilla miała słuszność i matka nigdy nie odkryje prawdy, będzie musiał odkryć ją samodzielnie. Teraz wiedział już więcej, niż wtedy, gdy wyjeżdżał do Hertfordshire. Może nawet dość, by dopasować brakujące fragmenty układanki.

Nadeszła pora, by dotrzeć do sedna sprawy. Skoro matka go nie odkryje, on je odsłoni. To lepsze niż siedzenie z założonymi rękami i tęsknota za Camillą, lepsze niż analizowanie nieudanego życia pod kątem, co można było w nim zmienić.

Znał człowieka, który mógł mu pomóc.

Kilka godzin później, napędzany kawą i nowym w życiu celem, Pierce pokazał się w pięknym nowym biurze sir Jacksona Pintera przy Bow Street[5].

Słynny były śledczy z Bow Street zyskał szlachectwo za rozwiązanie po dwudziestu latach zagadkowego morderstwa matki i ojca rodzeństwa Sharpe'ów. Dzięki temu, a także innym znakomitym śledztwom był teraz głową magistratu, lecz z tego, co wiedział Pierce, nadal podejmował się śledztw. A przynajmniej miał taką nadzieję. Ponieważ jeśli sir Jackson nie potrafił ujawnić prawdy, nikt na świecie tego nie potrafił.

Dopiero gdy były śledczy powitał go zdecydowanie chłodno, Pierce przypomniał sobie, że nie jest przezeń darzony sympatią. Kiedyś w przeszłości kobieta, która obecnie była małżonką Pintera, wykorzystała Pierce'a jako niby-konkurenta do swej ręki, co było częścią intrygi, by jej babka uchyliła małżeńskie ultimatum.

Zapomniał o tym, raczej śliskim, incydencie.

– Proszę usiąść, Devonmont – powiedział sir Jackson i ruchem głowy wskazał fotel przed biurkiem.

Gdy sir Jackson siadł, Pierce uczynił to samo.

– Doskonale pan wygląda – stwierdził Pierce, dochodząc do wniosku, że lepiej nie wspominać o przeszłości. – Małżeństwo panu służy.

Uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny, łagodząc jego surowe rysy.

– Małżeństwo, a także ojcostwo. Mam już syna.

– Słyszałem. Szczerze gratuluję. Czy przyszedł na świat, wymachując pistoletem?

Sir Jackson się roześmiał.

– Nie, ale jeśli Celia zrobi po swojemu, będzie się uczył strzelać, zanim skończy trzy lata.

– Jeśli ktokolwiek może go nauczyć strzelać, to właśnie Celia. A jeśli ktokolwiek może go nauczyć, kiedy strzelać, to właśnie pan.

– Dziękuję, milordzie. – Sir Jackson, już życzliwszy, usiadł wygodniej w fotelu. – A teraz, proszę mi powiedzieć, co sprowadza pana na Bow Street?

Pierce przeszedł do sedna.

– Potrzebuję pańskich usług do znalezienia informacji o kuzynie mojej matki.

– Matki zwaśnionej z panem? – upewnił się.

– Wie pan o tym?

– Poza tym że Sharpe'owie to niepoprawni plotkarze, ja… hm… rozejrzałem się po pańskiej rodzinie na użytek Celii.

– Ach, tak. – Pierce nie był zaskoczony. Nie był nawet rozgniewany. Skoro sir Jackson zdawał się tym lekko zakłopotany, mógł teraz chcieć to zrekompensować poprzez pomoc Pierce'owi. – Cóż, było, minęło. – Uniósł brwi. – Skoro skłonny jest pan podjąć się tej sprawy.

– Obawiam się, że chęci nie mają z tym nic wspólnego. Już nie podejmuję się takiej pracy. Obowiązki w magistracie i nadzorowanie wielu śledztw kryminalnych nie pozostawiają mi wiele czasu.

– Obawiałem się tego. – Pierce westchnął.

– Jednakże – ciągnął sir Jackson. – Przekazałem śledztwa poufne nowemu człowiekowi. Jest bardzo kompetentny, pracował dla mnie od lat, a teraz się usamodzielnił. I ma pan szczęście, akurat jest tu dzisiaj, przesłuchuje kogoś. Jeśli zaczeka pan chwilę, przyprowadzę go.

– Dziękuję – powiedział Pierce.

Sir Jackson wstał i podszedł do drzwi.

– Spodoba się panu. Ukończył Harrow, jak pan, tylko parę lat niżej. Nazywa się Manton. Dominick Manton.

Zanim Pierce zdołał coś powiedzieć, sir Jackson wyszedł.

Manton? Brat George'a Mantona był śledczym? Jak to, u diabła, się stało? Synowie wicehrabiego, nawet młodsi, nie imali się pracy. A już na pewno nie pracy tego rodzaju.

Słabo przypominał sobie Dominicka Mantona – smutnego, cichego chłopca rozkochanego w psach i matematyce, który był od niego dwa lata młodszy. O ile George

wiódł wszędzie prym, zastraszając wszystkich chłopców, łącznie z Dominickiem, jego młodszy brat siedział w kącie, studiując prace sir Isaaca Newtona. Był dziwakiem.

Kiedy sir Jackson wrócił w towarzystwie Mantona, Pierce musiał przyznać, że szkolny kolega dalece dorósł. Nie przypominał w niczym brata, George'a, obecnego wicehrabiego Rathmoora, o posturze byka i surowym obliczu, skądinąd dość przystojnego, by zdobyć bardzo zamożną żonę. Ostatni raz, kiedy Pierce widział Rathmoora, wicehrabia przypominał mastiffa, był przysadzisty i miał wielką głowę.

Mantona natomiast można było porównać do labradora – był smuklejszy i drobniejszy, z bystrym spojrzeniem. Jego czarne włosy były niemodnie krótkie, a policzek znaczyła lekka blizna, nadając mu nieco zawadiacki wygląd.

– Milordzie – odezwał się Manton, gdy sir Jackson przedstawił ich sobie.

Pierce'owi tak oficjalny zwrot wydał się nieco ironiczny, zważywszy, że obaj należeli do arystokracji.

– Może pan nie pamiętać, lecz chodziłem do szkoły z panem i pańskim bratem.

Zaciśnięte usta Mantona na wzmiankę o Rathmoorze wiele powiedziały Pierce'owi. Bracia wyraźnie nie żyli w zgodzie.

Co dla niego było korzystne. Każdy, kto nie cierpiał Rathmoore'a, był jego przyjacielem.

– Pamiętam. Miał pan astmę.

– Tak, przez pewien czas.

– Proszę mi wybaczyć – przerwał sir Jackson – ale muszę być obecny na zebraniu w ratuszu. Mimo to zachęcam panów do dokończenia rozmowy w tym gabinecie, jeśli panowie sobie życzą. – Westchnął.

– Jedyna rzecz, której nie znoszę w mojej nowej pracy, to te przeklęte zebrania.

Pierce się roześmiał.

– Nie są zapewne tak podniecające, jak pogoń za nikczemnymi zbrodniarzami.

– Nie są podniecające nawet bardziej od spożywania kolacji – przyznał kwaśno sir Jackson, po czym znikł za drzwiami.

Pierce usiadł z powrotem w fotelu przed biurkiem, a Manton zajął miejsce obok.

– Jak mogę panu pomóc, sir? – spytał.

Pierce'owi udało się wyłożyć sprawę łatwiej, niż się spodziewał. Z sir Jacksonem zapewne poszłoby mu trudniej, ponieważ człowiek ów pośrednio był spowinowacony z krewnymi Pierce'a.

Manton zaś, ze swoją rzeczowością i szczegółowymi pytaniami, okazał się wdzięcznym rozmówcą.

Kiedy zakończył wypytywanie o wszystko, co mogłoby mu pomóc, podsumował:

– A zatem chciałby pan, bym dowiedział się jak najwięcej o panu Gilchriście i pozostałej rodzinie pańskiej matki, a zwłaszcza o jej relacjach z nimi wszystkimi. Czy tak?

– Tak. Pokryję wszelkie koszty, jakie pan poniesie, w zamian za jak najszybsze działanie. Dobrze byłoby zakończyć to jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

– To bardzo mało czasu. Dziś mamy czwartek, a Boże Narodzenie jest w poniedziałek – zauważył Manton.

– Zdaję sobie sprawę. – Nie mógł znieść myśli o powrocie do Montcliff bez poznania prawdy. A tym bardziej o spędzeniu świąt w Waverly Farm. Czuł, że to ważne, by poznać ją jak najszybciej. – Proszę dać z siebie wszystko. Krewni matki mieszkają w Londynie, co powinno pomóc.

– Tak. Mała Brytania, choć ma dość podłą społeczność, nie jest taka wielka. Znam poza tym właściciela tawerny przy ulicy Aldersgate, blisko miejsca, w którym mieszkała pańska matka.

Pierce zdał sobie sprawę z tego, że człowiek ów nie sporządzał żadnych notatek w czasie wywiadu.

– Wszystko pan zapamiętał bez notowania?

– Nigdy niczego nie zapisuję, zapamiętuję, co usłyszę, słowo po słowie – potwierdził Manton.

– To prawdziwy talent.

– Przydaje się. Choć czasami bywa uprzykrzony. Te dane kłębią mi się w głowie do tego stopnia, że nie mogę zasnąć.

– Wyobrażam sobie.

Manton wstał.

– Cóż, skoro to wszystko, wkrótce dam panu znać.

Pierce także wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję. Wiem, że to nie jest najciekawsza sprawa, ale…

– Właściwie – Manton ścisnął dłoń Pierce'a – będzie to miła odmiana. Większość czasu spędzam, poszukując danych dobrze zapowiadających się kandydatów na rozmaite stanowiska, potwierdzając ich byłe miejsca zatrudnienia, akty urodzenia i tym podobne. To mało interesujące zajęcie.

Pierce wbił w niego wzrok.

– A czy prowadził pan śledztwo w sprawie rodziców podrzutków lub w innych sprawach tej natury?

– Nie, ale mógłbym, gdybym miał dość informacji na początek.

– W takim razie chyba mam dla pana drugą sprawę. Widzi pan, dama do towarzystwa mojej matki…

Zapoznając Mantona ze szczegółami pochodzenia Camilli, powtarzał sobie, że czyni to tylko dla niej. Chciał jej pomóc, zdobyć dla niej trochę wiadomości o rodzinie, którą utraciła.

Nie miało to nic wspólnego z jego ciekawością dotyczącą jej przeszłości. Nic wspólnego z chęcią przygotowania się na wszelkie niespodzianki, które mogłyby na niego czekać, gdyby ją poślubił.

Poślubił ją?

Cóż za niedorzeczna myśl. Nie miał zamiaru poślubiać kogokolwiek. Małżeństwo jest dobre tylko dla tych, którzy zamierzali mieć następców.

To jedyny sposób, by odegrać się na niej za to, co zrobiła. Jeśli się pan nie ożeni i nie będzie miał dzieci, ona nie będzie miała wnuków, które mogłyby się nią zająć na starość.

Jęknął. Camilla miała słuszność. A on już nie chciał dłużej odgrywać się na matce. W każdym razie nie w taki sposób.

Czyżby mimo wszystko chciał się ożenić? Zaryzykować porzucenie ciężko wypracowanej niezależności? To zasadnicze pytanie. A on nie znał na nie jeszcze odpowiedzi.

Jedno jest pewne – Camilla nie zgodzi się na mniej niż małżeństwo. A on zaczął myśleć, że życie bez niej może być nawet gorsze niż życie człowieka stanu wolnego.

Rano po wyjeździe Pierce'a Camilla chodziła jak w gorączce. Jaśnie pani spała do późna po długiej nocy, Jasper także, lecz ona nie mogła. Cały czas odtwarzała w myślach

każde słowo, które powiedziała Pierce'owi. Czy nie powinna bardziej się starać, by go tutaj zatrzymać? Powiedzieć coś innego?

Co powinna mówić? Był zbyt zraniony przeszłością, by trafić do niego przez rozum. Jak do niego dotrzeć?

Teraz we trójkę siedziały w salonie, z Maisie. Było wczesne popołudnie. Jasper pod nadzorem Camilli pozłacał migdały, a Maisie i hrabina wycinały z papieru renifery na choinkę.

Choć ani Camilla, ani hrabina nie czuły się w nastroju do przygotowywania świąt, musiały to robić. Jasper wyczekiwał ich jak niczego innego w świecie, a one potrzebowały czymś zająć umysły i ręce. Inaczej popadłyby w apatię, z której żadna by szybko się nie wydostała.

W drzwiach pojawił się lokaj.

– Pani Stuart, przybył do pani pan Whitley. Pytał o jego hrabiowską mość, a kiedy powiedziałem, że pan pojechał do Londynu, stwierdził, że chciałby pomówić z panią.

– Kim jest pan Whitley? – spytała hrabina.

– Nie wiem, chociaż nazwisko brzmi jakoś znajomo. – Camilla zmarszczyła brwi w zamyśleniu. – Zaraz, czy nie tak nazywał się handlarz koni z jarmarku? Czego ode mnie chce?

– Nie wiem – przyznała lady Devonmont. – Ale powinnyśmy się tego dowiedzieć. Przyślij go tu.

Lokaj się zmieszał.

– Prosił, żebym ściągnął panią Stuart do ogrodu, milady.

– Robi się coraz ciekawiej – rzekła jaśnie pani. – Chodźmy, Camillo, i dowiedzmy się, o co chodzi.

– Ja też chcę iść! – zawołał Jasper, zawsze chętny pobiegać po dworze.

Wszyscy czworo poszli więc za lokajem do ogrodu, gdzie stał, czekając na nich, pan Whitley odziany w elegancki surdut.

Miał ze sobą kucyka szetlandzkiego.

– Czekoladek! – Jasper puścił się biegiem do konia.

– Dzień dobry pani – przywitał się z uśmiechem pan Whitley. – Przyprowadziłem kucyka, wedle rozkazu pana hrabiego.

Camilla zbladła.

– To z pewnością omyłka.

– Ależ nie. Hrabia powiedział, że to prezent świąteczny dla chłopca. Kazał mi zgłosić się dziś do pana Fowlera po zapłatę i to zrobiłem. Już zapłacony.

– Och, ale…

– Po prostu go przyjmij – nakazała cicho lady Devonmont. – Jeśli ci to nie w smak, ja pokryję koszt. –

Ścisnęła ramę Camilli. – Warto zapłacić za widok tak szczęśliwego dziecka.

Jasper głaskał Czekoladka i mówił do niego bez przerwy. Kucyk znosił to spokojnie, co Camilla uznała za niezmierzone pokłady cierpliwości.

– Przyprowadzę stajennego – rzekł lokaj i odszedł.

– Cóż, zatem niech się dobrze sprawuje. – Whitley ukłonił się hrabinie, po czym odszedł.

– Nie miałam pojęcia – odezwała się Camilla. – Wydaje się niestosowne przyjmowanie tak ekstrawaganckich prezentów, zwłaszcza teraz, zważywszy na to, co zaszło między mną a Pierce'em.

Hrabina poleciła Maisie uważać na Jaspera, a potem odpowiedziała cicho Camilli:

– Sądzę, że mój syn żywi do ciebie głębsze uczucia, niż chce się do tego przyznać.

– Dlatego że kupił Jasperowi kucyka? – spytała sceptycznie. – To część jego starań, by uczynić ze mnie swoją metresę.

– Nie sądzę. Miewał kochanki, ale nie związał się z taką, która by miała dziecko. Te kobiety to były zimne, wystrojone w błyskotki lalki, które przechodziły z rąk jednego protektora w ręce drugiego. W żadnym razie niepodobne do ciebie.

– To nic nie znaczy. Po prostu byłam pod ręką.

Hrabina pokręciła głową.

– Widziałam, jak na ciebie patrzył wczoraj w nocy. Nie tak patrzy mężczyzna na zdobycz. – Wzięła głęboki oddech. – Myślę, że powinnaś pojechać do Londynu i z nim porozmawiać.

Popatrzyła hrabinie prosto w twarz.

– Nie mam tematu. Przynajmniej dopóki nie pojedzie pani ze mną i nie powie mu tego, co chce wiedzieć. Nim nie zostawi przeszłości za sobą, nie ruszy do przodu. A nigdy tego nie zrobi, jeśli pani nie załatwi tej sprawy.

Jaśnie pani milczała.

– A jeśli to, co powiem, nie załagodzi sprawy? – spytała wreszcie. – Co będzie, jeśli wręcz pogorszy?

– Czy może być gorzej niż teraz?

– Może nadal tutaj wrócić – powiedziała hrabina, przygryzając dolną wargę. – Może przejdzie mu złość, przynajmniej na ciebie.

Potrząsnęła głową.

– Nie sądzę. Myślę, że miał już dość.

Wzięła hrabinę pod rękę.

– A może powie pani mnie, a ja ocenię, jak on może to przyjąć.

Lady Devonmont stężała.

– Zaczniesz mną gardzić.

– Wyznał mi, co pani powiedziała mu tamtego dnia w gabinecie, a ciągle tu jeszcze siedzę, prawda? –

zapytała łagodnie. – Jestem skłonna rozstrzygnąć wątpliwości na pani korzyść. W przeciwieństwie do niego ja patrzę poza przeszłość i widzę, jak bardzo pani go kocha.

Z oczu hrabiny popłynęły łzy.

– Dobrze. Powiem ci, co się wydarzyło.

Rozdział XXIV

Pierce przez następnych parę dni czekał na wieści od Mantona, lecz nie przyszły. Nazajutrz wieczorem po spotkaniu poszedł do klubu, gdzie wpadł na ludzi, którzy nieświadomie przypomnieli mu, jakim był cymbałem przez ostatnich kilka lat.

Wszyscy słyszeli o jego zerwaniu z Eugenią, byli zatem ciekawi, kim będzie jego następna kochanka. Czy zastanawiał się nad śpiewaczką opery francuskiej, Minette, z dorodnym biustem? Czy może nad Nelly Banks, która swoje niskie pochodzenie równoważyła tylko nieprawdopodobnymi umiejętnościami w łożu?

W pierwszej chwili ich sprośne uwagi rozgniewały go, zwłaszcza w świetle faktu, że zamierzał sprowadzić do Londynu Camillę jako swoją kochankę. Nic dziwnego, że odmówiła. Nawet nie obracając się w jego kręgach, wiedziała, co by to dla niej oznaczało, a w konsekwencji – dla Jaspera. Była zbyt uczciwa, by skalać chłopca takim brudem.

Zaczął się wstydzić, że o tym pomyślał.

Po spędzeniu następnego dnia z sekretarzem i załatwieniu korespondencji z poprzedniego tygodnia Pierce poszedł na popołudniowe przedstawienie w operze, sercem wszakże był gdzie indziej. Cały czas porównywał głosy śpiewaczek do głosu Camilli i ogarniało go coraz większe pragnienie.

Co gorsza, w foyer teatru natknął się na Eugenię. Znalazła już nowego protektora, z którym dumnie paradowała na oczach Pierce'a, usiłując wywołać jego zazdrość.

Nie poczuł niczego, nawet kiedy oboje przystanęli przy nim, by porozmawiać. Trudno mu było uwierzyć, że był w niej rozkochany. Zdawała się chłodna jak lód, a jej wyrafinowany wdzięk był niczym powierzchnia mebla malowana tyle razy, że nie sposób dostrzec przez nią drewno.

Przyglądanie się, jak próbuje wywrzeć na nim wrażenie, przywiodło Pierce'owi jedynie na myśl, że po jego wyjeździe Camilla jest wolna i może zacząć z każdym cholernym kawalerem w Montcliff, który się do niej zaleca, zwłaszcza że nie musi już utrzymywać istnienia Jaspera w tajemnicy. Może znaleźć godnego szacunku małżonka, farmera albo właściciela sklepu, a nawet przystojnego doktora ze Stocking Pelham.

Ta myśl dopiero obudziła w nim zazdrość. Wizja całej hordy prowincjonalnych doktorów dobijających się do drzwi Camilli tak go rozgniewała, że po zakończeniu spektaklu postanowił wrócić do domu na piechotę, nie powozem, mając nadzieję, że chłodne powietrze i szybki marsz odprężą go.

Tymczasem tylko bardziej przygasiły mu ducha. Był to wieczór przed Wigilią, więc miasto przybrało świąteczny wygląd. Na wystawach piekarni leżały stosy wyłożonych świątecznych wypieków, a tam gdzie skupiali się młodzi ludzie, wisiało mnóstwo jemioły. Po ulicach jeździło pełno fur naładowanych zielonymi drzewkami bożonarodzeniowymi. Widocznie zwyczaj, któremu przez tyle lat hołdowała matka, się przyjął.

Czy matka i Camilla ubierają choinkę? Przystrajają kominek zielonymi girlandami i przyczepiają je też do poręczy? Jasper musi wychodzić z siebie z podniecenia przed świętami.

Pierce'owi brakowało chłopca. Nie, brakowało mu wszystkich, każdej osoby – matki,

Maisie i Fowlera. Tęsknił nawet za kucharką i jej treściwymi potrawami z wołowiny i cebuli.

Najbardziej jednak brakowało mu Camilli. Tęsknota, o której myślał, że ucichnie z czasem, z każdym dniem się nasilała.

Był tak pogrążony w myślach, że nie usłyszał, jak ktoś pozdrawia go z ulicy póty, póki faeton prawie na niego nie najechał. To był mąż jego kuzynki Virginii, lord Gabriel Sharpe. Tylko Sharpe mógł powozić otwartym faetonem w środku nieprzyjaznej zimy.

– Co, u diabła, tutaj robisz? – spytał Pierce, kiedy Sharpe podał mu rękę z faetonu.

– Szukam cię. – Sharpe zawrócił faetonem i skierował się do domu Pierce'a. – Czekałem na ciebie w twoim niczego sobie domostwie, ale kiedy powóz wrócił pusty, poddałem się i zabrałem stamtąd. A tymczasem, proszę, jakie szczęście – zobaczyłem cię na ulicy. – Sharpe popatrzył na niego z ukosa. – I bardzo dobrze się stało. Jesteś tak rozkojarzony, że aż dziw, że cię nikt nie przejechał.

– Jeśli mi to groziło, to tylko od ciebie – burknął Pierce. – A czemu zawdzięczam, że na mnie czekałeś?

– Wysłała mnie do ciebie żona, a któżby inny? Znasz Virginię. Kiedy nie dostała od ciebie wiadomości, kiedy przyjedziesz do Waverly Farm na święta, zaczęła się martwić. Pomyślała, że skoro przeprowadziliśmy się do posiadłości pod miastem, a wuj Isaac ożenił się z moją babką… no cóż, że mogłeś pomyśleć, że nie jesteś już tam mile widziany.

Zadźwięczały mu w myśli słowa Camilli. *A kiedy cię oddała, upewniła się, że jesteś w bezpiecznym miejscu, wygodnym, u dobrych ludzi, którzy się o ciebie zatroszczą*.

Poczuł ucisk w gardle.

– Twoja żona zanadto się przejmuje – stwierdził.

– Powtarzam jej to co tydzień. Nie zwraca na to uwagi, zwłaszcza gdy chodzi o ciebie.

Kpiarski ton, z którym zostało to powiedziane, sprawił, że Pierce prawie się uśmiechnął.

– Nie mów, że ciągle się gniewasz o to, że udawałem konkurenta do jej ręki.

– Jasne, że nie. Wiem, że zrobiłeś to, by upewnić się co do moich zamiarów. – Uśmiechnął się. – Poza tym przekonała mnie, że dobrze wie, jakim jesteś głupcem, więc nie miałem się o co martwić.

Choć Sharpe próbował go tylko rozdrażnić, ta uwaga go otrzeźwiła. On naprawdę był głupcem, i to przez wiele lat. Spędzał wieczory otumaniony pijaństwem i oddawał się hazardowi bez opamiętania, bo wiedział, że wiodąc takie życie, trafi do gazet. Uwodził aktoreczki i igrał z uczuciami młodych dam, tak by plotkowano o nim, a w rezultacie zostawiał za sobą szlak zgliszcz.

I po co? Żeby uderzyć w rodziców? Nie dopiął swego, a przeszłość stała się przez to jeszcze mroczniejsza. Mógł spędzać czas pożytecznie, lecz tak zaślepiała go nienawiść, że nie widział lasu spoza drzew.

Teraz wreszcie zobaczył go aż za dobrze.

– Przyjedziesz na święta, prawda? – spytał Sharpe i zatrzymał faeton przed londyńskim domem Pierce'a.

Ulicę wzięli we władanie kolędnicy, chodząc od domu do domu z piosenką *Nadchodzą kolędnicy*. Sąsiedzi krzątali się gorączkowo, dekorując zielenią wejścia do domów, a zimowy wiatr przyniósł mu mocny zapach jedliny.

– Nie – usłyszał swoje słowa. – Jadę do domu.

Do domu?

Tak, do domu. Wygnano go z domu na tak długo, że dorastał w przeświadczeniu, że jest to coś dla niego niedostępnego. Już tak nie było.

Sharpe popatrzył na niego z otwartymi ustami.

– Nie myślisz chyba o Montcliff?

– Myślę. Spędzę święta z matką i jej damą do towarzystwa. – *Kobietą, którą chcę poślubić.*

Zasługiwała na więcej niż na los jego utrzymanki. Nie mógł jej wciągnąć w takie położenie, teraz to widział. A małżeństwo nie oznaczało wcale zrobienia z siebie głupca, jak uczynił to Sharpe, i pozbawienia się władzy nad swoim życiem. Nadal mógł chronić swoje serce.

Ona się na to nie zgodzi.

Będzie musiała. To wszystko, co miał do zaoferowania.

Sharpe dziwnie na niego patrzył.

– Myślałem, że ty i matka… że… hm… nie żyjecie ze sobą dobrze.

– Nie żyliśmy. Teraz skądinąd… no cóż… to trudno wyjaśnić.

– Wierz mi, rozumiem, co to znaczy. W mojej rodzinie roi się od spraw, które trudno wyjaśnić, jak zresztą doskonale wiesz.

Popatrzył do przodu, gdzie konie niecierpliwie rwały się do odjazdu, i się zamyślił.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro rano, o świcie.

Sharpe pojaśniał.

– W takim razie będziesz miał czas zatrzymać się u nas, na wsi. To po drodze, a my jedziemy do Waverly Farm dopiero późnym popołudniem. – Kiedy Pierce wciągnął powietrze, by zaprotestować, Sharpe powiedział: – Virginia mi nie wybaczy, jeśli nie wpadniesz choć na chwilę. Nie widziałeś jeszcze nowego domu. A jeśli o to chodzi, nie widziałeś nawet dziecka.

Pierce zagryzł wargi. Zupełnie zapomniał, że Virginia niedawno urodziła ich pierwsze dziecko – dziewczynkę, którą ochrzciła Isabel.

– Dobrze. Zajadę po drodze do Hertfordshire.

Następnego ranka, w wigilię Bożego Narodzenia, Pierce obudził się wcześnie i polecił służbie spakować bagaże. Sama perspektywa podróży do Montcliff podniosła go na duchu, z czego wywnioskował, że czyni słusznie.

Ledwie narzucił palto, przybył Manton. Miał, jak powiedział, dla Pierce'a informacje, które nie mogły zaczekać przez święta.

Krew zaszumiała Pierce'owi w uszach. Zaprowadził śledczego do gabinetu i przyszykował się na wszystko.

– Po pierwsze – zaczął Manton po wymianie zwyczajowych uprzejmości. – Wyśledziłem kilkoro krewnych pańskiej matki, łącznie ze stryjecznym bratem, Edgarem Gilchristem.

Pierce zamrugał.

– Rozmawiał pan z nim?

– Ubolewam, ale nie. Umarł kilka lat temu. Udało mi się za to porozmawiać z wdową po nim.

– Był żonaty?

– Tak. – Manton uniósł się nerwowo w fotelu. – Powiedziała jednak, że ożenił się dopiero wtedy, gdy porzucił wszelką nadzieję na związek z pańską matką.

Pierce wstrzymał oddech. Camilla miała słuszność – matka była związana z Gilchristem.

– Żona wiedziała o nim i matce?

– O, tak. Opowiedziała mi sporo. Wszystko o tym, jak matka pana niczym syrena złamała mu serce i zniszczyła tak, że nie nadawał się już dla żadnej innej kobiety. Według niej zalecał się do matki w tajemnicy, za plecami pańskiego dziadka. Zaczęło się to, kiedy ona miała szesnaście, a on dwadzieścia lat.

– Szesnaście! – To go piętnowało. Poślubiła ojca, kiedy miała osiemnaście. – Jak długo Gilchrist się do niej zalecał?

– Aż do czasu, kiedy próbowali razem uciec, wkrótce po tym, jak skończyła osiemnaście lat.

Dobry Boże, to poważne zaloty.

– Próbowali? Jak, dokładnie?

– Cóż, z tego, co mogłem ustalić ze słów wdowy po Gilchriście, która przez te lata go ubóstwiała, pańska matka i jej kuzyn uciekli do Gretna Green[6] i przekroczyli nawet granicę, lecz wtedy złapał ich jej ojciec i zmusił do powrotu. Jeszcze jedna z krewnych pana matki to potwierdza. Rodzinie udało się sprawę wyciszyć i niespodziewanie okazało się dlaczego: bo wtedy pańskiej matce oświadczył się hrabia.

– Ach tak – mruknął Pierce. – Do tej pory hrabia już musiał uzgodnić opłacenie dziadka długów w zamian za rękę matki.

– To by wyjaśniało, dlaczego go poślubiła.

Nie, pomyślał Pierce ze ściśniętym żołądkiem. To dziecko w jej brzuchu wyjaśniało, czemu go poślubiła.

Do Gretna Green wiodła długa droga. Dość czasu, by skonsumować małżeństwo, nim do niego doszło. Mogła zanadto się wstydzić, by wyznać ojcu, że straciła cnotę. A może nawet się przyznała, ale dziadek Gilchrist się tym nie przejął. Tak czy inaczej, w odwodzie już czekał hrabia.

Czy tak?

– Czy matka znała hrabiego, nim zdecydowała się na ucieczkę?

– Tak. Prawdopodobnie powodem, dla którego para postanowiła zbiec i wziąć szkocki ślub, było właśnie to, że matka spodobała się hrabiemu. Ponieważ dziadek nie zgadzał się na małżeństwo, para wiedziała, że ucieczka jest jedynym sposobem, by się pobrać.

– A czy ojciec – poprawił się – czy hrabia wiedział o związku matki z Gilchristem?

– Tego nie mogłem odkryć. Wiem tylko, że poznał pańską matkę na wielkim balu debiutantek. Według żony Gilchrista, która już wtedy była przyjaciółką rodziny, hrabia był pańską matką oczarowany i od tej pory niemiłosiernie się za nią uganiał. Kiedy uciekła, powiedziano mu, że udała się z wizytą do krewnych, i z tego, co żona Gilchrista wiedziała, uwierzył w to.

– A tymczasem Gilchrist pojawił się później i zagroził, że powie ojcu, iż urodziła mu bękarta – stwierdził w zadumie Pierce.

– Bękarta? – żachnął się Manton. – Jeśli o to się pan martwi, milordzie, może pan być spokojny. Hrabia zaręczony był z pana matką pół roku przed ślubem – tyle czasu zajęło przygotowanie wielkiego wesela, na które nalegał pana dziadek. Jest pan prawie na pewno synem hrabiego, chyba że Gilchrist znalazł sposób, żeby pod okiem ojca zobaczyć się z nią wtedy potajemnie, w co szczerze wątpię, zważywszy na incydent z ucieczką.

Tak też twierdziła matka. Myślał, że skłamała, lecz może jednak nie.

W każdym razie, jeśli matka dzieliła z Gilchristem łoże w czasie ich ucieczki, a ojciec w noc poślubną odkrył, że nie była dziewicą, mógł podejrzewać ją później o niewierność. Ojciec musiał wierzyć, że Pierce nie jest jego synem, pomimo wszelkich dowodów, że

było przeciwnie. To jedyne wytłumaczenie na uczucie nienawiści do swojego jedynego dziedzica.

Lecz nadal nie wyjaśniało, dlaczego ojciec wyrzekł się go dopiero wtedy, kiedy skończył osiem lat. Czy Gilchrist próbował szantażować matkę, grożąc jej, że powie ojcu, iż to on odebrał jej cnotę? Biorąc pod uwagę skłonność rodziny Gilchrista do hazardu, może potrzebował pieniędzy i myślał, że tą drogą je zdobędzie.

A skoro matka przeciwstawiła się szantażowi, mógł pójść z tym do ojca i grozić skandalem, jeśli mu ojciec nie zapłaci.

Tylko co takiego miał ojciec przeciwko matce, że zmusił ją do kompletnego odcięcia się od syna? Wiedza o jakiejś ucieczce w przeszłości nie mogła już mieć wpływu na ich małżeństwo.

Chyba że…

Przeniknął go nagły chłód.

– Jest pan absolutnie pewny, że matka i Gilchrist nie dotarli wtedy do kościoła ani żadnego księdza w Gretna Green?

Manton utkwił w nim spojrzenie zmrużonych oczu.

– Jego małżonka twierdzi, że nie.

– A cóż innego może powiedzieć? Jeśli Gilchrist poślubił matkę, nawet drogą wątpliwego szkockiego ślubu, i by się to wydało, jego ślub z inną kobietą stałby się nieważny. Zostałaby z niczym.

Ich spojrzenia skrzyżowały się, byli równie przerażeni.

– A małżeństwo pana matki z ojcem również okazałoby się nieważne.

– Właśnie. Tyle że nie tylko matka zostałaby z niczym.

Kiedy dotarło do niego, o co naprawdę chodziło, serce podeszło mu do gardła. Wreszcie wiedział już, co ojciec trzymał nad głową matki. A nawet co Gilchrist powiedział tamtego dnia w Montcliff.

Pierce wstał, rozmyślając gorączkowo. Jeśli jego teoria była prawdziwa, zmieniało to wszystko. Musiał zobaczyć się z matką. A jeszcze w kilku miejscach musiał zatrzymać się po drodze, no i obiecał Sharpe'owi…

Tej obietnicy musiał dotrzymać. Rodzina Waverlych była jego rodziną i dopiero zaczynał pojmować, jak ważną rolę odegrała w ocaleniu go przed gniewem ojca.

– Wybaczy mi pan, Manton, ale muszę ruszać.

Manton wstał.

– Oczywiście, milordzie.

– Zatrzyma pan to dla siebie, jak przypuszczam. – Nagle boleśnie ścisnęły mu się wnętrzności, gdy przypomniał sobie, jak nienawidził go brat Mantona. Co będzie, jeśli…

– Nie ma się pan powodu mnie obawiać – zapewnił żarliwie. – Zachowuję całkowitą dyskrecję w sprawach moich klientów. Sir Jackson nigdy by mnie panu nie polecił, gdyby mi nie ufał.

– To prawda – zgodził się Pierce, niezupełnie uspokojony.

– Poza tym wiem lepiej, niż pan sądzi, jak bardzo sprawy rodzinne mogą niszczyć życie potomstwa. –

Manton zdawał się coś rozważać, po czym dodał cicho: – Mój ojciec miał drugą rodzinę. Kochankę, a z nią dwoje dzieci – mojego przyrodniego brata i siostrę. To z ich powodu odseparowałem się od brata. Ojciec zabezpieczył ich przyszłość, lecz George odmówił honorowania umowy. Wprowadziło to w nasze życie straszną niezgodę.

Pierce natychmiast domyślił się, dlaczego Manton wyznał mu sekret rodzinny.

Wyraźnie wiedział, że najlepszym sposobem przekonania kogoś, że jego sekret będzie bezpieczny, było wyznanie swojego.

Czując ulgę z tego powodu, Pierce odwrócił się do drzwi.

– Nie życzy sobie pan poznać wyniku drugiego dochodzenia, które mi pan powierzył?

– Drugiego dochodzenia?

– Dotyczącego pani Stuart.

– Ach, prawda. – Zupełnie o tym zapomniał. Czuł się tak, jakby od chwili, gdy poprosił Mantona o przyjrzenie się jej przeszłości, minęły długie lata. Teraz wydawało się to raczej podłe i niskie.

– Nie mam wiele do powiedzenia – ciągnął Manton. – Wczoraj rozmawiałem z parą, która prowadzi dom dla sierot św. Józefa. Wyraźnie się wykręcali. Przyznali, że pracowała u nich i są tam jej akta, ale powiedzieli, że muszą sprawdzić, jak się u nich znalazła. Obiecali, że odezwą się dziś przed południem, by powiedzieć, czy wolno im w ogóle cokolwiek mówić. Pomyślałem, że zechce pan pójść ze mną na spotkanie.

Po to, by się dowiedzieć, czy Camilla jest córką księżniczki, czy prostytutki? Ta wiedza nie była mu do niczego potrzebna, ponieważ wiedział już, że chce z nią spędzić swoje życie.

Nie miało dla niego znaczenia, kim byli jej rodzice. Nieważne już, jak znalazła się w sierocińcu. Pierce wiedział, jaką jest osobą. Należała do kobiet, które ujmują się za tymi, którzy nie mogą albo nie potrafią ująć się sami za sobą. Była kobietą, która zachwyca się zwykłym deserem, która w jednej chwili przekomarza się z hrabią na temat nieprzyzwoitych książek, a w drugiej bierze w obronę jego matkę.

Była kobietą, która nadal wierzyła w miłość. I która była na tyle niemądra, by zakochać się właśnie w nim.

Jedyna rzecz, jaką mógł dla niej zrobić, to zgodzić się, by przeszłość zachowała dla siebie. Nie prosiła go, by się dowiedział, kim byli jej rodzice, a mogła przecież sama to ustalić podczas pracy w sierocińcu, gdyby chciała. Zatem znacznie przekroczył granice, chcąc poznać jej pochodzenie. Bo z pewnością nie robił tego dla niej. Zrobił to dla siebie, żeby czuć się bezpieczniej, decydując się na ślub z nią.

Dość już tego. Jeżeli z jej niejasnej przeszłości wychyną jakieś kłopoty, wspólnie stawią im czoło. Jeżeli ona da mu szansę.

Kiedy się z nią zobaczy, powie jej, że jeśli ona zechce, Manton zajmie się tą sprawą. To jednak będzie jej decyzja, bo nie była to jego sprawa.

– Nie – odpowiedział wreszcie. – Nie ma potrzeby, bym był na spotkaniu. Jak również pan. Zapłacę za to, czego się pan dowiedział do tej pory, niemniej póki nie dostanę jasnych wskazówek od pani Stuart, zostawimy przeszłość tam, gdzie jej miejsce.

– Jak sobie pan życzy, sir – powiedział Manton z wyraźną nutą aprobaty w głosie.

Obaj zgadzali się co do tego, że istnieją puszki Pandory, których nie należy otwierać.

– Co o tym sądzisz? – spytała lady Devonmont, wyciągając kruchą figurkę. – Czy nie jest zbyt ekstrawagancka na choinkę?

Było wczesne wigilijne popołudnie. Camilla przyjrzała się szklanemu aniołkowi i przypomniały jej się słowa Pierce'a o aniołkach i diabełkach. Gdyby nie wejrzała poza te proste puste słowa do przepełnionego bólem serca, zapewne siedziałaby tu dziś bez krwawiącej rany we własnym.

– Camillo?

– Tak? Nie, nie są ekstrawaganckie. – Wpatrzyła się w hrabinę. – Powinnyśmy

pojechać do Londynu. Nie powinien być sam w te święta.

Hrabina westchnęła.

– Nie ma go w Londynie, moja droga. Na pewno też nie jest sam. Pojechał do Waverly Farm. Tak jest lepiej. Skłonna jestem podjąć ryzyko i powiedzieć mu wszystko, ale… Nie zdołam tego uczynić wśród tego szaleństwa u Waverlych. Jest ich już więcej, a jestem pewna, iż sądzą, że ja…

Uśmiechnęła się sztucznie i wróciła do pudełek z bombkami. – Nieważne. Wolę porozmawiać z nim sam na sam. – Obrzuciła Camillę przeciągłym spojrzeniem. – A ty przecież mówiłaś, że nie chcesz, by pomyślał, że interesuje cię propozycja zostania jego kochanką.

– Wiem. To było słuszne, że postanowiłyśmy nie jechać. To tylko tak…

– Mamo, mamo! – zawołał Jasper, uciekając przed Maisie. Znudziło go ubieranie drzewka i poszedł do Czekoladka nakarmić go śliwkami w cukrze. – Ktoś tu jedzie!

Serce Camilli drgnęło trzykrotnie i odruchowo wygładziła spódnicę.

– Jego lordowska mość wrócił?

Maisie posłała jej spojrzenie pełne skruchy.

– To nie jego powóz. Chociaż elegancki, nie poznaję go.

– Cóż, w takim razie – rzekła gładko hrabina – zobaczmy, kto to jest.

Poszli całą czwórką do holu, gdzie weszło już dwoje ludzi. Byli to dżentelmen mniej więcej w wieku Pierce'a i kobieta w wieku hrabiny, od góry do dołu w czerni, łącznie z futrzaną mufką. Była to cokolwiek dziwaczna para, odrobinę zaskoczona widokiem czworga mieszkańców domu witających ich, zanim zdążyli się zaanonsować.

Hrabina z uśmiechem wyszła im naprzeciw.

– Dzień dobry, sir. Jestem lady Devonmont. W czym mogę państwu pomóc?

Dżentelmen skłonił się uprzejmie i omiótł wzrokiem Camillę i Maisie.

– Nazywam się Dominick Manton, a ta dama to Edith Perry, wicehrabina Hedon.

Lady Hedon skłoniła się ogólnie wszystkim. Camilla nie wiedziała, czy z powodu wyniosłości, czy nieśmiałości. Pan Manton, przystojny mężczyzna o niezwykłych zielonych oczach, wydawał się bardzo zakłopotany.

Niespokojnie popatrzył na wejście.

– Spodziewałem się zastać tutaj lorda Devonmonta. Powiedziano mi, kiedy rano odwiedziłem jego lordowską mość w londyńskim domu, że wybiera się prosto tutaj.

– Jego lordowska mość przyjeżdża! Jego lordowska mość przyjeżdża! – wołał Jasper.

– Jasperze, mamy gości – skarciła go Camilla. – Powstrzymaj język.

Serce Camilli zaczęło mocno walić, a jaśnie pani rzuciła jej na poły radosne, na poły wystraszone spojrzenie, nim odpowiedziała Mantonowi:

– Jest pan pewien, że…

– Służba to potwierdziła, widziałem też bagaże. Ponadto śpieszył się, mówił, że wyjeżdża. Możliwe wszakże, że pomyliłem się co do celu jego podróży.

– Możliwe – przyznała lady Devonmont. – Czy jakoś mogę państwu pomóc?

Pan Manton spojrzał na lady Hedon, prosząc o wskazówki.

– Nie widzę potrzeby, by czekać na jego lordowską mość – powiedziała, przesuwając wzrokiem od Camilli do Maisie, a potem patrząc ciekawie na Jaspera.

– Doskonale. – Manton uśmiechnął się do wszystkich. – Przypuszczam, że jedna z pań to pani Stuart, czyż nie?

Camilla zamrugała, po czym wystąpiła do przodu.

– To ja, sir.

Wymizerowane policzki lady Hedon pobladły, a pan Manton zaproponował:

– Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności, *madam*?

Camilla spojrzała na hrabinę, która rzekła:

– Może pójdziemy do małego saloniku, moja droga? Każę tam przynieść coś na pokrzepienie.

– Pani jest chlebodawczynią pani Stuart? – spytała lady Hedon, widocznie skonsternowana sposobem zachowania hrabiny.

Camilla nie mogła sobie wyobrazić, jaką sprawę ma do niej dama, poczuła jednak wdzięczność, usłyszawszy:

– Myślę o niej bardziej jak o przyjaciółce niż o służącej.

– To dobrze – stwierdziła lady Hedon ku zdziwieniu Camilli.

Camilla zaprowadziła gości do saloniku, zżerana ciekawością, o co w tym wszystkim chodzi.

Kiedy wszyscy już znaleźli się w środku, pan Manton zamknął drzwi.

– Zanim się usprawiedliwię, pani Stuart – zaczął – chciałbym zapewnić panią, że nie zamierzałem, by tak się stało. Po tym gdy jego lordowska mość polecił mi przyjrzeć się temu… hm… w jaki sposób znalazła się pani w sierocińcu św. Józefa…

– Co zrobił? – zapytała, nie wiedząc, czy ma czuć się urażona, czy wściekła. W dużej mierze zależało to bowiem od tego, jakie miał intencje.

– Och, potem się nad tym zastanowił – pośpieszył z wyjaśnieniem Manton. – Powiedział, bym wstrzymał się ze śledztwem do czasu, aż on porozmawia z panią, lecz tymczasem koła poszły w ruch.

– Jakie koła? – zapytała zagubiona.

– Pan Manton – wtrąciła cicho lady Hedon – próbuje powiedzieć, że kilka miesięcy temu po śmierci męża udałam się do sierocińca św. Józefa, by cię odnaleźć, ale nie wiedzieli, gdzie teraz pracujesz. Kiedy więc pan Manton pojawił się w tym tygodniu w sierocińcu, zadając pytania, umówili się z nim na spotkanie, po czym pośpieszyli do mnie z zapytaniem, czy życzę sobie na nie przyjść. Powiedziałam, że oczywiście, tak. – Zawiesiła głos. – Pan Manton nie pokazał wszelako oblicza na spotkaniu, pojechałam więc do jego biura, ale…

– Pani wybaczy, milady – Camilla przerwała, jeszcze bardziej oszołomiona. – Kim właściwie pani jest i dlaczego pani mnie szukała?

Lady Hedon przełknęła z trudem, po czym podeszła i chwyciła Camillę za rękę.

– Ja, moja droga, jestem twoją matką.

Rozdział XXV

Boże Narodzenie

Od wielu godzin padał śnieg. Topniał natychmiast po zetknięciu z ziemią, lecz znacznie utrudniał podróż. Mimo to Pierce mógł mieć żal za spóźnienie wyłącznie do siebie.

Przystanki w Londynie zabrały mu więcej czasu, niż oczekiwał, a potem zasiedział się u Virginii. Wuj Isaac i jego nowa żona, Hetty, pojawili się tam także i zmuszono go, by próbował wyjaśnić, co się dzieje między nim a matką, co nie szło mu gładko.

Nadal zbyt wiele musiał przemilczeć, nie dało się tego wytłumaczyć bez uzyskania odpowiedzi na resztę pytań. Porozmawiał krótko z wujem, mając nadzieję, że poprzez tę rozmowę rozjaśnią mu się przeszłe sprawy, lecz wuj Isaac powiedział tylko tyle, ile Pierce już wiedział. Kiedy Pierce skończył osiem lat, matka poprosiła Tytusa, by wychował go razem ze swoimi dziećmi, a Tytus się na to zgodził.

Po śmierci Tytusa wuj Isaac został poproszony o podjęcie się tego zadania i to uczynił, mając nadzieję, że Pierce będzie starszym bratem dla Virginii i zmarłego Rogera. Z tego zadania Pierce wywiązał się jak najlepiej.

W rzeczy samej, właśnie dlatego, że Virginia była dla niego niczym starsza siostra, ciężko mu było wcześniej od nich wyjechać. A maleńka Isabel także to utrudniła. Dziecko okazało się niezwykle ujmujące. Trzymał je w ramionach, myśląc, że z Camillą też mogliby mieć taką dziewczynkę. Napawał się radością, że po raz pierwszy myśl o dziecku go nie przerażała.

Nie powinien zabawiać tak długo u kuzynostwa, bowiem teraz musiał podróżować w ciemności. Dojechał do Montcliff o ósmej w bożonarodzeniowy poranek.

Czy siedzieli już przy śniadaniu? Zadawał sobie to pytanie, kiedy powóz się zatrzymał. Zeskoczył, trzymając w rękach pudło. Matka i Camilla miały zwyczaj wcześnie wstawać, nie byłby więc zdziwiony. A ponadto było to Boże Narodzenie, więc Jasper zapewne obudził się razem z kurami.

Wszedł do domu, tupiąc, otrzepał buty ze śniegu. W środku było dziwnie cicho.

– Gdzie są wszyscy? – spytał lokaja, który odebrał od niego palto.

– Jaśnie pani jest w salonie, milordzie. A pani Stuart…

– Dziękuję – rzucił i pośpieszył z pudłem do salonu. Z pewnością wszyscy w nim byli, jeśli to tam postawiono choinkę.

Nie pamiętał, na czym stanęło, ale zazwyczaj matka tam ją umieszczała.

Girlandy z jedliny przystrajały każde możliwe miejsce, lecz po raz pierwszy od lat jej zapach nie nasuwał mu złych wspomnień. Nie teraz, kiedy już znacznie więcej rozumiał.

Wszedł do salonu i się zatrzymał. Matka siedziała przy stole sama: piła herbatę i jadła tost. Choinki nie było widać, lecz jej braku nie odczuł tak boleśnie, jak braku Camilli.

Musiała się ubierać. To, co miał do powiedzenia matce, lepiej powiedzieć w cztery oczy.

– Pierce! – zawołała hrabina i szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Wstała, po czym widocznie przypomniała sobie okoliczności ostatniego rozstania, bo uśmiech zbladł jej

nieco. – My… nie oczekiwaliśmy ciebie.

– Chciałem przyjechać już w Wigilię, lecz zatrzymałem się u Virginii i… – Plótł głupstwa, na litość boską. Zdobył się na spokój, odstawił pudełko i podszedł do matki. Mógł równie dobrze przejść do rzeczy. – Mamo, nie wiem, jak to powiedzieć, ale skoro odmówiłaś mi wyjaśnienia na temat Gilchrista, poleciłem pewnemu człowiekowi przyjrzeć się twojej z nim przyjaźni.

Oczekiwał, że wymiga się od tej rozmowy, jak zwykle. Ona tymczasem popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Rozumiem. I czego się dowiedział?

– Tego, że przed ślubem z ojcem próbowałaś ucieczki z kuzynem.

Przełknęła z trudem, lecz potaknęła ruchem głowy.

– Domyśliłem się, że ojciec miał przeciwko tobie to, że wyszłaś za niego za mąż po ślubie z Gilchristem.

– Nie poślubiłam go! – zawołała. – Nie byłam żoną Edgara. Walter doskonale o tym wiedział. Jego cholerne gończe psy nie znalazły ani strzępka dowodu, że kiedykolwiek byłam żoną Edgara! Aż tak daleko się nie posunęliśmy.

– To dlaczego…

– Bo twój ojciec nigdy nie potrzebował dowodu, by użyć czegokolwiek na swoją korzyść – rzekła z goryczą. Zaczęła przechadzać się po salonie, cała w pąsach. – Wiesz, jaki był Walter. Dla niego była to plama na honorze. Powiedział mi, że jeśli nie wyślę swojego bękarta jak najdalej i nie przestanę się z nim widywać, sfabrykuje każdy dowód, żeby udowodnić wcześniejsze małżeństwo. Przekupi świadków i nie cofnie się przed niczym.

W jej oczach zabłysły łzy. Zatrzymała się, by popatrzeć na Pierce'a.

– A był człowiekiem zdolnym do takich rzeczy, wiesz. Mógł cię wydziedziczyć! Straciłbyś wszystko – tytuł, majątek, dobre pochodzenie!

– Nie zależałoby mi na tym – wykrztusił przez zaciśnięte konwulsyjnie gardło. – Miałbym ciebie. Miałbym przynajmniej jedno z rodziców.

– Teraz tak mówisz, kiedy stoisz tu, w jednym z domów, które odziedziczyłeś, wsparty powagą należnego ci tytułu – wytknęła łamiącym się głosem. – Alebyś mi nie podziękował, gdybym pozwoliła temu zgorzkniałemu, mściwemu człowiekowi wtrącić cię w ubóstwo i hańbę w wieku ośmiu lat.

Zniżyła głos do szeptu. – Jako dziecko z bogactwa popadłam w biedę, mój chłopcze. Wiedziałam, jak to jest. A nie żyłam w hańbie, co stałoby się twoim udziałem. Nie. Nie zamierzałam pozwolić na to, żeby mój syn znosił te rzeczy tylko dlatego, że mąż zazdrośnik ubzdurał sobie, że nie jesteś jego synem. Nie masz pojęcia, jak okrutne potrafi być życie.

Stał porażony jej słowami. Życie stanowczo okazało się dla niej okrutne. Kim był, żeby osądzać sposób, jakiego się chwyciła, by go bronić? Nigdy nie był kobietą, całkowicie zależną od mężczyzn swego życia. Mężczyzn, którzy jego matkę zawiedli wszyscy, jeden po drugim.

Ciągle wszakże były rzeczy, których nie rozumiał.

– A zatem naprawdę jestem synem hrabiego.

Walczyła, by odzyskać równowagę.

– Mówiłam ci to już. Pewnie, że jesteś jego synem. Urodziłeś się dziesięć miesięcy po ślubie.

– Nie było w tym żadnego przekłamania? Jeśli nie było, nie rozumiem, czemu uważał

mnie za bękarta. –
Tu leżało sedno sprawy.

Najwidoczniej dla niej też, bo zbladła i przestała patrzeć mu w oczy.

– Matko? – naciskał.

Zaczęła znów się przechadzać, tym razem załamując ręce.

– Nie możesz tego zostawić, prawda? Musiałeś odgrzebywać przeszłość, zaglądać na dno.

Tym razem nie dał się porwać gniewowi, chociaż wystawiała jego cierpliwość na próbę.

– A czego się spodziewasz? – odparł cicho. – Stałaś wtedy w gabinecie i powiedziałaś mi w twarz…

– Bo chciałeś wszystko zburzyć! – krzyknęła. – Gdybym okazała słabość choćby przez chwilę, gdybym ci pokazała, co czuję, a ty zacząłbyś się tu kręcić, uczyniłby to, czym zagroził. Widziałam to w jego twarzy. Odciąłby nas od wszystkiego. Pieniądze, które odziedziczyłeś po babce? Już po nich. Twoja pozycja w świecie, twoje dziedzictwo, twój tytuł? Już po nich! A wszystko dlatego, że ja…

Przerwała ze szlochem.

Serce mu pękło, gdy zobaczył, jak bardzo jest wyczerpana. Podszedł i przytulił ją.

– Cii, cicho, nie musisz mi nic mówić. – Tulił jej drżące ciało i klął siebie za doprowadzenie jej do takiego stanu.

– Muszę ci to powiedzieć – wyszeptała. – Camilla miała słuszność. – Podniosła ku niemu zalaną łzami twarz. – Gdybym pomyślała, że ukradzione popołudnia z Edgarem będą mnie tyle kosztować…

Wtedy zrozumiał. Mylili się co do niej oboje. Zaryzykowała wszystko. Przeciwstawiła się jego ojcu. Miała romans z kuzynem – swoim kochankiem – i za to zapłaciła. Bardzo słono.

On także.

To dlatego nic mu nie powiedziała, dlatego nie chciała wyznać całej prawdy. Bo czuła się głęboko zawstydzona. I wyraźnie głęboko winna.

Odsunęła głowę i odsunęła się od niego.

– Twój ojciec… był we mnie bardzo zakochany. W wieku lat osiemnastu bardzo mi to pochlebiało, mimo że nadal się kochałam w Edgarze. Mimo że… oddałam się Edgarowi.

Skrucha zaróżowiła jej policzki.

– Kiedy twój ojciec odkrył w noc poślubną, że nie jestem…. – Przełknęła z trudem. – Zrobiłam błąd i wyznałam mu wszystko, przyznając się do ucieczki z Edgarem. Powiedziałam, i głęboko w to wierzyłam, że czasy młodzieńczej lekkomyślności mam za sobą. Że będę dla niego dobrą żoną. Wybaczył mi.

Po chwili mocniejszym głosem dodała:

– A przynajmniej tak myślałam, bo potem od czasu do czasu, gdy byliśmy razem, wyrzucał mi to. We wczesnych latach małżeństwa było to dla niego niczym cierń w ciele. Ale mieliśmy ciebie i próbowałam być szczęśliwa. – Uśmiechnęła się do Pierce'a. – W tamtych latach byłeś dla mnie jedynym światełkiem.

Pierce'owi zabrakło tchu. Wiedział już, co będzie potem, i wiedział, że powinien ją powstrzymać przed wyznaniem. Nie mógł jednak, tak mocno jak on chciał to usłyszeć, ona chciała to z siebie wyrzucić.

– A potem pojechaliśmy na pogrzeb twojego dziadka i był tam Edgar.

– Pamiętam – przyznał. – Wtedy go poznałem. Miałem sześć lat.

– Byliśmy w sobie zakochani tak samo mocno, jak kiedyś, a ja byłam bardzo nieszczęśliwa z twoim ojcem…. – Z trudem oddychała. – Spotykaliśmy się w miasteczku niedaleko. Twój ojciec dużo pił, więc mogłam wyjeżdżać, ilekroć się upił, i… cóż, resztę możesz odgadnąć sam.

– Odkrył to – powiedział Pierce, a krew zaszumiała mu w uszach.

– Tak. Po tym dniu, kiedy był jarmark. – Przybrała niewzruszony wyraz twarzy. – Zrozumiałam, że bardzo ryzykuję, i przestałam widywać się z Edgarem. Ten głupiec zachował się wtedy nieostrożnie. Przyjechał na jarmark w nadziei, że mnie tam zobaczy i przekona do wspólnej ucieczki. Powiedziałam mu, że nie mogę – to by oznaczało, że muszę cię porzucić. – Głos jej się załamał. – Kobieta może porzucić męża, ale jeśli to uczyni, nie może zabrać ze sobą dzieci.

A on się martwił, że małżeństwo pozbawi go władzy nad własnym życiem? Co on sobie w ogóle myślał? Kobieta miała do stracenia w małżeństwie o wiele więcej niż mężczyzna.

– Posprzeczaliśmy się i Edgar wyjechał. Myślałam, że to koniec. – Wpatrzyła się w punkt za nim, jakby zaglądała w przeszłość. – Ktoś nas wtedy widział, ktoś, kto wiedział, kim był Edgar. I ta osoba, kimkolwiek była, powiedziała Walterowi, że widziała mnie z kuzynem na jarmarku.

Przycisnęła dłonie do skroni.

– Wtedy rozpętało się piekło. Twój ojciec posłał ludzi, żeby sprowadzili Edgara do domu, i oświadczył mu, że jeżeli kiedykolwiek zbliży się choć na kilometr do mnie, to go zabije. – Zadygotała. – Wówczas się wściekł, przekonany, mimo moich zaprzeczeń, że przez cały czas widywaliśmy się z Edgarem. Wtedy właśnie wbił sobie do głowy, że nie jesteś jego synem.

– Nigdy nie uznał mnie za godnego jego szlachetnej krwi – zauważył kwaśno Pierce.

– Nie sądzę, by to miało coś wspólnego z tobą, mój drogi. Widział, jak bardzo cię kocham, i wiedział, że jego nie kocham. Nie mógł tego ścierpieć. Dla niego był to wystarczający i oczywisty dowód na to, że jesteś synem Edgara.

Nadało to nagle straszliwego znaczenia wspomnieniom Pierce'a. Wszystkie chwile, które pamiętał, a które spędził z ojcem, były takie, że wspólnie z matką przeciwstawiali się mu. Podejrzenie stało się dla ojca wiecznie rozognioną raną.

– Zatem gdy rozprawił się z Edgarem, przedstawił mi warunki. Miałam już nie zobaczyć Edgara. Miałam nie ruszać się nigdzie bez męża. I miałam…

Przełknęła łzy.

– Miałam nigdy nie zobaczyć mojego syna bękarta. W zamian Walter pozwolił mi wysłać cię do szkoły i do swoich krewnych. Nie wolno mi było do ciebie pisać, ani też z tobą rozmawiać. Tylko dlatego zezwolił mi spędzić z tobą ostatnie święta Bożego Narodzenia, że szkoła przyjmowała nowych wychowanków dopiero po przerwie zimowej.

Popatrzyła na niego oczami lśniącymi od łez.

– Każdą chwilę tamtych świąt zachowałam w sercu jak najdroższy skarb. Kiedy wyjechałeś, miałam jeszcze nadzieję, że z czasem ojciec zmięknie. Kiedy jednak odkrył, że potajemnie przemycam listy do ciebie, zapowiedział, że jeśli jeszcze raz mnie na tym przyłapie, uczyni to, czym zagroził – ogłosi, że wyszłam wcześniej za mąż, i tym samym przekreśli twoje pochodzenie.

Pierce stał z zaciśniętymi pięściami. Życzył sobie, żeby ojciec ożył, po to tylko, by on, jego syn, mógł zabić go gołymi rękami.

Kiedy łzy zaczęły jej płynąć po twarzy i przetrząsała kieszenie w poszukiwaniu

chusteczki, Pierce podszedł i podał jej swoją.

Przyjęła ją z wdzięcznością.

– Był zdecydowany uczynić ze mnie żonę, jaką zawsze chciał mieć. Wiedział, że nie mogę zrobić nic, by cię przed nim obronić, i to wykorzystał. Myślę, że obawiał się, że gdybym cię do siebie ściągnęła, uciekłabym z Edgarem i już by mnie nie zobaczył.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś? – wychrypiał, czując, że łzy dławią go w gardle.

– Miałabym pozwolić, by odmówiono ci należnego dziedzictwa tylko dlatego, że ów diabeł wcielony ubzdurał sobie, że nie jesteś jego synem? Nigdy w życiu. – Uniosła podbródek i oczy jej zalśniły. – Potrafiłam znieść cholernego diabła, jeśli to znaczyło, że ocalę cię od utraty wszystkiego. I twoje dzieci, i dzieci twoich dzieci.

Dzieci jego dzieci.

Wielki Boże. To dlatego zachowała się wobec niego tak nienawistnie tamtego dnia w gabinecie. Patrzyła dużo dalej w przyszłość, w następne pokolenia, w przyszłość, którą zobowiązała się dla niego ocalić. Zawsze uparta do przesady, nie zamierzała pozwolić, by Pierce „wszystko zniszczył", wdając się w spór z ojcem. Nie po tym, co już wycierpiała, aby to zyskać.

Uspokoiła się.

– Wiesz już teraz. Zostałeś ukarany, bo byłam cudzołożnicą.

Wyraźnie uwierzyła, że ją za to znienawidzi. Jak mógł? To ogromnie niesprawiedliwe, że musiała się wyrzec człowieka, którego kochała, tylko dlatego, że jej ojciec nie miał kontroli nad swoją słabością. Że cierpiała, ponieważ wyznała wszystko mężowi w czasie nocy poślubnej.

Wykradzenie dla siebie odrobiny szczęścia nie powinno prowadzić do czegoś tak strasznego.

– Nie winię cię za to, co zrobiłaś.

– Powinieneś – wykrztusiła. – Gdybym nie zaczęła znów z Edgarem…

– Ojciec zapewne znalazłby sobie inny powód do podejrzeń. Tacy ludzie jak on tak robią. – Przyciągnął ją w ramiona. Oczy mu błyszczały od nieuronionych łez. – Nie winię cię za to, że zapragnęłaś paru chwil szczęścia w tak niefortunnym małżeństwie.

– Nawet jeśli to oznacza, że ty…

– Tak – wykrztusił. – Nawet wtedy. – Przytulił ją, serce miał w gardle. Nadal myślał, że lepiej by było, gdyby rzuciła ojcu jego zasady w przeklętą twarz i uciekła ze swoją prawdziwą miłością, zabierając syna ze sobą.

To był skądinąd męski punkt widzenia. On nie był kobietą. Nie był matką, która zrobi dla dziecka wszystko.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej – wyszeptał w jej włosy.

– Żebyś się dowiedział… że jestem grzeszną cudzołożnicą? Że zaryzykowałam twoją całą przyszłość dla… marnego romansu?

– Z mężczyzną, którego zawsze kochałaś? – odsunął się i popatrzył na nią. – To nie ty wygnałaś mnie stąd, matko. To ojciec. Chyba jestem już na tyle mądry, że umiem złożyć winę na właściwą osobę. Chociaż nie zawsze taki byłem. – Przełknął z trudem i starł jej łzę z policzka. – Przepraszam, że nie czytałem twoich listów. Postąpiłem bardzo źle.

Wyglądała, jakby znów miała się zalać łzami.

– Jesteś tu dzisiaj. Tylko to się liczy. – Odsunęła się i uśmiechnęła z przymusem, wycierając palcami oczy. – I jest Boże Narodzenie! Mam cię na Boże Narodzenie. Nareszcie.

Stłumił łzy.

– Tak, to prawda – zdołał tylko powiedzieć. – I zawsze już będziesz mnie miała. – Zanim znów się rozpłakała, dodał: – Co mi przypomniało, że przywiozłem prezenty. Ten jeden chciałem ci wręczyć bez świadków.

Podszedł do pudła, po czym wyjął z niego jej listy. Odpieczętowane.

– Chciałem, byś wiedziała, że przeczytałem wszystkie, od początku do końca. Żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej.

– Och, Pierce… – To znów stało się powodem jej łez. Odstawił pudełko, przytulił matkę i pocieszał póty, póki nie przestała płakać, cały czas przeklinając się, że nie zaczął naprawiać ich stosunków od śmierci ojca. Za to, że zagniewany, nawet nie zajrzał pod powierzchnię.

Kiedy się opanowała i znów odsunęła od niego, rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest choinka? Myślałem, że będzie tutaj, a mały Jasper zrobi wszystko, by siedzieć przy niej od rana.

– Och, nie. Jest w dziecięcym pokoju – stwierdziła pogodnie. – Jasper prosił, żeby ją tam wstawić, chciał widzieć ozdoby. – Rozpromieniła się. – On i Camilla są tam teraz razem z lady Hedon. Zeszłam, by dać im trochę czasu dla siebie, po tym jak otworzyliśmy prezenty.

– Kim, u licha, jest lady Hedon?

Jej uśmiech znikł.

– Nic nie wiesz? To przecież człowiek od ciebie, Manton, przywiózł ją do nas… No, tak, rzeczywiście, nie miał okazji ci powiedzieć. – Wzięła głęboki oddech. – Lady Hedon jest matką Camilli.

Pierce wlepił w nią wzrok jak rażony piorunem.

– Jej matką?

– Tak. Dzięki tobie Manton ją znalazł. Teraz będzie mi trudno zatrzymać ją przy sobie. Ta kobieta chce ją zabrać do Londynu i przyjąć do rodziny.

Pierce odwrócił się do drzwi.

– Do diabła!

Matka złapała go za ramię.

– Nie psuj jej tego. Wreszcie ma okazję zrobić to, co zechce. Uzyska niezależność. Lady Hedon jest bezdzietną wdową, całkiem majętną, i mówi, że wszystko chce zostawić córce. Camilla będzie mogła żyć jak dama, i to razem z synem.

– Masz na myśli: zamiast żyć w upodleniu i wstydzie jako moja metresa?

Matka poczerwieniała.

– Właśnie. Zasługuje na coś lepszego.

– Wiem – powiedział z naciskiem. Zasługiwała na więcej, niż jej proponował. Zasługiwała na to, co zapewne miała jej do zaoferowania lady Hedon – na wolność. Prawo do życia, jakie sobie wybierze. Powinien jej na to pozwolić.

I pozwoli, jeśli ona naprawdę tego zechce. Prosił Boga w duchu o to, by nie zechciała.

– Ucieszysz się, gdy ci powiem, że zobaczyłem swój błąd. Przyjechałem, żeby zaproponować Camilli małżeństwo.

Myślał, że matka wpadnie w zachwyt, gdy tymczasem zmartwiła się i, zatroskana, zapytała:

– Dlaczego?

Zamrugał.

– Bo chcę się z nią ożenić, rzecz jasna.

– Tak, ale dlaczego chcesz się z nią ożenić? Czy dlatego, że uważasz to za jedyną drogę,

by znalazła się w twoim łóżku…

– Nie! – przerwał, po czym dodał pewniej: – Nie. To nie dlatego.

Zaświtało mu teraz dopiero w głowie, że to naprawdę nie dlatego. Chciał mieć ją w łożu, to było oczywiste, zawsze tego pragnął. Były także jeszcze inne powody. Lubił, kiedy się uśmiechała, gdy żartował, nawet kiedy przeistaczał się w „wyrośniętego chłopca", i kiedy słuchała go z uwagą, która wskazywała, że leży jej na sercu to, co miał do powiedzenia.

Chodziło wszakże o wiele więcej niż jej przyjazna postawa. Po raz pierwszy chciał zrzec się częściowo władzy nad swoim życiem, by być z kimś na zawsze. By być z nią. Ponieważ nie miał nic przeciwko zrzeczeniu się tej władzy dla kobiety, o której wiedział, że może jej zaufać. Że może powierzyć jej swoje życie, swoją duszę i swoje serce.

– Chcę się z nią ożenić, bo ją kocham – powiedział matce.

– Cóż, w takim razie – rzekła z promiennym uśmiechem – to zupełnie co innego, prawda?

Miał taką nadzieję.

Rozdział XXVI

Choinka jarzyła się w kącie dziecinnego pokoju, gdzie ją ustawiono. Z zapalonymi świeczkami i szklanymi, szklanymi bombkami połyskującymi na każdej gałązce przypominała Camilli ozdobioną klejnotami pozytywkę, którą widziała kiedyś w jednym z londyńskich sklepów.

Zerknęła w stronę, gdzie lady Hedon pokazywała Jasperowi, jak zawiązać wymyślną kokardkę. Tego zawsze pragnęła – rodziny. I teraz ją miała. Czegoś jednakże brakowało.

Wicehrabina, jej matka, mimo wszystko zauważyła ten wzrok i się uśmiechnęła.

– Nie mogę uwierzyć, że mam wnuka.

– A ja ciągle nie mogę uwierzyć, że mam matkę – wykrztusiła Camilla.

Oczekiwała, że będzie odczuwać większą więź, instynktowne rozpoznanie osoby, która wydała ją na świat. Lady Hedon tymczasem nadal wydawała się jej obca. Daleko bardziej niż lady Devonmont.

Kiedy Jasper wziął kokardkę i podbiegł pokazać ją Maisie, lady Hedon przyznała cicho:

– Nie chciałam cię oddawać, wiesz.

– Tak, powiedziałaś to wczoraj wieczorem.

Lady Hedon spojrzała na nią smutno.

– Nie wierzysz mi.

– Wprost przeciwnie. Kiedy pracowałam w sierocińcu, napatrzyłam się dość na to, jak ciężko jest kobiecie mieć dziecko poza małżeństwem.

– Byłam taka młoda, miałam tylko szesnaście lat – powiedziała lady Hedon, z zazdrością patrząc na Jaspera. – Moi rodzice nie dali mi wyboru. Albo cię oddam, albo mnie wypędzą. – Jej złączone ręce na kolanach zacisnęły się mocno. – A hodowana w luksusach jako córka hrabiego nie miałam pojęcia, jak zadbać o siebie i swoje dziecko.

– Rozumiem – rzekła Camilla, choć tak naprawdę dopiero zaczęła rozumieć. Po wysłuchaniu okropnej historii lady Devonmont nie czuła się w mocy osądzać decyzji życiowych innych kobiet.

Spalała ją ciekawość dotycząca jednego. Poprzedniego wieczoru, który spędziły, poznając się ze sobą, chciała o to zapytać, lecz była to delikatna materia i skoro lady Hedon sama ją omijała…

– Jeśli nie miałaby mama nic przeciwko temu – wypaliła – chciałabym się dowiedzieć, kim jest mój ojciec.

Lady Hedon spąsowiała.

– Wstyd mi się do tego przyznawać. Kiedy ci powiem, dowiesz się, jaką niewolnicą namiętności się okazałam. – Zawahała się, po czym dodała: – To jeden z lokajów ojca. – Na jej twarzy odmalowało się cierpienie. – Z wielką radością przyjął od papy niezłą sumę, żeby się usunąć.

– Przykro mi – wyszeptała.

– To mnie jest przykro. Chciałabym mieć lepszą wiadomość dla ciebie na ten temat, ale nie wiem nawet, gdzie ów człowiek teraz jest. Nie widziałam go od chwili, kiedy ojciec mu zapłacił, by wyjechał.

Camilla wyciągnęła dłoń, by ścisnąć jej rękę.

– W porządku. Jedno z rodziców to znacznie więcej, niż miałam dwa dni temu.

Chciała cofnąć rękę, lecz lady Hedon przytrzymała ją.

– Nie przestałam o tobie myśleć. Mój zmarły mąż i ja chcieliśmy mieć dzieci, ale nie mogliśmy. Choć myślałam wtedy, żeby cię odszukać, musiałabym się przyznać do tego, z czego nie zdawał sobie sprawy – że nie byłam dziewicą, kiedy się pobraliśmy.

Dzięki Bogu, że się nie przyznała. Jej mąż mógł się okazać równie okrutny, jak mąż lady Devonmont.

– Tak czy inaczej, nie był to… on nie należał do ludzi, którzy by się zgodzili wziąć do siebie mojego… –

westchnęła. – Nie myśl o nim źle. To był bardzo surowy i uczciwy człowiek, naprawdę bardzo dobry. Kochałam go, ale czegoś takiego nie mogłam mu powiedzieć. Nie mogłam narażać swojego małżeństwa.

Camilla rozumiała to nadto dobrze po historii lady Devonmont. Czy było w tym coś dziwnego, że Pierce nie mógł znaleźć własnej drogi do szczęścia, skoro miał taki kiepski wzór do naśladowania?

Pierce. Westchnęła. To jego tutaj brakowało.

Ledwie go sobie wyobraziła, drzwi od dziecięcego pokoju otworzyły się i ktoś boleśnie znajomym głosem powiedział: – Ach, to tutaj jesteś, chłopcze. Już się zastanawiałem, gdzie przepadłeś.

– Lord Devonmont! – Jasper podbiegł do hrabiego. – Popatrz, mamo, kto do nas przyjechał na święta!

– Widzę – zdołała wydusić, starając się, by jej wzrok nie zdradził tego, co poczuło serce. Wszyscy wstali, by się z nim przywitać.

Na jego twarzy widniał cień. Patrzył na Camillę niepewnie. Nie wiedziała, co o tym sądzić, choć stojąca za nim lady Devonmont promieniała radością, co było krzepiące. Rozmawiał z nią już? Czyżby powiedziała mu wszystko?

Pierce podniósł Jaspera, nie spuszczając wzroku z Camilli.

– Wesołych świąt, pani Stuart.

– Wesołych świąt, milordzie. – Nie ośmieliła się powiedzieć nic więcej. Bała się, że z każdym słowem zdradzi swoje uczucia.

– Jak rozumiem, mamy gości – podsunął Pierce.

Jęknęła, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że oszołomiona jego widokiem zaniedbała dokonania niezbędnej prezentacji.

Kiedy to uczyniła, poczuła na sobie wzrok matki. Bez wątpienia zaciekawiło ją, czemu atmosfera między jego lordowską mością a Camillą jest tak napięta.

– Pragnę panu gorąco podziękować, sir – odezwała się lady Hedon i objęła ramieniem Camillę. – Gdyby nie wysłał pan do sierocińca pana Mantona, nie odnalazłabym córki.

– Proszę bardzo – odparł z wymuszoną uprzejmością.

– Dostałem mnóstwo prezentów na święta! – zawołał Jasper, jak zwykle pragnąc się znaleźć w centrum uwagi.

– Naprawdę?

– O tak! Jaśnie pani dała mi pudełko nowiutkich ołowianych żołnierzyków, a oni mają nawet fort! A mama dała mi pończochę, którą sama zrobiła, żeby ją zawiesić na kominku. I jest pełna orzechów, pomarańczy i śliwek w cukrze. O, jeszcze dała mi drewnianą łódkę. A od Maisie dostałem czapkę, i ona jest taka sama, jak w wierszyku. Mam ją wkładać do snu i…

– A ja też przywiozłem ci prezent – wtrącił Pierce, przerywając mowę, która

zapowiadała się na długi monolog.

– Och, nie, milordzie, proszę – zaprotestowała Camilla. – Podarował mu pan już kucyka. Naprawdę nie powinien pan.

– Bzdura. Poza tym to bardzo skromny prezent. – Postawił chłopca na podłodze, po czym dał znak lokajowi, który wniósł kilka owiniętych pakunków. Pierce wziął jeden i podał z ukłonem Jasperowi. – Proszę.

Jasper popatrzył na nią.

– Mogę otworzyć, mamo?

– Oczywiście – zgodziła się.

Rozdarłszy niecierpliwie papier, Jasper wydobył ze środka coś, co wyglądało jak obrazek w ramce. Popatrzył na niego z uwagą, po czym uśmiechnął się szeroko. – To wiersz, mamo! – zawołał i ruszył do niej w podskokach. – Popatrz, to wiersz o Świętym Mikołaju!

Tak rzeczywiście było. Pierce znalazł kogoś, kto wypisał go na pergaminie i oprawił.

– Teraz zachowasz go już na zawsze, gotowy do przeczytania, kiedy będziesz miał na to ochotę – powiedział chłopcu.

Camilla się rozczuliła.

– To bardzo miły upominek – wydusiła. – Co powiesz, Jasperze?

– Dziękuję, milordzie! – zawołał Jasper. – Bardzo panu dziękuję. – Po czym buzia mu posmutniała.

– A ja nic dla pana nie mam. – Popatrzył na osiem ołowianych żołnierzyków, ustawionych rzędem przed ołowianą miseczką, która udawała sanie. – Chyba że zechce pan wziąć moje stare żołnierzyki.

Pierce podszedł i pogłaskał go po czuprynie.

– Zatrzymaj je. Jest jednak prezent, który możesz mi dać. – Podniósł wzrok na Camillę. – Chciałbym na chwilę ukraść ci mamę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie będę jej długo trzymał. Dobrze?

Jasper pokiwał głową.

– Zostanę z Maisie i jaśnie panią, i z babcią. Wie pan, że mam teraz babcię?

– Słyszałem – powiedział z trudem Pierce.

– Do tej pory nie miałem babci. – Rodzice Kennetha umarli na długo przed przyjściem na świat Jaspera. Chłopiec uśmiechnął się do lady Hedon. – Jest miła.

Lady Hedon się roześmiała.

– A ty, mój chłopcze, jesteś czarujący. W wieku piętnastu lat złamiesz wszystkie serca w Londynie. A teraz chodź tutaj, usiądź przy babci i pokaż mi swój wiersz. A mama pójdzie porozmawiać z jego lordowską mością.

Pierce otworzył drzwi i Camilla wyszła z nim. Serce tłukło jej się tak, że na pewno je słyszał.

Sprowadził ją do holu, blisko miejsca, gdzie stało duże pudło.

– Tobie też przywiozłem prezent – powiedział.

Zachciało jej się krzyczeć.

– Pierce, możesz dawać mnie i Jasperowi tyle prezentów, ile chcesz, lecz to nie zmieni mojego postanowienia…

– Wiem. Wcale nie próbuję cię do tego skłonić. – Gestem wskazał pudło. – Otwórz je, proszę.

Z zaciśniętym gardłem otworzyła pudło, po czym zdumiona wpatrzyła się w jego zawartość. Były to saneczki z oparciem. Dla lalki albo dla…

Spojrzała na niego.

– To dla dzieci, które będziemy, mam nadzieję, mieć. W Montcliff. Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną.

Kiedy stała nieruchomo i patrzyła na niego z otwartymi ustami, nie dowierzając własnym uszom, dodał:

– Powiedziałaś kiedyś, że sprawiam, iż czujesz się tak, jakbyś umiała latać. Cóż, mam nadzieję, że może polecimy razem, jako jedna duża rodzina. Ty, Jasper, nasze dzieci…

– Twoja matka?

– Tak, ona także – potwierdził z zamglonym łzami spojrzeniem. – Opowiedziała mi wszystko. Odgadłem większość, zanim usłyszałem to od niej. Zrozumiałem, że miałaś słuszność – w wielu sprawach, ale w jednej w szczególności. Próbowałem ją ukarać, nie chcąc się żenić. A skończyłem, karząc sam siebie, odmawiając sobie rodziny, której sam nigdy nie miałem, bo pewien byłem, że jeśli będę ją miał, nie uda mi się. A wiedziałem, że drugi raz nie ścierpisz takiego bólu.

Rozpłakała się cicho.

– Usłyszawszy, jak wiele matka dla mnie zaryzykowała, zrozumiałem, że miłość to ryzyko. Narażała tyle dla miłości – miłości do Gilchrista, miłości do mnie i miłości dla dzieci, których jeszcze nawet nie mam. Powiedziałem sobie więc, że mogę teraz przynajmniej uhonorować jej poświęcenie, ryzykując własne serce.

Uśmiechnął się i otarł jej łzy.

– Był tylko z tym jeden kłopot – powiedział głosem schrypniętym ze wzruszenia. – Ja już oddałem to serce. Myślę, że straciłem je w chwili, kiedy pokazałaś się w mojej sypialni, żądając, bym oddał matce, co jej się należy, i gdy opowiedziałaś głupią historyjkę o tym, że chętnie wskoczysz mi do łóżka, ponieważ – jak głosi plotka – jestem w tych rzeczach niezły.

– I sprawiedliwie – zdołała zażartować przez łzy.

– Widzisz? – rzekł. – To właśnie dlatego cię kocham, Camillo. Jesteś jedyną kobietą, która się po prostu ze mnie śmieje, kiedy robię z siebie cymbała. Czyniąc to, sprawiasz jakimś cudem, że nie chcę już być cymbałem.

– Nie jesteś – zaprotestowała i podniosła rękę, by pogładzić go po policzku.

Przykrył dłonią jej rękę.

– Czasami jestem. Wiem, że teraz, skoro masz matkę, która chce cię uczynić swoją dziedziczką, masz wybór i po raz pierwszy w życiu jesteś wolna jak ptak. Zdaję sobie sprawę z tego, jaki niewiarygodny dar ci ofiaruje. Jeśli mnie poślubisz, obiecuję ci, że spędzę resztę swojego życia, dając ci wiele okazji do latania.

– Nie chcę latać, najdroższy – wyszeptała, pewna, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. – Chyba że polecimy razem.

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był tak szczery, że zapragnęła zaciągnąć Pierce'a prosto do łoża. Pozwoliła mu mimo to objąć się ramionami i pocałować tak, jakby była jedyną kobietą na świecie. Kobietą, która cudem zdobyła jego serce.

Kiedy puls jej przyśpieszył, a dreszcz przenikał już od stóp do głów, wsunął jej rękę sobie pod ramię i powiedział:

– A teraz chodźmy do Jaspera, oznajmić mu, że właśnie zyskał tatę i jeszcze jedną babcię.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się szczęśliwa.

– Może zaniemówi z wrażenia.

Odwzajemnił się zagadkowym spojrzeniem.

– Prędzej uwierzę w latające renifery. – Jego wzrok nabrał ciepła, zobaczyła w nim jego serce, jego prawdziwe uczucia. – W każdym razie po dzisiejszym dniu jestem gotów uwierzyć w nie także. Skoro mogłem się zakochać, najdroższa, wszystko jest możliwe.

Epilog

Rok później Pierce siedział w wielkim fotelu w dziecięcym pokoju w pałacu Montcliff i trzymał na kolanach Jaspera w koszulce nocnej. Jego żona siedziała naprzeciwko niego i karmiła piersią ich dwumiesięczną córeczkę, Gilian, podczas gdy Maisie, która okazała się doskonałą nianią, zbierała zabawki.

Za nimi jarzyła się i błyszczała w świetle palącego się w kominku ognia choinka, jedna z trzech w Montcliff – największą ustawiono w salonie w pałacu, a jeszcze jedną – w starym dworze.

Zdumiewające, jak pałac w Montcliff stał mu się drogi. Nie trwało jednak długo, nim zrozumiał, że to nie sam dom, który pozostał wielki i sterylny, ale ludzie, którzy w nim mieszkali, odmienili jego atmosferę.

Doskonałym przykładem był pokój dziecięcy. Ojciec urządził go z myślą o posiadaniu w przyszłości dziedzica, którym by zastąpił Pierce'a. Głupiec kazał okleić ściany surowymi obrazami, wstawić wysoki stół i krzesła, bardzo niewygodne dla dzieci.

Camilla wszystko wyrzuciła. Teraz ściany ozdabiały pogodne scenki chłopców jeżdżących na kucykach i fikających koziołki dzieci. Krzesła były mniejsze i wygodniejsze dzięki kolorowym poduszkom, a stół niższy, żeby maluchom łatwiej było przy nim pisać.

Pierce się roześmiał. Ojciec prawdopodobnie przewróciłby się w grobie, gdyby zobaczył, że pałac zamieszkują teraz dzieci takie jak Jasper – syn pastora i podrzutka, i mała Gilian – córka odtrąconego przez niego syna i podrzutka. Za każdym razem, gdy Pierce myślał, jak ich dzieci profanują święte imperium ojca, radośnie biegając po podwórzu, czuł mściwą satysfakcję.

Może matka miała słuszność. Lata, które przecierpiała, warte były tego, żeby w końcu oboje wzięli górę nad draniem.

– Jak sądzę, chcesz, żebym przeczytał ci znów wiersz – odezwał się do Jaspera. Nadali mu tytuł *Wizyta Świętego Mikołaja*.

– O, nie dziś wieczorem, papo – zaskoczył go odmową Jasper. – Dzisiaj jest dzień po Bożym Narodzeniu, więc napisałem na tę okoliczność nowy wiersz.

– Co takiego? – zamrugał zaskoczony Pierce. – Kiedy to zrobiłeś?

– Dziś po południu, kiedy była tu babcia Devonmont. Pomogła mi. – Odwinął arkusik papieru i spytał:

– A czy na Trzech Króli pojedziemy do babci?

– Wyobrażam sobie, że babcia przymaszerowałaby tu do nas i natarła nam uszu, gdybyśmy nie pojechali.

Camilla zaoponowała.

– Kiedy byłem mały, stawiała mnie do kąta – wytknął Pierce. Dziwne, jak w ciągu ostatniego roku jego wspomnienia z dzieciństwa stały się mniej bolesne i cenniejsze.

– Na pewno zasłużyłeś – powiedziała Camilla z błyskiem w oku.

– Ja? Byłem wzorowym dzieckiem.

– Jak ja – zawtórował Jasper.

– Właśnie – potaknął Pierce, podczas gdy żona przewróciła oczami.

Zarzucała mu, że psuje Jaspera, i tak pewnie było. Z pewnością nie psuł go bardziej niż

babcia Devonmont. Czy też babcia Hedon, do której wybierali się z wizytą za miesiąc.

– Dobrze. – Jasper wygładził papier. – Oto mój wierszyk: *Jest noc wigilijna/ pałac spowity w ciszy/śpi wszelkie stworzenie/ razem z babcią naszą.*

– Babcia nie miała nic przeciwko temu, że nazwałeś ją stworzeniem? – przerwał Pierce.

– Chciała się znaleźć w wierszu. A ja nie chciałem wpisać do niego myszy. Mama się ich boi.

– No tak, prawda. Czytaj dalej.

– *Już w kołysce cieplutkiej utulone dziecię/ o śliwkach w cukrze śni sen pyszny, łakomy.*

Usta Camilli zadrżały, a Pierce zagryzł zęby, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– *Szlafmycę zakładam, mamusia swój czepek…*

– Nie noszę szlafmycy do łóżka – zauważył Pierce.

– W wierszu nosisz – oświadczył Jasper, jakby to wszystko wyjaśniało. – *I drzemka zimowa nadpływa/Wtem łoskot na zewnątrz dobiega nas jakiś/ i chłopiec z kołyski się zrywa.*

– Masz siostrzyczkę – sprostował Pierce.

Jasper spojrzał na niego z ukosa.

– Ale teraz chcę braciszka.

Camilla się roześmiała.

Pierce uśmiechnął się do niej.

– Myślę, że to się da zrobić.

– Zrobisz, prawda? – spytała z humorem, kładąc do kołyski dziecko, które zasypiało.

Jasper nie zwrócił na to uwagi i czytał dalej:

– *Do okna jak burza podbiegam gwałtownie, rozwieram wnet okiennice./ Renifer?*

– Poczekaj, poczekaj – Pierce zniżył głos, żeby nie obudzić dziecka. – Coś opuściłeś.

– Wiem, nie mogłem nic wymyślić zamiast księżyca, co rozsnuwa blask na śniegu. To głupie. – Jasper wziął głęboki oddech. – *Renifer? Aż osiem ogromnych ich widzę/ w wielgachnym zaprzęgu z saniami.*

– Dlaczego renifery zrobiły się ogromne? – spytał zaciekawiony Pierce.

– Żeby były podobne do naszych jeleni. – Spojrzał na Pierce'a: – Wiesz, tych w zagrodzie. Ponadto, jeśli Święty Mikołaj przywozi prezenty, to potrzebuje przecież na nie dużo miejsca. Miniaturowe saneczki na pewno mu nie wystarczą.

– Doskonała uwaga – pochwalił Pierce.

Jasper złożył kartkę.

– To wszystko.

– A co z resztą? – spytała szeptem Camilla stojąca przy oparciu fotela.

– Mamo, wiersz jest naprawdę długi. Całe popołudnie pisałem ten fragment. – Przytulił się do Pierce'a.

– Dobrze, teraz możesz przeczytać mi prawdziwy wiersz.

– Och, nie, chłopcze. – Camilla podniosła go z fotela. – Już dość siedzenia po nocy. Pora do łóżka.

Jasper rzucił Pierce'owi błagalne spojrzenie znad ramienia matki, a Pierce podniósł ręce i uśmiechnął się bezradnie. Dobrze wiedział, że nie należy sprzeciwiać się Camilli, jeśli szło o porę spania.

A poza tym, kiedy dzieci były w łóżku, to…

Wkrótce Camilla siedziała mu na kolanach, kiedy przysiedli w salonie, spoglądając na choinkę. Były na niej kokardy i zapalone świeczki oraz mnóstwo bombek z londyńskich sklepów. Camilla niechętnie wydawała pieniądze na zbyteczne rzeczy, lecz do ładnej

choinki była przywiązana tak samo, jak jego matka.

Oparł podbródek na jej głowie.

– Fowler poinformował mnie dziś, że planuje poprosić matkę o rękę. Myślę, że się zdziwił, kiedy mu powiedziałem, że będę zachwycony, mając go w swojej rodzinie.

– Och, zwlekał bardzo długo, żeby się koło tego zakręcić.

– Znasz Fowlera. Sześć miesięcy po naszym ślubie zebrał się dopiero na odwagę, żeby zaprosić matkę na spacer, a kolejne dwa miesiące trwało, nim posunął się dalej i wziął ją na przejażdżkę. Gdybym sam nie przyspieszył sprawy zaproszeniem na bal dożynkowy, prawdopodobnie nadal by się z nią tylko przechadzał i rzucał jej przeciągłe, tęskne spojrzenia w czasie obiadu. Uderzał w konkury w ślimaczym tempie.

– Nie każdy potrafi uderzać w konkury w twoim szaleńczym tempie – zażartowała. – Chociaż właściwie nie jestem pewna, czy można to było uznać za konkury. To raczej przejrzysty zamiar dostania mi się pod spódnicę.

– Podziałało, prawda? – powiedział z uśmiechem.

– O, tak. – Poprawiła się na jego kolanach, żeby na niego popatrzeć. – Podobnie jak mój przejrzysty zamiar zreformowania cię.

– To nie ty mnie zreformowałaś – oświadczył zuchwale. – Zreformowałem się sam.

– Doprawdy? – zarzuciła mu ręce na szyję. – A ja nic z tym nie miałam wspólnego.

– Na pewno nie. Za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, moje myśli są stanowczo niezreformowane. – Spuścił wzrok na jej usta. – I nadal tak jest.

– Czyżby? – Jej oczy błysnęły. – Powiedz, jakie są?

Musnął pocałunkiem jej wargi.

– *Jest noc wigilijna/dom spowity w ciszy/ śpi wszelkie stworzenie/ prócz pana i pani.*

– Cóż za niezręczny rym.

– Cii, nie skończyłem. – Wstał, trzymając ją na rękach, i skierował się do drzwi. – *Już w łóżku cieplutkim utulona para/ sen o pieszczeniu śni słodki, łakomy.*

Wlepiła w niego podejrzliwe spojrzenie.

– Czy to nieprzyzwoita wersja wiersza o Świętym Mikołaju?

– Nie. – Popatrzył na kobietę, która stała się mu droższa niż życie. Która uczyniła jego życie bogatszym, pełniejszym i stanowczo coraz ciekawszym z każdym dniem. – To wersja dla mężczyzn zakochanych w swoich żonach.

Uśmiechnęła się do niego z miłością.

– Zatem proszę mówić dalej, sir.

– *Koszulę swą zdzieram/ mamusia już golutka…*

– Pierce! – zawołała, na wpół się śmiejąc, na wpół go besztając.

– No, dobrze – przyznał, niosąc ją w górę po schodach. – To jednak nieprzyzwoita wersja.

[1] Wiersz przypisywany Clementowi Clarke'owi Moore'owi opublikowany po raz pierwszy anonimowo w 1823 roku; stworzył współczesny wizerunek św. Mikołaja; tu cytowany według tłumaczenia Pauliny Zaborek; *Noc wigilijna*, Jedność, Kielce, 2010. (przyp. tłum.)

[2] John Wilmot, hrabia Rochester (1647–1680) – angielski arystokrata, dworzanin króla Karola II, poeta i miłośnik przygód, autor satyrycznych, często obscenicznych utworów.

[3] Stocking (ang.) – pończocha.

[4] *Noc wigilijna* w tłumaczeniu Pauliny Zaborek, Wydawnictwo Jedność, Kielce 2010.

[5] Bow Street – adres pierwszej londyńskiej policji, tzw. gończych z Bow Street – Bow Street runners.

[6] Gretna Green – wieś w Szkocji, gdzie uciekali zakochani, by wziąć ślub przed ukończeniem 21 lat i bez zgody rodziców, na co pozwalało ówcześnie tamtejsze prawo; z powodu tej tradycji miejscowość jest dzisiaj modnym miejscem ślubów. (przyp. tłum.)

Pierce Waverly wiedzie pełne uciech kawalerskie życie, zagłuszając żal do rodziców, którzy odtrącili go w dzieciństwie. Gdy więc nieoczekiwanie dostaje list od niejakiej Camilli Stuart, damy do towarzystwa matki, wzywający go do rodzinnego domu, traktuje tę bożonarodzeniową wizytę jako ostatnią szansę na odkrycie powodu niezrozumiałego postępowania rodziców i okazję do rozliczenia się z matką. Na miejscu okazuje się, że matka cieszy się doskonałym zdrowiem, a dama do towarzystwa, młoda wdowa po pastorze, jest osobą zbyt wielkiej urody i wdzięku, by wytrawny uwodziciel, taki jak Pierce, mógł potraktować ją obojętnie. Czar wigilijnej nocy czyni z kobiecego podstępu prawdziwy życiowy przełom – odkrywa rodzinne tajemnice i pogmatwaną przeszłość zauroczonej sobą pary.

www.wydawnictwobis.com.pl